

Skandynawska opowieść o miłości,
stracie i samotności.



HENNING MANKELL

Włoskie buty

HENNING
MANKELL

WŁOSKIE BUTY

przełożyła Ewa Wojciechowska



Tytuł oryginału: *Italienska skor*

Copyright © by Henning Mankell, 2006

Published by agreement with Leopard Förlag, Stockholm and
Leonhardt & Høier Literary Agency A/S, Copenhagen

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

- [Dedykacja](#)

- [Lód](#)

- [1](#)

- [2](#)

- [3](#)

- [4](#)

- [5](#)

- [6](#)

- [7](#)

- [8](#)

- [9](#)

- [10](#)

- [Las](#)

- [1](#)

- [2](#)

- [3](#)

- [4](#)

- [5](#)

- [6](#)

- [Morze](#)

- [1](#)

- [2](#)

- [3](#)

- [4](#)

- [5](#)

- [Przesilenie zimowe](#)

- [1](#)

- [2](#)

○ [3](#)

○ [4](#)

○ [5](#)

● [Przypisy](#)

Kto ma wygodne buty, nie myśli o stopach.

Zhuangzi

*Istnieją dwa rodzaje prawd. Są prawdy trywialne,
których zaprzeczenie jest bezsensowne,
ale istnieją też prawdy głębokie,
których zaprzeczenie jest równie prawdziwe.*

Niels Bohr

Miłość to miękka dłoń, która powoli odsuwa na bok los.

Sigfrid Siwertz

Lód

1

Zawsze czuję się bardziej samotny, kiedy jest zimno.

Chłód za oknem przypomina mi o zimnie mojego ciała, zupełnie jakby atak następował z dwóch stron. Nie poddaję się i wciąż walczę z chłodem i samotnością. To dlatego każdego ranka na nowo wyrąbuję przerębел. Gdyby na zamarznętej zatoce stał ktoś z lornetką i mnie obserwował, doszedłby niechybnie do wniosku, że oszalałem i nie mogę się doczekać własnej śmierci. Nagi mężczyzna na mrozie rąbiący siekierą lód.

Być może w głębi ducha mam nadzieję, że pewnego dnia naprawdę ktoś będzie stał w oddali. Czarny cień na białym tle. Zobaczy mnie i zdąży zareagować, nim będzie za późno. Choć tak naprawdę wcale nie trzeba mnie ratować, bo nie zamierzam się zabić.

Wiele lat temu, po katastrofie, przeżywałem tak wielką rozpacz, że rzeczywiście myślałem o odebraniu sobie życia. Nigdy jednak nie spróbowałem. Tchórzostwo okazało się moim najwierniejszym kompanem. Poza tym zawsze byłem zdania, że nie wolno sobie odpuszczać. Życie jest jak krucha gałąź nad przepaścią, a ja zamierzałem trzymać się jej z całych sił tak długo, jak zdołam. Potem spadnę, jak wszyscy, nie mając pojęcia, co będzie na dnie. Czy stoi tam ktoś, kto mnie powita, czy też ogarną mnie wyłącznie ciemność i chłód?

Wszystko wokół skuwa lód.

Zima tego roku jest sroga, to zima początku nowego tysiąclecia. Tego ranka, gdy obudziłem się w grudniowych ciemnościach, zdawało mi się, że słyszę śpiew lodu. Sam nie wiem, kiedy wpadło mi do głowy przekonanie, że lód może śpiewać. Niewykluczone, że powiedział mi o tym dziadek, który przyszedł na świat na tym skalistym wybrzeżu.

Rano zbudził mnie jakiś dźwięk. Nie wydał go kot ani pies. Moje zwierzęta śpią snem twardszym niż mój. Kotka jest stara i chodzi na sztywnych łapach, suka jest całkiem głucha na prawe ucho, a na lewe też ledwo słyszy. Mogę przejść koło niej, a ona nawet się nie zorientuje.

Cóż to więc był za dźwięk o poranku?

Wysłuchiwałem się w niego w ciemnościach i minęła długa chwila, nim doszedłem do wniosku, że to odgłos poruszającego się lodu, choć tu, w zatoce, miał on z dziesięć centymetrów grubości. Mimo to unosił się, opadał i trzeszczał. No i śpiewał.

Słuchając tych dźwięków, uświadomiłem sobie, że moje życie minęło w zawrotnym tempie. Teraz jestem tu: mężczyzna w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, niezależny finansowo, nieprzerwanie dręczony pewnym wspomnieniem. Wzrastałem w biedzie dzisiaj trudnej do wyobrażenia. Ojciec, otyły człowiek, pracował jako kelner; pomiatano nim. Matka zaś robiła, co mogła, żeby wystarczało nam pieniędzy na życie. Z czasem udało mi się wydostać z czarnej otchłani biedy. Latem jako dzieciak bawiłem się w tych okolicach, nieświadomy jeszcze, że czas szybko się kurczy. Moi dziadkowie jeszcze pracowali, jeszcze nie dopadła ich starość oznaczająca ciągłe oczekiwanie w bezruchu. On pachniał rybami, ona nie miała ani jednego zęba. I choć zawsze była miła, bałem się widoku czarnej jamy jej rozdziawionych ust, kiedy się uśmiechała.

Jeszcze niedawno grałem w pierwszym akcie, teraz wkroczyłem w epilog.

Więc lód śpiewał zeszłej nocy, w gęstym mroku, ja zaś zastanawiałem się, czy dostanę ataku serca. Wstałem z łóżka i poszedłem zmierzyć sobie ciśnienie krwi. Było w porządku, sto pięćdziesiąt pięć na dziewięćdziesiąt. Tętno też miałem w normie, sześćdziesiąt cztery. Obmacałem się, próbując stwierdzić, czy coś mnie boli. Lekko ćmiło mnie w lewej nodze, ale często tak mam, więc się nie niepokoiłem. Śpiewający lód wprowadził mnie jednak w zły nastrój. Brzmiał jak chór niewyraźnych głosów. Usiadłem przy kuchennym stole z postanowieniem, że zaczekam na świt. Gdzieś blisko zatrzeszczała drewniana belka, wiedziałem, że sprawił to chłód, albo że mysz przebiegała jednym ze swoich tajnych przesmyków.

Termometr po drugiej stronie szyby wskazywał dziewiętnaście stopni poniżej zera.

Postanowiłem, że dziś zrobię to samo, co każdego zimowego dnia. Włożę szlafrok, wsunę stopy w kalosze o obciętych cholewkach, wezmę siekiere i zejdem na dół, na pomost. Wyrąbanie otworu pójdzie mi szybko, bo przez jedną noc lód nie zdążył solidnie zamarznąć. Potem się rozbiore i zanurzę w mulistej wodzie. To boli, ale kiedy z niej wychodzę, zimno zmienia się nagle w intensywne uczucie ciepła.

Wchodzę do tej czarnej dziury, żeby poczuć, że jeszcze żyję. Po każdym takim zanurzeniu samotność na jakiś czas odchodzi. Pewnego dnia prawdopodobnie umrę na jakiś wstrząs, a ponieważ w miejscu, gdzie mam przerębel, nie jest głęboko, nie pójdę na dno, ale będę stał, aż otwór w lodzie zamarznie, a ja razem z nim.

Takiego znajdzie mnie Jansson, który rozwozi pocztę po okolicznych wyspach.

I nigdy, choćby nie wiem, jak długo żył, nie zrozumie, co tu się wydarzyło.

Nie obchodzi mnie to. Specjalnie urządziłem swoje siedlisko na podobieństwo niedostępnej twierdzy. Kiedy wychodzę na skały za domem, rozciąga się przede mną widok na morze pełne skalistych wysepek, których śliskie grzbiety wystają ponad powierzchnię wody lub lodowej pokrywy. Gdy spojrzę w drugim kierunku, w oddali widzę wybrzeże, ale nigdzie nie dostrzegam żadnego innego domu.

Oczywiście nie tak wszystko zaplanowałem.

To miejsce miało być moim letniskiem. Nie szansem, którego muszę strzec. Każdego ranka, kiedy wyrąbuję przerębę lub gdy latem wchodzę do nagrzanej słońcem wody, na nowo dziwię się, jak potoczyło się moje życie.

Wiem, co jest tego przyczyną. Popełniłem błąd. A potem odmówiłem poniesienia konsekwencji. Często pytam sam siebie, co bym zrobił, gdybym wówczas wiedział to, co wiem dziś. Nie znam jednak odpowiedzi. Mimo to jestem pewny, że mogłem uniknąć zaszywania się na tej wyspie jak zbiegły więzień.

Powinienem był postępować w życiu zgodnie z wcześniej obmyślonym planem.

Jeszcze w czasach bardzo wczesnej młodości postanowiłem, że zostanę lekarzem. Stało się to dokładnie w dniu moich piętnastych urodzin, gdy ojciec, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zaprosił mnie do restauracji. Sam był kelnerem, ale w desperackiej próbie zachowania resztek godności brał tylkoienne zmiany. Nigdy nie chodził do pracy wieczorem, a kiedy mu kazano, składał

wymówienie. Do dziś pamiętam rozpaczliwy płacz matki, jakim się zanosila, kiedy co jakiś czas ojciec wracał do domu i oznajmiał, że stracił pracę. Zdziwiłem się więc, kiedy niespodziewanie zaprosił mnie do restauracji. Wcześniej podsłuchałem rodziców spierających się o to, czy mogę pójść, czy nie. Ostatecznie matka zamknęła się w sypialni. Robiła tak zawsze, kiedy coś szło nie po jej myśli. Zdarzały się długie okresy nieporozumień między rodzicami, podczas których prawie nie opuszczała swojego pokoju. Pachniało w nim lawendą i łzami. Ja sypiałem na kanapie w kuchni, ojciec zaś, wzdychając ciężko, kładł sobie materac na podłodze.

Przez całe życie widziałem wielu płaczących ludzi. Jako lekarz niemal codziennie spotykałem umierających oraz tych, którzy zmuszeni byli sobie uświadomić, że ktoś bliski zapadł na śmiertelną chorobę. Nigdy jednak ich łzy nie wydzielały zapachu podobnego do łez mojej matki.

W drodze do restauracji ojciec tłumaczył mi, że matka jest nadwrażliwa. Do dziś próbuję sobie przypomnieć, jak to wtedy skomentowałem. Cóż mogłem powiedzieć? Moje pierwsze dziecinne wspomnienia ograniczają się do nieustającego płaczu matki z powodu braku pieniędzy i jej wyrzekania na naszą biedę. Ojciec zdawał się głuchy na te lamenty. Nie tracił dobrego nastroju ani wtedy, kiedy po powrocie z pracy matka otwierała mu drzwi z pogodną miną, ani wówczas, gdy zastawał ją leżącą w lawendowym łóżu. Spędzał wieczory na porządkowaniu kolekcji cynowych żołnierzyków oraz ustawianiu ich w szyku bitewnym. Czasem, kiedy już zasypiałem, siadał na skraju mojego łóżka i głaszcząc mnie po głowie, tłumaczył, jak mu przykro, że z powodu nadwrażliwości matki nie doczekałem się rodzeństwa.

I tak oto wzrastałem, jak na ziemi niczyjej, pośród cynowych żołnierzyków i łez. U boku ojca, który uparcie powtarzał, że śpiewaka operowego z kelnerem łączy to, że jeden i drugi potrzebuje do wykonywania swojej pracy solidnych butów.

Stało się tak, jak chciał ojciec. Poszliśmy do restauracji. Kiedy zasiedliśmy przy stoliku i zjawił się kelner, ojciec zasypał go gradem dociekliwych pytań na temat cielecego steku, który ostatecznie potem zamówił. Ja zdecydowałem się na śledzia. Polubiłem ryby, po tym jak, spędzałem każde lato na wyspie u dziadków. Kelner przyjął zamówienie i się oddalił.

Tamtego dnia po raz pierwszy mogłem wypić lampkę wina. Natychmiast się nią upiłem. Po jedzeniu ojciec przyjrzał mi się z uśmiechem i zapytał, co zamierzam zrobić ze swoim życiem.

Nie wiedziałem. Ojciec z wysiłkiem opłacał moją edukację w szkole realnej, lecz to niewesołe miejsce z nauczycielami o przyciętych grzywkach i korytarzami śmierdzącymi stęchlizną nie zainspirowało mnie do rozmyślań o przyszłej karierze. Liczyło się tam przede wszystkim, by przetrwać kolejny dzień, nie zdradzać się z brakiem pracy domowej, a najlepiej w ogóle nie zwracać niczyjej uwagi. Istniało tylko jutro, nikt nie miał przed oczami horyzontu sięgającego dalej niż koniec semestru. Do dziś nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek rozmawiał ze szkolnymi kolegami o tym, co będzie kiedyś.

– Masz już piętnaście lat – powiedział ojciec. – Najwyższy czas pomyśleć o przyszłości. Chcesz pracować w gastronomii? Może po egzaminach uda ci się załapać na zmywak w Ameryce? Wystarczy się trochę postarać. Pamiętaj tylko, żeby mieć dobre buty.

– Nie chcę być kelnerem – odparłem.

Powiedziałem to bardzo stanowczo. Nie potrafiłem odgadnąć, czy ojciec poczuł się dotknięty, czy mu ulżyło. Pociągnął łyk wina, przesunął palcem wskazującym po nosie i zapytał, czy naprawdę nie mam żadnego pomysłu na swoją przyszłą karierę.

– Nie – oznajmiłem ponownie.

– Coś przecież musiało ci przemknąć przez myśl. Które przedmioty w szkole najbardziej ci odpowiadają?

– Muzyka.

– Umiesz śpiewać? To by dopiero była nowina.

– Nie umiem.

– Czyżbyś nauczył się grać na jakimś instrumencie, a ja nawet się nie zorientowałem?

– Nie.

– Więc dlaczego tak lubisz muzykę?

– Bo nauczyciel muzyki, pan Ramberg, nie zwraca na mnie uwagi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Interesują go tylko ci, którzy umieją śpiewać. Całej reszty w ogóle nie dostrzega.

– A więc najbardziej odpowiadają ci przedmioty, na których możesz pozostać niezauważony?

– Chemia też jest w porządku – dodałem, potakując.

Ojciec zrobił zdziwioną minę. Przez chwilę zdawało mi się, że odpłynął myślami do odległych czasów swojego dzieciństwa, choć nie miałem pewności, czy uczono wtedy czegoś takiego jak chemia. Wpatrywałem się w niego jak zahipnotyzowany. Nagle wydał mi się zupełnie innym człowiekiem. Wcześniej dostrzegałem tylko zmiany w jego ubiorze i kolorze włosów, które coraz bardziej siwiały. W tamtej chwili stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Ojciec

wyglądał tak, jakby nagle ogarnęła go bezsilność. Mimo że często siadał na skraju mojego łóżka albo chodził ze mną pływać do zatoki, zawsze był między nami dystans. Teraz, widząc jego bezradność, poczułem, że jest mi bliski. Uświadomiłem sobie, że jestem silniejszy niż ten mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie przy stoliku nakrytym białym obrusem, w restauracji, gdzie grała kapela, której jednak nikt nie słuchał. Wokół nas gęstniał papierosowy dym zmieszany z zapachem perfum. W kieliszku ojca wciąż ubywało wina.

To właśnie wtedy zdecydowałem, co mu odpowiem. Dokładnie w tamtej chwili ujrzałem swoją przyszłość, lub też ją sobie wymyśliłem. Ojciec wyrwał się z bezradnego ośpienia i podniósł na mnie szaroniebieskie oczy. Ja jednak zdążyłem ją dostrzec i widok ten miał na zawsze pozostać w mojej pamięci.

– Powiadasz, że chemia też ci odpowiada? – podjął ojciec. – Dlaczego?

– Bo chcę zostać lekarzem. Muszę się znać na różnych chemicznych substancjach. Kiedyś będę operował.

Ojciec spojrział na mnie z niesmakiem.

– Chcesz kroić ludzi?

– Tak.

– Żeby zostać lekarzem, nie wystarczy skończyć szkołę realną.

– Wiem. Pójdę na studia.

– Żeby potem stać godzinami i grzebać w ludzkich wnętrznościach?

– Chcę zostać chirurgiem.

Dokładnie w tamtej chwili zdecydowałem, co zrobić ze swoim życiem. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, by zostać lekarzem. Wprawdzie nie mdlałem na widok krwi, ani kiedy robiono

mi zastrzyk, ale nie przyszłoby mi do głowy spędzać życia na salach operacyjnych i długich szpitalnych korytarzach. Kiedy tamtego kwietniowego wieczoru wracaliśmy do domu, ojciec nieco podchmielony, ja oszołomiony po wypiciu pierwszego w życiu wina, stało się dla mnie jasne, że nie tylko udzieliłem mu odpowiedzi, ale złożyłem przysięgę sobie samemu.

Miałem zostać lekarzem. Postanowiłem spędzić resztę życia na krojeniu ludzkich ciał.

Dziś nie było żadnej poczty.

Wczoraj też nie było, ale zjawił się Jansson, listonosz rozwożący pocztę po wyspach. Nic dla mnie nie miał. Dwanaście lat temu powiedziałem mu, żeby nie ważył się wchodzić na mój pomost, jeśli ma przynieść wyłącznie ulotki reklamowe. Miałem dość ogłoszeń o promocjach na komputery albo golonkę. Oznajmiłem mu, że nie mam ochoty zadawać się z ludźmi chcącymi przejąć nade mną władzę poprzez wmawianie mi, że to czy tamto jest mi niezbędne. Próbowałem mu wytłumaczyć, że w życiu liczy się nie tylko polowanie na korzystne ceny. W życiu chodzi o sprawy istotne. Nie wiedziałem wprawdzie, jakie są to dokładnie sprawy, niemniej należało wierzyć, że sens życia tkwi gdzieś ponad kuponami rabatowymi i loterią fantową.

Pokłóciliśmy się. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Czasem mi się zdaje, że tylko wzajemna złość trzyma nas razem. Jednak po tamtej rozmowie Jansson nigdy nie przyniósł mi już żadnych ulotek. Ostatni list, który dostałem, wysłała mi gmina. Było to siedem i pół roku temu, jesienią, kiedy wiał silny północnowschodni wiatr i trwał odpływ. Gmina poinformowała mnie, że przydzielono mi kwaterę na cmentarzu. Jansson twierdził, że wszystkim je dają, że to nowa oferta dla każdego, kto tutaj płaci podatki. W ten sposób każdy może sobie pójść na cmentarz i sprawdzić, jakich będzie miał sąsiadów.

Tak więc to był ostatni list, jaki przyszedł do mnie w ciągu ostatnich dwunastu lat, nie licząc przygnębiających zawiadomień o wysokości mojej emerytury, pism ze skarbówki i wyciągów bankowych.

Jansson pojawiał się zawsze koło czternastej. Podejrzywałem, że musi się u mnie koniecznie stawić, żeby potem móc domagać się pełnego zwrotu kosztów za paliwo do motorówki albo hydrokoptera. Raz go o to nawet zapytałem, ale mi nie odpowiedział. Niewykluczone, że tylko dzięki mnie ma jeszcze tę robotę. Przez to, że przybija do mojego pomostu trzy razy w tygodniu jesienią i zimą oraz pięć razy w tygodniu wiosną i latem.

Piętnaście lat temu na tutejszych wyspach mieszkało pięćdziesięcioro ludzi. Kursowała nawet łódka wożąca garstkę dzieciaków do szkoły. Obecnie było nas już tylko siedmioro i tylko jeden z nas miał mniej niż sześćdziesiąt lat. Jansson. Był najmłodszy i najbardziej uzależniony od obecności grupy starców na tym odludziu. W przeciwnym razie straciłby robotę.

Mnie to nic nie obchodzi. Nie lubię Janssona. Jest jednym z najbardziej uciążliwych pacjentów, jacy mi się w życiu trafili. Zalicza się do grupy wyjątkowo trudnych do zniesienia hipochondryków. Pewnego razu, wiele lat temu, kiedy zajrzałem mu do gardła i skontrolowałem ciśnienie, oświadczył nagle, że jest przekonany, iż ma guza mózgu, przez który pogarsza mu się wzrok. Odpowiedziałem wtedy, że nie mam czasu na jego urojenia, ale on strasznie nalegał. Upierał się, że coś jest nie tak z jego mózgiem. Zapytałem, na jakiej podstawie tak twierdzi, czy boli go głowa, miewa nudności lub inne niepokojące objawy. Męczył mnie tak długo, aż zgodziłem się go przebadać. Weszliśmy do szopy, gdzie

było ciemniej, i zaświeciłem mu latarką w oczy, żeby przyjrzeć się źrenicom. Wszystko wyglądało normalnie.

Jestem przekonany, że Jansson jest zdrow jak ryba. Jego dziewięćdziesięciosiedmioletni ojciec mieszka wprawdzie w domu opieki, ale umysł ma niezmałony. Jansson i on są wrogami od 1970 roku. Wtedy to Jansson porzucił łowienie węgorzy z ojcem i wyjechał do Smålandii, pracować w tartaku. Nigdy nie pojmem, dlaczego zdecydował się właśnie na tartak. Zrozumiałe jest, że chciał uciec od ojca tyrana, ale żeby najmować się w tartaku? Już dawno dałem sobie jednak spokój i nie próbuję zrozumieć Janssona. Za mało o nim wiem. Tak czy inaczej, on i jego ojciec od wielu już lat nie mają ze sobą kontaktu. Jansson wrócił ze Smålandii dopiero wtedy, kiedy ojciec tak się zestarzał, że zabrali go do domu opieki. Nigdy ze sobą nie rozmawiają.

Jansson ma starszą siostrę. Ma na imię Linnea i mieszka w głębi łądu. Kiedyś była mężatką. Latem prowadziła kawiarnię. Potem jej mąż zmarł, przewrócił się na górcie za sklepem spożywczym i już było po nim. Linnea zamknęła kawiarnię i stała się religijna. Teraz robi za pośredniczkę między ojcem a synem.

Ciekawi mnie, co sobie przez nią mówią. A może Linnea przekazuje wyłącznie milczenie?

Matka Janssona od dawna nie żyje. Spotkałem ją tylko raz i już wtedy znajdowała się na skraju demencji. Wzięła mnie za swojego ojca, który zmarł w latach dwudziestych. Było to wstrząsające przeżycie.

Dziś podobne zdarzenie nie zrobiłoby na mnie wrażenia. Wtedy jednak myślałem inaczej.

Właściwie o Janssonie nie wiem nic poza tym, że ma na imię Ture i jest listonoszem. Nie znam go dobrze, a on nie zna mnie. Ale

kiedy widzę, że się zbliża, wychodzę do niego i czekam przy pomoście. Stoję tam i zastanawiam się, dlaczego to robię, wiedząc doskonale, że nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie.

To jak czekanie na Boga albo Godota, ale zamiast nich zawsze przybywa Jansson.

Siadam przy kuchennym stole i otwieram dziennik. Prowadzę go od dnia, w którym tu zamieszkałem. Nie mam nic do powiedzenia, nie ma też nikogo na całym świecie, kto mógłby być zainteresowany tym, co w nim zapisuję. Mimo to piszę w nim każdego dnia, zawsze parę linijek przez cały rok. O pogodzie, ptakach na drzewie za oknem, o moim zdrowiu. O niczym innym. Kiedy chcę, mogę przerzucić kartki wstecz o dziesięć lat i przeczytać, że kiedy szedłem na pomost czekać na Janssona, na deskach siedziała sikorka albo ostrygojad.

Spisuję kronikę przegranego życia.

Minęło przedpołudnie.

Najwyższy czas, by naciągnąć czapkę na uszy, wyjść na ziab i ustawić się w oczekiwaniu na przybycie listonosza. Pewnie zamarza w tym swoim hydrokopterze. Czasem, kiedy cumuje swój pojazd, zdaje mi się, że czuć od niego alkohol. Rozumiem go nawet.

Kiedy wstałem od stołu, zwierzęta nagle się przebudziły. Kotka pierwsza dobiegła do drzwi, suce zajęło to zdecydowanie dłużej. Wypuściłem je na dwór i zarzuciłem na siebie stary, nadjedzony przez mole kożuch, należący niegdyś do dziadka. Owinąłem szyję szalikiem i wcisnąłem na głowę grubą wojskową czapę, pamiętającą jeszcze drugą wojnę światową. Potem ruszyłem na pomost. Mróz szczypał mocno. Przystanąłem i nasłuchiwałem. Wokół panowała

głucha cisza. Nie trzepotał skrzydłami żaden ptak, nie warczał silnik janssonowego hydrokoptera.

Wyobraziłem go sobie na tym jego pojeździe. Hydrokopter wyglądał jak staroświecki tramwaj, w którym motorniczy musiał stać na zewnątrz. Trudno było opisać zimowy ubiór mojego listonosza. Zakładał na siebie płaszcze, kapoty, strzępy starego kozucha, a czasem, kiedy mróz był siarczysty jak dziś, owijał się nawet starym szlafrokiem. Raz zadałem mu pytanie, dlaczego nie kupi sobie jednego z tych nowoczesnych kombinezonów, które widziałem w jakimś sklepie na stałym lądzie. Odparł, że im nie ufa. Ja jestem jednak przekonany, że to z powodu skąpstwa. Na głowie nosi taką samą czapkę jak moja, pod nią ma czasem kominiarkę, a na oczy zakłada gogle.

Kiedyś zapytałem go, czy do obowiązków poczty nie należy zapewnienie mu czegoś ciepłego do ubrania na zimę. Jansson mruknął coś tylko pod nosem. Z pocztą chciał mieć jak najmniej do czynienia, mimo że tam pracował.

Na lodzie tuż obok pomostu leżała zamarznęta mewa. Miała złożone skrzydła i nóżki wyciągnięte przed siebie. Jej oczy przypominały dwa połyskujące kryształki. Przeniosłem ją na plażę i przykryłem dużym kamieniem. W tej samej chwili usłyszałem warkot silnika. Nie musiałem zerkać na zegarek, Jansson zawsze był punktualny. Ma do mnie najbliżej z Vesselsö, gdzie mieszka to stare babsko, Asta Karolina Åkerblom. Ma osiemdziesiąt osiem lat i nieustannie bolą ją ręce, ale wciąż upiera się, by nie umierać. I tak nadal trwa na wyspie, na której dawno temu przysłała na świat. Jansson mówi, że staruszka źle widzi, mimo to wciąż dzierga na drutach swetry i skarpetki dla swoich licznych wnuków, rozproszonych jak kraj długi i szeroki. Ciekawi mnie, jak wyglądają

te swetry. Czy naprawdę można dziergać na drutach jakieś wzorki, będąc na wpółślepy?

Hydrokopter był coraz bliżej, po chwili wyłonił się zza cypla skierowanego w stronę Lindsholmen. Naprawdę niezwykły był widok tego nadciągającego, podobnego do owada pojazdu z okutanim mężczyzną u steru. Jansson wyłączył silnik, wielkie śmigło zwolniło, a on cichym ślizgiem dobił do pomostu. Jednym ruchem zerwał z twarzy okulary i maskę. Miał czerwoną, spoconą twarz.

– Boli mnie ząb – rzucił, po tym jak niezdarnie wdrapał się na pomost.

– I czego ode mnie w związku z tym oczekujesz? – spytałem.

– Jesteś lekarzem.

– Ale nie dentystą.

– Boli mnie tu na dole, po lewej – pokazał palcem i rozdziawił usta, jakby niespodziewanie zobaczył za moimi plecami coś potwornego.

Moje zęby są w przyzwoitym stanie i wystarczy, że chodzę do stomatologa raz na kilka lat.

– Nie mogę ci pomóc – oznajmiłem. – Idź do dentysty.

– Ale spojrzeć na to przecież możesz.

Wiedziałem, że Jansson łatwo się nie podda. Poszedłem do szopy i przyniosłem latarkę oraz łopatkę do gardła.

– Otwieraj! – rozkazałem.

– Przecież otworzyłem – wymamrotał listonosz.

– Szerzej.

– Nie dam rady.

– Tak nic nie widzę. Odwróć głowę w tę stronę!

Poświeciłem mu w usta, a Jansson gorliwie wysunął język. Zęby miał pozółkłe, obłożone kamieniem i brym osadem. Dziąsła jednak wyglądały na zdrowe, nie dostrzegłem też żadnych większych ubytków.

- Nie widzę tu nic niepokojącego – powiedziałem.
- To czemu mnie boli?
- Musisz iść do dentysty. Weź tabletkę przeciwbólową.
- Skończyły mi się.

Przyniosłem mu opakowanie pigułek, które Jansson natychmiast wsunął sobie do kieszeni. Jak zwykle nawet nie przyszło mu do głowy uprzejmie zapytać, czy jest mi za nie coś winien. Zarówno konsultacje, jak i leki, które mu czasem dawałem, uważał za darmowe. Od początku naszej znajomości brał moją gościnność za coś oczywistego. Może właśnie dlatego za nim nie przepadałem. To trudne, nie lubić swojego najlepszego przyjaciela.

– Mam dla ciebie paczkę – oznajmił Jansson po chwili. – Prezent od poczty.

- Od kiedy rozdają podarki? – zdziwiłem się.
- To prezent na gwiazdkę. Dają każdemu.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Nie chcę go.

Jansson pogrzebał w swoich tobołkach i wyjął z nich niewielką, cienką paczuszkę. Na opakowaniu widniały pięknie wykaligrafowane świąteczne życzenia od dyrektora poczty.

– To nic nie kosztuje – powiedział, wręczając mi ją. – Jeśli nie chcesz, wyrzuć.

- Nie wmówisz mi, że poczta rozdaje cokolwiek za darmo.

– Niczego ci nie wmawiam. Wszyscy dostali. Nic się za to nie płaci.

Czasem upór Janssona pozbawiał mnie wszystkich sił. Nie miałem ochoty stać na mrozie i się z nim kłócić, więc rozerwałem paczuszkę. Były w niej dwie odblaskowe zawieszki z napisem: „Zachowaj ostrożność na drodze. Pozdrowienia od Szwedzkiej Poczty”.

– Po co mi te odblaski? – warknąłem. – Przecież tu nie ma dróg, a ja nie chodzę nigdzie pieszo.

– Ale kiedyś może ci się znudzi mieszkanie na tym odludziu i uznasz, że dobrze je mieć. Dasz mi trochę wody? Muszę rozpuścić tabletkę.

Nigdy nie zaprosiłem Janssona do mojego domu, nie zamierzałem tego zrobić i dziś.

– Roztop sobie trochę śniegu w metalowym kubku – powiedziałem. – Postaw go na silniku.

Ponownie poszedłem do szopy, znalazłem starą nakrętkę od termosu i włożyłem do niej garść śniegu. Jansson wetknął do niego musującą pastylkę. Czekaliśmy w milczeniu, patrząc, jak śnieg topi się na gorącym silniku. Chwilę później Jansson duszkiem opróżnił kubek.

– Przyjadę w piątek – oznajmił. – Potem będzie przerwa świąteczna.

– Wiem.

– Jak będziesz spędzał święta?

– Nijak.

Jansson wykonał niezrozumiały gest dłonią w stronę mojego czerwonego domu. Patrząc na niego, bałem się trochę, że lada chwila padnie na wznak, jak rycerz powalony ciężarem zbroi.

– Mógłbyś zamontować na zewnątrz jakieś światełka. Od razu zrobi się różniej.

– Raczej nie. Wolę, kiedy jest ciemno.

– Dlaczego nie zrobisz nic, żeby żyło ci się trochę przyjemniej?

– Żyję dokładnie tak, jak mi się podoba.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę domu. Odblaski cisnąłem w śnieg. Kiedy doszedłem do szopy, usłyszałem jak Jansson odpala silnik hydrokoptera. Maszyna zaryczała jak zarzynany zwierz. Pies czekał na mnie na schodach. Powinien się cieszyć, że już wszystkiego nie słyszy. Kot czaił się pod jabłonią, obserwował jemiołuszki dziobiące słoninę.

Czasem brakuje mi kogoś, z kim mógłbym porozmawiać. Pogaduszek z Janssonem właściwie nie można nazwać rozmową. To gadanina. Czcza gadanina na pomoście. Jansson plecie o sprawach, które wcale mnie nie interesują, a przede wszystkim domaga się diagnozowania swoich wymaginowanych chorób. Mój pomost i szopa stały się czymś w rodzaju prywatnej kliniki dla jednego pacjenta. Z biegiem lat przeniósłem do szopy na stałe aparat do mierzenia ciśnienia i instrument do wyjmowania woskowych czopów. Mój stetoskop wisi na drewnianym haku między starą siecią rybacką a bałwankiem kaczki, wystruganym przez mojego dziadka. W specjalnie do tego celu uprzątniętej szufladzie trzymam lekarstwa, których Jansson może kiedyś potrzebować. Drewniana ławka na pomoście, na której niegdyś siadywał dziadek, by zapalić fajkę po doprowadzeniu do porządku sieci na flądre, służy mi teraz za leżankę, kiedy Jansson żąda, żebym go zbadał. Niedawno, podczas śnieżnej zawiei, ugniatałem mu brzuch, bo upierał się, że ma raka żołądka, a niedługo po tym dokładnie badałem mu nogi,

gdyż był przekonany o jakiejś trawiącej go cichcem chorobie mięśni. Często myślę o tym, że moje dłonie, nawykłe niegdyś do przeprowadzania skomplikowanych operacji, dziś służą mi wyłącznie do obmacywania zadziwiająco dobrze utrzymanego ciała Janssona.

Zatem sposobu, w jaki ja i on komunikujemy się ze sobą, w żadnym wypadku nie można nazwać rozmową.

Czasem kusi mnie, żeby zapytać Janssona o jego poglądy, na przykład o to, co sądzi o życiu i czekającej nas po nim otchłani. Obawiam się, że nie zrozumiałby, o czym mówię. Jego życie kręci się wokół listów, znaczków, rachunków, wpłat, wypłat i ogromnych ilości ulotek reklamowych. Poza tym dręczą go problemy z łodzią i hydrokopterem. Kiedy morza nie skuwa lód, Jansson pływa przebudowaną łodzią rybacką, którą kupił w Västervik. Ma w niej prastary silnik, który rozwija prędkość najwyżej ośmiu węzłów. Hydrokopter kupił w Norwegii i wkrótce po tym otwarciu przyznał, że dał się naciągnąć. Zatem, biorąc pod uwagę te wszystkie troski, Jansson prawdopodobnie nie ma czasu na rozmyślanie o otchłani.

Każdego dnia obchodzę moją stojącą na brzegu łódź. Niebawem miną trzy lata, jak wciągnąłem ją na ląd, żeby ją wyremontować. Do tej pory się za to nie zabrałem. To piękna drewniana łódka o zakładkowym poszyciu, ale teraz niszczeje na deszczu i wietrze. Nie powinno tak być. Tej wiosny na pewno się o nią zatroszczę.

Wróciłem do domu i usiadłem do ulubionych puzzli. Motywem układanki był jeden z obrazów Rembrandta, *Straż nocna*. Wygrałem je wiele lat temu na loterii zorganizowanej w szpitalu w Luleå. Byłem tam wtedy świeżo zatrudnionym chirurgiem i maskowałem brak pewności siebie dużą dozą udawanego samozachwyty. Obraz jest bardzo ciemny, co czyni układankę niezwykle trudną. Tego dnia

udało mi się dopasować tylko jeden element. Potem przygotowałem sobie kolację i zjadłem ją, słuchając radia. Termometr za oknem wskazywał dwadzieścia jeden stopni poniżej zera. Gwiazdy świeciły jasno i było pewne, że przed świtem zrobi się jeszcze mroźniej. Szykował się kolejny rekord zimna. Nie pamiętałem, by kiedykolwiek był taki mróz. Może podczas wojny. Postanowiłem zapytać Janssona. On zwykle wiedział takie rzeczy.

Coś sprawiało, że czułem się niespokojny.

Położyłem się na łóżku i zacząłem czytać książkę o sprowadzeniu do naszego kraju ziemniaka. Czytałem ją już wiele razy, ale wciąż chętnie po nią sięgałem. Zapewne dlatego, że nie czaiły się w niej żadne niebezpieczeństwa i mogłem spokojnie odwracać stronę za stroną, bez obawy, że na kolejnej zdarzy się coś przykrego i nieoczekiwanego. O północy zgasilem lampkę. Zwierzęta już dawno zasnęły. W drewnianych ścianach coś trzeszczało i chrobotąło.

Próbowałem podjąć jakąś decyzję. Czy dalej bronić tej twierdzy? A może ogłosić kapitulację i postarać się zrobić coś sensownego z tą resztką życia, która mi jeszcze została?

Nic nie zdecydowałem. Leżałem i wpatrywałem się w pustkę, myśląc o tym, że moje życie do samego końca będzie wyglądać tak, jak w tej chwili. Nie wydarzy się nic rozstrzygającego.

Było przesilenie zimowe. Najdłuższa noc i najkrótszy dzień w roku. Po jakimś czasie miałem pomyśleć, że fakt ten miał jakieś szczególne znaczenie, które przeoczyłem.

Miałem za sobą całkiem zwyczajny dzień. Było bardzo zimno, a w śniegu przy moim pomoście leżała martwa mewa i dwa podarowane przez pocztę odblaski.

3

Minęły święta, a po nich Nowy Rok.

Trzeciego stycznia przez wyspy przetoczyła się burza śnieżna idąca od Zatoki Fińskiej. Stałem na wzgórzu za domem i patrzyłem, jak na horyzoncie piętrzą się czarne chmury. W jedenaście godzin napadało czterdzieści centymetrów śniegu. By móc odśnieżyć, musiałem wydostać się z domu przez okno w kuchni.

Po przejściu śnieżycy zapisałem w moim dzienniku: „Jemiołuszki zniknęły. Słonina porzucona. Minus sześć stopni”.

W sumie pięćdziesiąt jeden liter i trzy kropki. Po co zrobiłem ten wpis?

Potem nadszedł czas na zanurzenie się w moim przeręblu. Wiatr smagał mnie lodowatym biczem, gdy szedłem w dół do pomostu. Wyrąbałem otwór na nowo i rozebrawszy się, wszedłem do wody. Zimno parzyło skórę.

Zaraz po tym, jak wygramoliłem się z powrotem na lód i ruszyłem do domu, wiatr ustał na moment. Coś sprawiło, że ogarnął mnie lęk i wstrzymałem oddech. Spojrzałem za siebie.

Ktoś stał na lodzie w zatoce.

Wyraźnie widziałem ciemną sylwetkę na białym tle. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Zmrużyłem oczy, próbując dostrzec, kto to taki, ale udało mi się jedynie stwierdzić, że to kobieta. Wyglądała tak, jakby opierała się o ramę roweru, ale po chwili dojrzałem, że to balkonik. Marzłem tak, że cały się trząsałem. Ktokolwiek by to nie był, nie mogłem tak stać półnagi obok

przerębla. Pośpieszyłem do domu, zastanawiając się, czy mam jakieś zwidy.

Ubrałem się szybko, wziąłem lornetkę i wszedłem na wzgórze za domem.

Nie miałem omamów.

Kobieta wciąż stała na lodzie z dłońmi opartymi o chodzik. Z jednego przedramienia zwisała torebka. Nieznajoma miała narzucony na głowę kaptur, szczelnie owinięty szalikiem. Nie widziałem jej twarzy. Kim jest, myślałem w popłochu. Czego chce?

Starąłem się zebrać myśli. Nie było wątpliwości – kobieta nie mogła się zgubić, dotarła tam, gdzie chciała. To mnie zamierzała odwiedzić. Nie było tu nikogo innego.

W duchu miałem jednak nadzieję, że ktoś źle wskazał jej drogę. Nie życzyłem sobie odwiedzin.

Lecz ona wciąż stała w bezruchu, opierając dłonie na poręczach chodzika. Czułem wzbierającą niechęć. Na dodatek nie mogłem pozbyć się wrażenia, że skądś tę kobietę znam.

Jakim cudem przedostała się tu przez śnieżną zamieć, poruszając się z pomocą chodzika? Moją zatokę dzieliły od lądu trzy morskie mile. Trudno mi było uwierzyć, że staruszka dotarła tu pieszo, nie zamarzając po drodze na śmierć.

Stałem w miejscu i obserwowałem ją przez lornetkę dobre dziesięć minut. Właśnie miałem spuścić wzrok, kiedy nieznajoma powoli obróciła głowę i spojrzała w moim kierunku.

Był to jeden z tych momentów w życiu, kiedy czas nie tylko staje w miejscu, ale wręcz ma się wrażenie, że nagle przestaje istnieć.

Gdy spojrzała prosto w lornetkę, rozpoznałem ją. To była Harriet.

Miałem pewność, że to ona, mimo że ostatnio widziałem ją blisko czterdzieści lat temu. Była to Harriet Hörnfeldt, którą kiedyś

kochałem bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę.

Wtedy już od paru lat byłem lekarzem, co wciąż bezgranicznie dziwiło mojego ojca kelnera, matkę zaś napawało niemal obsesyjną dumą. Mieszkałem wówczas w Sztokholmie, wiosna 1966 roku była wyjątkowo piękna. Czuło się, że miasto pęcznieje zielenią, a w powietrzu wisiała atmosfera oczekiwania. Moje pokolenie wyrывało się z biedy, wyważało drzwi, domagając się zmian. Harriet i ja chodziliśmy na długie spacerunki o zmierzchu.

Była parę lat starsza ode mnie, ale nie miała ochoty na żadne studia. Pracowała jako sprzedawczyni w sklepie z obuwiem. Wyznała mi, że mnie kocha, ja odwzajemniłem jej się tym samym i za każdym razem, kiedy odprowadzałem ją do jej ciasnego, wynajmowanego przy Hornsgatan pokoiku, kochaliśmy się na grożącej zawaleniem rozkładanej kanapie.

Nasza miłość kwitła, można by rzec. Mimo to zawiodłem Harriet. Dostałem stypendium od Instytutu Karolinska na dalszą edukację w Ameryce. 23 maja miałem wyjechać na rok do Arkansas. Przynajmniej tak powiedziałem Harriet. W rzeczywistości mój samolot do Amsterdamu, a potem kolejny do Nowego Jorku, startowały dzień wcześniej.

Nawet się z nią nie pożegnałem. Po prostu zniknąłem.

Przez cały rok spędzony w Ameryce ani razu się do niej nie odezwałem. Nie miałem pojęcia, co robi, nie chciałem tego wiedzieć. Czasem budziłem się zlany potem, udręczony snem, w którym Harriet odbierała sobie życie z rozpaczki. Wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju i nie byłem w stanie ich odegnąć.

Z czasem jednak obraz Harriet zaczął powoli rozmywać się w mojej pamięci.

Po powrocie do Szwecji podjąłem pracę w szpitalu w Luleå. W moim życiu pojawiały się kolejne kobiety, ale zawsze, zwłaszcza kiedy za dużo wypilem, nachodziła mnie myśl, by dowiedzieć się, co się dzieje z Harriet. Dzwoniłem wówczas do biura numerów i pytałem o Harriet Kristinę Hörnfeldt, ale nim telefonistka zdążyła mi odpowiedzieć, odkładałem słuchawkę. Nie miałem odwagi jej spotkać. Bałem się poznać prawdę.

A teraz, starsza o blisko czterdzieści lat Harriet stała na skutej lodem zatoce przed moim domem.

Minęło dokładnie trzydzieści siedem lat, odkąd zniknąłem bez słowa. Sam miałem sześćdziesiąt sześć lat, więc ona miała sześćdziesiąt dziewięć, prawie siedemdziesiąt. Chciałem popędzić do domu i zatrzaskać za sobą drzwi w nadziei, że kiedy znów wyjrzę, już jej nie będzie. Że nigdy jej tu nie było. Nieważne, czego ode mnie chciała, pozostanie jedynie przywidzeniem. Uznam, że jej nie widziałem. Harriet nigdy nie stała z chodzikiem na lodzie.

Minęło parę minut.

Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Plaster słoniny wiszący na drzewie przy oknie wciąż był nietknięty. Ptaki jeszcze nie wróciły po burzy.

Gdy ponownie przytknąłem lornetkę do oczu, zobaczyłem, że Harriet leży na lodzie. Na wznak, z rękami wyrzuconymi ku górze. Rzuciłem lornetkę i pobiegłem do zatoki. Upadałem co parę kroków, brnąc w kopnym śniegu. Kiedy dopadłem wreszcie do Harriet, upewniłem się, że jej serce wciąż bije, a gdy pochyliłem się nad jej twarzą, poczułem słaby oddech.

Nie miałem siły, by zanieść ją na rękach do domu, popędziłem więc po sanki oparte o tył szopy. Gdy wreszcie udało mi się umieścić na nich Harriet, byłem całkiem mokry od potu. Nie była tak ciężka,

kiedy ostatnio ją widziałem. Choć może to ja straciłem siły przez lata? Harriet siedziała skulona na sankach. Wyglądała groteskowo z wciąż zamkniętymi oczami.

Tuż przy brzegu sanki nagle utknęły. Przez chwilę rozważałem wciągnięcie jej na plażę liną, ale zaraz odrzuciłem tę myśl, bo takie potraktowanie Harriet byłoby dla niej poniżające. Przyniosłem z szopy łopatę i zacząłem odgarniać blokujący drogę śnieg. Pot spływał mi strugami po plecach. Zerkąłem co chwilę na Harriet, ale ona wciąż była nieprzytomna. Znów przytknąłem palce do jej szyi, miała ledwie wyczuwalne tętno. Machałem łopatą z całej siły.

W końcu udało mi się dociągnąć ją do domu. Kotka siedziała na ławce pod oknem i z uwagą przyglądała się całej akcji. Rzuciłem kilka desek na schody, otworzyłem na oścież drzwi i z całej siły pchnąłem sanki. Po trzech takich próbach zdołałem wepchnąć Harriet do przedpokoju. Pies leżał pod stołem i śledził nas wzrokiem. Tak się spościłem i zasapałem, że nim sprawdziłem w jakim stanie jest Harriet, musiałem usiąść i uspokoić oddech.

Zmierzyłem jej ciśnienie. Było niskie, ale nie tak, bym się zaniepokoił. Zdjąłem jej buty i pomacałem stopy. Przemarzły, ale nie było na nich śladów odmrożeń. Również usta Harriet nie wskazywały na odwodnienie, a jej tętno powoli zwolniło do sześćdziesięciu sześciu uderzeń.

Właśnie miałem wsunąć jej poduszkę pod głowę, kiedy otworzyła oczy.

– Śmierdzi ci z ust – powiedziała. – Masz nieświeży oddech.

Były to jej pierwsze wypowiedziane do mnie słowa po tylu latach. Znalazłem ją leżącą na lodzie, z nadludzkim wysiłkiem przyciągnąłem ją do domu, a pierwsze, co mi oznajmiła to to, że śmierdzi mi z ust. Poczułem nagłą chęć wyrzucenia jej z powrotem

na dwór. Nie zapraszałem jej, nie miałem pojęcia, czego chce, na dodatek jej pojawienie się obudziło we mnie dawne wyrzuty sumienia. Czyżby przybyła tu, żeby pociągnąć mnie do odpowiedzialności?

Nie wiedziałem. Ale czy mógł istnieć inny powód?

Uzmysłowiłem sobie, że ogarnął mnie lęk. Poczułem się schwyty w pułapkę.

Harriet powoli rozejrzała się po pokoju.

– Gdzie ja jestem? – spytała.

– W mojej kuchni. Zobaczyłem cię na łodzi w zatoce. Przewróciłaś się. Przywiozłem cię do domu. Jak się czujesz?

– Dobrze. Jestem trochę zmęczona.

– Chcesz wody?

Harriet potaknęła. Przyniosłem szklanę. Pokręciła odmownie głową, kiedy spróbowałem pomóc jej podnieść się z kanapy i podźwignęła się sama. Przyjrzawszy się jej twarzy, stwierdziłem, że wiele się nie zmieniła. Postarzała się, rzecz jasna, ale wyglądała jak Harriet, którą zapamiętałem.

– Musiałam stracić przytomność – powiedziała.

– Boli cię gdzieś? Często tak mdlejesz?

– Czasami.

– Co na to twój lekarz?

– Nic, bo mu o tym nie mówię.

– Ciśnienie masz w normie.

– Nigdy nie miałam problemów z ciśnieniem.

Przyglądała się wronie uwieszanej na plastrze słoniny za oknem. Potem spojrzała na mnie zupełnie trzeźwym wzrokiem.

– Skłamałabym, mówiąc, że jest mi niezręcznie, że cię tu nachodzę.

– Nie nachodzisz mnie.

– Nachodzę. Zjawiłam się bez zapowiedzi. Ale nie przejmuję się tym.

Poprawiła się na kanapie i usiadła trochę wyżej. Spostrzegłem, że jednak odczuwa ból.

– Jak tu dotarłaś? – spytałem.

– Nie chcesz wiedzieć, jak cię znalazłam? Zapamiętałam nazwę tej wyspy. Opowiadałeś, że spędzasz lato na wschodnim wybrzeżu. Mimo to i tak nie było łatwo cię odszukać. W końcu mi się udało, bo zadzwoniłam na pocztę. Kto jak kto, ale oni muszą wiedzieć, gdzie mieszka niejaki Fredrik Welin. Powiedzieli też, że jest ktoś, kto rozwozi listy w tej okolicy.

Powoli wróciło mgliste wspomnienie z poranka. Śniło mi się trzęsienie ziemi. Usłyszałem potężny huk, a potem znowu zrobiło się cicho. To nie hałas mnie zbudził, przeciwnie, otworzyłem oczy, kiedy nastąpiła cisza. Być może nasłuchiwałem chwilę w ciemności, podczas gdy kot smacznie chrapał w nogach mojego łóżka.

Nie usłyszałem niczego niezwykłego, więc znów zasnąłem.

Teraz do mnie dotarło, że poranny hałas był warkotem silnika hydrokoptera. To Jansson przywiózł Harriet i zostawił ją na środku zatoki.

– Zamierzałam dotrzeć tu wcześniej rano – oznajmiła. – Nie sądziłam, że czeka mnie przejażdżka tak piekielną maszyną. Listonosz był sympatyczny. Choć drogi.

– Ile mu zapłaciłaś?

– Trzysta za siebie i dwieście za chodzik.

– Przecież to zdzierstwo! – krzyknąłem oburzony.

– A czy jest tu ktoś inny, kto dysponuje hydrokopterem?

– Dopilnuję, żeby oddał ci połowę tej sumy.

Harriet bez słowa wskazała na szklanę.

Dolałem jej wody i spojrzałem w stronę okna. Wrona zniknęła. Wstałem nagle i okazało mi się, że przyniosłem balkonik. Moje gumowce zostawiły wielkie kałuże na kuchennej podłodze. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, z za domu nadbiegł pies, by mi towarzyszyć.

Idąc, próbowałem zebrać myśli.

Po blisko czterdziestu latach niespodziewanie zjawiała się Harriet. Musiałem z przykrością stwierdzić, że moja starannie strzeżona kryjówka okazała się nic niewarta. Hydrokopter Janssona był koniem trojańskim. Nie dość, że przebił się przez mój obronny mur, to na dodatek kazał sobie słono za to zapłacić.

Wszedłem na lód.

Wiał słaby wiatr z północnego wschodu. Daleko na horyzoncie przeleciał kluczek jakichś ptaków. Okoliczne wysepki i sterczące z wody skały białą szronem. Panował spokój, jaki trafia się tylko we te dni, kiedy morze jest skute lodem. Słońce wisiało nisko. Balkonik przymarzył nieco, ale kilkoma lekkimi szarpnięciami udało mi się go wyswobodzić. Ruszyłem w stronę brzegu. Za mną powoli poczępiał pies. Przemknęło mi przez myśl, że niebawem będę musiał go uśpić. Starą sukę i kotkę. Obie były już tak stare, że sam widok ich ciał co dzień dostarczał im cierpień.

Kiedy dotarłem do szopy przy pomoście, wyjąłem z niej stary koc i wyścieliłem nim ławkę dziadka. Nie mogłem wrócić do domu nie postanowiwszy wcześniej, jak się w tej sytuacji zachować. Istniał tylko jeden powód niespodziewanych odwiedzin Harriet. Przybyła domagać się wyjaśnienia. Po tych wszystkich latach zmusi mnie, żebym wytłumaczył, dlaczego ją porzuciłem. Co mam odpowiedzieć? Życie potoczyło się dalej, co się stało, to się nie

odstanie. Po za tym, biorąc pod uwagę to, co mnie później spotkało, Harriet powinna się cieszyć, że zniknąłem z jej życia.

Od ławki bił chłód. Właśnie miałem wstać, kiedy z oddali dobiegł jakiś hałas. Warkot silnika niósł się daleko po wodzie i lodzie. Doszedłem do wniosku, że to hydrokopter Janssona. Dziś nie było dostawy poczty, więc pewnie uprawiał swoją nielegalną działalność taksówkarską. Ruszyłem w stronę domu. Kotka czekała na mnie na schodach, ale jej nie wpuściłem.

Zanim wszedłem do kuchni, zerknąłem do lustra w przedpokoju. Ujrzałem w nim nieogoloną twarz o zapadniętych oczach. Miałem nieuczesane włosy i zaciśnięte usta. Nie był to miły widok. W przeciwieństwie do Harriet, ja zmieniłem się bardzo. Za młodu byłem przystojny, a przynajmniej mogłem tak sądzić, bo dziewczęta się mną interesowały. Przed zdarzeniem, które zakończyło moją lekarską karierę, dbałem o wygląd i strój. Mój powolny upadek zaczął się w chwili, kiedy zdecydowałem się uciec na tę odludną wyspę. Z czasem usunąłem trzy lustra, które wisiały w domu. Nie chciałem widzieć swojej twarzy. Nieraz mijały długie miesiące, nim jechałem na ląd, żeby się ostrzyc.

Przygładziłem włosy rękami i wszedłem do kuchni.

Kanapa była pusta. Harriet zniknęła. Drzwi do salonu były otwarte na oścież, ale i tam jej nie było. Na środku tkwiło tylko mrowisko. Potem usłyszałem szum spłuczki w toalecie. Po chwili Harriet wróciła do kuchni i usiadła na kanapie.

Znów przemknęło mi przez myśl, że coś ją boli. Wskazywał na to sposób, w jaki się poruszała. Nie mogłem jednak ocenić, gdzie ból ma swoje źródło.

Usiadła pod takim kątem, że światło z okna padało jej prosto na twarz. Nagle ujrzałem ją taką, jaką była w tamte wiosenne wieczory,

kiedy spacerowaliśmy po Sztokholmie, a ja już planowałem uciec od niej bez pożegnania. Im bardziej zbliżał się dzień mojego wyjazdu, tym gorliwiej powtarzałem jej, że ją kocham. Bałem się, że odgadnie moje myśli, odkryje zaplanowaną zdradę. Ona mi jednak wierzyła.

Teraz wyjrzała przez okno.

– Na tym mięsie za oknem siedzi jakaś wrona – oznajmiła.

– To słonina, nie mięso – odparłem. – Jemiołuszki uciekły, kiedy była zawieja. Zawsze się wtedy chowają. Nie mam pojęcia, gdzie.

Harriet odwróciła głowę i spojrzała wprost na mnie.

– Wyglądasz potwornie. Jesteś chory?

– Wyglądam jak zwykle. Gdybyś przyjechała jutro po południu, byłbym ogolony.

– Prawie cię nie rozpoznaję.

– Ty za to wcale się nie zmieniłaś.

– Dlaczego masz mrowisko w salonie? – zapytała stanowczym tonem.

– Nie zobaczyłabyś go, gdybyś nie otworzyła drzwi.

– Nie zamierzałam węszyć, szukałam toalety.

Wbiła we mnie ten swój trzeźwy, przenikliwy wzrok.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziała. – Jasne, że powinnam była uprzedzić cię, że się zjawię, ale nie chciałam ryzykować, że znów się ulotnisz.

– Nie mam dokąd uciec.

– Każdy ma dokąd uciec. Chciałam mieć pewność, że cię zastanę. Musimy porozmawiać.

– Rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz. Tak czy inaczej, muszę tu zostać kilka dni. Nie dam rady chodzić po schodach. Mogę spać na tej kanapie?

Kiedy do mnie dotarło, że Harriet nie zamierza mi robić wyrzutów, byłem gotów na wszystko się zgodzić. Oczywiście, że może spać na kanapie, jeśli tylko chce. Miałem też leżankę, którą mogłem rozłożyć jej w salonie, o ile nie będzie miała nic przeciwko spaniu w jednym pokoju z mrowiskiem.

Zapewniła, że jej to nie przeszkadza, ale i tak ustawiłem łóżko możliwie najdalej od mrowiska. Dzielił ją od niego stół nakryty białym obrusem. Było tak duże, że jego czubek sięgał wysokości blatu. Zwisający po jego stronie kawałek obrusu częściowo ginął w mrowisku.

Posłałem leżankę i dałem Harriet dodatkową poduszkę. Zapamiętałam, że lubiła mieć wysoko pod głową, gdy spała.

Zresztą nie tylko wtedy.

Lubiła opierać się na poduszce też wtedy, kiedy się kochaliśmy. Szybko się nauczyłem, żeby podkładać jej pod głowę kilka pięt, ale nie pamiętam, czy ją kiedykolwiek zapytałem, dlaczego tak chciała.

Nakryłem łóżko kołdrą i spojrzałem w stronę otwartych drzwi. Harriet obserwowała mnie z kanapy. Włączyłem oba grzejniki, sprawdziłem, czy robią się ciepłe i wróciłem do kuchni. Wyglądało na to, że Harriet powoli odzyskuje siły, choć wciąż miała głębokie cienie pod oczami. Było oczywiste, że cierpi. Na jej twarzy malowała się nieustająca gotowość do walki z bólem, który mógł w każdej chwili wrócić.

– Położę się na chwilę, odpocznę – powiedziała, podnosząc się z trudem z kanapy.

Przytrzymałem jej drzwi i zamknąłem je, nim zdążyła dojść do leżanki. Poczułem nagłą chęć, by ją tam zamknąć i wyrzucić klucz.

Tym sposobem Harriet stałaby się z czasem częścią mojego mrowiska.

Zarzuciłem kurtkę i wyszedłem na dwór.

Był pogodny dzień. Wiatr powiewał coraz słabiej. Przystanąłem na schodach i wyteżyłem słuch w oczekiwaniu na warkot hydrokoptera. Zdawało mi się, że w oddali słyhać piłę mechaniczną. Pewnie któryś z właścicieli okolicznych domków letniskowych przyjechał, korzystając z wolnego na Trzech Króli, i robi porządki na działce.

Zszedłem na dół do pomostu i wszedłem do szopy. W środku wisiała na linach mała drewniana łódka. Wyglądała jak wielka ryba wyrzucona na brzeg. Pachniało smołą. Tu, na wyspach, dawno temu przestano używać smoły do konserwowania sprzętu rybackiego i łodzi. Zachowałem kilka puszek i otwierałem jedną co jakiś czas, dla samego zapachu. Nic nie uspokajało mnie tak jak zapach smoły.

Próbowałem sobie przypomnieć nasze pożegnanie tamtego wiosennego wieczoru trzydzieści siedem lat temu. Nie było to prawdziwe pożegnanie. Pamiętam, że szliśmy przez most Ström, potem nabrzeżem wzdłuż starówki, aż dotarliśmy do stacji metra Slussen. O czym wtedy rozmawialiśmy? Harriet opowiadała o tym, jak jej minął dzień w pracy. Uwielbiała opowiadać o klientach, a robiła to tak, że jej opowieść o sprzedaży trzewików i słoiczka pasty do butów brzmiała jak niezapomniana przygoda. Nagle wróciły wspomnienia zdarzeń z tamtych lat, strzępy odbytych rozmów. Zupełnie jakby w jednej chwili otworzyło się we mnie dawno zapomniane archiwum.

Znów przysiadłem na ławce i spędziłem tam chwilę, nim poszedłem z powrotem do domu. Potem zbliżyłem się do okna i stanąłem na palcach, żeby zajrzeć do salonu. Harriet spała,

zawinięta w kołdrę jak dziecko. Poczułem gulę w gardle. Zawsze tak spała. Wdrapałem się na wzgórze za domem i spojrzałem na pobielone śniegiem wyspy. Nagle dotarło do mnie, co tak naprawdę zrobiłem trzydzieści siedem lat temu. Nigdy nie miałem odwagi zadać sobie pytania, jak Harriet przeżyła to gwałtowne rozstanie. Kiedy zrozumiała, że nigdy nie wróce? Nie byłem w stanie sobie wyobrazić bólu, jaki musiała czuć, jak bardzo wtedy cierpiała.

Kiedy wróciłem do domu, Harriet już nie spała. Czekwała na mnie na kuchennej kanapie. Na jej kolanach siedział kot.

– Udało ci się zdrzemnąć? – zapytałem. – Mrówki dały ci odpocząć?

– Mrowisko ładnie pachnie.

– Jeśli kot ci przeszkadza, mogę go wyrzucić na dwór.

– Czy wyglądam jakby mi coś przeszkadzało?

Spytałem ją, czy jest głodna. Potwierdziła, więc od razu zabrałem się za przyrządzanie jedzenia. W zamrażarce miałem ustrzelonego przez Janssona zająca, ale rozmrażanie go i pieczenie zajęłoby zbyt wiele czasu. Harriet siedziała na kanapie i śledziła mnie wzrokiem. Usmażyłem kotlety i ugotowałem ziemniaki. Nie rozmawialiśmy. Poczułem się tak skrępowany ciszą, że oparzyłem dłoń o gorącą patelnię. Dlaczego nic nie mówiła? Po co mnie odnalazła?

Zjedliśmy w milczeniu. Potem pozmywałem i postawiłem na kuchence dzbanek z kawą. Moi dziadkowie zawsze gotowali kawę, w tamtych czasach nie było czegoś takiego jak ekspres. Gotowałem kawę tak samo jak oni i zawsze liczyłem do siedemnastu, gdy zaczynała wrzeć. Smakowała wtedy tak, jak lubię. Postawiłem dwa kubki na stole, nałożyłem kotce jedzenie do miski i usiadłem na swoim krześle. Na dworze było już ciemno, a ja wciąż czekałem, aż

Harriet zdradzi powód swojej wizyty. zaproponowałem jej dolewkę kawy, a ona bez słowa podsunęła kubek. Pies drapał w drzwi. Wpuściłem go, nakarmiłem, a potem wyrzuciłem do przedpokoju i zamknąłem tam razem z balkonikiem Harriet.

– Sądziłeś, że jeszcze kiedyś się spotkamy? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem.

– Pytam, co sobie myślałeś.

– Nie wiem, co myślałem.

– Robisz takie same uniki jak wtedy.

Harriet zamilkła i zamknęła się w sobie. Zapamiętałem, że wyglądała tak zawsze, gdy poczuła się czymś dotknięta. Nabrałem ochoty, by sięgnąć nad stołem i pogłodzić ją po policzku. Było tak, jakby wędrowało między nami blisko czterdziestoletnie milczenie. Śledziłem wzrokiem mrówkę, która wdrapała się na stół po plastikowej ceracie. Byłem ciekaw, czy była mieszkanką mrowiska z salonu, czy zabłądziła po drodze do tego drugiego, które, jak podejrzewałem, mieściło się między belkami w południowej ścianie domu.

Wstałem i oznajmiłem, że idę wyprowadzić psa. Na twarz Harriet padał teraz cień. Było bezwietrznie i gwiazdy jasno świeciły. Czasem, kiedy widziałem takie niebo, myślałem sobie, że mógłbym komponować muzykę. Poszedłem na pomost, nie wiem, który już raz tego dnia. Pies wbiegł na lód i poczłapał przed siebie. W świetle padającym od szopy zobaczyłem, że zatrzymał się w miejscu, w którym znalazłem Harriet. Nagle cała ta sytuacja wydała mi się nierealna. W moim życiu, które już dawno uznałem za zakończone, niespodziewanie otworzyły się drzwi i stanęła w nich piękna kobieta, którą kiedyś kochałem, a potem porzuciłem. Przed laty, kiedy wychodziła mi na spotkanie po pracy w sklepie z obuwem

przy Hamngatan, zawsze prowadziła rower. Teraz pchała balkonik. Czułem się zagubiony. Pies wrócił po chwili i razem ruszyliśmy z powrotem do domu.

Stanałem w ciemności pod kuchennym oknem i zajrzałem do środka.

Harriet siedziała przy stole. Minęła chwila, nim się zorientowałem, że płacze. Odczekałem, aż osuszy oczy rękawem i dopiero wtedy wszedłem. Psa zamknąłem w przedpokoju.

– Muszę się położyć – oznajmiła Harriet. – Jestem zmęczona. Jutro ci powiem, po co przyjechałam.

Nie czekając na moją odpowiedź, podniosła się i powiedziała „dobranoc”. Przystanęła na moment i jeszcze raz bacznie mi się przyjrzała. Potem weszła do salonu i zamknęła za sobą drzwi. Poszedłem do pokoju, w którym mam telewizor, ale go nie włączyłem. Niespodziewane spotkanie z Harriet całkiem mnie wycieńczyło. Na dodatek bałem się zarzutów, jakie miałem usłyszeć nazajutrz. Było dla mnie jasne, że padną. Co mogłem na nie odpowiedzieć? Zupełnie nic.

Zasnąłem na krześle.

Była już północ, kiedy się obudziłem, bo rozbolał mnie kark. Poszedłem do kuchni, przytknąłem ucho do drzwi, za którymi spała Harriet, i chwilę nasłuchiwałem. Wszędzie panowała kompletna cisza, a ze szczeliny pod drzwiami nie sączyło się światło. Posprzątałem kuchnię, wyjąłem z zamrażarki bochenek chleba i chałkę, wpuściłem do domu zwierzęta i poszedłem spać.

Nie mogłem zasnąć. Dręczyła mnie myśl, że drzwi do mojej przeszłości, dotąd zamknięte na głucho, nagle zostały otwarte i trzaskają na wietrze. Przeszłość pod postacią Harriet uderzyła we mnie jak powiew śnieżycy.

Zarzuciłem na siebie szlafrok i zszedłem do kuchni. Zwierzęta spały, a termometr za oknem wskazywał siedem stopni poniżej zera. Nagle zorientowałem się, że na kanapie leży torebka Harriet. Postawiłem ją na stole i otworzyłem. Były w niej grzebień, szczotka do włosów, portfel, para rękawiczek i duży pęk kluczy. Poza tym komórka i dwie fiołki z jakimś lekarstwem. Nie rozpoznałem nazwy tego preparatu, przeczytałem więc jego skład, żeby odgadnąć, na co się go stosuje. Szybko stwierdziłem, że lek ma działanie przeciwbólowe i antydepresyjne. Został przepisany Harriet przez niejakiego doktora Arvidssona w Sztokholmie. Nagle posmutniałem. Zajrzałem głębiej do torebki i na samym dnie znalazłem notes z adresami, mocno zużyty, brudny od częstego wertowania, zapisany maczkiem. Zajrzałem pod literę „W” i odkryłem ze zdziwieniem, że mój sztokholmski numer telefonu z połowy lat sześćdziesiątych wciąż tam jest.

Harriet nawet go nie przekreśliła.

Czyżby miała ten sam notes przez tyle lat? Już miałem odłożyć torebkę na swoje miejsce, kiedy spostrzegłem, że z wewnętrznej kieszonki wystaje jakaś kartka. Wyjąłem ją i przeczytałem.

Potem od razu wyszedłem przed dom i stanąłem na progu. Pies usiadł obok mnie.

Wciąż nie miałem pojęcia, dlaczego Harriet przybyła na moją wyspę.

Jednak na kartce, którą znalazłem w jej torebce, było napisane, że jest chora i niebawem umrze.

Tej nocy wiatr wiał ze zmiennym natężeniem.

Źle spałem, nieustannie wsłuchując się w wycie podmuchów. Z łatwością ustaliłem kierunek wiatru, bo od okna w północnej ścianie ciągnęło mocniej niż od tego w południowej. Porywisty wiatr północnowschodni. Zamierzałem zanotować to w moim dzienniku z samego rana. Nie zdecydowałem jeszcze, czy napiszę coś o wizycie Harriet.

Spała w salonie na leżance, dokładnie pod moją sypialnią. Kolejny raz przebiegałem w myślach treść listu znalezionej w torebce. Miała raka żołądka z zaawansowanymi przerzutami do innych organów. Chemioterapia przyniosła tylko chwilową poprawę, operacje były z jakichś przyczyn wykluczone. 12 lutego Harriet miała stawić się w szpitalu na rozmowę z lekarzem.

Mimo że nie praktykowałem od lat, treść listu była dla mnie jasna. Harriet była umierająca. Terapia nie dawała szans na wyleczenie, mogła jedynie podarować jej jeszcze trochę czasu, choć i to było wątpliwe. Przynajmniej mniej cierpiała. Mówiąc językiem lekarzy, choroba Harriet przeszła w stadium paliatywne.

Żadnego leczenia, jedynie ulga w cierpieniu.

Leżałem w ciemności, nie mogąc zasnąć, i trawiłem uporczywie powracającą myśl: to Harriet jest umierająca, nie ja. Mimo że ja postąpiłem tak podle, mimo że to ja ją zdradziłem, to ją dopadła choroba. Nie wierzyłem w Boga. Nie licząc krótkiego okresu tuż po rozpoczęciu studiów medycznych, religia nigdy mnie nie pociągała.

Nigdy mi się nie zdawało, że doświadczyłem kontaktu z jakimś reprezentantem zaświatów, żaden wewnętrzny głos nie skłonił mnie, by ugiąć kolana. Teraz leżąc bezsennie, musiałem przyznać, że poczułem ulgę, że to nie mnie dopadła choroba. W końcu udało mi się trochę zdrzemnąć. Dwa razy wstawałem do toalety i gdy wracałem, nasłuchiwałem pod drzwiami salonu. Zdawało się, że wszyscy tam śpią. Harriet i mrówki.

Wstałem o szóstej. Zszedłem do kuchni i ze zdziwieniem odkryłem, że Harriet już zjadła śniadanie. A przynajmniej wypła kawę. Odgrzała sobie resztki jedzenia, które zostały z wieczora. Zwierzęta były na dworze, więc musiała je wypuścić. Otworzyłem drzwi wejściowe. Przez noc pojawiła się gruba warstwa świeżego śniegu. Były na nim ślady psich i kocich łap, po chwili dostrzegłem również odciski butów.

Widocznie Harriet wybrała się na mały spacer.

Wyteżyłem wzrok i spróbowałem coś dostrzec w ciemności. Do świtu było jeszcze daleko. Nagle zdało mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Wiatr w regularnych odstępach uderzał we mnie lekkimi podmuchami. Wszystkie pozostawione na śniegu ślady wiodły za dom. Nie musiałem iść daleko, między jabłoniami stała stara drewniana ławka. Tam spędzała czas moja babka. Dziergała na drutach albo po prostu siedziała z dłońmi na podołku i wsłuchiwała się w morze, które szumiało nieustannie, gdy nie skuwał go lód. I teraz dostrzegłem tam postać starszej kobiety, ale nie był to duch babki, lecz Harriet. Postawiła przed sobą zapaloną świeczkę, a płomień osłoniła kamieniem. U jej stóp leżał pies. Wyglądała tak, jak wtedy, gdy znalazłem ją na lodzie. Miała czapkę i kaptur na głowie, do tego owinęła się szczelnie szalikiem. Usiadłem obok niej.

Było kilka stopni poniżej zera, ale ponieważ wiatr zelżał w nocy, nie było bardzo zimno.

– Ładnie tu – powiedziała.

– Jest ciemno – odparłem. – Nic nie widać. Nawet nie słysząc morza, bo jest zamrożone.

– Śniło mi się, że mrowisko urosło wokół mojego łóżka.

– Mogę przestawić leżankę do kuchni, jeśli chcesz.

Pies wstał i odszedł gdzieś w ciemność. Człapał powoli, kiedy pies traci słuch, staje się bojaźliwy. Spytałem Harriet, czy zauważyła, że zwierzak nie słyszy. Zaprzeczyła. Po chwili spacerowym krokiem podeszła do nas kotka. Przyglądała nam się przez moment, po czym też zniknęła. Przyszło mi na myśl to, co zawsze, kiedy ją widzę: kot chodzi swoimi ścieżkami. Czy ja sam znam ścieżki, którymi chodzę? A Harriet? Czy ona zna swoje?

– Wiem, że jesteś ciekaw, dlaczego przyjechałam – odezwała się nagle.

Płomień świecy tańczył na wietrze, ale kamień skutecznie osłaniał go przed zdmuchnięciem.

– Nie spodziewałem się twoich odwiedzin – odparłem.

– Czy sądziłeś, że jeszcze kiedyś mnie zobaczysz? Czy kiedykolwiek sobie tego życzyłeś?

Nie odpowiedziałem. Człowiek, który porzucił drugiego człowieka bez słowa wyjaśnienia, właściwie nie ma mu nic do powiedzenia. Zdarzają się rozczarowania i zdrady, których nie da się w żaden sposób wyjaśnić. Coś takiego zrobiłem Harriet. Wciąż uparcie milczałem, wpatrując się w płomień świeczki. Czekałem.

– Nie przybyłam tu po to, żeby cię oskarżać, lecz by cię prosić o dotrzymanie obietnicy.

Od razu zrozumiałem, o co jej chodzi.

Leśne jeziorko.

Pływałem w nim jako dzieciak. Latem, kiedy skończyłem dziesięć lat i ojciec zabrał mnie na wycieczkę w głąb lądu na daleką północ, do miejsca, w którym przyszedł na świat. Obiecałem Harriet, że kiedy wrócę z Ameryki, pojedziemy tam razem i popływamy w nim w świetle księżyca. Myślałem wtedy o tym jako o pięknej ceremonii. Ciemna woda, gwiaździste letnie niebo, nawoływanie nura w oddali i jeziorko, o którym mówiono, że nie ma dna. Mieliśmy w nim razem pływać, a potem już nic nie byłoby w stanie nas rozłączyć.

– Czyżbyś zapomniał o swojej obietnicy? – zapytała.

– Doskonale pamiętam, co powiedziałem.

– Chcę, żebyś mnie tam zabrał.

– Przecież jest zima. Jeziorko jest zamarznęte.

Pomyślałem o przerębłu, który wykuwam na nowo każdego ranka. Czy będę w stanie skuć lód na całym jeziorku, daleko na północy, gdzie lód jest jak granit?

– Chcę je koniecznie zobaczyć – ciągnęła Harriet. – Nawet jeśli ciągle pokryte jest lodem i śniegiem. Chcę się przekonać, że jest prawdziwe.

– Jest prawdziwe.

– Nigdy nie powiedziałeś, jak się nazywa.

– Jest za małe, żeby mieć nazwę. W tym kraju jest mnóstwo takich maleńkich bezimiennych jeziorek. Trudno o choćby najmniejszą uliczkę w mieście, której nie nadano nazwy, ale bezimiennych, ukrytych w lasach jezior i stawów jest całe mnóstwo.

– Chcę, żebyś dotrzymał słowa.

Harriet podniosła się z trudem. Przewróciła świeczkę, która zgasła z sykiem. Wokół nas zrobiło się całkiem ciemno. Nie sięgało tu światło z okna w kuchni, ale mimo to zorientowałem się, że

Harriet ma ze sobą balkonik. Gdy wyciągnąłem rękę, żeby jej pomóc, machnęła odmownie dłonią.

– Nie chcę pomocy. Chcę, żebyś dotrzymał obietnicy.

Kiedy pchająca zielony chodzik Harriet znalazła się w plamie światła, przyszło mi na myśl, że weszła na księżycową ścieżkę. Wtedy, prawie czterdzieści lat temu, kiedy byliśmy razem, w dziecinny sposób mówiliśmy na siebie „wielbiciele księżycy”. Czy Harriet to pamięta? Przyglądałem się z boku, jak z trudem pcha swój balkonik po kamieniach ukrytych pod śniegiem. Nie mogłem uwierzyć, że jest umierająca. Że jest już bardzo blisko granicy innego świata, w którym czeka na nią inny rodzaj ciemności. Zostawiła chodzik przy schodkach, złapała się poręczy i z trudem wspięła się po trzech stopniach. Ledwie zdążyła uchylić drzwi, gdy kot prześliznął się do środka, między jej nogami. Harriet zamknęła się w salonie, a ja znów przystawiłem ucho do drzwi. Usłyszałem pbrzękiwanie szkła i domyśliłem się, że to fiołki z lekarstwami zwalczającymi ból, nieodłączni towarzysze śmiertelnej choroby. Kotka łąsiła mi się do nóg. Dałem jej jeść i usiadłem przy stole.

Na dworze wciąż było ciemno.

Spróbowałem odczytać wskazania termometru za oknem, ale szkiełko znowu zaparowało. Nagle otworzyły się drzwi i do kuchni weszła Harriet, uczesana i przebrana w czysty sweter. Był lawendowo-niebieski. Od razu pomyślałem o matce i jej łzach pachnących lawendą. Jednak Harriet nie płakała. Uśmiechnęła się i zajęła swoje miejsce na kanapie.

– Gdyby ktoś mi powiedział, że na starość zamieszkasz z psem, kotem i mrowiskiem, nigdy bym mu nie uwierzyła.

– Życie rzadko toczy się po naszej myśli.

– Nie zamierzam cię wypytywać o twoje życie. Chcę, żebyś spełnił obietnicę.

– Nie wiem nawet, czy będę w stanie odnaleźć to jezioro.

– Na pewno je znajdziesz. Przez całe życie nie poznałam nikogo, kto miałby lepszy zmysł orientacji niż ty.

Nie zaprzeczyłem, bo Harriet się nie myliła. Zawsze znajdowałem drogę, nawet w plątaninie nieznanymi uliczek. Nie gubiłem się też w terenie.

– Może rzeczywiście je znajdę, jeśli dobrze się zastanowię.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tak mi na tym zależy? – zapytała tonem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem.

– Tak – odparłem. – Chcę wiedzieć.

– Bo to najpiękniejsza obietnica, jaką kiedykolwiek dostałam.

– Najpiękniejsza?

– Jedyne naprawdę piękne.

Tak właśnie powiedziała: jedyną naprawdę piękną obietnicą. To były mocne słowa. Poczułem się tak, jakby w mojej głowie nagle rozbrzmiała orkiestra. Siedziałem wśród muzyków, między sekcją dętą a smyczkami.

– Ciągłe ktoś coś obiecuje – ciągnęła Harriet. – Sami sobie nieustannie składamy obietnice. Słuchamy polityków, którzy zasypują nimi starzejących się ludzi, mówią na przykład o nowej, lepszej służbie zdrowia, szpitalnych łózkach, które nie powodują odleżyn. Banki obiecują nam większe zyski, producenci żywności nowe, nietuczące produkty, a firmy kosmetyczne kremy, które zapewnią nam starość bez zmarszczek. A człowiek całe życie manewruje swoją małą łódką w strumieniu tych zmiennych, nigdy niekończących się obietnic. Ile z nich się tak naprawdę pamięta? Zwykle zapamiętuje się błahostki, a zapomina to, co chciałoby się na

zawsze zatrzymać. Nietrzymane obietnice są jak cienie tańczące o zmierzchu. Im jestem starsza, tym wyraźniej je widzę. I wiem, że najpiękniejszą obietnicą w moim życiu była właśnie ta o pływaniu w leśnym jeziorze. Chcę je zobaczyć i pomarzyć, że w nim pływam, nim będzie za późno.

Zrozumiałem, że naprawdę będę musiał ją tam zabrać. Mogłem jedynie podjąć próbę wyperswadowania jej podróży tam zimą. Obawiałem się jednak, że ze względu na swój stan zdrowia nie będzie chciała czekać.

Pomyślałem, że powinienem się przyznać, że wiem o jej chorobie. Nic jednak nie powiedziałem.

– Rozumiesz, co mam na myśli, mówiąc o atakujących nas zewsząd obietnicach? – zapytała.

– Zawsze starałem się nie dawać im wiary. Łatwo można dać się oszukać.

Harriet wyciągnęła dłoń i położyła ją na mojej.

– Kiedyś dobrze cię znałam. Spacerowaliśmy ulicami Sztokholmu. We wspomnieniach, które zachowałam z tamtych lat, zawsze jest wiosna. Nie przypominam sobie zmroku ani nawet deszczu. Mężczyzna, którego miałam u boku, to nie ten sam człowiek co ty teraz. On mógł zostać kimkolwiek chciał, na pewno nie skończyłby jako samotnik na wyspie.

Ciągle trzymała swoją dłoń na mojej. Siedziałem bez ruchu.

– Pamiętasz, żeby wtedy kiedykolwiek było ciemno?

– Nie, cały czas był dzień.

– Nie wiem, co się stało.

– Ja też nie.

Poczułem lekki uścisk na dłoni.

– Nie musisz mnie okłamywać. Oczywiście, że wiesz. Sprawileś mi potworną przykrość. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy do dziś się z niej otrząsnęłam. Chcesz wiedzieć, jak się wtedy czułam?

Nie odpowiedziałem. Harriet puściła moją dłoń i odchyliła się na oparcie kanapy.

– Teraz chcę tylko, żebyś dotrzymał obietnicy. Musisz opuścić tę wyspę na parę dni. Potem wrócisz, a ja nigdy więcej nie będę cię niepokoić.

– To niemożliwe – odparłem. – To długa podróż, a mój samochód ledwo zipie.

– Wystarczy, żebyś wskazał mi drogę.

Ponownie dotarło do mnie, że Harriet nie ma zamiaru się poddać. Złożona niegdyś obietnica dogoniła mnie, mimo że minęło prawie czterdzieści lat.

Na dworze zaczęło się rozjaśniać. Wreszcie nastał dzień.

– Wyszłam za mąż – oznajmiła Harriet niespodziewanie. – A co się działo z tobą?

– Ja się rozwiodłem.

– A więc wcześniej się ożeniłeś. Z kim?

– Nie znasz ich.

– Ich?

– Byłem żonaty dwa razy. Pierwsza żona miała na imię Birgit i była pielęgniarką. Po dwóch latach nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia. Birgit zamierzała zmienić zawód. Chciała zostać inżynierem górnictwa! To było niedorzeczne. Druga miała na imię Rose-Marie i sprzedawała antyki. Możesz sobie wyobrazić, ile razy, tuż po wyjściu z sali operacyjnej po wielogodzinnym zabiegu, musiałem towarzyszyć jej na jakichś aukcjach, a potem dźwigać do domu drogocenne graty. Sam już nie wiem, ile osobiście

wyługowałem starych stołów i krzeseł. Po czterech latach było po wszystkim.

– Masz dzieci?

Pokręciłem głową. Dawniej, wiele lat temu, cieszyłem się na myśl, że kiedyś będę je miał. Teraz było za późno. Jestem jak ta moja łódź leżąca na brzegu pod plandeką. Spojrzałem na Harriet.

– A ty?

Przyglądała mi się długo, zanim odpowiedziała.

– Mam córkę.

Pomyślałem, że gdybym nie porzucił Harriet, to mogłoby być moje dziecko.

– Ma na imię Louise.

– Ładnie.

Wstałem i postawiłem na ogniu rondel z kawą. Całkiem się już rozwidniło. Kiedy kawa zawrzała, policzyłem do siedemnastu, potem przykręciłem gaz i odczekałem chwilę, żeby się jeszcze trochę poparzyła. Postawiłem kubki na stole i pokroiłem chałkę, która zdążyła już odtajać. Gdyby patrzył na nas ktoś z zewnątrz, ja i Harriet wydalibyśmy mu się zwyczajną parą staruszków pijącą kawę w styczniowy poranek. Jedną pośród tysięcy podobnych par w tym kraju. Byłem ciekaw, czy choć jedna z nich spotkała się w tak niezwykłych okolicznościach jak my.

Opróżniwszy swój kubek, Harriet poszła do pokoju z mrowiskiem i zamknęła za sobą drzwi.

Po raz pierwszy od wielu lat nie wykąpałem się w przeręblu. Wahałem się długą chwilę i już byłem niemal zdecydowany, że jednak się rozbiore, owinę szlafrokiem i pójdę po siekiere, ale ostatecznie zrezygnowałem.

Włożyłem kurtkę zamiast stroju kąpielowego i zszedłem na pomost. Pogoda niespodziewanie się odmieniła i nastąpiła odwilż. Śnieg kleił się do podeszw butów.

Przesiedziałem na pomoście dobrych parę godzin. Słońce przebiło się przez chmury i z dachu szopy zaczęła kapać woda. Przyniosłem ze środka puszkę ze smołą, otworzyłem ją i powąchałem. Ten zapach mnie uspokajał. Prawie zasnąłem na ławce, w bladym świetle dnia.

Wróciłem myślami do tamtych dni, kiedy ja i Harriet byliśmy parą i szybko stwierdziłem, że teraz żyję zupełnie jak w czasach, które już dawno nie istnieją. Trwam na odludnej wyspie, w miejscu wybranym przez tych, którzy w pewnej chwili swojego życia stracili grunt pod nogami i nie zdołali przystosować się do tego, co nowe. Kiedy ja i Harriet byliśmy razem, wszyscy palili papierosy. Wszędzie i nieprzerwanie. Przez całą młodość towarzyszyły mi pełne popielniczki. Wciąż dobrze pamiętam palących jak smoki lekarzy i profesorów, dzięki którym uzyskałem prawo do noszenia białego kitla. W tamtych czasach po tutejszych wyspach rozwoził pocztę niejaki Hjalmar Hedelius. Zimą zakładał łyżwy i sunął po lodzie od domu do domu. Jego plecak musiał ważyć tonę, chociaż wtedy nie rozsyłano jeszcze takiej masy ulotek, jak dziś.

Z rozmyślań wyrwał mnie warkot silnika zbliżającego się hydrokoptera.

Jansson przybywał prosto od starej wdowy Åkerblom i wyraźnie się śpieszył, żeby zdać mi relację ze swoich nowych dolegliwości. Ból zęba, który męczył go przed świętami, jakimś cudem minął. Ale gdy tylko listonosz przybił do pomostu, natychmiast zażądał, żebym przyjrzał się plamom wątrobowym na wierzchu jego lewej dłoni.

Uspokoilem go, tłumaczac, ze to normalne w tym wieku i zapewnilem, ze przezyje wszystkich mieszkancow wysp. Bylem pewien, ze kiedy my, starcy, przeniesiemy sie juz na tamten swiat, on jeszcze dlugo bedzie rozbijal sie po okolicy swoja rozklekotana lodzia i warczacym hydrokopterem. O ile go nie zwolnia, co niestety bylo wysoce prawdopodobne.

Jansson wylaczył silnik, wygramolił się na pomost i zaczął zdejmować kolejne swoje kurtki, kapoty i czapki. Miał zaczerwienioną twarz i zmierzwił włosy.

– Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – wyrecytował, wchodząc na deski.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

– Coś nam zima zelżała.

– Tak, w istocie.

– Zaraz po Sylwestrze miałem trochę problemów z żołądkiem. Na próżno chodziłem do toalety. Zaparcie czy jak tam mówią.

– Jedz suszone śliwki.

– Czy to mogą być objawy czegoś groźnego?

– Nie.

Jansson z trudem panował nad ciekawością, co chwila rzucał wymowne spojrzenia na mój dom.

– Obchodziłeś Nowy Rok tutaj?

– Nie obchodzę Nowego Roku.

– A ja w tym roku kupiłem nawet parę petard. Dawno tego nie robiłem. Niestety jedna eksplodowała w szopie.

– O północy zazwyczaj śpię. Nie widzę powodu, by to zmieniać tylko dlatego, że jest ostatni dzień w roku.

Czułem, że Jansson przez cały czas miał na końcu języka pytanie o Harriet. Byłem pewien, że powiedziała mu tylko, że chce mnie

odwiedzić, bez tłumaczenia, kim jest.

– Masz dla mnie jakąś pocztę? – zapytałem.

Jansson obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem. Nigdy wcześniej nie zadałem mu podobnego pytania.

– Nie – odparł. – Na początku roku nie ma tego wiele.

Rozmowa i konsultacja dobiegły końca. Jansson po raz ostatni spojrzał na dom i wlaźł na swój pojazd. Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Przystanąłem, gdy silnik hydrokoptera zaczął warczeć. Oślaniając oczy przed słońcem, patrzyłem, jak listonosz oddala się w śnieżnej chmurze i po chwili znika za cyplem Antonssona, nazwanym tak na pamiątkę mieszkańca okolicznych wysp, który pewnego zimowego dnia rozbił się o niego po pijaku, podczas próby zwodowania łodzi na zimę.

Kiedy wszedłem do domu, Harriet siedziała przy kuchennym stole.

Od razu dostrzegłem, że się umalowała, a przynajmniej wydała mi się mniej blada. Znów przyszło mi na myśl, że wciąż jest piękną kobietą i że musiałem być idiotą, skoro ją porzuciłem.

Usiadłem po drugiej stronie stołu.

– Zabiorę cię nad to jezioro – oznajmiłem. – Dotrzymam obietnicy, mimo że dotarcie tam moim starym autem zajmie nam ze dwa dni. Jedną noc będziemy musieli spędzić w hotelu. Poza tym nie mam pewności, czy od razu znajdę to miejsce. W tamtych okolicach często wytycza się nowe drogi do zwózki drzewa. Nawet jeśli uda mi się odnaleźć właściwą, może być nieodśnieżona i będziemy musieli znaleźć kogoś z pługiem. Cała wyprawa zajmie nam więc co najmniej cztery dni. Dokąd mam cię odwieźć, kiedy będzie po wszystkim?

– Wyrzucisz mnie gdzieś po drodze.

– Jak to wyrzucę? Mam cię zostawić na drodze? Z tym balkonikiem?

– Przecież dotarłam do ciebie sama, prawda?

Wypowiedziała te słowa ostrym tonem, a ja nie chciałem się z nią spierać. Skoro chciała być wysadzona po drodze, nie zamierzałem jej tego wybijać z głowy.

– Możemy wyruszyć jutro rano – podjąłem. – Jansson zawiezie cię na ląd razem z chodzikiem.

– A co z tobą?

– Ja pójdę po lodzie.

Uświadomiłem sobie nagle, że mam mnóstwo do zrobienia. W pierwszej kolejności zamierzałem wyciąć w drzwiach otwór dla kota, a potem sprawdzić, czy nieużywane od lat kojec i buda dla psa nadają się do użytku. Wiedziałem, że będę musiał przygotować zwierzętom jedzenie na tydzień, chociaż pewnie i tak zjedzą na raz tyle, ile się da. Oszczędzanie na potem było im całkiem obce. Mimo to nie wątpiłem, że poradzą sobie przez tych parę dni.

Następne godziny poświęciłem na konstruowanie drzwiczek dla kota. Zamontowałem deszczułkę na sprężynach i spróbowałem nakłonić kotkę, żeby przeszła przez otwór. Nauczyła się tego szybciej, niż się spodziewałem. Stan psiej budy był za to fatalny. Załatałem dach kawałkami papy, a wewnątrz wyścieliłem starymi kocami. Ledwie skończyłem, stara suka wygodnie umościła się w środku.

Wieczorem zadzwoniłem do Janssona. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

– Listonosz Ture Jansson, słucham?

Zabrzmiało to tak, jakby wymawiał jakieś szlacheckie nazwisko.

– Mówi Fredrik. Nie przeszkadzam?

- Skądże. Nieczęsto dzwonisz.
- Nigdy wcześniej do ciebie nie dzwoniłem. Chciałem zapytać, czy nie podwiózłbyś kogoś jutro rano.
- Starszej pani z balkonikiem?
- Ponieważ policzyłeś jej skandalicznie dużo za podwiezienie do mnie, rozumiem, że droga powrotna będzie gratis. Jeśli jesteś innego zdania, chętnie doniosę o twoim nielegalnym biznesie taksówkarskim.

W słuchawce słyszałem ciężki oddech Janssona.

- O której? – zapytał w końcu.
- Jutro nie rozwozisz poczty. Możesz być o dziesiątej?

Przez większość dnia Harriet odpoczywała na kanapie, podczas gdy ja przygotowywałem nas do wyprawy. Zastanawiałem się, czy podoła trudom wycieczki, ale za każdym razem dochodziłem do tego samego wniosku: to nie mój pomysł, więc i nie mój problem. Ja miałem jedynie dotrzymać obietnicy.

Rozmroziłem zająca i wsadziłem go do piekarnika. Miałem spisany przez moją babkę przepis na pieczeń. Udała mi się parę razy, więc byłem pewien, że wyjdzie i tym razem. Kiedy usiedliśmy do stołu, Harriet znów zaszklily się oczy. Dotarło do mnie, że brzęczenie szkła, które raz po raz słyszałem zza drzwi pokoju z mrowiskiem, nie było dźwiękiem stukających o siebie fiolek z lekami, ale butelek z winem lub wódką. Harriet popijała w ukryciu. Wbijając zęby w kawałek zająca, stwierdziłem z niechęcią, że wycieczka do leśnego jeziora może okazać się o wiele bardziej uciążliwa, niż sądziłem.

Choć pieczeń była bardzo smaczna, Harriet prawie nic nie zjadła, tylko dłużyła widelcem w jedzeniu. Wiedziałem, że pacjenci chorzy

na raka często skarżą się na brak apetytu.

Po obiedzie piliśmy kawę. Resztki z obiadu rzuciłem kotu i psu, które zazwyczaj dzieliły się jedzeniem bez walki. Czasem, patrząc na nie, myślałem sobie, że wyglądają jak stare małżeństwo. Jak moi dziadkowie.

Powiedziałem Harriet, że Jansson przyjedzie po nią jutro o dziesiątej, wręczyłem jej kluczyki do samochodu i opisałem dokładnie, jak ma do niego trafić. Miała czekać w aucie, aż ja dotrę pieszo.

Wzięła kluczyki i wsunęła je do torebki. Potem spojrzała na mnie nagle i spytała, czy nigdy za nią nie tęskniłem.

– Tęskniłem – odparłem. – Ale tęsknota działa na mnie deprymująco. Sprawia, że zaczynam się bać.

Nie zapytała o nic więcej, tylko poszła do pokoju z mrowiskiem. Kiedy po chwili wróciła, jej oczy błyszczały jeszcze bardziej.

Przez resztę wieczoru prawie nie rozmawialiśmy. Chyba oboje baliśmy się, że zepsujemy nastrój przed jutrzejszą podróżą. Sprawę ułatwiał fakt, że zawsze nam się dobrze milczało.

Włączyłem telewizor i obejrzeliliśmy film o ludziach, którzy się nawzajem pozjadali. Kiedy się skończył, nie wiedzieliśmy, co o nim myśleć. Ja jednak byłem pewien, że jesteśmy tego samego zdania. To był kiepski film.

Również tej nocy spałem niespokojnie.

Próbowałem przewidzieć, co niedobrego może nas spotkać podczas wyprawy. Jednocześnie wciąż się zastanawiałem, czy Harriet powiedziała mi całą prawdę. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że chce ode mnie czegoś innego i nie wyznała mi prawdziwego celu swojej wizyty.

Zanim udało mi się wreszcie zasnąć, postanowiłem sobie, że będę bardzo ostrożny. Nie mogłem przewidzieć, co się wydarzy po drodze, mogłem jedynie zachować czujność.

Niepokój mnie nie opuszczał. Zawisł w powietrzu jak milczące ostrzeżenie.

6

Nazajutrz, kiedy wyruszyliśmy w drogę, było słonecznie i bezwietrznie.

Jansson zjawił się punktualnie o umówionej godzinie. Najpierw wniósł na pokład hydrokoptera balkonik Harriet, a potem pomógł jej wsiąść i zająć miejsce. Nie powiedziałem mu, że ja także wybieram się na ląd. Gdy przyjedzie tu nazajutrz i nie zastanie mnie na pomoście, pewnie podejdzie pod dom, żeby sprawdzić, czy nie umarłem. Dlatego właśnie przykleiłem na drzwiach kartkę z informacją: „Nie umarłem”.

Już po chwili hydrokopter zniknął za najbliższym półwyspem.

Zamocowałem foki do moich starych butów narciarskich, żeby nie ślizgać się na lodzie, i ruszyłem w drogę. Mój plecak ważył dziewięć kilo. Zważyłem go na starej wadze łazienkowej, która należała jeszcze do mojej babki. Szedłem energicznym krokiem, ale nie za szybko, żeby się nie spocić. Wędrówka po zamrzniętym morzu zawsze napawała mnie lękiem. Zwłaszcza, kiedy mijałem wschodni półwysep, gdzie dno przecinał wąwóz o nazwie Lersänkan. W najgłębszym miejscu woda miała tutaj pięćdziesiąt sześć metrów. Idąc po lodzie, czułem się, jakbym kroczył po łamliwym dachu nad bezdenną przepaścią.

Zmrużyłem oczy, bo słońce świeciło mocno, a jego promienie odbijały się od lodu, całkiem mnie oślepiając. W oddali dostrzegłem grupę łyżwiarzy. Zmierzali w stronę najdalszej wyspy. Poza nimi i mną wokół nie było nikogo. Zimą mój archipelag był jak pustynia.

Sporadycznie pojawiały się na niej karawany łyzwiarzy, czasem taki nomada jak ja. Poza tym było zupełnie pusto.

Kiedy dotarłem do starego, dziś już prawie nieużywanego portu rybackiego, Harriet czekała na mnie w samochodzie, zgodnie z umową. Włożyłem balkonik do bagażnika i usiadłem za kierownicą.

– Dziękuję – odezwała się. – Dziękuję, że dotrzymałeś obietnicy.

Delikatnie pogłaskała mnie po ramieniu.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce i ruszyliśmy w daleką drogę na północ.

Podróż nie zaczęła się dobrze.

Po niecałym kilometrze przed maskę wyszedł nam łoś. Wyglądało to tak, jakby specjalnie czekał za kulisami i wkroczył na scenę w dokładnie zaplanowanym momencie. Zahamowałem gwałtownie i jakimś cudem udało mi się nie uderzyć w potężne cielsko zwierzaka. Auto wpadło w poślizg, straciłem panowanie nad kierownicą i uderzyliśmy w zaspę przy drodze. Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy, krzyknąłem, ale Harriet nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Siedzieliśmy w milczeniu, zdezorientowani. Łoś zniknął w gęstym lesie.

– Nie jechałem szybko – powiedziałem, nieumiejętnie i niepotrzebnie próbując się wytłumaczyć. Przecież to nie moja wina, że łoś czaił się za drzewem i nagle postanowił zagrozić nam drogę.

– Nic się nie stało – odparła spokojnie Harriet.

Spojrzałem na nią, zdziwiony. Przemknęło mi przez myśl, że ktoś, kto ma zaraz umrzeć, pewnie nie przejmuje się wychodzącymi na drogę łosiami.

Samochód utknął w śniegu. Wyjąłem szpadel z bagażnika, odkopałem przednie koła, a potem połamałem trochę jodłowych gałęzi i ułożyłem na drodze, po której mieliśmy się wycofać. Auto wyswobodziło się z lekkim szarpnięciem i mogliśmy jechać dalej.

Miałem przyśpieszony puls. Ludzie, których nie trawi śmiertelna choroba, w takich chwilach okazują zdenerwowanie.

Po około dziesięciu kilometrach zorientowałem się, że auto ściga na lewo. Zatrzymałem się na poboczu, żeby to sprawdzić. Złapaliśmy gumę. Przekląłem w myślach tę podróż, naprawdę nie mogła rozpocząć się gorzej. Nie miałem najmniejszej ochoty klękać na śniegu, mocować się ze śrubami i brudzić sobie rąk oponą. Wciąż miałem obsesję czystych dłoni, typową dla każdego chirurga.

Kiedy wreszcie udało mi się zmienić koło, byłem zlany potem. Poza tym byłem wściekły i przekonany, że nigdy nie odnajdę tego cholernego jeziora, Harriet przekreśli się po drodze i na pewno zjawi się ktoś, kto mi wygarnie, że zachowałem się nieodpowiedzialnie, wyciągając starą umierającą kobietę na taką wyprawę.

Ruszyliśmy w drogę.

Było ślisko, a wzdłuż szosy piętrzyły się wielkie zaspasy. Minęliśmy parę ciężarówek oraz zaparkowanego na poboczu forda amazona, z którego właśnie wysiadał mężczyzna z psem. Harriet wciąż nic nie mówiła, wyglądała jedynie przez okno po swojej stronie.

Przypomniałem sobie podróż, którą odbyłem z ojcem wiele lat temu. Właśnie dostał wypowiedzenie z pracy w kolejnej restauracji, bo odmówił przychodzenia na wieczorną zmianę. Ruszyliśmy na północ od Sztokholmu i pierwszą noc spędziliśmy w tanim hotelu w okolicach Gävle. Pamiętam jak przez mgłę, że nazywał się Furuvik, ale nie jestem tego pewny. Spaliśmy w jednym pokoju, był

czerwiec i straszna duchota. Mieliśmy najgorętsze lato końca lat czterdziestych.

Ponieważ ojciec od pewnego momentu pracował w najlepszych restauracjach w Sztokholmie, zaczął dobrze zarabiać. Były to czasy, kiedy moja matka płakała mniej niż zwykle. Pewnego dnia ojciec przyszedł z pracy i przyniósł jej nowy kapelusz. Wtedy też się rozplakała, ale tym razem z radości. Traf chciał, że obsługiwał dyrektora jednego z największych banków w kraju. Gość opił się już podczas wczesnego obiadu i dał ojcu sowity napiwek.

O ile dobrze znałem ojca, duży napiwek uznawał za równie poniżający jak za mały. Tym razem jednak przyjął pieniądze i wymienił je na ładny czerwony kapelusz.

Kiedy zaproponował, żebyśmy we trójkę wybrali się na parę dni na północ, matka odmówiła. Nie miała ochoty, ojciec natomiast chciał trochę odpocząć, przed szukaniem nowej pracy.

Mieliśmy stary samochód, na który ojciec z pewnością oszczędzał od wczesnej młodości. Tamtego czerwcowego ranka wsiedliśmy do niego we dwójkę i ruszyliśmy na północ, na początek kierując się drogą do Uppsali.

Nocowaliśmy w hotelu, który być może nazywał się Furuvik. Dokładnie pamiętam, że gdy zbudziłem się nad ranem, ojciec stał przy oknie nagi i patrzył przez cienką firankę. Wyglądał tak, jakby zastygł skupiony na jakiejś myśli. Przez nieznośnie dla mnie długi, a w rzeczywistości krótki moment, miałem przerażające wrażenie, że ojciec chce mnie tu zostawić. Widziałem tylko jego skórę, nic więcej. Bałem się, że pod skórą nie ma nic, tylko ziejącą pustką jamę. Dziś już nie pamiętam, jak długo ojciec tak stał, ale dobrze wrył mi się w pamięć strach, że zostanę porzucony. W końcu ojciec się odwrócił i spojrzał na mnie, leżącego z kołdrą podciągniętą pod

brodę i z półprzymkniętymi oczami. Wrócił do łóżka i dopiero wtedy, gdy się upewniłem, że oddycha głęboko i równo, sam odważyłem się zasnąć.

Następnego dnia dojechaliśmy w wybrane przez ojca miejsce.

Jeziorko nie było duże, ale woda w nim była całkiem czarna. Po drugiej stronie sterczało z ziemi parę wysokich skał, poza tym otaczał nas gęsty las. Nie było plaży, ani żadnego innego przejścia między wodą a lasem, zupełnie jakby jeziorko i drzewa bez przerwy się ze sobą mocowały.

Ojciec poklepał mnie po ramieniu.

– No to teraz się wykąpiemy – oznajmił.

– Nie wziąłem kąpielówek.

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– A na co komu kąpielówki? Kto nas tu zobaczy? Czające się za drzewami trolle?

I zaczął się rozbierać. Kątem oka patrzyłem na jego tęgie ciało, czułem się lekko zawstydzony. Ojciec miał potężne brzuszysko, które wypadło i zadyndało, gdy zsunął bokserki. Ja sam rozbierałem się tak, jakby jednak ktoś na nas patrzył. Ojciec poczłapał do brzegu i rzucił się do jeziorka. Woda podniosła się i zafalowała, jakby wynurzył się z niej ogromny wieloryb. Jego nieskazitelna, lustrzana powierzchnia została rozbita. Fale obmyły kamienie na drugim brzegu. Powoli wszedłem do wody i zadrzałem z zimna. Z jakiegoś powodu sądziłem, że będzie miała temperaturę powietrza. Las buchał wilgotnym ciepłem, ale jeziorko wciąż było chłodne. Zanurzyłem się szybko i wybiegłem na brzeg.

Ojciec pływał, energicznie młóćąc wodę rękami i nogami. Śpiewał. Nie wiem, jaka to była piosenka, ale brzmiała jak ryk

zadowolenia, kaskada parsknięć i prychnięć oraz bulgot czarnej wody, układające się w znaną tylko ojcu melodię.

Teraz, siedząc w samochodzie u boku Harriet, stwierdziłem ze zdziwieniem, że żadnego zdarzenia z mojego życia nie pamiętam równie dokładnie. Mimo że od tamtego dnia minęło pięćdziesiąt pięć lat, mógłbym zredukować całe swoje życie do tamtego obrazu: ojciec pływa samotnie w leśnym jeziorze, ja stoję nagi na brzegu i mu się przyglądam. Dwoje połączonych ze sobą ludzi, którzy są jednak oddzielnymi bytami.

Do tego sprowadza się życie: jeden człowiek pływa, drugi mu się przygląda.

Zacząłem czuć podniecenie na myśl o ponownym spotkaniu z jeziorem. I nie chodziło już tylko o dotrzymanie obietnicy złożonej Harriet. Sam się cieszyłem, że znów zobaczę miejsce, którego nigdy nie spodziewałem się zobaczyć ponownie.

Za oknami przesuwał się zimowy pejzaż.

Nad białymi polami wisiała zmarznięta mgła. Z kominów unosił się dym, a z tysięcy talerzy satelitarnych, kierujących swoje metalowe czułki w stronę odległych nadajników, zwisały cieniutkie sople.

Po paru godzinach jazdy skręciłem na stację benzynową. Musiałem uzupełnić płyn do spryskiwaczy, poza tym był najwyższy czas, by coś zjeść. Harriet poszła prosto do baru sąsiadującego ze stacją. Patrzyłem za nią, człapiącą ostrożnie po śniegu. Każdy krok musiał sprawiać jej ból.

Gdy do niej dołączyłem, siedziała już przy stoliku i zabierała się do jedzenia. Daniem dnia okazała się grillowana kiełbasa, więc zdecydowałem się na filet z ryby. Oprócz nas w barze nie było

prawie nikogo. W rogu siedział kierowca ciężarówki. Pochylał się nad kubkiem kawy, pogrążony w półśnie. Na oparciu jego krzesła wisiała kurtka z napisem „Wprawiamy Szwecję w ruch”.

Co my tu właściwie robimy?, pomyślałem. Po co nam ta podróż na północ? Czy my też wprawiamy nasz kraj w ruch? A może jesteśmy tylko dwiema nieważnymi istotami, błakającymi się po marginesie życia?

Harriet zuła powoli kiełbasę, a ja wpatrywałem się w jej pomarszczone dłonie, te same, które zwykłym głaskaniem potrafiły kiedyś sprawić mi radość, jakiej później nigdy nie odczuwałem.

Kierowca ciężarówki wstał i wyszedł z lokalu.

Po chwili podeszła do nas mocno umalowana dziewczyna w poplamionym fartuchu. Przyniosła moją rybę. Gdzieś z oddali dobiegały ściszone dźwięki radia. Zorientowałem się, że leżą wiadomości, nie mogłem jednak rozróżnić słów. W młodości łaknąłem informacji i wszelkich nowin. Czytałem gazety i oglądałem telewizję. Świat wymagał mojej obecności. Jednego dnia dwie małe dziewczynki topiły się w Kanale Gotyjskim, innego ktoś zabijał prezydenta jakiegoś kraju. Czułem potrzebę, by o tym wszystkim wiedzieć. Z czasem jednak, kiedy zacząłem wieść samotnicze życie na wyspie moich dziadków, potrzeba bycia na bieżąco zaczęła powoli słabnąć. Przestałem czytać gazety, a telewizję oglądałem co drugi dzień.

Harriet zostawiła większą część jedzenia nietkniętą. Przyniosłem jej kubek kawy. Za oknem zaczął prószyć śnieg. W barze wciąż nie było nikogo prócz nas. Harriet podparła się na balkoniku i poszła do toalety, a kiedy wróciła, znów miała błyszczące oczy. Zdenerwowało mnie to, choć sam nie wiedziałem, dlaczego. Nie mogłem jej mieć za

złe, że próbuje radzić sobie z bólem. Nie ja ponosiłem winę za to, że popijała w ukryciu.

Harriet chyba czytała w moich myślach, bo nagle zapytała mnie, nad czym się tak zadumałem.

– Przypomniał mi się Rzym – powiedziałem. – Nie wiem dlaczego. Kiedyś byłem tam na kongresie dla chirurgów. Był nudny i źle zorganizowany, więc w ostatnie dwa dni machnąłem ręką na wykłady i włóczyłem się po parku Villa Borghese. Potem nawet uciekłem z luksusowego hotelu wynajętego dla uczestników konferencji i przenieśliem się do pensjonatu Dinesen, w którym kiedyś ponoć zatrzymała się Karen Blixen. Wracałem z Rzymu z przekonaniem, że już nigdy do tego miasta nie wrócę.

– To wszystko?

– Tak. O niczym innym nie myślałem.

Dwa lata później wróciłem do Rzymu. W Sztokholmie wydarzyła się katastrofa i uciekłem stamtąd w popłochu. Chciałem pobyc gdzieś w spokoju. Pamiętam, że pojechałam na lotnisko Arlanda bez biletu. Najbliższe dwa samoloty lecące na południe Europy były do Madrytu i Rzymu. Wybrałem Rzym, bo lot trwał trochę krócej.

Przez tydzień włóczyłem się po mieście, analizując krzywdę, jaka mnie spotkała. Zdecydowanie za dużo piłem, raz czy dwa znalazłem się w jakimś podejrzanym towarzystwie, aż w końcu ostatniego wieczoru zostałem napadnięty i obrabowany. Wróciłem do Szwecji z rozkwaszonym, krwawiącym nosem. Pewien lekarz w szpitalu Södersjukhueta nastawił mi go i wypisał środki przeciwbólowe. Po tym zdarzeniu Rzym stał się dla mnie miejscem, do którego z pewnością nie miałem ochoty wracać.

– Ja też byłam w Rzymie – odezwała się Harriet. – Powodem były oczywiście buty, bo wokół nich kręciło się całe moje życie. Kiedy

myślałam, że znalazłam się za ladą sklepu obuwniczego przez przypadek, tylko dlatego, że mój ojciec pracował jako brygadzysta w Oscarii¹ w Örebro. Z czasem jednak okazało się, że to powołanie na całe życie. Nie przypominam sobie, żebym obudziła się jakiegoś poranka i nie zaczęła natychmiast myśleć o butach. Pewnego roku wybrałam się więc do Rzymu i pracowałam przez miesiąc jako czeladniczka u starego mistrza szyjącego buty dla największych sław na całym świecie. Każda para wychodząca z jego warsztatu była niczym skrzypce Stradivariususa. Mistrz opisywał ludzkie stopy tak, jakby były to niezależne osobowości. Pewna śpiewaczka operowa, nie pamiętam nazwiska, miała jego zdaniem *wredne* stopy, które nie brały żadnych butów na poważnie i nie okazywały im szacunku. Natomiast stopy pewnego węgierskiego finansisty okazywały butom *czułość*. Stary mistrz nauczył mnie bardzo wiele, nie tylko o butach, ale i o sztuce. Potem sprzedawanie obuwia stało się dla mnie zupełnie nowym przeżyciem.

– Większość zaplanowanych podróży nigdy się nie udaje – dodałam. – Są też takie, które odbywa się tylko we własnym wnętrzu. Zaletą takiego podróżowania jest fakt, że zawsze ma się dużo miejsca na nogi.

Znów ruszyliśmy w drogę.

Powoli zacząłem się zastanawiać, gdzie zatrzymamy się na noc. Było jeszcze jasno, ale nie chciałem prowadzić po zachodzie słońca. Ostatnio moja zdolność widzenia po zmroku bardzo się pogorszyła.

Zawsze uważałem, że jednostajny zimowy krajobraz ma w sobie niezwykle piękno. Za oknami przesuwał się statyczny pejzaż. To oczywiście złudzenie, bo zawsze i wszędzie pojawia się coś, co łamie schemat. Gdy wjechaliśmy na szczyt kolejnego wzniesienia, oboje równocześnie zauważyliśmy siedzącego przy drodze psa. Zwolniłem,

żeby go nie potrącić, gdyby nagle strzeliło mu do głowy wbiec pod koła. Kiedy go mijaliśmy, Harriet dostrzegła, że zwierzak ma obrozę i smycz. We wstecznym lusterku zobaczyłem, że zaczął za nami biec. Zwolniłem trochę, a on dobiegł niemal do tylnego zderzaka.

– Biegnie za nami – powiedziałem.

– Pewnie go ktoś porzucił.

– Skąd masz taką pewność?

– Psy często biegną za samochodem, żeby go obszczekać. Ten pies nie szczeka.

Harriet miała rację. Zjechałem na pobocze i zaparkowałem. Pies usiadł na drodze i ziajał z wywieszonym językiem. Wysiadłem i powoli wyciągnąłem do niego dłoń. Nie zareagował. Chwyciłem za smycz i sprawdziłem zawieszkę na obroży. Był tam wygrawerowany numer telefonu. Harriet wyjęła z torebki komórkę, wystukała numer, posłuchała chwilę, a potem podała mi telefon. Nikt nie odbierał.

– Nikt nie odpowiada – stwierdziłem.

– Jeśli pojedziemy dalej, będzie za nami biegł do upadłego.

Harriet wzięła ode mnie komórkę i wybrała jakiś inny numer. Kiedy zaczęła rozmowę, zorientowałem się, że połączyła się z informacją telefoniczną.

– To telefon niejkiej Sary Larsson – oznajmiła po chwili. – Mieszka w gospodarstwie Hägtunets, we wsi Røjdeby. Mamy mapę?

– Tak, ale niedokładną.

– Nie możemy zostawić tego psiaka na drodze.

Kiedy otworzyłem tylne drzwi, pies natychmiast wskoczył na fotel i zwinął się w kłębek. Zupełnie jak samotny człowiek, pomyślałem.

Po około dziesięciu kilometrach dotarliśmy do wioski, w której był mały sklep. Wszedłem i zapytałem o gospodarstwo Högtunets. Ekspedientka, młoda dziewczyna w bejsbolówce założonej daszkiem do tyłu, narysowała mi mapkę.

– Znaleźliśmy psa – wyjaśniłem.

– Sara Larsson ma cocker-spaniela – powiedziała dziewczyna. – Może jej uciekł?

Wróciłem do samochodu, wręczyłem Harriet mapkę i cofnąłem się kawałek, tą samą drogą, którą przyjechaliśmy. Pies cały czas leżał zwinięty na tylnym siedzeniu. Z pozoru wyglądał spokojnie, ale wiedziałem, że jest bardzo czujny. Po paru kilometrach Harriet wskazała mi dróżkę, prawie niezauważalną między śnieżnymi zaspami. Skręciłem i po chwili znaleźliśmy się w białej krainie bez drogowskazów. Ścieżka wiła się między pokrytymi śniegiem jodłami. Widać było, że przejechał tędy pług, ale odkąd znowu zaczęło prószyć, nie jechał tą drogą żaden samochód.

– Tam w śniegu są ślady łap – odezwała się Harriet. – Prowadzą w tył, w stronę głównej drogi.

Pies podniósł się i zaczął się rozglądać. Postawił uszy i węszył. Nagle wzdrygnął się, jakby było mu zimno.

Przejechaliśmy przez stary kamienny mostek, las się przerzedził i między drzewami zamajaczyły budynki. Wyjechaliśmy z lasu i ujrzeliśmy stojący na niewielkim wzniesieniu dom. Stary, dawno niemalowany. Obok stała szopa i na wpół zawalona obora. Zatrzymałem się i wypuściłem psa. Zwierzak rzucił się pędem w stronę domu, dopadł do drzwi, podrapał w nie łapą i usiadł na wycieracze. Zauważyłem, że z komina nie unosi się dym, a szyby pokryte są szronem. Nie świeciła się też lampa przed domem.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Nie podobało mi się to, co tu zastaliśmy.

– Zupełnie jakbym patrzyła na obraz – odezwała się Harriet. – Wystawiony na leśnej polanie, na sztalugach zrobionych z przyrody. Artysta gdzieś sobie poszedł.

Wysiadłem z auta i wyjąłem z bagażnika balkonik, ale Harriet pokręciła głową. Wolała poczekać w samochodzie. Stałem przed domem i nasłuchiwałem. Pies wciąż siedział na wycieraczce, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Obok szopy na narzędzia sterczała z zasy zardzewiała brona. Gospodarstwo wyglądało na opuszczone. Nigdzie wokół nie dostrzegłem śladów innych niż te pozostawione przez psa. Poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. Podeszedłem do drzwi i zapukałem. Pies wstał. – Kto ma nam otworzyć? – zapytałem go szeptem. – Na kogo czekasz? Co robiłeś przy głównej drodze?

Zapukałem raz jeszcze i nie doczekawszy się odpowiedzi, poruszyłem klamką. Drzwi były otwarte. Ledwie je uchylilem, pies prześlizgnął mi się między nogami i wpadł do środka. Wewnątrz czuć było stęchlizną, ale nie tak, jakby nie wietrzono, lecz jakby w tym miejscu nagle zatrzymał się czas i zaczął wydzielać zapach postępującego powoli upadku. Pies wbiegł do pomieszczenia, które według mojej oceny powinno być kuchnią. Zawołałem go, ale nie wrócił. Na lewo od drzwi był salon ze staroświeckimi meblami i zegarem stojącym o bezgłośnie poruszającym się wahadle. Po prawej wspięły się schody prowadzące na piętro. Podeszedłem tam, gdzie pobiegł pies, i stanąłem w progu kuchni.

Na podłodze wyłożonej szarym linoleum leżała stara kobieta, zwrócona twarzą do ziemi. Od razu zorientowałem się, że nie żyje. Mimo to zrobiłem, co należało, czyli ukląknąłem przy niej i zbadałem

puls na szyi, nadgarstku i skroni. Niepotrzebnie, bo ciało było zimne i zdążyło już stężeć. Uznałem, że martwa kobieta to Sara Larsson. Kuchnia była wychłodzona, wiało przez na wpuł otwarte okno. Pewnie tędy wydostał się pies, który pobiegł po pomoc. Wstałem z klęczek i rozejrzałem się. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu, najprawdopodobniej więc Sara Larsson zmarła naturalną śmiercią. Pewnie stanęło jej serce albo pękło naczynie w mózgu i dostała udaru. Staruszka miała osiemdziesiąt parę lat. Miała ciasny kok z gęstych siwych włosów. Ostrożnie odwróciłem ją twarzą do góry. Pies śledził każdy mój ruch, potem podszedł i obwąchał twarz właścicielki. Przemknęło mi przez myśl, że też patrzę na obraz, ale inny niż ten, który chwilę temu widziała Harriet. Ten obraz przedstawiał samotność, jakiej nie da się opisać słowami. Martwa kobieta miała ładną twarz. Zawsze uważałem, że jest coś pięknego w twarzach starych kobiet. W ich poranej zmarszczkami skórze widać doświadczenia i wspomnienia z całego życia.

Pomyślałem o ojcu i jego ostatnich chwilach. Zachorował na raka i choroba szybko rozprzestrzeniła się po całym ciele. Pod łóżkiem, w którym umierał, stała para idealnie wypucowanych butów. Ojciec się nie odzywał, bo strach przed śmiercią odebrał mu mowę. Schudł tak, że ledwo można go było rozpoznać. Wzywała go czarna ziemia.

Odeгнаłem przykre wspomnienia i wyszedłem przed dom. Harriet wysiadła z samochodu i stała oparta o swój balkonik. Pomogłem jej wejść po schodkach wiodących do domu. Mocno ścisnęła mnie przy tym za ramię. Pies wciąż siedział przy swojej pani.

– Leży na podłodze w kuchni – powiedziałem. – Nie żyje, zeszywniała już i ma żółtą twarz. Nie musisz tego oglądać.

– Nie boję się śmierci – odparła Harriet. – Przeraza mnie tylko myśl, że jest się martwym tak długo.

Martwym jest się tak długo.

Później miałem wspomnieć te słowa Harriet, wypowiedziane w ciemnym przedpokoju, w drodze do kuchni, w której leżała martwa kobieta.

Długo przyglądaliśmy się jej w milczeniu. Potem rozejrzeliśmy się po domu w poszukiwaniu śladów jakichś krewnych, których moglibyśmy zawiadomić. Kiedyś w tym domu mieszkał mężczyzna, dało się to wyczytać z wiszących na ścianach fotografii. Wszystko wskazywało na to, że potem kobieta i pies zostali całkiem sami. Sprawdziwszy piętro, zszedłem do kuchni, akurat w chwili, gdy Harriet zakrywała twarz Sary Larsson ręcznikiem. Schylała się z największym trudem. Pies położył się na swoim pościeliu i nie spuszczał nas z oka.

W końcu zadzwoniłem na policję. Minęło dobrych parę minut, nim udało mi się wyjaśnić, gdzie jesteśmy.

Potem wyszliśmy na schodki przed domem i czekaliśmy. Obojgu nam było bardzo nieswojo i choć nie rozmawialiśmy, czułem, że staramy się stać jak najbliżej siebie. Po jakimś czasie między drzewami zamigotały światła samochodu i przed dom Sary Larsson zajechał radiowóz. Funkcjonariusze okazali się bardzo młodzi. Policjantka o długich blond włosach spiętych w koński ogon nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat. Miała na imię Anna, a jej kolega przedstawił się jako Evert. Poszli do kuchni. Ja podążyłem za nimi, a Harriet została na schodach.

– Co się stanie z psem? – zapytałem.

– Zabierzemy go – odparła policjantka.

– A potem?

– Prześpi się w celi na posterunku, a my w tym czasie ustalimy, czy jest jakiś krewny, który chce go zabrać. Jeśli nie, pójdzie do schroniska. W ostateczności zostanie tam uśpiony.

Coś strasznie trzeszczało w nadajnikach, które ci młodzi ludzie mieli przypięte do pasków. Dziewczyna zanotowała moje nazwisko i numer telefonu.

Potem powiedziała, że nie będą nas dłużej zatrzymywać. Wychodząc, przykucnąłem na progu i pogłaskałem spaniela. Czy ty masz jakieś imię?, zastanowiłem się. Co się teraz z tobą stanie?

Jechaliśmy przez gęstniejący zmierzch. W świetle reflektorów widziałem nazwy miejscowości, o których nigdy wcześniej nie słyszałem.

Przyszło mi na myśl, że jazda samochodem przez zimowy pejzaż jest jak podróż z prędkością ponaddźwiękową. Wokół panowała zupełna cisza, nie tylko zresztą wokół, ale i wewnątrz mnie. Wiosna i lato nigdy nie były tak ciche, zewsząd nacierały jakieś dźwięki. Zima była milcząca.

Dotarliśmy do skrzyżowania dróg. Zatrzymałem się i zobaczyłem szyld informujący, że za dziewięć kilometrów jest zajazd o nazwie Rävhyttan. Nie miałem pojęcia, co to za miejsce, ale musieliśmy przecież gdzieś zanoć. Zajazd okazał się położonym w parku, podobnym do dworu budynkiem z dwoma skrzydłami. Na podjeździe stało wiele samochodów.

Poprosiłem Harriet, żeby zaczekała w aucie, a sam udałem się w stronę jasno oświetlonego wejścia. W dużym holu grał na pianinie starszy, trochę nieobecny mężczyzna. Wstał na mój widok, a ja zapytałem go o wolne pokoje.

– Mamy komplet – powiedział. – Duża grupa świętuje u nas powrót do domu jakiegoś krewnego z Ameryki.

– Nie macie żadnego wolnego pokoju?

Mężczyzna podszedł do lady recepcyjnej i zajrzał do notesu.

– Znajdzie się jeden – oznajmił.

– Nam są potrzebne dwa.

– To duża dwójka z widokiem na jezioro. Na parterze. Tu jest najciszej. Pokój był zarezerwowany, ale w ostatniej chwili gość zrezygnował. To wszystko, co mogę panu zaproponować.

– Czy są tam dwa osobne łóżka?

– Bardzo wygodne podwójne łóżko. Wszyscy goście bardzo je sobie chwalą. Proszę sobie wyobrazić, że kilka razy spał w nim nieżyjący już członek rodziny królewskiej. Ani razu na nie się nie poskarżył, a mimo że jestem rojalistą, muszę przyznać, że goście z rodziny królewskiej bywają niezwykle wybredni. Dotyczy to zarówno starszego, jak i młodego pokolenia.

– Czy to łóżko da się rozsunąć?

– Tylko wtedy, jeśli wcześniej przetnie się je piłą.

Wróciłem do samochodu, żeby powiedzieć Harriet, na czym stoimy. Tylko jeden pokój, podwójne łóżko. Albo bierzemy, co nam tu oferują, albo jedziemy dalej.

– Myślisz, że mają tu jakieś jedzenie? – spytała. – Spać mogę gdziekolwiek.

Udałem się z powrotem do holu i nim otworzyłem drzwi, usłyszałem znajomą melodię. Brzmiała jak przebój z czasów mojej młodości. Harriet z pewnością umiałaby podać tytuł.

Zapytałem, czy w zajeździe można coś zjeść.

– Mamy w ofercie kolację z degustacją wina – pośpieszył z odpowiedzią mężczyzna. – Gorąco polecam.

– To wszystko?

– A czy to nie wystarczy? – spytał tonem zdradzającym niezadowolenie.

– Dobrze, weźmiemy ten pokój – odparłem. – Z chęcią też zjemy kolację.

Ponownie wróciłem do samochodu i pomogłem Harriet wysiąść. Widziałem wyraźnie, że odczuwa silny ból. Powoli doszliśmy do drzwi podjazdem dla wózków inwalidzkich. Kiedy znaleźliśmy się w środku, mężczyzna znów siedział przy pianinie.

– *Non ho l'età* – wyrecytowała Harriet bez zajknięcia. – Tańczyliśmy do tej melodii. Pamiętasz, kto to śpiewał? Gigliola Cinquetti. Wygrała konkurs Eurowizji w 1963 lub 1964 roku.

Nagle przypomniałem sobie tę piosenkę, a przynajmniej tak mi się zdawało. Po tylu latach spędzonych samotnie na wyspie moich dziadków, nie ufałem już swojej własnej pamięci.

– Przyniosę dokumenty później – odezwałem się do recepcjonisty.
– Najpierw chcemy pójść do pokoju.

Mężczyzna wziął do ręki klucze i poprowadził nas długim korytarzem, kończącym się pojedynczymi drzwiami z numerem wyrzeźbionym w ciemnym drewnie. Numer trzy. Tu mieliśmy spędzić noc. Recepcjonista otworzył drzwi i włączył światło. Pokój był duży i pięknie urządzony. Jednak łóżko okazało się dużo mniejsze niż się spodziewałem.

– Kuchnia zamyka się za godzinę – oznajmił mężczyzna.

Kiedy zostawił nas samych, Harriet ciężko usiadła na łóżku. Spojrzałem na nią i przyszło mi do głowy, że cała ta sytuacja jest dość nierzeczywista. Na co dałem się namówić? Czy naprawdę mam dzielić łożo z Harriet po tylu latach? Dlaczego ona się na to zgodziła?

– Na pewno znajdziemy jakąś kanapę, na której będę mógł spać – powiedziałem.

– Możemy spać razem, mi to nie przeszkadza – odparła. – Nigdy się ciebie nie bałam. A może ty bałeś się mnie? Bałeś się, że rozwałę ci głowę siekierą, kiedy będziesz spał? Teraz chciałabym chwilę odpocząć. Chętnie zjem coś za pół godziny. I nie musisz się martwić o pieniądze. Zapłacę za siebie.

Zszedłem na dół i pokazałem dokumenty recepcjoniście. Z oddzielonej przesuwaną ścianą części restauracji dochodził wesoły gwar towarzystwa witającego swojego krewnego. Poszedłem w najdalszy kąt holu i usiadłem w fotelu. Ja i Harriet mieliśmy za sobą długi dzień. Czułem podenerwowanie. Dni spędzane na wyspie były do siebie podobne i czas płynął tam dużo wolniej. Teraz czułem się tak, jakby dopadły mnie nieznane siły i emocje, przed którymi nie byłem w stanie się bronić.

Po dłuższej chwili u wylotu korytarza zjawiała się Harriet z balkonikiem. Przemknęło mi przez myśl skojarzenie, że wygląda tak, jakby opierała się o reling jakiegoś dziwnego statku. Zachwiała się lekko. Czyżby znowu piła?

Dołączyłem do niej i poszliśmy do restauracji. Było prawie pusto, ale sympatyczna kelnerka o spuchniętych i zabandażowanych łydkach wskazała nam stolik w kącie sali. Zrobiłem to, czego nauczył mnie ojciec: upewniłem się, czy obsługujący nas kelner ma porządne buty. Dziewczyna miała solidne obuwie, chociaż niewyczyszczone. Kiedy w ciągu dnia zamawialiśmy jedzenie w przydrożnym barze, to ja byłem bardzo głodny, Harriet natomiast prawie wcale. Teraz było na odwrót. Za to z chęcią zacząłem pić wino, które przynosił nam i prezentował pryszczaty młodzieniec. Gdy Harriet zadawała pytania, ja bez zastanowienia wypijałem

wszystko, co nam podawano. Były to głównie wina australijskie i kilka gatunków z Południowej Afryki. Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Zależało mi tylko na rauszu.

Kiedy przy drugiej lub trzeciej zmianie trunku stuknęliśmy się kieliszkami na zdrowie, zauważyłem, że Harriet niemal natychmiast się upiła. Zatem nie tylko ja chciałem się tego wieczoru ogłuszyć. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio upiłem się tak, by stracić nad sobą kontrolę. Zdarzyło się parę razy, że zalewałem robaka przy kuchennym stole na mojej odludnej wyspie. Zawsze kończyło się to w ten sam sposób: wyrzucałem zwierzęta na dwór, a potem padałem na łóżko w ubraniu. Chyba nigdy nie zdarzyło mi się to zimą, raczej jakiegoś długiego wiosennego wieczoru lub wczesną jesienią, gdy nadchodziły mgły. Wtedy zdarzało mi się sięgać po jedną z flaszek, które zawsze miałem w zapasie. Można było składać zamówienia w sklepie monopolowym za pośrednictwem Janssona, ale ja nie chciałem dzielić się z nim informacjami o moich alkoholowych nawykach. Zakupy robiłem sam.

Chwilę później zamknięto drzwi do restauracji. Byliśmy ostatnimi gośćmi. Jedliśmy i piliśmy w milczącym porozumieniu, nie poruszając tematu prywatnego życia oraz celu naszej podróży. Nie wspomnieliśmy nawet o Sarze Larsson i jej psie. Mimo że Harriet głośno protestowała, kazałem dopisać kolację do rachunku za pokój. W końcu, lekko się zataczając, poszliśmy do pokoju. Choć nie wiem, jak to możliwe, Harriet nie była w stanie iść prosto nawet z balkonikiem. Otworzyłem przed nią drzwi, ale sam nie wszedłem. Powiedziałem, że idę na wieczorny spacer. Nie była to prawda rzecz jasna, ale nie chciałem stawiać Harriet w kłopotliwej sytuacji,

siedząc w pokoju, kiedy będzie się rozbierała i kładła. Prawdę mówiąc, nie chciałem w kłopotliwej sytuacji stawiać również siebie.

Usiadłem w pokoju urządzonego jak czytelnia dla gości. Stały w niej półki ze starymi książkami i czasopismami. W pokoju nie było nikogo. Recepcjonista gdzieś zniknął, nie było też śladu po wesołym towarzystwie. Nasłuchiwałem chwilę, ale otaczała mnie cisza. Usiadłem w fotelu i chyba natychmiast zasnąłem. Kiedy się przebudziłem, nie wiedziałem, gdzie jestem. Spałem prawie godzinę. Wstałem, zachwiałem się, wciąż jeszcze trochę pijany, i poszedłem do pokoju. Harriet już spała, ale zostawiła włączoną lampkę po mojej stronie łóżka. Rozebrałem się i poszedłem się umyć, a potem ostrożnie wsunąłem się pod kołdrę. Wyteżyłem słuch, próbując odgadnąć, czy Harriet naprawdę śpi, czy tylko udaje. Leżała na boku, plecami do mnie. Poczuję nagłą chęć, by ją objąć. Miała na sobie jasnyniebieską koszulę nocną. Zgasilem lampkę i znów chwilę nasłuchiwałem. Nie mogłem się pozbyć dręczącego niepokoju, a jednocześnie ogarnęło mnie uczucie, za którym od dawna tęskniłem: świadomość, że nie jestem sam. Zdziwiłem się, że to aż takie proste. Tak łatwo odegnąć samotność.

Chwilę później zasnąłem, ale wkrótce obudził mnie jakiś hałas. Harriet krzyczała. Otrzeźwiałem w sekundę i włączyłem światło. Harriet siedziała na łóżku i płakała głośno z bólu i bezsilności. Gdy spróbowałem dotknąć jej ramienia, odepchnęła mnie brutalnie i uderzyła mnie w twarz.

Z nosa pociekła mi krew.

Tej nocy żadne z nas już nie zasnęło.

7

Świt nadpłynął jak mgła nad pokryte lodem i śniegiem jezioro.

Stałem przy oknie i nagle dopadła mnie myśl, że muszę wyglądać dokładnie tak jak mój ojciec tamtego dnia w hotelu, kiedy bałem się, że mnie opuści. Nie byłem tak gruby jak on, chociaż brzuch mi trochę wystawał. Kto na mnie patrzył? Nikt inny, tylko Harriet oparta o stertę poduszek.

Analizowałem w myślach, co się wydarzyło po tym, jak obudziła mnie krzykiem i rozkwaśiła mi nos.

Byłem półnagim mężczyzną na tle zimowego pejzażu.

Przyszło mi nawet do głowy, żeby pójść nad jezioro i wykuć sobie w lodzie przerębel. Brakowało mi bólu towarzyszącego zanurzeniu się w lodowatej wodzie. Wiedziałem, że nie mogę tego zrobić. Musiałem zostać w pokoju razem z Harriet. Powinniśmy się ubrać, zjeść śniadanie i ruszyć w drogę.

Spróbowałem sobie wyobrazić sen, który tak gwałtownie ją zbudził. To, co opowiedziała, na początku brzmiało niejasno. Próbowała odtworzyć koszmar, ale znajdowała tylko jego skorupy. Pamiętała, że ktoś groził, że wbije w nią gwóźdź, jeśli nie odda mu swojego ciała. W końcu ten ktoś powiedział, że rozerwie jej klatkę piersiową. Działo się to w jakimś pokoju, a może na otwartej przestrzeni, nie była pewna. Otaczali ją ludzie, których twarzy nie była w stanie rozpoznać. Ich głosy brzmiały jak skrzeczenie drapieżnych ptaków.

W końcu się obudziła i wyrwała mnie krzykiem ze snu. Kiedy wyciągnąłem rękę, żeby ją uspokoić, a być może nawet uspokoić samego siebie, Harriet znajdowała się na granicy jawy i snu, wciąż jeszcze nie było wiadomo, kto zwycięży: rzeczywistość czy sen. To dlatego mnie uderzyła. Broniła się przed napastnikiem próbującym rozerwać jej klatkę piersiową. Porządnie mi przywaliła. Cios przypominał mi dzień, kiedy napadnięto mnie i obrabowano w Rzymie.

Tym razem jednak wszystkie moje kości były całe.

Wepchnąłem do nosa tampony ze zrolowanego papieru toaletowego i położyłem sobie na karku ręcznik zmoczony w zimnej wodzie. Wkrótce krwawienie ustało. Harriet zapukała do drzwi łazienki i zapytała, czy mi w czymś pomóc. Odmówiłem, bo chciałem mieć spokój, a kiedy wreszcie wyszedłem z łazienki, ona leżała w łóżku. Zauważyłem, że zdjęła koszulę nocną i powiesiła ją na wezglowiu. Widziała, że patrzę na jej bieliznę.

– Nie chciałam cię uderzyć – powiedziała.

– Przecież wiem. Śnił ci się jakiś koszmar.

– Zdawało mi się, że ktoś chce rozszarpać mnie na kawałki. Teraz moja część łóżka jest mokra od potu. Dlatego zdjęłam koszulę.

Usiadłem na krześle przy oknie wychodzącym na wielkie jezioro. Na zewnątrz wciąż było ciemno. Gdzieś w oddali szczekał pies. Były to pojedyncze szczeknięcia, jakby urwane w połowie zdania. Podobnie brzmi człowiek, który mówi, ale nikt go nie słucha.

Wtedy Harriet opowiedziała mi swój sen.

Przyglądałem się jej, myśląc, że jest tą samą osobą, którą kiedyś znałem i kochałem, mimo że teraz wygląda inaczej. W pierwszej chwili nie umiałem odgadnąć, skąd taka myśl, ale potem do mnie

dotarło, że to przez jej głos. Wcale się nie zmienił, mimo upływu lat. Dawniej wielokrotnie jej powtarzałem, że nadawałaby się na telefonistkę. Harriet miała najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem.

– W lesie czaiła się wroga kawaleria – opowiadała. – Nagle nadjechała i napadła na mnie, a ja nie miałam się jak obronić. Na szczęście już po wszystkim, bo to tylko sen. Mam też pewność, że ten koszmar nie powróci, bo takie sny nigdy nie śnią się dwa razy. Za pierwszym razem wypompowują się ze wszystkich sił i znikają.

– Wiem, że jesteś śmiertelnie chora – powiedziałem.

Nie planowałem tego, słowa same wypadły mi z ust.

Harriet spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Przeczytałem list, który masz w torebce – wyjaśniłem. – Szukałem wytłumaczenia, dlaczego wtedy upadłaś na lodzie. Znalazłem list i go przeczytałem.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej, że wiesz?

– Wstydzilem się, bo grzebałem w twoich rzeczach. Gdyby ktoś postąpił tak ze mną, byłbym wściekły.

– Zawsze węszyłeś. Zapamiętałam cię takiego.

– Nieprawda.

– Prawda. Myślę, że żadne z nas nie ma już siły kłamać. Mam rację?

Zaczerwieniłem się. Harriet się nie myliła. Często ulegałem pokusie zaglądania w rzeczy osobiste innych ludzi. Moja matka miała schowane pudełko listów z młodości, w których zwierzała się swojej przyjaciółce. Kiedy była już umierająca, związała je tasiemką i zażyczyła sobie, żebym je spalił. Zrobiłem to, ale najpierw je wszystkie przeczytałem. Przeglądałem pamiętniki moich dziewczyn, zaglądałem do ich szuflad, zdarzało mi się nawet przeszukiwać

szuflady kolegów z pracy i grzebać w portfelach pacjentów. Nie brałem pieniędzy, zależało mi na czymś innym. Łaknąłem cudzych tajemnic. Czułych miejsc innych ludzi. Lubiałem wiedzieć o sprawach, o których inni byli przekonani, że są ich sekretem.

Jedyną osobą, która mnie przyłapała, była Harriet.

Stało się to w domu jej matki. Na chwilę zostawiono mnie samego w salonie, więc zabrałem się za przetrząsanie sekretarzyka. Harriet bezszelestnie weszła do pokoju i zaskoczyła mnie pytaniem, co robię. Już wcześniej się zorientowała, że zaglądam do jej torebki. Był to jeden z najbardziej nieprzyjemnych momentów w moim życiu. Nie pamiętam, jak się wtedy tłumaczyłem, ale potem nigdy o tym nie mówiliśmy. Nie tknąłem więcej jej rzeczy, choć tamto przykre zdarzenie nie powstrzymało mnie przed węszeniem w sprawach i biurkach innych ludzi. Teraz Harriet przypomniała mi, kim kiedyś byłem.

Pogładziła dłonią prześcieradło obok siebie, dając mi w ten sposób znak, bym usiadł przy niej. Świadomość, że jest naga pod kołdrą, nagle mnie podnieciła. Usiadłem na łóżku i położyłem dłoń na jej ramieniu. Miała tam wzorek z ułożonych obok siebie kilku małych znamion. Rozpoznałem go. Nic się nie zmieniło, pomyślałem. Pomijając czas, który upłynął, jesteśmy tacy sami jak wtedy.

– Nie chciałam ci mówić o chorobie – odezwała się. – Mógłbyś pomyśleć, że dlatego cię odszukałam. Że desperacko szukam gdzieś pomocy.

– Nic nigdy nie jest do końca przesądzone – mruknąłem.

– Ani ty, ani ja nie wierzymy w cuda. Jeśli zdarza się coś takiego, to po prostu zwykły przypadek. Wiara w cuda i liczenie na nie to tylko strata skrupulatnie odmierzonego czasu. Pożyję jeszcze pół

roku, może rok. Wierzę, że z tabletkami na ból i tym balkonikiem uda mi się pociągnąć parę miesięcy. Więc proszę, nie mów mi, że nic nie jest przesądzone.

– Medycyna robi ogromne postępy. Czasem dzieje się to w zaskakująco szybkim tempie.

Harriet poprawiła poduszki za plecami i usiadła trochę wyżej.

– Czy wierzysz w to, co mówisz?

Nie odpowiedziałem. Przypomniałem sobie, że Harriet kiedyś twierdziła, że życie jest jak stosunek człowieka do jego butów. Nie można cały czas udawać, że leżą jak ulał. Jeśli obcierają, tak już jest i kropka.

– Chcę cię poprosić o coś jeszcze – powiedziała, nagle wybuchając śmiechem. – Możesz wyjąć ten papier z nosa?

– Czy o to chciałaś mnie prosić?

– Nie.

Poszedłem do łazienki i wrzuciłem do muszli brudne tampony. Nos przestał krwawić, ale wyglądało na to, że lada chwila spuchnie, a potem zostanie siniak. Z zewnątrz wciąż było słychać stłumione poszczekiwanie psa.

Wróciłem do pokoju i usiadłem na łóżku.

– Chcę, żebyś się położył obok mnie – oznajmiła Harriet. – Tylko tyle.

Spełniłem jej prośbę. Poczułem zapach jej ciała, pod cienką kołdrą wyraźnie rysowały się kontury jej sylwetki. Leżałem przy jej lewym boku, jak dawniej. Harriet wyciągnęła rękę i zgasła lampkę. Było między czwartą a piątą nad ranem. Przez okno wpadało do pokoju blade światło latarni oświetlającej fontannę na podjeździe budynku.

– Naprawdę chcę zobaczyć to obiecane jezioro – dodała Harriet po chwili. – Nigdy nie dostałam od ciebie pierścionka. Wprawdzie go nie chciałam, ale za to złożyłeś obietnicę. Chcę je zobaczyć, zanim umrę.

– Nie umrzesz.

– Oczywiście, że umrę. W życiu śmiertelnie chorego człowieka przychodzi moment, kiedy nie ma już siły zaprzeczać temu, co nieuniknione. Poza tym każdemu z nas od dnia urodzin towarzyszy śmierć. Nawet szalenie wie, kiedy nadchodzi jego czas.

Harriet zamilkła. Domyśliłem się, że ból przychodzi i odchodzi falami.

– Często się zastanawiałam, dlaczego mi wtedy nic nie powiedziałeś – podjęła. – Zrozumiałabym, gdybyś poznał kogoś innego, albo po prostu już mnie nie chciał. Ale dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Zawsze wiedziałeś, co robisz, nawet kiedy twierdziłeś, że jest inaczej. Dlaczego uciekłeś? Gdzie byłeś, kiedy ja czekałam na lotnisku, żeby cię pożegnać? Stałam tam godzinami. Nawet wtedy, kiedy został już tylko spóźniony czarter na Teneryfę. Potem zastanawiałam się, czy przypadkiem nie stałeś przez cały czas za jakimś filarem i mnie obserwowałeś. I śmiałeś się ze mnie.

– Dlaczego miałbym się z ciebie śmiać? Wtedy nie było mnie już w Szwecji.

Harriet zastanowiła się nad moimi słowami.

– Nie było cię już w Szwecji? – powtórzyła.

– Wyleciałem o tej samej porze, tym samym samolotem, ale dzień wcześniej.

– Zaplanowałeś to?

– Jadąc na lotnisko, nie wiedziałem, czy polecę. Po prostu tam pojechałem. Okazało się, że jeden z pasażerów się nie pojawił, więc przebukowałem lot.

– Nie wierzę ci.

– Mówię prawdę.

– I tak ci nie wierzę. Nie byłeś taki. Nie zrobiłbyś niczego bez przygotowania. Mawiałeś, że chirurg nigdy nie sięgnąłby po jakąś przypadkową okazję. A ty jesteś chirurgiem do szpiku kości. Wiem, że to zaplanowałeś. Jak możesz mi wmawiać coś, o czym wiem, że nie ma prawa być prawdą? Nic się nie zmieniłeś. Zawsze kłamałeś, a ja za późno to zauważyłam.

Ostatnie zdania Harriet wypowiedziała ostrym tonem, niemal je wykrzyczała. Próbowałem ją uspokoić, tłumacząc, by pomyślała o ludziach za ścianą.

– Nie obchodzą mnie – warknęła. – Wytłumacz mi, jak można postąpić tak, jak ty postąpiłeś ze mną.

– Już ci powiedziałem, że nie wiem.

– Robiłeś to wcześniej innym? Wabiłeś je w swoją sieć, a potem kazałeś im radzić sobie samym?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę nie masz nic więcej do powiedzenia?

– Staram się mówić szczerze.

– Znowu kłamiesz. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Jak ty ze sobą wytrzymujesz?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Jestem ciekawa, co naprawdę sobie myślisz – warknęła i niespodziewanie postukała mnie palcem w czoło. – Co masz tam w środku? Pustkę? Ciemność?

Potem położyła się i odwróciła do mnie plecami. Miałem nadzieję, że już po wszystkim.

– Naprawdę nie masz mi nic więcej do powiedzenia? – rzuciła jeszcze przez ramię. – Nawet „przepraszam”?

– Przepraszam.

– Gdybym nie była chora i taka słaba, uderzyłabym cię. I już nigdy nie dałabym ci spokoju. Prawie udało ci się zniszczyć mi życie. Miałam nadzieję usłyszeć coś, co pozwoliłoby mi to zrozumieć.

Nie odpowiedziałem. Zdawało mi się, że odczułem ulgę. Kłamstwo zawsze ciąży jak kamień, choć z początku może wydawać się lekkie. Harriet podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Zimno ci? – spytałem ostrożnie.

– Przez całe życie było mi zimno – odparła już zupełnie spokojnym głosem. – Szukałam ciepła na pustyniach w gorących krajach, ale czułam, że wszędzie towarzyszy mi tkwiący gdzieś we mnie lodowaty sopel. Każdy człowiek coś dźwiga: smutek, niepokój o inną osobę. W moim przypadku to lód. Ty dźwigasz pewnie to mrowisko w starej rybackiej chacie.

– Nigdy nie używam tego pokoju – odparłem. – Nie ogrzewam go zimą, a latem tylko czasami wietrzę. Zmarli w nim moi dziadkowie. Kiedy tam wchodzę, zdaje mi się, że słyszę ich oddechy i czuję ich zapach. Pewnego dnia odkryłem, że są tam mrówki, a kiedy zajrzałem do pokoju po paru miesiącach, zaczęły już budować mrowisko. Dałem im spokój.

Harriet się odwróciła.

– Co się z tobą stało? Nie jestem ciekawska, nie wiem, jak potoczyły się twoje losy, ale dlaczego przenieś się na odludzie?

Człowiek, który mnie do ciebie przywiózł, powiedział, że mieszkasz tam prawie od dwudziestu lat.

– Jansson to kawał drania. Opowiada, co mu ślina na język przyniesie. Mieszkam na wyspie dwanaście lat.

– Nie słyszałam jeszcze o lekarzu, który odszedłby na emeryturę w wieku pięćdziesięciu czterech lat.

– Coś się wydarzyło. Nie chcę o tym mówić.

– Mi możesz powiedzieć.

– Nie chcę.

– Wiesz, że wkrótce umrę.

Też odwróciłem się do niej plecami, myśląc, że nie powinienem był dać się namówić na tę wycieczkę. Nie chodziło jej o to głupie jezioro. Od początku chodziło jej o mnie.

Harriet nie pozwoliła mi dłużej rozmyślać.

Odwróciła się i przytuliła do mnie ciasno. Poczułem jak ciepło jej ciała ogarnia mnie i wypełnia miejsca, które od dawna zionęły pustką. Zawsze tak razem sypialiśmy. Myślałem sobie wtedy, że niosę ją na plecach do snu. Przemknęło mi przez myśl, że leżymy tak, odkąd pamiętam, od prawie czterdziestu lat, pogrążeni we śnie, i teraz nagle zaczynamy się budzić.

– Co się z tobą stało? – dopytywała. – Możesz mi wszystko powiedzieć.

– Popełniłem katastrofalny błąd podczas operacji. Później broniłem się, że nie ponoszę winy za to, co się stało, ale i tak zostałem ukarany. Nie przez sąd. Przez Krajową Radę do Spraw Zdrowia. Dali mi ostrzeżenie, a ja nie byłem w stanie tego znieść. Tyle jestem gotów ci powiedzieć. Nie pytaj o więcej.

– Dobrze, więc w zamian opowiedz mi o tym leśnym jezioro.

– Jest czarne i podobno nie ma dna. Nie ma też plaży ani żadnego wygodnego zejścia do wody. To ubogi krewny dużych pięknych jezior o przejrzystej wodzie. Kiedy się na nie patrzy, trudno uwierzyć, że to zwykłe jeziorko, a nie przypadkiem uroniona kropla atramentu, którym maluje przyroda. Gdy byłem dzieckiem, obserwowałem jak pływa w nim mój ojciec. Opowiadałem ci o tym. Nigdy jednak nie wyznałem, że tamtego dnia zrozumiałem, czym jest życie. Ludzie są ze sobą blisko po to, żeby się od siebie oddalać.

– Czy w tym jeziorku są ryby?

– Nie wiem. Ale jeśli tak, muszą być całkiem czarne. Albo przezroczyste, bo nie widać ich w ciemnej wodzie. Czarne ryby, czarne żaby, czarne wodne pająki. A na samym dnie, o ile ono istnieje, mieszka samotny węgorz, który leniwie porusza się w mule.

Harriet przytuliła się jeszcze mocniej. Pomyślałem, że jest umierająca i że ciepło jej ciała wkrótce wygaśnie. Zastąpi je chłód. Co takiego powiedziała o sobie chwilę temu? Że nosi w sobie lód? A zatem śmierć jest dla niej jak lód. Śmierć dla nikogo nie wygląda tak samo, deptający nam przez całe życie po piętach cień przybiera różne postaci. Miałem ochotę odwrócić się i przytulić ją z całej siły. Coś mnie jednak powstrzymało. Być może wciąż bałem się tajemniczej siły, która przed wieloma laty kazała mi ją zostawić? Zbyt dużej bliskości, uczuć, których nie umiałem nazwać?

Nie miałem pojęcia. I wcale nie byłem pewien, czy chcę znać odpowiedź.

Musiałem zasnąć na krótką chwilę. Kiedy się zbudziłem, Harriet siedziała na skraju łóżka. Z przerażeniem ujrzałem, jak opada na kolana i z trudem wlecze się do łazienki. Była zupełnie naga, miała ciężkie, obwisłe piersi i całe ciało dużo starsze, niż sobie

wyobrażałem. Nie umiałem ocenić, czy idzie w tej pozycji dlatego, że nie ma siły, czy też nie chce mnie zbudzić. Załzawiły mi oczy, więc nie widziałem wyraźnie, kiedy zamknęła za sobą drzwi. Gdy ponownie je otworzyła, stała już wyprostowana. Podeszła na chwiejnych nogach i znów się do mnie przytuliła.

– Nie śpię – szepnąłem. – Nie wiem, co się ze mną dzieje, straciłem nad wszystkim kontrolę.

– Złożyłam ci niespodziewaną wizytę. Nagle na łodzi przed twoim domem zjawiała się stara baba, znajoma z bardzo dawnych lat, i zażądała od ciebie dotrzymania obietnicy.

Poczułem, że Harriet piła. Czyżby schowała butelkę w łazience?

– Większości leków nie powinno się łączyć z alkoholem – powiedziałem.

– Jeśli musiałabym wybierać, wybrałabym picie.

– Ukrywasz się z tym.

– Wiem, że już dawno się zorientowałeś. Mimo to lubię udawać, że robię to w tajemnicy.

– Co pijesz?

– Zwyczajny bimber. Jutro musimy się zatrzymać przy sklepie monopolowym. Niedługo skończy mi się zapas.

Leżeliśmy w milczeniu, czekając na świt.

Harriet zapadała w krótkie drzemki. Pies, który szczekał przez większość nocy, w końcu się uspokoił. Wstałem i znów stanąłem przy oknie. Przyszło mi na myśl, że zamieniłem się we własnego ojca. Po pięćdziesięciu pięciu latach ja i on zliśmy się w jedno.

Tamtego dnia nad jeziorem uświadomiłem sobie jego samotność. Teraz dotarło do mnie, że ją odziedziczyłem.

Przeraziła mnie ta myśl. Nie chciałem takiego spadku.

Nie chciałem być mężczyzną, który każdego dnia musi zanurzać się w lodowatej wodzie, żeby poczuć, że żyje.

Opuściliśmy zajazd tuż przed dziewiątą.

Był mglisty poranek, termometr wskazywał ledwie kilka stopni powyżej zera, wiał słaby wiatr. W recepcji nie zastaliśmy mężczyzny, który wczorajszego wieczoru grał na pianinie. Była tam młoda kobieta. Zapytała, czy dobrze spaliśmy i czy jesteśmy zadowoleni. Harriet stała oparta o balkonik, oddalona ode mnie o parę kroków.

– Spaliśmy znakomicie – odparła. – Łóżko okazało się szerokie i bardzo wygodne.

Zapłaciłem za nocleg i zapytałem recepcjonistkę, czy ma jakąś mapę. Poszła gdzieś na parę chwil, a potem wróciła, niosąc ze sobą spory atlas drogowy.

– Proszę to zabrać – powiedziała. – To nic nie kosztuje. Parę tygodni temu mieliśmy gości z Lund. Zostawili go tu i się po niego nie zgłosili.

Chwilę później ruszyliśmy, prosto we mgłę.

Czuliśmy się jak w krainie pozbawionej dróg. Jechaliśmy powoli, bo mgła była gęsta jak mleko. Pomyślałem o tych wszystkich razach, kiedy wypływałem łodzią z zamglonej zatoki. Oparty na wiosłach czekałem, aż wielkie kłęby nadciągną znad oceanu i otoczą mnie bielą. W takich chwilach odczuwałem dziwne ukojenie i strach. Podczas częstych posiedzeń na ławce pod jabłonią babka opowiadała historie o ludziach, którzy wypłynęli w taką pogodę

i już nie wrócili. Pewnie wierzyła, że gdzieś w gęstej mgle jest dziura, która zasysa zabłąkanych.

Co jakiś czas na przeciwnym pasie błyskały światła samochodu lub ciężarówki, ale po chwili znów byliśmy sami.

W jednej z wiosek, które mijaliśmy, był sklep monopolowy. Kupiłem dla Harriet to, czego sobie życzyła, choć uparła się, że sama zapłaci za zakupy. Przyniosłem do auta półlitrowe butelki wódki, bimbru i koniaku.

Koło południa mgła zaczęła rzednąć, jednak w powietrzu wisiała śnieżyca, czułem to bardzo wyraźnie.

Harriet pociągnęła spory łyk z jednej z flaszek, nim zdążyłem odpalić silnik. Nie skomentowałem tego, bo na ten temat nie było już nic do powiedzenia.

Potem nagle sobie przypomniałem.

Aftonlöten. Tak nazywała się góra w pobliżu jeziora, nad którym stałem pewnego dnia, jako chłopiec, i przyglądałem się, jak mój gruby ojciec pływa w czarnej wodzie, szczęśliwy i zwalisty niczym mors.

Aftonlöten.

Pamiętam, że spytałem go, co ta nazwa znaczy. Nie wiedział. Sam też nigdy tego potem nie sprawdziłem.

Aftonlöten.

Nazwa ta brzmiała jak wyjęta z dawnej ludowej piosenki. To imię nosiła niepozorna góra, wysoka na ledwie sześćset metrów, leżąca między małym regionem o nazwie Ytterhogdal, jeziorem Linsjön a wsią Älvros.

Aftonlöten. Nic jednak nie powiedziałem Harriet, bo wciąż nie byłem pewien, czy znajdę tamto jezioro.

Zapytałem ją, jak się czuje. Przejechaliśmy prawie pięć kilometrów, nim odpowiedziała. Milczenie i odległość jakoś się ze sobą łączą, pomyślałem. Łatwiej jest milczeć, kiedy ma się do pokonania długą drogę.

Powiedziała, że nie czuje bólu. Wiedziałem, że to nieprawda, więc nie próbowałem ponownie ją o to pytać.

Blisko granicy z prowincją Härjedalen zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. Na parkingu przed przydrożną gospodą stał tylko jeden samochód. To miejsce w jakiś sposób zbiło mnie z tropu, ale nie rozumiałem dlaczego. W budynku zbudowanym z grubych drewnianych bali płonął ogień w kominku. Pachniało sokiem z czerwonych borówek, pamiętałem ten zapach z dzieciństwa. Nie sądziłem, że dziś jeszcze ktoś go robi, okazało się jednak, że w tym miejscu go podają.

Usiedliśmy w dużej sali, której ściany zostały ozdobione porożami łosi oraz wypchanymi ptakami, które wpatrywały się w nas szklanymi oczami. Na półce leżała nawet jakaś czaszka. Nie mogłem się powstrzymać, by spróbować odgadnąć, jakie to zwierzę. Minęła długa chwila, nim wreszcie się domyśliłem, że to czaszka niedźwiedzia. Kelnerka, która wcześniej zaproponowała nam najróżniejsze dania, wróciła do naszego stolika i zastała mnie z czaszką ręce.

– Ten niedźwiedź padł sam – skomentowała. – Chociaż mój mąż upierał się, bym mówiła gościom, że to on go zastrzelił. Teraz sam nie żyje, więc mówię prawdę. Niedźwiedź zdechł i długo leżał w okolicach Risvattnet, nim mąż go znalazł. To było stare zwierzę, które pewnie położyło się w dolinie, żeby tam zakończyć swój żywot.

Nagle sobie przypomniałem, że już kiedyś byłem w tym miejscu. Podczas tej samej wycieczki z ojcem. Być może wspomnienie przywołał zapach soku z borówek. Siedziałem z ojcem w tej sali, jedliśmy i popijaliśmy sok.

Czy już wtedy na ścianach wisiały wypchane ptaki i wpatrywały się w gości szklanymi oczami? Nie pamiętałem. Miałem tylko pewność, że byłem w tym miejscu jako mały chłopiec. Przed oczami stanął mi obraz ojca ocierającego usta serwetką, zerkającego na zegarek i upominającego mnie, żebym się śpieszył, bo przed nami jeszcze długa droga.

Obok kominka wisiała na ścianie mapa. Zlokalizowałem na niej Aftonlöten, jezioro Linsjön oraz jeszcze jedną górę, o której nie pamiętałem.

Nazywała się Fnussjen.

Nazwa ta była niezrozumiała, brzmiała jak żart. Żart wysoki na pięćset metrów i gęsto porośnięty ciemnym lasem. Zupełne przeciwieństwo Aftonlöten – ta nazwa brzmiała poważnie i pięknie.

Zamówiliśmy potrawkę z wołowiny. Zjadłem szybciej niż Harriet i usiadłem przy kominku, żeby na nią poczekać.

Kiedy i ona skończyła posiłek, razem skierowaliśmy się do wyjścia, ale Harriet utknęła z balkonikiem na progu. Ruszyłem jej na pomoc.

– Dam sobie radę – warknęła.

Jej głos zabrzmiał jak ryk lwa.

Chwilę później szliśmy powoli do samochodu przez parking pokryty śniegiem. Nigdy razem nie mieszkaliśmy, pomyślałem, a mimo to wszyscy, których spotykamy po drodze, biorą nas za stare dobre małżeństwo, mające do siebie nawzajem niewyczerpaną cierpliwość.

– Nie mam już siły na dziś – oznajmiła Harriet, kiedy zajęła miejsce w samochodzie.

Zauważyłem, że ma czoło spocone z wysiłku i półprzymknięte oczy, jakby zaraz miała położyć się spać. Umiera, pomyślałem. Umiera tu, w moim samochodzie. Często się zastanawiałem, w jakich okolicznościach umrę. W łóżku, na ulicy, w sklepie czy może na moim pomoście, kiedy będę oczekiwał na Janssona? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można umrzeć w samochodzie.

– Muszę odpocząć – szepnęła Harriet. – Inaczej nie wiem, co się ze mną stanie.

– Powinnaś mi mówić, na co masz siłę, a na co nie – skarciłem ją.

– Właśnie ci mówię. Niech jutrzejszy dzień będzie dniem leśnego jeziora. Dziś nie mam już siły.

W najbliższej miejscowości znalazłem mały pensjonat. Mieścił się w żółtym domu stojącym za kościołem. Powitała nas sympatyczna kobieta, a kiedy zobaczyła balkonik Harriet, dała nam duży pokój na parterze. Właściwie chętnie wziąłbym osobny pokój dla siebie, ale nic nie powiedziałem. Harriet położyła się na łóżku, ja zaś zacząłem przeglądać leżące na stoliku gazety. Potem też usnąłem. Parę godzin później wyszedłem i kupiłem pizzę w opustoszałym barze. Siedział tam tylko jeden gość, starszy, mruczący coś do siebie mężczyzna z psem leżącym u jego stóp.

Zjedliśmy, siedząc na łóżku. Harriet wciąż czuła się bardzo zmęczona, więc kiedy skończyła jeść, znowu się położyła. Spytałem ją, czy chce porozmawiać, ona jednak tylko pokręciła głową.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, znowu wyszedłem i pospacerowałem po miejscowości. Wiele sklepików było zamkniętych i ziało pustymi witrynami. Na drzwiach miały

przyklejone kartki z nazwiskami i numerami telefonów tych, do których mogli się zwrócić potencjalni chętni na wynajem lokali. Wyglądało to jak rozpaczliwe wołanie o pomoc. Przygnębiło mnie to małe szwedzkie miasteczko, położone gdzieś na leśnym, zaśnieżonym odludziu. Wyspa moich dziadków również stanowiła część tego opuszczonego, nikomu niepotrzebnego szwedzkiego archipelagu, składającego się nie tylko z ciągnących się wzdłuż wybrzeża wysepek, ale i z niezliczonych małych miejscowości ukrytych w lasach. Tu na lądzie nie było pomostów ani wściekle warczących hydrokopterów wzburzających tumany śniegu, kiedy podjeżdżały z najnowszą pocztą i plikiem reklam. Mimo to, spacerując po tej opustoszałej miejscowości, miałem wrażenie, że poruszam się po malutkich wyspach. Z nielicznych okien padało na śnieg niebieskie światło telewizorów, tu i tam przebijał się jakiś dźwięk, dobiegały strzępki programów. Również tak wyobrażałem sobie czasem samotność: stan, w którym każdy ogląda inny program telewizyjny. Wieczorami pokolenia lub całe rodziny zagrzebują się w swoich oddzielnych światach, nadawanych przez satelity.

Dawniej można było przynajmniej porozmawiać o tym, co się oglądało zeszłego dnia w telewizji. O czym rozmawia się dziś?

Zatrzymałem się przy budynku, który kiedyś służył jako dworzec kolejowy, i zawiązałem ciasniej szalik. Było zimno, na dodatek zerwał się wiatr. Wszedłem na pusty peron. Na pokrytej głębokim śniegiem bocznicy stał wagon towarowy, samotny niczym zapomniany byk w swoim boksie. W słabym świetle latarni spróbowałem odczytać rozkład zamieszczony na ścianie budynku dworca za rozbitą szybą. Spojrzałem na zegarek. Za kilka minut powinien przejechać pociąg zmierzający na południe. Odwróciłem się twarzą do peronu i pomyślałem, że na świecie zdarzały się

dziwniejsze rzeczy niż pociąg widmo, pojawiający się znikąd na opuszczonym peronie, po chwili znikający na żelaznym moście nad skutą lodem rzeką.

Pociąg nie nadjechał. Nic się nie wydarzyło. Przemknęło mi przez myśl, że gdybym miał trochę siana, rzuciłbym je samotnemu wagonowi.

Po chwili ruszyłem przed siebie. Niebo było gwiazdziste. Spróbowałem dostrzec na nim jakiś ruch, spadającą gwiazdę, satelitę, może szept jakiegoś boga, który mieszka tam, zdaniem niektórych. I tym razem nic się nie zdarzyło. Nocne niebo milczało. Poszedłem w stronę mostu wiszącego nad zamarznąłą rzeką. Spojrzałem z niego w dół i dostrzegłem, że na lodzie leży duża kłoda. Wyglądała jak czarna drzazga na białym tle. Nie mogłem sobie przypomnieć, jak nazywa się rzeka. Wydawało mi się, że to Ljusna, ale nie byłem pewien.

Długo stałem na moście. W pewnej chwili spostrzegłem, że nie jestem tu sam. Pod żelaznymi przesłami stali jacyś mężczyźni. Nagle rozpoznałem w nich samego siebie, osobę w różnym wieku, od małego chłopca, biegającego po wyspie dziadków, przez dorosłego mężczyznę, który porzucił Harriet, skończywszy na sobie takim, jakim byłem teraz. Na krótką chwilę odważyłem się spojrzeć na mężczyznę, jakim się stałem.

Szukałem wzrokiem kogoś innego niż ja, kogoś, kim mogłem się stać, lecz nikogo nie znalazłem. Nawet takiego, który nosiłby jedzenie gościom w restauracji, jak mój ojciec.

Nie wiem, jak długo tam stałem. Kiedy ruszyłem z powrotem do pensjonatu, postaci zniknęły.

Wsunąłem się pod kołdrę, przytuliłem policzek do ramienia Harriet i zasnąłem.

Śniło mi się, że wspinam się po żelaznym moście. Była ciemna noc, a ja stanąłem na samym szczycie konstrukcji i wiedziałem, że za chwilę uderzę o lód.

Gdy nazajutrz zaczęliśmy szukać właściwej drogi do jeziora, padał śnieg. Nie pamiętałem jak wyglądała, a jednostajny krajobraz nie dawał mi żadnej podpowiedzi. Miałem jedynie pewność, że jezioro jest blisko, pośrodku trójkąta, którego wierzchołki stanowiły Aftonlöten, Ytterhogdal i Fnussjen.

Harriet zdawała się czuć trochę lepiej niż zeszłego dnia. Kiedy się obudziłem, była już ubrana i gotowa do wyjścia. Zjedliśmy śniadanie w małej sali, gdzie nie siedział nikt oprócz nas. Tej nocy Harriet znowu przyśnił się sen. Chodziło w nim o nas, wycieczkę nad jezioro Mälaren, którą odbyliśmy, będąc jeszcze parą. Pamiętałem to jak przez mgłę.

Przytaknąłem jednak, kiedy Harriet wspominała ten wypad. Oczywiście, że pamiętam, zapewniłem. Pamiętam wszystko dokładnie.

Zaspy były wysokie, a dróg wiodących w głąb lasu było niewiele, na dodatek większość z tych, które mijaliśmy, była nieodśnieżona. Nagle stanęło mi przed oczami wspomnienie z młodości. Miało ono coś wspólnego z drogami do zwózki drewna.

Lato pewnego roku spędziłem u krewnych ojca w prowincji Jämtland. Babka zachorowała, więc nie mogłem pojechać na wyspę. W nowym miejscu poznałem kolegę, chłopca w moim wieku. Jego ojciec był przewodniczącym sądu rejonowego. Razem chodziliśmy do jego kancelarii i grzebaliśmy w teczkach z aktami sądowych spraw i policyjnych dochodzeń. Najbardziej interesowały nas sprawy o ustalenie ojcostwa, ze szczególnym uwzględnieniem opisów

zdarzeń, do jakich dochodziło na tylnych siedzeniach samochodów w sobotnie wieczory. Samochody te prawie zawsze zaparkowane były na leśnych drogach. Śmialiśmy się, że chyba nie ma w tym kraju człowieka, który nie zostałby spłodzony na tylnym siedzeniu auta. Z wypiekami czytaliśmy protokoły z przesłuchań młodych mężczyzn, próbujących wybronić się od odpowiedzialności za to, do czego doszło na tej czy tamtej leśnej drodze. W zeznaniach często wspominali, że padał śnieg, co do reszty żaden z nich nie miał pewności. Natomiast kobiety upierały się, że był to na pewno *ten*, a nie żaden inny mężczyzna, z całkowitą pewnością *to* tylne siedzenie *tego* właśnie samochodu i żadna inna leśna droga, ale właśnie *ta*. Napawaliśmy się szczegółami intymnych zajęć, marząc w ukryciu, by i nam zdarzyło znaleźć się sam na sam z dziewczyną w samochodzie zaparkowanym na ośnieżonej leśnej drodze.

Takie właśnie jest życie, pomyślałem. Wszystko, za czym tęsknimy, odbywa się zawsze na jakiejś leśnej drodze.

Nie wiem dlaczego, ale opowiedziałem tę historię Harriet. W końcu zacząłem skręcać w każdą kolejną drogę wiodącą w las.

– Ja nie zamierzam opowiadać ci o moich doświadczeniach z tylnego siedzenia w samochodzie – powiedziała. – Nie mówiłam o tym, kiedy byliśmy razem, nie zrobię tego i teraz. W życiu każdej kobiety zdarzają się chwile poniżenia, najgorsze przytrafiają się nam, kiedy jesteśmy bardzo młode.

– Pamiętam, że kiedyś, kiedy jeszcze byłem lekarzem, zastanawialiśmy się z kolegami w pracy, ilu ludzi nie ma pojęcia, kto tak naprawdę jest ich ojcem. Wielu mężczyznom udaje się wykręcić od odpowiedzialności, inni biorą dziecko za swoje. Często same matki nie wiedzą, kto jest ojcem ich dziecka.

– Jedyne, co zapamiętałam z tych wczesnych i beznadziejnych prób uprawiania seksu, to moje zdziwienie, że ludzkie ciało potrafi tak dziwnie pachnieć. Zarówno moje, jak chłopca, który się na mnie wspinał. To wszystko, co pamiętam. Nerwowe podniecenie i te przedziwne zapachy.

Na drodze, w którą skręciliśmy, nagle niczym wielki dziki zwierz, wyrosła przed nami jakaś maszyna. Zahamowałem gwałtownie i wjechałem zderzakiem w zaspę. Mężczyzna prowadzący potwora zeskoczył z wysokiej szoferki. Popchnął nasz samochód, kiedy zacząłem cofać. Wyswobodziliśmy się, choć trwało to chwilę. Wsiadłem z auta. Mężczyzna był potężnie zbudowany i miał górną wargę nieco wydętą od porcji snusa². W pewien sposób przypominał maszynę, którą prowadził, uzbrojoną w podnośniki i wielkie szczypce.

– Zbubiołeś się? – zapytał.

– Szukam pewnego małego jeziorka.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Czego szukasz?

– Leśnego jeziorka. Małego, o czarnej wodzie.

– Nazywo się jakoś?

– Nie, nie ma żadnej nazwy.

– To se możesz szukać. Tu je w cholere taki wody. Możesz se wybroć. Na co ci ono?

Dotarło do mnie, że tylko dureń może szukać bezimiennego jeziorka w zaśnieżonym lesie. Dlatego zdecydowałem się powiedzieć prawdę. Brzmiała tak niezwykle, że niejeden dałby jej wiarę.

– Pływołeś gdzieś tu z ojcem pińdziesiont lot tymu? Tak godosz?

– Dawno temu obiecałem tej pani, która siedzi w samochodzie, że pokażę jej to jeziorko. Ona jest bardzo chora.

Widziałem, że mężczyzna waha się, ale w końcu zdecydował się mi uwierzyć. Prawda często brzmi niewiarygodnie, pomyślałem.

– I od ty wody jej się poprawi?

– Być może.

Kierowca potwora zastanowił się chwilę i pokiwał głową.

– Na końcu ty drogi je taka mała woda. Może to ta?

– Pamiętam, że jeziorko było idealnie okrągłe, małe i nie miało zejścia do wody, tylko otaczała je ściana lasu.

– To może będzie tamto – potwierdził mężczyzna, pokazując w stronę, z której przyjechał.– A jak nie, to nie wiem. Tu w lesie pełno taki wody.

Podniósł rękę na pożegnanie i dodał:

– Nazywom się Harald Svanbäck. Nie spotyko się tu dużo ludu zimom. Rzadko kiedy. Życze wam szczynścia. To twojo matka, ta w aucie?

– Nie.

– Ale czyjoś na pewno.

Harald Svanbäck wdrapał się do szoferki, włączył silnik i z rykiem minął nasz samochód. Usiadłem za kierownicą.

– Jakim językiem on mówił? – spytała Harriet.

– Tutejszym. Albo jakimś leśnym. W tych stronach chyba każdy mówi swoim własnym dialektem, ale wszyscy się rozumieją. Wolą mieć swoje języki, bo z nimi czują się pewniej. Czasem zdaje mi się, że w przygranicznych krainach każdy człowiek reprezentuje inną rasę, inny naród, plemię, ma swoją oddzielną historię. Kiedy zostaje sam i w końcu odchodzi, nikt nie tęskni za jego językiem. Język umiera z nim. Mimo to, na szczęście, zawsze coś z tych tradycji przeżywa.

Jechaliśmy powoli. Las otulał nas ciasno, a dróżka zaczęła się lekko wspinać. Czy pamiętałem, żeby było tak wtedy, kiedy ojciec wiozł mnie starym, gołębioblękitnym Chevroletem, o którego zawsze tak dbał? Czy droga wiodła pod górę? Coś mi podpowiadało, że zmierzamy w dobrym kierunku. Minęliśmy świeżą wycinkę. Las w tym miejscu był powalony wielką maszyną, którą władał olbrzym Harald. W tamtej chwili ten las i wijąca się w nim dróżka zdały się nie mieć końca. Spojrzałem w lusterko wsteczne, ciekaw, czy droga za nami natychmiast zarasta. Czułem się tak, jakbym podróżował do przeszłości. Pomyślałem o zeszłym wieczorze, moim samotnym spacerze, moście i cieniach z dawnego życia. Być może w miejscu, do którego zmierzamy, trwa lato i czekają na nas mój ojciec oraz ja sam?

Minęliśmy kilka ostrych zakrętów. Zaspy piętrzyły się coraz wyżej.

Wreszcie droga dobiegła końca.

Przed oczami miałem okrągłe jezioro pokryte lodem i śniegiem. Zatrzymałem samochód i zgasilem silnik. Dotarliśmy na miejsce. Nie miałem wątpliwości, że to właściwe jezioro. Wróciłem do niego po pięćdziesięciu pięciu latach.

Okrywająca je biała kołdra zachęcała, by na nią wejść. Poczułem wdzięczność do Harriet, że odnalazła mnie na mojej wyspie. Była posłańcem, choć wysłanym przez samą siebie. A może to ja ją wezwałem? Czyżbym przez te wszystkie lata tylko czekał, aż wreszcie przybędzie?

Nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko, że dotarliśmy na miejsce.

Oznajmiłem Harriet, że ma przed sobą obiecane jezioro. Długą chwilę wpatrywała się w jego białą tafłę.

– A więc pod tym śniegiem jest woda? – spytała.

– Czarna woda – przytaknąłem. – Ale teraz jest pogrążona we śnie. Woda oraz wszystkie żyjące w niej stworzenia. To jednak bez wątpienia jeziorko, którego szukaliśmy.

Wysiedliśmy z samochodu. Wyjąłem balkonik z bagażnika, lecz chodzik utknął w głębokim śniegu. Sięgnąłem po łopatę, żeby odgarnąć nam drogę.

– Usiądź w cieple – powiedziałem do Harriet. – Włączę silnik i pójde odśnieżyć ścieżkę. Dokąd chcesz dojść? Do samego brzegu?

– Chcę stanąć na środku jeziora – oświadczyła.

– To nie jest jezioro, zobacz, jest niewiele większe niż oczko wodne.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, pomogłem Harriet usiąść w samochodzie i zacząłem odgarniać śnieg. Pod pokrywą białego puchu była gruba warstwa chropowatego lodu, więc trudno było odśnieżać. Przyszło mi do głowy, że w każdej chwili mogę się przewrócić i umrzeć z wyczerpania.

Przestraszyłem się. Zacząłem ostrożniej machać łopatą i starałem się wsłuchać w bicie swojego serca. Podczas ostatniej kontroli wyszło mi, że mam trochę za wysoki cukier. Pozostałe wyniki miałem w porządku, wiedziałem jednak, że atak serca może mieć niewykrywalne przyczyny, potrafi uderzyć znienacka, niczym

zamachowiec samobójca, wysadzający się w przedsionku serca lub którejś jego komorze.

Nie tak rzadko się zdarza, że mężczyźni w moim wieku dosłownie ścina z nóg podczas odśnieżania. Umierają nagłą, trochę zenującą śmiercią, dzierżąc w zeszywniałych palcach metalowy trzonek łopaty.

Odśnieżenie drogi na środek jeziora zajęło mi sporo czasu. Cały zlałem się potem i czułem ból w plecach i rękach. Wycieńczony, wreszcie dotarłem do celu. Za samochodem unosiła się siwa chmura spalin, ale tu, na środku jeziora, nie słyszałem warkotu silnika. Otaczała mnie cisza. Nie śpiewał ani nie trzepotał skrzydłami żaden ptak, drzewa stały nieruchomo.

Zamarzyłem, by móc w tej chwili zobaczyć samego siebie z odległości, ukrytego wśród drzew.

Idąc do samochodu, pomyślałem, że za parę chwil będzie po wszystkim. Odwiozę Harriet tam, gdzie będzie chciała i się pożegnamy. Wciąż wiedziałem tylko tyle, że mieszka w Sztokholmie. Będę mógł wrócić na moją wyspę. Wpadłem też na pomysł, by przed powrotem wysłać pocztówkę do Janssona. Nigdy bym się nie spodziewał, że kiedyś do niego napiszę, ale teraz go potrzebowałem. Postanowiłem, że kupię pocztówkę z niekończącym się lasem, najchętniej taką, na której drzewa okrywa śnieg. Potem narysuję w jakimś miejscu krzyżyk i napiszę: „Tu jestem. Niedługo wrócę. Nakarm moje zwierzęta”.

Kiedy dotarłem do auta, Harriet już była na zewnątrz i opierała się o balkonik. Razem ruszyliśmy ścieżką, którą dla niej przygotowałem. Miałem wrażenie, że wyglądamy jak procesja krocząca w stronę ołtarza.

Byłem ciekaw, co ona sobie w tej chwili myśli. Rozglądała się, szukała oznak życia wśród drzew. Jednak otaczała nas cisza, zmacona jedynie cichym warkotem silnika.

– Zawsze się bałam wchodzić na lód – powiedziała nagle.

– I mimo to odważyłaś się przyjechać na moją wyspę?

– To, że człowiek się czegoś boi, nie musi oznaczać, że nigdy nie przezwycięży strachu i nie zdobędzie się na odwagę, by zrobić to, czego się obawia.

– To jezioro na pewno nie jest zamrożone do samego dna – powiedziałem. – Ale lód jest gruby, ma pewnie z metr. Uniósłby słonia, gdyby zaszła taka konieczność.

Harriet parsknęła śmiechem.

– Czyż to nie byłoby zabawne? Gdybyś sprowadził słonia, żeby mnie uspokoić? Może byłby to święty słoń, niosący ukojenie wszystkim, którzy boją się cienkiego lodu.

Dotarliśmy na sam środek tafli.

– Chyba potrafię je sobie wyobrazić – mówiła dalej Harriet. – Widzę wyraźnie, jak wygląda, kiedy nie ma lodu i śniegu.

– Jest najładniejsze, kiedy pada deszcz – odparłem. – Zastanawiam się, czy jest coś piękniejszego niż spokojny szwedzki letni deszcz. W innych krajach ludzie mają wspaniałe budynki, strzeliste górskie szczyty, a my mamy łagodny letni deszcz.

– I ciszę – dodała.

Długą chwilę nic nie mówiliśmy. Zastanawiałem się, co oznacza nasze przybycie do tego miejsca, oprócz tego, że została dotrzymana obietnica, choć stało się to o wiele lat za późno. Na tym koniec. Tu nasza podróż dobiegała końca. Pozostał jedynie epilog, czyli kilkaset kilometrów wiodącymi na południe zaśnieżonymi drogami.

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego – odezwała się Harriet. –
Dlaczego chciałeś mnie zabrać akurat tu.

– Czy teraz już rozumiesz?

– Być może. Jestem pewna, że latem jest tu bardzo pięknie.

Spojrzała na mnie.

– Czy byłeś tu po tym, jak mnie porzuciłeś? Byłeś tu z kimś
innym?

– Nawet mi to nie przyszło do głowy.

– Dlaczego mnie zostawiłeś? – spytała z naciskiem.

Zauważyłem, że znów się zdenerwowała. Mocno zaciskała pięści
na poręczy balkonika.

– Zadałeś mi niewyobrażalny ból – warknęła. – Musiałam
poświęcić tak wiele siły, żeby o tobie zapomnieć, a mimo to nigdy
mi się to do końca nie udało. A teraz, kiedy stoję na lodowej
pokrywie twojego jeziora, żałuję, że cię odszukałam. Czego ja się
spodziewałam? Sama już nie wiem. Niedługo umrę. Po co więc
rozdrapuję stare rany? Co ja tu robię?

Staliśmy w milczeniu nie dłużej niż minutę. Otaczała nas cisza,
nie patrzyliśmy na siebie. Potem Harriet obróciła balkonik i ruszyła
z powrotem. Zawahałem się na parę sekund, ale po chwili
poszedłem za nią. Myślałem o tym, że wkrótce będzie po wszystkim.
Zbliżał się koniec wycieczki.

W śniegu leżało coś, czego nie zauważyłem podczas torowania
drogi. Było czarne. Zmrużyłem oczy, próbując dostrzec, co to
takiego. Martwe zwierzę? Kamień? Harriet nie zorientowała się, że
przystanąłem. Zboczyłem ze ścieżki i zacząłem brnąć w śniegu
w stronę czarnego przedmiotu.

Powinienem był wyczuć niebezpieczeństwo. Moja wiedza
i znajomość właściwości lodu powinny były mnie ostrzec. Za późno

zorientowałem się, że czarny kształt na śniegu to woda, choć wiedziałem, że czasem, z zupełnie nieznanymi przyczynami, pewien fragment lodowej skorupy może być dużo cieńszy. Stałem jak wryty i zdołałem nawet zrobić krok w tył, lecz było za późno. Lód rozstąpił się przede mną i opadłem w dół. Woda sięgnęła mi pod samą brodę. I choć powinienem być odporny na szok termiczny, zahartowany kąpielami w przeręblu, krzyknąłem. Dopiero kiedy wrzasnąłem po raz drugi, Harriet mnie usłyszała i zorientowała się, co się stało. Chłód zdążył już otępić moje ruchy, czułem pieczenie w piersi, rozpaczliwie łapałem powietrze i wierzgałem nogami, próbując wyczuć dno. Wbiłem palce w lód, ale dłonie miałem już zbyt zdrętwiałe, by móc coś chwycić.

Wrzeszczałem ze strachu. Później Harriet powiedziała mi, że brzmiało to jak wycie zwierzęcia.

Moja towarzyszka podróży była najmniej odpowiednią osobą do niesienia mi w tamtej chwili pomocy, sama ledwo stała na nogach.

Mimo to zaskoczyła mnie, pewnie w takim samym stopniu zaskoczyła samą siebie. Podeszła z balkonikiem tak szybko, jak tylko była w stanie to zrobić, potem położyła się na brzuchu, przewróciła chodzik na bok i podsunęła mi go na tyle blisko, że zdołałem złapać za kółko. Nie wiem, jak udało mi się wydostać z wody. Harriet musiała ciągnąć mnie z całych sił, jednocześnie się cofając. Kiedy wreszcie znalazłem się na brzegu, dowlokłem się do samochodu. Słyszałem za sobą głos Harriet, ale nie wiem, co do mnie mówiła. Wiedziałem natomiast, że jeśli się przewrócę, nie będę miał siły wstać. Byłem w wodzie nie dłużej niż kilka minut, jednak wystarczająco długo, by otrzeć się o śmierć. Nie zachowałem żadnego wspomnienia z drogi między jeziorkiem a samochodem. Nic nie widziałem, być może zamknąłem oczy, by nie patrzeć, jak

daleka droga została mi jeszcze do auta. Kiedy wreszcie uderzyłem twarzą o szybę bagażnika, myślałem tylko o tym, żeby jak najszybciej zedrzeć z siebie lodowate ubranie i owinać się kocem leżącym na tylnym siedzeniu. Nie pamiętam również, jak się rozbierałem. Zapamiętałem jedynie silny zapach spalin. Wreszcie udało mi się otworzyć tylne drzwi samochodu, wejść do środka i owinać się kocem. Potem zapadła ciemność.

Gdy się obudziłem, Harriet tuliła mnie mocno, tak samo naga jak ja.

Paralizujące mnie wcześniej zimno zmieniło się w nieznośne pieczenie. Pierwsze, co zobaczyłem po otwarciu oczu, to odsłonięty kark Harriet. Powoli sobie przypominałem, gdzie jestem.

Dotarło do mnie, że żyję. A Harriet rozebrała się do naga i weszła pod koc, żeby ogrzać mnie swoim ciałem.

Zorientowała się, że się ocknałem.

– Dalej ci zimno? Mogłeś umrzeć – powiedziała.

– Lód po prostu się przede mną rozstał.

– Myślałam, że wyje jakieś zwierzę. Nigdy wcześniej nie słyszałam cię krzyczącego w taki sposób.

– Ile czasu minęło?

– Godzina.

– Tak długo?

Zamknąłem oczy. Wydawało mi się, że moje ciało płonie.

– Pragnęłam zobaczyć jeziorko, ale nie chciałam, żebyś stracił tu życie.

Wiedziałem, że już po wszystkim. Byliśmy dwojgiem starych ludzi, siedzących nago na tylnym siedzeniu w starym samochodzie. Wcześniej rozmawialiśmy o tym, co kiedyś robiono i pewnie dalej się robi na tylnych kanapach aut zaparkowanych na wąskich leśnych

drózkach. Ludzie kochali się a potem uciekali od odpowiedzialności. Lecz my dwoje, którzy wspólnie mieliśmy sto trzydzieści pięć lat, tylko tuliliśmy się do siebie, jedno dlatego, że cudem przeżyło, drugie z uczuciem ulgi, że nie zostało samo głęboko w lesie.

Po kolejnej godzinie Harriet przeniosła się do przodu i włożyła ubranie.

– Łatwiej to wychodziło, kiedy było się młodym – powiedziała. – Taka niezgrabna stara baba jak ja z trudem ubiera się w aucie.

Kiedy się z tym uporała, wyjęła mój plecak z bagażnika. Zanim podała mi ubranie, ogrzała je przy kratce, z której wydobywało się ciepłe powietrze z silnika. Wyjrzałem przez szybę i dostrzegłem, że zaczął padać śnieg. Zaniepokoiłem się, że leśna droga stanie się nieprzejezdna i nie wydostaniemy się na główną drogę.

Ubrałem się tak szybko, jak byłem w stanie, niezdarnie poruszając wciąż zgrabiałymi palcami, jakbym był pijany.

Kiedy wreszcie ruszyliśmy i zaczęliśmy oddalać się od jeziora, śnieg padał gęsto. Na szczęście drogą wciąż dało się przejechać.

Wróciliśmy do pensjonatu, w którym spędziliśmy poprzednią noc. Tym razem Harriet musiała wybrać się z balkonikiem po pizzę, którą mieliśmy zjeść na kolację.

Po jedzeniu wypiliśmy na spólkę koniak Harriet.

Ostatnim, co widziałem przed zaśnięciem, była jej twarz.

Wydawało mi się, że się uśmiecha. Miałem nadzieję, że naprawdę tak było.

10

Kiedy się obudziłem, Harriet siedziała na łóżku i studiowała atlas drogowy. W całym ciele czułem rwący ból, jakby ktoś mnie poobił. Zapytała, jak się czuję. Odparłem, że dobrze.

- Domagam się odsetek – powiedziała z uśmiechem.
- Jakich odsetek? – zdziwiłem się.
- Odsetek od obietnicy. Minęło tyle lat.
- W jakiej postaci?
- Pojedziemy okrężną drogą.

Wskazała palcem miejsce, w którym się znajdowaliśmy, a potem, zamiast pociągnąć palcem w dół, przesunęła go na wschód, w stronę wybrzeża i prowincji Hälsingland. Zatrzymała się w pobliżu miasta Hudiksvall.

- Tutaj – oznajmiła.
- Co tam jest?
- Tam mieszka moja córka. Chcę, żebyś ją poznał. Wyprawa tam zajmie nam dodatkowy dzień, może dwa.
- Dlaczego mieszka akurat tam? – chciałem wiedzieć.
- A dlaczego ty mieszkasz na wyspie?

Oczywiście stało się tak, jak chciała Harriet. Pojechaliśmy w kierunku wybrzeża. Otaczający nas pejzaż był wciąż taki sam, wszędzie widzieliśmy podobne do siebie domy z talerzami anten satelitarnych i opustoszałe podwórza.

Późnym popołudniem Harriet zakomunikowała, że jest zmęczona i już dłużej nie może. Zatrzymaliśmy się w hotelu w Delsbo, gdzie

przydzielono nam mały zakurzony pokoik. Harriet połknęła leki i tabletki przeciwbólowe, po czym niemal natychmiast zasnęła, wycieńczona. Być może napiła się alkoholu, chociaż tego nie zauważyłem. Wyszedłem, znalazłem aptekę i kupiłem broszurę z opisami różnych lekarstw. Potem usiadłem w cukierni i zacząłem studiować informacje o środkach, jakie przyjmowała Harriet.

Dziwnie się czułem, rozmyślając o jej chorobie przy stoliku z filiżanką kawy i ciastkiem w towarzystwie wrzeszczących dzieci, domagających się uwagi swoich zaczytanych w kolorowych czasopismach matek. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że znów znalazłem się w świecie, który porzuciłem, uciekając na wyspę dziadków. Przez dwanaście lat udawałem, że za moją zatoką i skałami nie ma już nic, nie ma tam świata, który by mnie cokolwiek obchodził. Stałem się pustelnikiem, niemającym pojęcia, co dzieje się na zewnątrz jego jaskini.

Jednak w tamtej kawiarni w Delsbo zrozumiałem, że nie mogę dłużej tak żyć. Rzecz jasna zamierzałem wrócić na moją wyspę, przecież nie miałem dokąd pójść, ale nic nie mogło już być takie, jak dotychczas. Dotarło do mnie, że w tej samej sekundzie, w której spostrzegłem postać stojącą na lodzie w mojej zatoce, zatrzasnęły się za mną jakieś drzwi i już nigdy nie będę mógł ich otworzyć.

Po drodze do hotelu kupiłem w kiosku pocztówkę. Widniała na niej zaśnieżona zagroda. Skreśliłem parę słów i wysłałem ją do Janssona.

Poprosiłem, żeby karmił zwierzęta. Nic więcej.

Kiedy wróciłem, Harriet już nie spała. Pokręciła głową, zobaczywszy broszurę w mojej dłoni.

– Nie chcę dziś rozmawiać o moim nieszczęściu – powiedziała.

Zeszliśmy do baru na parterze hotelu i zjedliśmy kolację.

Żyjemy w czasach półfabrykatów i tłuszczu, pomyślałem, zerkając w głąb śmierdzącej olejem, zaparowanej kuchni. Chwilę po rozpoczęciu posiłku, Harriet odsunęła swój talerz, oznajmiając, że już więcej nie może. Spróbowałem ją przekonać, żeby jeszcze trochę zjadła, i zaraz zastanowiłem się, po co to robię. Umierający człowiek je tyle, ile mu potrzeba, by przeżyć pozostały mu czas.

Szybko wróciliśmy do pokoju. Ściany były cienkie i zza jednej dochodziły urywki rozmowy. Głosy dwóch osób raz podnosiły się i po chwili opadały. Oboje z Harriet wyteżaliśmy słuch, chcąc coś zrozumieć, ale nam się to nie udało.

– Wciąż lubisz podsłuchiwać? – zapytała.

– Na mojej wyspie nie ma rozmów, które mógłbym podsłuchać – odpowiedziałem.

– Zawsze byłeś czujny, gdy rozmawiałam przez telefon, chociaż miałeś obojętną minę i udawałeś, że czytasz gazetę lub książkę. Tak próbowałeś ukryć swój ciekawski wzrok. Pamiętasz?

Poczułem gniew, choć wiedziałem, że Harriet znowu ma rację. Zawsze lubiłem podsłuchiwać. Odkąd pamiętam łowiłem uchem szeptane rozmowy moich rodziców. Przystawałem przy uchylonych drzwiach i nasłuchiwałem, co mówią moi koledzy z pracy, pacjenci, ludzie w kawiarniach, korytarzach, pociągach. Szybko się nauczyłem, że większość rozmów zawiera małe, niemal niewyczuwalne kłamstewka. Byłem ciekaw, czy zawsze tak jest. Czy ludzie zawsze musieli choć odrobinę mijać się z prawdą, by ich rozmowy mogły dokądkolwiek ich doprowadzić?

Głosy za ścianą nie cichły. Widziałem, że Harriet jest bardzo zmęczona. Położyła się i zamknęła oczy.

Włożyłem kurtkę i znów wyszedłem na spacer po opustoszałym miasteczku. Również tu ze wszystkich okien padało niebieskie

światło telewizorów. Minęły mnie ze trzy skutery, jeden jadący zdecydowanie za szybko samochód, a potem znów wszystko ucichło. Rozmyślałem o tym, co rano powiedziała mi Harriet. Chciała, żebym poznał jej córkę. Byłem ciekaw, dlaczego. Czyżby chciała mi udowodnić, że dała sobie radę beze mnie? Że mimo porzucenia, zdecydowała się na dziecko? Na krok, na który ja nigdy bym się nie odważył? Posmutniałem, idąc przez pogrążone w ciemności zimowe ulice.

W pewnej chwili dotarłem do oświetlonego boiska. Stałem przy bandzie i przyglądałem się młodym chłopcom grającym w unihokeja. Grali małą czerwoną piłeczką. Przypomniałem sobie swoje dzieciństwo. Odgłos suchego szurania łyżew o lód, widok kija trafiającego w piłeczkę, pokrzykiwania, ból upadku, po którym należało natychmiast podnieść się na nogi. Patrzyłem teraz na tych chłopaków i wszystko sobie przypominałem, chociaż nigdy tak naprawdę nie grałem w unihokeja, bo od razu zostałem przydzielony do drużyny hokeja na lodzie, gdzie gra była ostrzejsza niż ta, którą właśnie miałem przed oczami.

Po upadku natychmiast podnieść się na nogi.

Tak brzmiała wielka mądrość z dzieciństwa, wypowiedzana na lodowisku. Miała obowiązywać również w późniejszym życiu.

Po upadku natychmiast podnieść się na nogi. Nie leżeć na lodzie. Niestety to właśnie zrobiłem, gdy popełniłem mój wielki błąd.

Przyglądałem się grze i w pewnej chwili zwróciłem uwagę na jednego chłopca. Był najmniejszy z całej grupy, a do tego gruby, choć może był tylko ubrany w tak wiele warstw. Nie wiedziałem. Grał najlepiej. Przyśpieszał szybciej od innych, robił bezbłędne zwody i zawsze stał na posterunku, kiedy inny gracz chciał mu podać piłkę. Spostrzegłem też, że pozostali chłopcy zdają sobie

sprawę, że ten mały jest od nich lepszy. Spróbowałem wyobrazić sobie siebie jako jednego z graczy. Który z tych malców trzymających zbyt ciężkie kije mógłby być mną? Z pewnością nie ten zwinny i najbardziej utalentowany. Raczej jeden z pozostałych, szaraczek, którego w każdej chwili można by zastąpić innym szaraczkiem.

Nigdy nie leżeć bez potrzeby.

Zrobiłem dokładnie to, czego nie należało robić.

Kiedy w końcu wróciłem do hotelu, w recepcji nie było już nikogo. Wiedziałem, że drzwi do budynku mogę otworzyć kluczem do pokoju. Harriet leżała owinięta kołdrą. Na stoliku po jej stronie łóżka stał napoczęty biber.

– Już myślałam, że uciekłeś – powiedziała. – Teraz mogę wreszcie zasnąć. Połknęłam tabletkę nasenną i popiłam ją alkoholem.

Odwróciła się na bok i po chwili już spała. Dotknąłem delikatnie jej nadgarstka i zmierzyłem puls. Siedemdziesiąt osiem uderzeń na minutę. Potem usiadłem na krześle, włączyłem telewizor i obejrzałem wiadomości z dźwiękiem ściszonej tak, że nawet moje uszy podsłuchiwacza nie były w stanie wyłowić ani słowa. Zobaczyłem te same obrazy co zwykle: krwawiących, cierpiących ludzi oraz rzędy dobrze ubranych mężczyzn przemawiających bez końca, bezlitosnych, zawsze aroganckich i roześmianych. Szybko wyłączyłem odbiornik i położyłem się na łóżku obok Harriet. Nim usnąłem, myślałem o młodej jasnowłosej policjantce, którą spotkaliśmy parę dni wcześniej.

Następnego dnia o trzynastej zbliżaliśmy się już do Hudiksvall. Śnieg przestał padać, a droga była czarna, dobrze odśnieżona i odlodzona. Nagle Harriet wskazała palcem drogowskaz z napisem

RångevalLEN. Skręciliśmy na szosę o dużo gorszej nawierzchni, rozjechanej wielkimi maszynami do wyrębu drzew. Wkrótce znowu skręciliśmy, w jeszcze węższą dróżkę wiodącą w las. Drzewa wokół rosły coraz gęściej, a ja zastanawiałem się, jakimż to człowiekiem jest córka Harriet, skoro mieszka tak głęboko w lesie. Podczas całej podróży zadałem jej tylko jedno pytanie: czy Louise ma męża i dzieci. Nie miała.

Mijaliśmy polanki ze stertami świeżo ściętych drzew. Miałem wrażenie, że droga ta wygląda podobnie do tej prowadzącej do domu zmarłej Sary Larsson.

Kiedy las się skończył, ujrzałem kilka zrujnowanych gospodarstw. Obok jednego z nich stała duża przyczepa kempingowa z dostawionym namiotem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Harriet. – Tu mieszka moja córka.

– W tej przyczepie? – zdziwiłem się.

– A zauważyłeś, żeby któryś z tych domów miał szczelny dach?

Pomogłem jej wysiąść z samochodu i podsunąłem balkonik. Z miejsca, które kiedyś prawdopodobnie było kojcem dla psa, dochodził warkot silnika. Domyśliłem się, że to generator prądu. Przyjrzałem się przyczepie i od razu dostrzegłem małą antenę satelitarną na dachu. Widok z okien tego prowizorycznego domu był tak piękny, że zatęskniłem za moją wyspą.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta.

Miała na sobie różowy szlafrok i pantofle na wysokich obcasach. Trzymała w dłoni wachlarz z kart. Trudno było ocenić jej wiek.

– To moja córka – powiedziała Harriet i ruszyła w jej stronę, pchając balkonik.

Louise wyszła jej naprzeciw, chwiejnie stąpając po śniegu.

Ja nie ruszyłem się z miejsca.

– A to twój ojciec – oznajmiła Harriet, wskazując mnie palcem.

W powietrzu zawirował śnieg. Pomyślałem o Janssonie, życząc sobie w duchu, żeby pojawił się tu i zabrał mnie swoim hydrokopterem.

Las

Moja córka nie ma studni.

Wprawdzie w przyczepie stały wiadra z wodą, ale nigdzie nie dostrzegłem pompy. Aby przynieść świeżej, musiałem pójść ścieżką w dół zbocza, potem przez zagajnik aż do następnego zrujnowanego domu o ciemnych oczodołach wybitych okien. Z komina obserwowało mnie nieufnie stadko wron. Przed budynkiem stała zardzewiała pompa. Poczerwieniały metal jęknął żałośnie, kiedy poruszyłem dźwignią.

Wrony nie zmieniły pozycji.

Pierwszą rzeczą, o którą poprosiła mnie moja córka, było przyniesienie dwóch wiader wody. Cieszyłem się, że nie powiedziała nic więcej. Mogła przecież mieć pretensje, że zniknąłem, albo dostać napadu dzikiej radości z powodu długo wyczekiwanego spotkania z ojcem. Ona jednak poprosiła tylko, żebym przyniósł wodę. Zabrałem wiadra i ruszyłem wskazaną drogą. Zastanawiałem się, czy Louise chodzi tędy w szlafroku i w butach na obcasach. Najbardziej jednak zadziwiało mnie to, co zdarzyło się wiele lat temu, i o czym nie miałem pojęcia.

Od przyczepy do rudery z wodą było dwieście metrów. Kiedy Harriet powiedziała Louise, że jestem jej ojcem, od razu pojąłem, że to prawda. Harriet nigdy nie kłamała. Bezskutecznie próbowałem przypomnieć sobie noc, w której mogło dojść do poczęcia. Człapiąc przez śnieg, szybko doszedłem do wniosku, że Harriet musiała się

dowiedzieć o ciąży, kiedy mnie już nie było. To by oznaczało, że poczęliśmy córkę około miesiąca przed moim zniknięciem.

Jeszcze raz wyteżyłem pamięć, żeby sobie przypomnieć.

Otaczał mnie milczący las. Idąc wijącą się ścieżką, czułem się jak krasnoludek, który wyskoczył z jakiejś starej baśni. Nigdy nie kochaliśmy się z Harriet nigdzie indziej niż na jej rozkładanej kanapie. A więc tam spłodziłem córkę. Niedługo po tym odjechałem, a Harriet czekała na mnie bezskutecznie, sama nic jeszcze nie wiedząc. Zrozumiała dopiero po jakimś czasie, kiedy pewnie już do niej dotarło, że ją porzuciłem.

Napompowałem wody do wiader. Postawiłem je na śniegu i wszedłem do opuszczonego domu. Drzwi wejściowe były wyłamane i ustąpiły z łoskotem, ledwie zdążyłem je uchylić butem.

Obszedłem pomieszczenia, w których unosił się zapach stęchlizny i butwiejącego drewna. Wnętrze domu wyglądało jak wrak zatopionego statku. Na ścianach wisały strzępy tapet i wycinków z gazet. Podszedłem do jednego i przeczytałem nagłówek z dziennika Ljusnan z 12 marca 1969 roku. „Do groźnego wypadku samochodowego doszło w okolicach...”. Reszta została oderwana. „Na zdjęciu Pani Matsson z dumą prezentuje ostatnio wyszytą makatkę...”. Zdjęcia już nie było, jedyne, co z niego zostało, to fragment twarzy pani Matsson i jej dłoń, ale bez makatki. W sypialni na piętrze walały się pozostałości podwójnego łóżka. Wyglądały tak, jakby mebel został porąbany siekierą. Może ktoś zrobił to w przypiływie furii, nie chcąc pozwolić, by ktoś jeszcze na nim spał.

Spróbowałem wyobrazić sobie ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali, a potem odeszli, by nigdy nie wrócić. Widziałem ich, ale twarze mieli odwrócone. Opuszczone domy są jak muzea pozbawione eksponatów. Wyszedłem na dwór. Wciąż nie mogłem otrząsnąć się

ze zdziwienia, że mam córkę. Wiadomość przyszła tak niespodziewanie. Mam córkę, która mieszka w lesie w pobliżu Hudiksvall, w przyczepie, i ma trzydzieści siedem lat. Córkę, która przywitała nas w różowym szlafroku i butach na wysokim obcasie.

Nie miałem wątpliwości co do jednego.

Jej też Harriet na to nie przygotowała. Louise musiała wiedzieć, że gdzieś żyje jej ojciec, ale z pewnością nie miała pojęcia, że to ja. Zatem nie tylko ja zostałem tego dnia zaskoczony. Harriet udało się zbić z tropu nas oboje.

Podniosłem wiadra i ruszyłem w powrotną drogę. Dlaczego moja córka mieszka w przyczepie w środku jakiegoś lasu? Kim ona jest? Kiedy podała mi rękę na powitanie, nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy. Uderzył mnie silny zapach perfum. Miała spoconą dłoń.

W połowie drogi odstawiłem wiadra, żeby dać odpocząć rękom.

– Louise – powiedziałem głośno. – Mam córkę imieniem Louise.

Moje słowa mnie oszołomiły, poczułem nawet lekki strach, ale i podekscytowanie. Uświadomiłem sobie, że Harriet, jadąc do mnie po łodzi hydrokopterem Janssona, wiozła również wieści o życiu, nie tylko o śmierci, która niebawem się o nią upomni.

Doniosłem wiadra do przyczepy i zapukałem. Otworzyła Louise. Wciąż miała na nogach te same pantofle, ale szlafrok zmieniła na spodnie i sweter. Zauważyłem, że jest bardzo zgrabna, i poczułem się tym trochę zakłopotany.

W przyczepie było ciasno. Harriet siedziała na krześle przy małym stoliku pod oknem. Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech. W środku panowało przyjemne ciepło. Louise gotowała kawę.

Miała ładny głos, jak jej matka. Pomyślałem, że skoro lód może śpiewać, z pewnością robi to także moja córka.

Rozejrzałem się po przyczepie. Pod sufitem wisały bukiety ususzonych róż, na ścianie półka pełna papierów i listów, a na taborecie stała maszyna do pisania. Było też radio, ale nigdzie nie dostrzegłem telewizora. Zaniepokoiła mnie myśl, że moja córka żyje w ten sposób. Za bardzo przypominało mi to mój obecny dom.

A więc przyszłaś do mnie, zwróciłem się do niej w myślach. To najbardziej nieoczekiwana rzecz, jakiej mogłem się spodziewać w życiu.

Louise postawiła na stoliku termos i plastikowe kubeczki. Usiadłem na łóżku, tuż obok Harriet. Louise stanęła przede mną i bacznie mi się przyjrzała.

– Cieszę się, że nie płaczesz – powiedziała po chwili. – Ale jeszcze bardziej cieszy mnie, że nie wpadłeś w histerię i nie skaczesz z radości.

– Obawiam się, że tak naprawdę jeszcze do mnie nie dotarło, co się dzieje – odparłem. – Poza tym nigdy nie ekscytuję się niczym do tego stopnia, by tracić nad sobą kontrolę.

– A może myślisz, że to nieprawda?

Stanęły mi przed oczami teczki z protokołami z przesłuchań młodych mężczyzn, którzy próbowali wymigać się od ojcostwa.

– Jestem przekonany, że to prawda – oznajmiłem.

– Czy przykro ci, że nie poznałeś mnie wcześniej? Że zjawiam się w twoim życiu tak późno?

– Jestem odporny na wszelkiego rodzaju przykrości – powiedziałem. – W tej chwili odczuwam przede wszystkim zdziwienie. Jeszcze godzinę temu byłem pewien, że nie mam dzieci. Nie spodziewałem się tego.

– Czym się zajmujesz?

Spojrzałem na Harriet. A więc nie opowiedziała Louise ani słowa o ojcu. Nawet tego, że był lekarzem.

Poczułem złość. Co więc powiedziała naszej córce? Że jej ojciec był nikim? Że się przypadkiem napatoczył?

– Jestem lekarzem – odezwałem się w końcu. – A przynajmniej byłem nim kiedyś.

Louise obserwowała mnie bacznie, ściskając w dłoniach kubek z kawą. Zauważyłem, że ma pierścionek na każdym palcu, nawet na kciukach.

– Lekarzem jakiej specjalności? – dopytywała.

– Chirurgiem.

Skrzywiła się. Przypomniałem sobie minę, jaką zrobił ojciec w dniu moich piętnastych urodzin, na wieść o tym, jaki wybrałem zawód.

– Możesz wypisywać recepty?

– Już nie. Jestem na emeryturze.

– Szkoda.

Louise postawiła kubek na stole i włożyła na głowę wełnianą czapkę.

– Sika się za przyczepą – zakomunikowała. – I posypuje się świeżym śniegiem. A jeśli wychodzi się na dłuższe posiedzenie, należy skorzystać z wychodka za szopą na drewno.

Wyszła na zewnątrz i ruszyła niepewnym krokiem przez śnieg.

Spojrzałem na Harriet z wyrzutem.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Powinnaś się wstydzić!

– Nie rób mi wykładów o wstydzie! – uniosła się. – Nie wiedziałam, jak zareagujesz.

– Poszłoby lepiej, gdybyś mnie uprzedziła.

– Nie miałam odwagi. Bałam się, że wysadzisz mnie na zakręcie i sobie pojedziesz. Skąd miałam wiedzieć, że się ucieszysz?

Znów musiałem przyznać jej rację. Nie mogła wiedzieć, jak zareaguję, i miała wszelkie powody, żeby mi nie ufać.

– Dlaczego ona tak mieszka? – zapytałem. – Z czego żyje?

– Sama sobie wybrała takie życie. Nie mam pojęcia, co robi.

– Coś przecież musisz wiedzieć.

– Wiem, że pisze listy.

– Z tego nie da się przecież żyć.

– Jak widać, da się.

Uświadomiłem sobie nagle, że ściany przyczepy są cienkie, a moja córka stoi pewnie tuż obok przyczepy i przyciska do niej ucho. Może odziedziczyła po mnie skłonność do podsłuchiwania?

Zniżyłem głos do szeptu.

– Dlaczego ona tak wygląda? – pytałem dalej. – Dlaczego chodzi na obcasach po śniegu?

– Wiesz, moja córka...

– Nasza córka!

– Nasza córka zawsze była niezwykłym dzieckiem. Ledwie skończyła pięć lat, już miałam wrażenie, że doskonale wie, co zrobić ze swoim życiem. Nigdy nie potrafiłam jej zrozumieć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nigdy nie obchodziło jej to, co myślą sobie inni. Na przykład te buty. Są bardzo drogie. Od Maria Aiello, wyprodukowane w Mediolanie. Sam przyznasz, że ludzie rzadko decydują się na takie życie.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła Louise.

– Muszę odpocząć – oznajmiła Harriet. – Jestem zmęczona.

– Odkąd pamiętam, zawsze byłaś zmęczona – prychnęła Louise.

– Nie zawsze byłam umierająca – odcięła się Harriet.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, najeżone jak koty. Spostrzegłem, iż mimo że syczą na siebie, w ich zachowaniu nie ma wrogości. Z pewnością żadna z nich nie była zaskoczona tonem, jaki przybrała rozmowa, Louise musiała więc wiedzieć od dawna, że jej matka jest chora.

Wstałem, by zrobić Harriet miejsce na wąskim łóżku. Louise wciągnęła na nogi kalosze.

– Wychodzimy – rzuciła, patrząc na mnie. – Muszę się trochę poruszać. Poza tym oboje doznaliśmy lekkiego szoku i dobrze nam zrobi spacer.

Bez słowa podążyłem za Louise, która skierowała się na ścieżkę wiodącą w przeciwnym kierunku niż opuszczony dom ze studnią. Minęliśmy starą ziemną piwniczkę i wkroczyliśmy w gęstwiny jodeł. Louise szła szybko, z trudem za nią nadążałem. Nagle przystanęła i się odwróciła.

– Myślałam, że mój ojciec pojechał do Ameryki i nigdy nie wrócił. Myślałam, że ma na imię Henry i zajmuje się badaniem pszczół. Przez te wszystkie lata nie przysłał mi nawet słoiczka miodu. W końcu doszłam do wniosku, że nie żyje. Okazuje się, że jednak nie umarł. Zdążyłam się z nim spotkać. Kiedy wrócimy do przyczepy, sfotografuję ciebie razem z Harriet. Samych lub ze mną. Chcę mieć zdjęcie obojga rodziców, nim będzie za późno.

Potem ruszyliśmy dalej udeptaną ścieżką.

Po krótkich rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że Harriet właściwie niewiele minęła się z prawdą. Uciekłem do Ameryki, a w młodości rzeczywiście interesowały mnie pszczoły. Również Louise się nie myliła, zauważając, że żyję.

W milczeniu szliśmy przez śnieg.

Louise chciała mieć zdjęcie obojga rodziców.
Jeszcze nie było za późno, by zdobyć brakującą fotografię.

2

Słońce wisiało nisko nad horyzontem.

Niedaleko przyczepy, na niewielkim polu stał zaśnieżony ring boksinerski. Wyglądał jakby znalazł się tu przez pomyłkę. Tuż obok wystawały ze śniegu dwie drewniane ławki. Kiedyś stały pewnie w kościele lub w kinie.

– Boksujemy się latem – wyjaśniła Louise. – Zwykle otwieramy sezon w połowie maja. Wszyscy się wtedy ważymy na starej rzeźniczej wadze.

– My? – zdziwiłem się. – Czy to znaczy, że ty też się boksujesz?

– A dlaczego miałabym tego nie robić?

– Z kim walczysz?

– Z przyjaciółmi. To ludzie z okolicy, którzy zdecydowali się żyć tak, jak chcą. Chociażby Leif, który mieszka ze swoją starą matką. Kiedyś pędziła najślynniejszy bimber w całej okolicy. Albo Amandus, co gra na skrzypcach. Ma mocne pięści.

– Nie da się chyba boksować i grać na skrzypcach – zaśmiałem się. – Co na to jego dłonie?

– Zapytaj Amandusa. I całą resztę.

Nie dowiedziałem się, co oznacza „cała reszta”. Louise prowadziła mnie dalej wydeptaną ścieżką w stronę stojącej szopy za boksinerskim ringiem. Gdy tak za nią szedłem, pomyślałem, że od tyłu wygląda tak samo jak kiedyś Harriet. Byłem ciekaw, jak wyglądała jako mała dziewczynka i nastolatka. Posłusznie człapałem za nią, podążając jednocześnie myślami wstecz. Louise urodziła się w 1967

roku, a więc wiek jej dojrzewania przypadł na lata, kiedy ja świętowałem swoje największe zawodowe sukcesy. Poczuję falę wściekłości. Dlaczego Harriet mi nie powiedziała?

Louise wskazała na ślady na śniegu, oznajmiając, że to tropy rosomaka. Podeszła do drewnianego budynku i otworzyła drzwi. Na stole w szopie stała lampa naftowa. Louise zapaliła ją i zawiesiła pod sufitem. Miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie i znalazłem w staroświeckim klubie treningowym dla bokserów lub zapaśników. Na ziemi leżały hantle i sztangi, z belki zwisał worek treningowy, a na półce leżały starannie zwinięte skakanki i kilka par czerwonych i czarnych rękawic bokserskich.

– Gdyby była wiosna, zaproponowałabym ci parę rundek – powiedziała Louise. – Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na bliższe poznanie ojca, którego się nigdy wcześniej nie spotkało.

– Obawiam się, że nigdy w życiu nie miałem na rękach rękawic bokserskich – odparłem.

– Ale na pewno nie raz się biłeś.

– Owszem, ale ostatnio, gdy miałem trzynaście, czternaście lat. I te bójki właściwie bardziej przypominały zapasy, tyle że toczyliśmy je na boisku za szkołą.

Louise stanęła obok worka treningowego i rozkołysała go lekkim pchnięciem. Lampa oświetlała jej twarz. Nie mogłem odeprzeć wrażenia, że patrzę na Harriet.

– Jestem trochę zdenerwowana – oznajmiła. – Masz więcej dzieci?

Pokręciłem głową.

– Żadnych? – zdziwiła się.

– Żadnych. A ty?

– Żadnych.

Worek z piaskiem wciąż się kołysał.

– Pewnie jestem tak samo zakręcona jak ty. Czasem, kiedy dochodziłam do wniosku, że mój ojciec jednak gdzieś sobie żyje, wpadałam w szal. Myślę, że to dlatego zaczęłam się boksować. Wyobrażałam sobie, że jeśli kiedyś stanie przede mną, nieważne, czy żywy, czy powstały z martwych, powalę go i spuszczę mu porządne manto za to, że mnie porzucił.

Światło lampy padało też na rozeschnięte ściany. Opowiedziałem Louise o dniu, w którym Harriet nagle pojawiła się na lodzie w mojej zatoce oraz o jeziorze, które uparła się ze mną odwiedzić.

– Czy powiedziała coś o mnie?

– Mówiła tylko o tym leśnym jeziorku. Potem oznajmiła, że chce po drodze odwiedzić swoją córkę.

– Właściwie powinnam ją wyrzucić. Oszukała nas oboje. Ale nie wyrzuca się z domu śmiertelnie chorego człowieka.

Położyła dłoń na worku treningowym i go zatrzymała.

– Czy to prawda, że ona wkrótce umrze? – spytała. – Jesteś lekarzem. Musisz wiedzieć, czy mówi prawdę.

– Jest bardzo chora. Nie wiem, ile jeszcze pożyje. Nikt tego nie wie.

– Nie chcę, żeby umarła tutaj.

Louise zdjęła lampę z haka i zdmuchnęła płomień.

Otoczyła nas ciemność.

Poczułem muśnięcie jej palców, a potem moja córka złapała mnie za rękę. Miała silny uścisk.

– Cieszę się, że przyjechałeś – powiedziała. – Wiedziałam, że odszedłeś, ale w głębi ducha zawsze wierzyłam, że nie byłeś nikim przelotnym.

– Nie miałem pojęcia, że mam dziecko.

– Żadne dziecko. Stoi przed tobą dorosła kobieta.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na dworze, widziałem tylko sylwetkę Louise. Nisko nad nami wisiało rozgwieżdżone niebo.

– Tutaj na północy nocą nigdy nie jest zupełnie ciemno – powiedziała. – W miastach nie widać już gwiazd. To dlatego tu żyję. Kiedy mieszkałam w mieście, brakowało mi ciszy i ciemności, ale przede wszystkim światła gwiazd. Wciąż się zastanawiam, dlaczego nikt w tym kraju jeszcze nie odkrył, że mamy o wiele więcej dóbr naturalnych, niż nam się zdaje. Dlaczego nikt nie sprzedaje ciszy, tak jak sprzedaje się las albo rudę?

Rozumiałem, o czym mówi Louise. Cisza, rozgwieżdżone niebo, być może również samotność to dobra nieosiągalne dla większości ludzi. Przyszło mi na myśl, że mimo wszystko moja córka jest do mnie bardzo podobna.

– Mam zamiar założyć firmę – oznajmiła po chwili. – Do spółki z przyjaciółmi od boksowania. Będziemy sprzedawać te gwieździste, ciche noce. Pewnego dnia będziemy bardzo bogaci, jestem tego pewna.

– Kim są ci twoi przyjaciele?

– Parę kilometrów na północ leży opuszczona wieś. W 1970 roku straciła swojego ostatniego mieszkańca. Domy stoją tam puste, nikt ich nie chce, nawet na letnisko. Ale Giaconelli, pewien stary wytwórca butów, pojechał tam kiedyś, żeby delektować się ciszą. Został tam, mieszka w jednej z chałup i szyje dwie pary butów na rok. Co roku na początku maja na łące za jego domem ląduje helikopter. Wysiada z niego pewien mężczyzna z Paryża, odbiera te dwie pary butów, płaci i zostawia zlecenie na kolejne, które mają być gotowe za rok. W budynku, w którym kiedyś był sklep spożywczy, mieszka teraz stary rockman. Kiedyś nosił pseudonim

Rudy Niedźwiedź, nagrał dwa single, a potem walczył z Rock-Ragem i Rock-Olgą o tytuł króla szwedzkiego rocka. Miał wtedy płomiennorude włosy i nagrał najpiękniejszą na świecie wersję *Peggy Sue*, ale każdego roku, kiedy stawiamy na ringu bokserским stół na sobótkę, zawsze prosimy go, żeby zaśpiewał *The Great Pretender*.

Dobrze pamiętałem tę piosenkę zespołu The Platters. Tańczyliśmy do niej z Harriet. Miałem pewność, że jeślibym się trochę postarał, przypomniabym sobie jej słowa.

Natomiast pseudonim Rudy Niedźwiedź nic mi nie mówił.

– Wygląda na to, że w tych stronach żyją sami niezwykli ludzie – powiedziałem.

– Są wszędzie, ale nikt ich nie zauważa, bo są starzy – odparła Louise. – Żyjemy w czasach, w których oczekuje się od starych ludzi, że staną się niewidzialni. Najchętniej byśmy ich nie oglądali. Ty też lada chwila zaczniesz stawać się coraz bardziej przezroczysty, matkę już to spotkało.

Staliśmy długą chwilę w milczeniu. W oddali dostrzegłem blade światło w oknie przyczepy.

– Czasem mam ochotę przyjść tu nocą i położyć się na ziemi w śpiworze – podjęła Louise.– Podczas pełni niebieskie światło księżycyca sprawia, że czuję się jak na pustyni. Tam też są bardzo zimne noce.

– Nigdy nie byłem na pustyni. Chyba, że liczą się ruchome wydmy w okolicach Skagen.

– Kiedyś to zrobię – mówiła dalej Louise. – Położę się tu w śpiworze, zaryzykuję, że nigdy się już nie obudzę. W tych okolicach żyją nie tylko zapomniane gwiazdy rocka, ale i jazzmani. Staną wtedy nade mną i zagrają żalobną pieśń.

Ruszyła z powrotem, a ja podążyłem za nią. W gałęziach drzew zakwilił jakiś nocny ptak. Gwiazdy raz po raz spadały, a na ich miejscach zaświecały się nowe. Rozmyślałem o tym, co powiedziała Louise.

Wieczór był osobliwy.

Kiedy dotarliśmy do przyczepy, Louise zabrała się za przyrządzanie jedzenia, a my z Harriet siedzieliśmy stłoczeni na wąskim łóżku. Gdy zapytałem, gdzie możemy spędzić noc, Louise odparła, że zmieścimy się w przyczepie we troje. Chciałem zaprotestować, ale nie odezwałem się ani słowem. Potem Louise wytrzasnęła skądś plastikowy baniaczek z mocnym winem o smaku agrestu, więc i Harriet postawiła na stole jedną ze swoich flaszek. Louise podała potrawkę z łosia i do tego warzywa, które jakiś jej znajomy wyhodował w szklarni. Szklarnia ta służyła mu ponoć również za mieszkanie. Miał na imię Olof, spał wśród ogórków i był jednym z tych, którzy walczyli w ringu bokserskim.

Wkrótce wszyscy się upiliśmy, przede wszystkim Harriet. Zapadała w krótkie drzemki przy stole. Zauważyłem, że Louise ma śmieszny nawyk zamykania ust z głośnym kłapnięciem po opróżnieniu szklanki. Starąłem się upić jak najmniej, ale mi się to nie udało.

Próbowałem też wychwycić jak najwięcej informacji o wspólnym życiu Harriet i Louise z coraz gorzej klejącej się, fragmentarycznej rozmowy. Zrozumiałem, że są w stałym kontakcie, cały czas się kłócą i prawie w niczym się nie zgadzają, ale kochają się bardzo i jest między nimi silna więź. Uświadomiłem sobie, że dostałem w prezencie rodzinę pełną gniewu, ale i bezwarunkowej miłości.

Potem długo rozmawialiśmy o psach, lecz nie o tych, które prowadzi się na smyczy, ale o dzikich psach żyjących na afrykańskich równinach. Moja córka stwierdziła, że przypominają jej przyjaciół z tutejszych lasów. Wyobraziłem sobie stado afrykańskich psów merdających do siebie w ringu bokserskim. Opowiedziałem jej o moim psie, którego rasę trudno było jednoznacznie określić. Kiedy Louise usłyszała, że pies często biega luzem po wyspie moich dziadków, pokiwała głową z aprobatą. Słuchała też z uwagą, kiedy mówiłem o kocie.

W końcu Harriet usnęła na dobre, upojona wódką i mocnym agrestowym winem. Louise delikatnie okryła ją kocem.

– Zawsze chrapała – szepnęła. – Kiedy byłam małą, udawałam przed sobą, że to nie mama chrapie, ale mój ojciec. Wyobrażałam sobie, że przychodzi co noc, a jego obecność objawia się głośnym chrapaniem. Czy ty też chrapiesz?

– Chrapię.

– Znakomicie, wypijmy więc za to. Za mojego ojca!

– Za moją córkę – zawtórowałam.

Niepewną ręką napełniła kieliszki. Wino rozlało się na blat, a Louise przetarła go dłonią.

– Kiedy usłyszałam samochód i wyszłam na dwór, zastanawiałam się, co to za faceta wlecze ze sobą Harriet.

– Często przyjeżdża z różnymi mężczyznami?

– Zwykle z dziadkami, nie mężczyznami. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ją tutaj podrzuci, a potem zgodzi się, żeby ją odebrać za jakiś czas. Harriet ma do tego talent. Potrafi usiąść przy stoliku w jakiejś sztokholmskiej kawiarni, zrobić minę zmęczonej i schorowanej staruszki, a zaraz zjawi się ktoś, kto zaoferuje jej pomoc czy też podwózkę do domu. A kiedy już siedzi

w samochodzie z tym swoim balkonikiem i jakimiś betami, komunikuje, że trzeba jechać około trzystu kilometrów, w okolice Hudiksvall. Co najdziwniejsze, prawie nikt postawiony w takiej sytuacji jej nie odmawia. Na szczęście szybko jej się nudzi towarzystwo tego samego człowieka i daje biedakowi spokój. Moja matka jest niecierpliwa. Pamiętam, że kiedy dorastałam, przez długi czas każdego niedzielnego poranka zastawałam innego mężczyznę w jej łóżku. Uwielbiałam zakradać się do sypialni matki o wczesnej porze, wskakiwać na łóżko, gwałtownie ich budzić i patrzeć na rozczarowanie malujące się na twarzach mężczyzn, kiedy do nich docierało, że istnieję. Potem nastął czas długich przerw między kolejnymi facetami.

Kiedy Louise zamilkła, poszedłem się wysikać. Na niebie skrzyły się gwiazdy. Przez okno przyczepy zobaczyłem, jak moja córka wkłada Harriet poduszkę pod głowę. Chciało mi się płakać. Albo uciec. Wskoczyć do auta i odjechać. Jednak patrzyłem na nie dalej, przeczuwając, że Louise wie, iż się jej przyglądam. Odwróciła głowę, spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

Nie wskoczyłem do samochodu, wróciłem do przyczepy.

Siedzieliśmy w ciasnym wnętrzu, piliśmy dalej i miło gawędziliśmy. Zdawało mi się, że żadne z nas nie mówiło tego, co naprawdę chciało powiedzieć. Louise wyjęła z szuflady parę albumów ze zdjęciami. Były w nich wyblakłe czarno-białe fotografie i kiepskiej jakości kolorowe odbitki zrobione na początku lat sześćdziesiątych. Ludzie mieli na nich czerwone oczy i wpatrywali się w obiektyw jak wampiry. Na zdjęciach zobaczyłem kobietę, którą porzuciłem, oraz córkę, o której istnieniu nie wiedziałem. Małą dziewczynkę, nie dojrzałą kobietę. W jej spojrzeniu czaiła się ostrożność, jakby nie chciała, by na nią patrzono.

Przekładałem kolejne kartki albumów, Louise nie mówiła wiele, odpowiadała tylko na moje pytania. Kto zrobił to zdjęcie? Gdzie to było? Kiedy Louise miała siedem lat, spędziły wakacje w towarzystwie mężczyzny nazwiskiem Rickard Munter na półwyspie Getterön, niedaleko Varberg. Rickard Munter był potężnie zbudowany, łysy i na każdym zdjęciu palił papierosa. Poczułem ukłucie zazdrości. Był z moją córką, kiedy była mała, a teraz ja marzyłem o tym, żeby wciąż taka była. Zmarł parę lat później, kiedy już nie spotykał się z Harriet. Pracował na budowie i przewrócił się na niego spychacz. Pozostały po nim jedynie te zdjęcia, na których miał w ustach papierosa i czerwone oczy.

Zamknąłem album, nie chciałem oglądać więcej. Powoli kończyło się wino. Harriet spała. Zapytałem Louise, do kogo jej matka pisywała listy. Moja córka pokręciła głową.

– Nie teraz – powiedziała. – Pomówimy o tym jutro, kiedy minie nam kac. Teraz chodźmy spać. Po raz pierwszy w życiu będę spała między moimi rodzicami.

– Przecież nie zmieścimy się na tym łóżku – odparłem. – Zdrzemnę się na podłodze.

– Zmieścimy się.

Louise delikatnie przesunęła śpiącą Harriet, a potem złożyła stolik, uprzątnąwszy z niego kieliszki. Łóżko dało się rozłożyć, dzięki czemu stało się nieco szersze, ale i tak zdawało się za wąskie dla całej trójki.

– Nie rozbiorę się na oczach ojca – oznajmiła Louise. – Wyjdź na chwilę. Kiedy wejdem pod kołdrę, zapukam w ścianę.

Zrobiłem to, o co poprosiła.

Spojrzałem w rozgwieżdżone niebo i zakręciło mi się w głowie. Upadłem w śnieg. Dotarło do mnie po raz kolejny, że tego dnia

zyskałem córkę, która być może mnie polubi, a może nawet pokocha, bo wreszcie spotkała ojca, którego nigdy nie miała.

Przed oczami przemknęło mi całe moje życie. Aż do tego momentu, do miejsca, w którym znalazłem się tego wieczora. Przede mną było jeszcze parę rozdroży, ale z pewnością niewiele. Nie miałem za dużo czasu.

Chwilę później Louise załomotała pięścią w ścianę. Zgasiła lampę, zostawiła tylko zapaloną świeczkę na maleńkiej lodówce. Ujrzałem dwie twarze, jedną obok drugiej. Harriet leżała pod ścianą, a na środku wąskiego łóżka Louise. Dla mnie pozostał wąski pasek materaca.

– Zdmuchnij świeczkę – szepnęła moja córka. – Nie chcę spłonąć pierwszej nocy spędzonej z obojgiem rodziców.

Rozebrałem się do podkoszulka i kalesonów, zdmuchnąłem świeczkę i wszedłem pod kołdrę. Nie dało się nie otrzeć o Louise. Zmroziło mnie, kiedy sobie uświadomiłem, że moja córka ma zamiar spać nago.

– Nie możesz włożyć na siebie jakiejś koszuli? – zapytałem. – Nie mogę tak z tobą spać. Powinnaś to rozumieć.

Louise bez słowa wygramoliła się z łóżka, przechodząc nade mną, i wdziała coś, co wyglądało jak sukienka. Po chwili wróciła pod kołdrę.

– Śpijmy już – powiedziała. – Nareszcie będę mogła usłyszeć, jak chrapie mój ojciec. Nie zasnę, dopóki tego nie usłyszę.

Harriet zamamrotała przez sen. Kiedy odwróciła się na bok, my musieliśmy zrobić to samo. Louise miała ciepłe ciało. Zamarzyłem, by stała się małą dziewczynką, która tuli się do mnie przez sen,

spragniona bezpieczeństwa. Nie dojrzałą kobietą, która tak nagle pojawiła się w moim życiu.

Nie wiem, kiedy zasnąłem, ale gdy się obudziłem, byłem w łóżku sam.

W przyczepie nie było nikogo. Nie musiałem wstawać i otwierać drzwi, by się upewnić, że zniknął mój samochód.

3

Wyobraziłem sobie, jak Louise zawraca samochodem i odjeżdża. Nagle do mnie dotarło, że wszystko zostało przez nie ukartowane. Harriet przyjechała po mnie, poznała mnie z córką, o której istnieniu nie miałem zielonego pojęcia, a potem obie zabrały mój samochód i odjechały, porzucając mnie w lesie zupełnie bezradnego.

Była za kwadrans dziesiąta. Pogoda się zmieniła i nastąpiła odwilż. Z dachu przyczepy zaczęła kapać brudna woda, więc wszedłem do środka. Bolała mnie głowa i czułem suchość w ustach. Rozejrzałem się po przyczepie, ale nie znalazłem żadnej wiadomości wyjaśniającej zniknięcie Harriet, Louise i mojego samochodu. Za to na stole stał termos z kawą. Sięgnąłem po wyszczerbiony kubek reklamujący sieć sklepów spożywczych i nalałem gorącego płynu.

Gdy wyjrzałem przez okno, przemknęła mi przez głowę myśl, że las jest coraz bliżej, nieustannie zacieśnia krąg wokół przyczepy.

Kawa była mocna, czułem też silne objawy kaca. Wszedłem z kubkiem na zewnątrz i spojrzałem na owiany wilgotną mgiełką las. Nagle gdzieś w oddali rozległ się strzał. Wstrzymałem oddech. Za chwilę padł jeszcze jeden, a potem zapadła kompletna cisza. Las zamarł, a wszystkie jego odgłosy jakby ustawiły się w kolejce i czekały na pozwolenie, by móc znów rozbrzmieć, pojedynczo, jeden po drugim.

Wróciłem do przyczepy i zacząłem ją przeszukiwać. Mimo że była ciasna, skrywała zadziwiająco wiele schowków i zakamarków, w sam raz do magazynowania różnych przedmiotów. Louise miała

wszystko uporządkowane. Zorientowałem się, że lubi ubrania w kasztanowym kolorze, miała ich też trochę w barwach stłumionej czerwieni, brunatnych i szarych.

W małej drewnianej szkatułce z wymalowaną na wieczku datą 1822, ku swemu zdziwieniu, znalazłem sporo gotówki. Były tam banknoty o nominale tysiąca koron oraz pięciuset koron, w sumie 47 500 koron.

Potem przejrzałem szuflady z listami i innymi papierami. Pierwsze, co wpadło mi w ręce, to zdjęcie Ericha Honeckera z autografem. Na odwrocie zanotowano, że zrobiono je w roku 1986 i że zostało wysłane przez Ambasadę Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Sztokholmie. W szufladzie było więcej fotografii polityków, z autografami Michaiła Gorbaczowa, Ronalda Regana oraz jakichś nieznanych mi Afrykańczyków. Na samym dnie znalazłem też zdjęcie australijskiego premiera, ale nie byłem w stanie odczytać jego nazwiska.

Zajrzałem do drugiej szuflady, pełnej listów. Przeczytawszy kilka z nich zacząłem rozumieć, czym zajmuje się moja córka. Pisała listy do przywódców politycznych na całym świecie i protestowała przeciwko polityce względem obywateli ich kraju lub mniejszości narodowych. W każdej kopercie była kopia wysłanego listu skreślonego ręcznie rozstrzelonym pismem, a także odpowiedź, którą Louise potem otrzymała. Do Ericha Honeckera napisała po angielsku, oburzona, że mur dzielący Berlin to skandal. W odpowiedzi otrzymała zdjęcie z autografem, na którym Honecker stoi na podium i przemawia do rozmytego tłumu.

W innym liście apelowała do Margaret Thatcher o przyzwoite traktowanie strajkujących górników. Nie doszukałem się odpowiedzi

od Żelaznej Damy, w kopercie była tylko kopia listu Louise, nie licząc fotografii pani premier, na której stała sztywno, kurczowo ściskając torebkę. Byłem ciekaw, skąd Louise wzięła pieniądze, nie znalazłem jednak żadnej wskazówki.

Właściwie nie znalazłem nic, co skierowałoby mnie na jakiś trop. Chwilę później usłyszałem nadjeżdżający samochód. Zasunąłem szuflady i wyszedłem na zewnątrz. Louise prowadziła szybko, auto ślizgało się na boki w rozmarzającym śniegu.

Zatrzymała się i wyjęła z bagażnika balkonik Harriet.

– Nie chciałyśmy cię budzić – oznajmiła. – Cieszę się, że mój ojciec potrafi chrapać.

Pomogła Harriet wysiąść z auta.

– Zrobiłyśmy zakupy – rzuciła Harriet lekkim tonem. – Kupiłam sobie rajstopy, spódnicę i kapelusz.

– Moja matka zawsze źle się ubierała – skomentowała Louise, wyławiając zza fotela kierowcy torby z zakupami.

Zaniósłem pakunki do przyczepy, podczas gdy Louise pomagała Harriet pokonać śliską ścieżkę.

– Jesteśmy już po śniadaniu – mówiła dalej moja córka. – Jesteś głodny?

Byłem, ale mimo to pokręciłem głową. Nie podobało mi się, że pożyczyła samochód bez pytania.

Harriet położyła się na łóżku, żeby odpocząć. Z tego, co powiedziała, wynikało, że wycieczka na zakupy była dla niej odprężeniem, ale też ją zmęczyła. Wkrótce zasnęła. Louise wyjęła z torby kupiony przez matkę kapelusz.

– Będzie jej pasował – powiedziała. – Myślę, że jest dla niej stworzony.

– Nigdy nie widziałem jej w kapeluszu – odparłem. – Kiedy byliśmy młodzi, nigdy nie nosiliśmy nakryć głowy, nawet gdy było zimno.

Louise odłożyła kapelusz do siatki i rozejrzała się po przyczepie. Czyżbym zostawił ślady? Czy zauważyła, że przetrząsnąłem jej rzeczy? Spojrzała na mnie przelotnie, a potem utkwiała wzrok w moich butach stojących na gazecie przy drzwiach. Miałem je od wielu lat, były zniszczone, a dziurki na sznurowadła postrzępione. Louise podniosła się, delikatnie nakryła Harriet kocem, a potem włożyła kurtkę i oznajmiła:

– Wychodzimy.

Zgodziłem się z chęcią. Ból głowy nie chciał minąć.

Stanęliśmy przed przyczepą, wciągając głęboko w płuca rześkie powietrze. Przypomniałem sobie, że w ostatnich dniach zaniedbałem wpisy do dziennika. Źle się czułem, łamiąc własne nawyki.

– Twoje auto jest w kiepskim stanie – powiedziała Louise. – Hamulce łapią nierówno.

– Jak dla mnie jest w porządku – odparłem. – Dokąd pojedziemy?

– Odwiedzimy mojego przyjaciela. Chcę ci coś podarować.

Zawróciłem autem w śnieżnym błocie. Kiedy znaleźliśmy się na głównej drodze, Louise poleciła mi skrócić w lewo. Minęło nas kilka ciężarówek załadowanych drewnem. Powodowały nawałnicę śnieżnego pyłu. Po paru kilometrach moja córka wskazała skręt w prawo i zaraz potem drogowskaz poinformował nas, że zmierzamy w stronę Motjärvsbyn. Sosny rosły tu gęsto przy niedbale odśnieżonej drodze. Louise jechała w milczeniu i obserwowała świat przez przednią szybę. Cichutko nuciła jakąś melodię. Brzmiała znajomo, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co to za piosenka.

Na kolejnym rozdrożu Louise znów wskazała skręt w lewo. Po około kilometrze zaczął się las, w nim zaś pojawiły się domy, ale też puste, porzucone, z kominami, z których nie wydostawał się dym. Oznaki życia zdradzał tylko jeden budynek, ostatni w rzędzie, dwupiętrowy, drewniany, z gankiem obłożonym z zielonej farby. Na schodkach wiodących do wejścia siedział kot.

– Via Salandra w Rzymie – odezwała się Louise. – To ulica, którą kiedyś odwiedzę, raz w życiu. Byłeś w Rzymie?

– Tak, ale nigdy na tej ulicy – odparłem.

Louise wysiadła z auta, podążyłem za nią. Z domu, który wyglądał na co najmniej stuletni, dochodziła muzyka operowa.

– Tutaj mieszka geniusz – wyjaśniła moja córka. – Giacomelli Mateotti. Jest już stary. Kiedyś pracował u rodziny Gatto, najznakomitszych producentów obuwia. Jako bardzo młody chłopak był uczniem samego Angelo Gatto, który założył swój warsztat w 1900 roku. Po wielu latach Giacomelli przywiózł swoje umiejętności do tutejszych lasów. Zmęczył go miejski zgiełk i wiecznie zniecierpliwieni klienci nie będący w stanie pojąć, że wyprodukowanie pary porządnych butów wymaga czasu.

Louise spojrzała mi w oczy i się uśmiechnęła.

– Chcę ci dać prezent – powiedziała. – Chcę, żeby Giacomelli uszył dla ciebie buty. Te, które masz na nogach, są obrazą dla twoich stóp. Giacomelli kiedyś opowiedział mi o wszystkich tych maleńkich kosteczkach i paseczkach mięśni, dzięki którym chodzimy, biegamy, tańczymy i stajemy na palcach, żeby zdjąć coś z wysokiej półki. Słyszałam też o śpiewaczkach operowych, które nie dbają o dyrygentów, scenografów, kostiumy ani o czystość wysokich tonów, a tylko o to, żeby mieć na nogach porządne obuwie.

Utkwiłem zdziwiony wzrok w Louise. Miałem wrażenie, że właśnie usłyszałem mojego ojca, wiecznie poganianego kelnera, który leżał w grobie od wielu lat. Mówił to samo o śpiewakach operowych. Niezwykła wydała mi się myśl, że on i moja córka mieliby wspólny temat do rozmowy.

Tymczasem Louise zaproponowała mi nowe buty. Chciałem zaprotestować, lecz nim zdążyłem otworzyć usta, uciszyła mnie gestem dłoni, weszła po schodkach, łagodnie odsunęła kota i otworzyła drzwi. Zalała nas fala muzyki. Dochodziła z pomieszczenia w głębi domu. Przeszliśmy przez pokoje Mateottiego, z regałami i półkami pełnymi skór oraz innych materiałów. Na jednej ze ścian widniało napisane ręcznie motto, podejrzewałem, że przez samego Giaconellego. Jego autorem był niejaki Zhuangzi, a słowa brzmiały: „Kto ma wygodne buty, nie myśli o stopach”. Następny pokój był pełen prawideł. Stały na regałach sięgających od podłogi po sufit. Do każdej pary była przymocowana karteczka z imieniem i nazwiskiem. Na widok niektórych zaparło mi dech. Wyglądało na to, że Giaconelli szył buty dla amerykańskich prezydentów, z których wielu już zmarło, znanych aktorów i dyrygentów, a także ludzi, których stracono lub okrzyknięto świętymi. Oszołomił mnie natłok tych sławnych stóp. Wyobraziłem sobie, że przyszły tu same, przez śniegi i las, by dotrzeć do nieznanego mi jeszcze szewca artysty i dać sobie uszyć buty.

– Dwieście różnych operacji – powiedziała Louise. – Tyle ich wykonuje Giaconelli, żeby uszyć jeden but.

– A więc muszą być bardzo kosztowne – skomentowałem. – To buty są pewnie warte tyle, co drogie kamienie.

Louise się uśmiechnęła.

– Giaconelli jest mi winien przysługę. Ucieszy się, mogąc się odwdzińczyć.

Odwdzińczyć.

Kiedy ostatnio usłyszałem, by ktoś wymawiał to staroświeckie słowo? Nie pamiętałem. Być może głęboko w lesie język żył innym życiem niż w miastach, gdzie nowe słowa bezlitośnie przeganiały stare.

Szliśmy dalej przez wiekowy dom. Każde kolejne pomieszczenie pełne było narzędzi i przyrządów, a w jednym z pokoi unosił się silny zapach farbowanej skóry. Jej kawałki leżały złożone warstwami na prostych drewnianych ławach.

Finał opery dobiegł końca i muzyka ucichła. Podłoga skrzypiała pod ciężarem naszych kroków.

– Mam nadzieję, że umyłeś nogi – szepnęła Louise, kiedy stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami.

– A co się stanie, jeśli tego nie zrobiłem?

– Giaconelli nic nie powie, ale będzie mu przykro. Nawet jeśli tego nie okaże.

Louise zapukała i otworzyła.

Przy stole, na którym w równych rzędach stały narzędzia, siedział mężczyzna, pochylony nad prawidłem częściowo obleczonym w skórę. Na nosie miał okulary. Jego głowa była łysa, nie licząc kępek włosów na karku. Był chudy, wyglądał jak jedna z tych osób, które zdają się nic nie ważyć. W pokoju nie stał żaden mebel poza stołem, nie było tu żadnych regałów ani półek, tylko puste drewniane ściany. Na parapecie jednego z okien stało radio. Louise pochyliła się nad mężczyzną i pocałowała go w czoło. Staruszek zdawał się być zachwycony jej widokiem i ostrożnie odłożył obleczone skórą prawidło.

– To jest mój ojciec – powiedziała moja córka, wskazując na mnie. – Wrócił do mnie po wielu latach.

– Dobry mężczyzna zawsze wraca – odparł Giaconelli łamaną szwedczyzną.

Potem wstał, podszedł do mnie i mocno uściśnął mi dłoń.

– Masz piękną córkę – powiedział. – Świetnie boksuje. Na dodatek dużo się śmieje i pomaga mi, kiedy potrzebuję pomocy. Dlaczego nie było cię tak długo?

Staruszek wciąż ścisnął moją dłoń, teraz jeszcze mocniej.

– Nie wiedziałem, że mam córkę.

– W głębi ducha mężczyzna czuje, czy ma dzieci, czy nie. Ale ty wróciłeś. Louise jest zadowolona, a to wszystko, co mi jest potrzebne do szczęścia. Bardzo długo czekała, aż przybędziesz do niej przez las. Może byłeś w tym czasie w drodze, nawet o tym nie wiedząc? Tak samo łatwo jest zgubić się w sobie samym, jak na leśnych ścieżkach albo ulicach miast.

Przeszliśmy do kuchni Giaconellego. W przeciwieństwie do ascetycznego warsztatu, tutaj pełno było porozstawianych garnków, z sufitu zwisały pęki suszonych ziół i warkocze czosnku, a na pięknych drewnianych półkach w długich szeregach ustawione były stare lampy naftowe i puszki z przyprawami. Na środku pomieszczenia stał duży, masywny stół. Giaconelli zauważył, że mu się przyglądam. Pogładził dłonią blat.

– To buk – powiedział. – To samo przepiękne drewno, z którego robię prawidła. Kiedyś sprowadzałem je z Francji. Żadne inne drewno nie nadaje się na prawidła tak dobrze jak buk z pagórkowatych terenów, gdzie jest sporo cienia, ale drzewa nie są narażone na gwałtowne zmiany klimatu. Dawniej osobiście

wskazywałem drzewa, które dla mnie ścinano. Robiłem to dwa lub trzy lata przed rozpoczęciem pracy. Ścinano je zimą i rozłupywano wzdłuż na dwumetrowe bele. Musiały mieć dokładnie dwa metry, nie więcej, a potem składowano je na dworze przez długi czas. Kiedy się przenieśliśmy do Szwecji, znalazłem dostawcę ze Skanii. Jestem już za stary, by każdego roku jeździć na południe i wybierać drzewa do ścięcia. To moje wielkie zmartwienie, choć z każdym rokiem robię coraz mniej prawideł. Spaceruję po tym wielkim domu i myślę sobie, że niedługo nie będę już szył butów. Człowiek, który wybiera dla mnie drzewa do ścięcia, podarował mi ten stół na moje dziewięćdziesiąte urodziny.

Stary mistrz zaproponował, byśmy usiedli, postawił przed nami kieliszki i wyjął skądś butelkę czerwonego wina oprawioną w plecione łyko. Dłoń mu drżała, kiedy napełniał lampki.

– Zdrowie ojca, który powrócił – powiedział, podnosząc kieliszek.

Wino smakowało wspaniale. Nagle do mnie dotarło, że na mojej wyspie bardzo za czymś tęskniłem, chociaż nie byłem tego wcale świadom. Tęskniłem za tym, by od czasu do czasu wypić lampkę wina z przyjaciółmi.

Giaconelli zaczął opowiadać niezwykle historie o butach, które szył przez całe swoje życie, o stale powracających klientach, a także o ich dzieciach, które pewnego dnia zjawiały się na progu jego domu, kiedy ich rodzice odeszli już na tamten świat. Przede wszystkim jednak opowiadał o stopach, jakie dane było mu mierzyć, żeby potem na ich wzór strugać prawidła. Tłumaczył mi, że na stopach wszystko się opiera i że moje pozwoliły mi do tego momentu pokonać pewnie ze sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Rozwodził się nad głową kości skokowej – *caput tali* – oraz jej znaczeniem dla siły w stopie. Potem z nie mniejszym zapałem zaczął

mówić o kości sześcienniej – *os cuboideum* – choć nie wykazywałem większego zainteresowania takimi szczegółami. Zdawało się, że wie wszystko o kościach i mięśniach stóp. Wiele z tego, co mówił, pamiętałem ze studiów medycznych, choćby to, że ludzka stopa ma genialną anatomiczną konstrukcję o krótkich mięśniach, które zapewniają jednocześnie siłę, wytrzymałość i giętkość.

W końcu Louise poprosiła go, żeby uszył dla mnie buty. Staruszek pokiwał głową z namysłem, a potem, nim zainteresował się stopami, długo przyglądał się mojej twarzy. W końcu odsunął na bok glinianą miskę pełną orzechów i kazał mi wejść na stół.

– Bez butów i bez skarpetek – oznajmił. – Wiem, że są dziś nowocześni szewcy, których zdaniem można mierzyć stopę w skarpetce. Ja jestem staroświecki. Chcę widzieć nagą stopę.

Nigdy nie sądziłem, że ktoś kiedyś będzie mierzył moje stopy, żeby uszyć dla mnie parę butów. Obuwie było dla mnie towarem mierzonym w sklepie. Zawahałem się, ale zaraz zzułem rozczłapane trzewiki, zdjąłem skarpetki i wdrapałem się na blat. Na widok moich stóp Giaconelli zrobił zatroskaną minę. Louise musiała wcześniej widzieć tę procedurę, bo poderwała się z krzesła, pobiegła gdzieś i po chwili wróciła z plikiem kartek, podkładką do pisania i ołówkiem.

Miałem wrażenie, że biorę udział w jakiejś ceremonii. Stary mistrz przyjrzał się moim stopom, pogładził je palcami i spytał, czy dobrze się czuję.

- Tak mi się zdaje – odparłem.
- Jesteś zupełnie zdrowy?
- Miewam bóle głowy.
- Czy twoje stopy mają się dobrze?
- Nie bolą mnie.

– Puchną czasem?

– Nie.

– Najważniejsze podczas mierzenia stopy jest, by robić to w spokojnych okolicznościach. Nigdy nocą, nigdy przy sztucznym świetle. Chcę poznać twoje stopy, kiedy dobrze się czują.

Zastanowiłem się, czy aby nie wystawiono mnie na pośmiewisko. Spojrzałem na Louise, ta jednak przyglądała mi się ze śmiertelną powagą, gotowa w każdej chwili zacząć notować. Zdjęcie miary z moich stóp oraz sporządzenie protokołu potrzebnego do wyprodukowania butów, które moja córka zamierzała dać mi w prezencie, zajęło Giaconellemu dwie godziny. W tym czasie dowiedziałem się, że ludzkie stopy to temat znacznie obszerniejszy i dużo bardziej złożony, niżbym kiedykolwiek przypuszczał. Stary mistrz długo szukał właściwego umiejscowienia osi podłużnych stanowiących o tym, czy moja lewa i prawa stopa skierowana są do środka, czy też na zewnątrz. Skontrolował kształt pięt i grzbietów stóp, a potem sprawdził, czy mam jakieś deformacje – płaskostopie lub wystające do góry palce, tak zwane palce młotkowate. Zorientowałem się, że Giaconelli przestrzega jednej podstawowej reguły: najlepsze rezultaty osiąga się, stosując najprostsze metody pomiaru. Używał jedynie dwóch napiętków i centymetra szewskiego. Żółta taśma miała z każdej strony inną miarę. Na jednej widniała numeracja francuska sztychowa, w której jedna jednostka odpowiadała 6,66 milimetra. Tej skali Giaconelli używał do mierzenia długości stopy. Drugą stroną, tą ze zwykłym centymetrem krawieckim, ustalał jej objętość. Poza tym używał zwykłego kątownika. W pewnej chwili kazał mi stanąć na białej kartce i zrobił obrys moich stóp zwykłym ołówkiem. Robiąc to, mówił do siebie pod nosem, omawiając każdy swój ruch. Przypomniały mi się czasy

studenckie i komentujący każdą swoją czynność profesorowie. Kiedy jako studenci asystowaliśmy przy operacji, nasi nauczyciele dokładnie opisywali każde cięcie, każdą strużkę krwi i ogólny stan pacjenta niemal co kilka sekund. Obrysowując moje stopy, Giaconelli wciąż powtarzał, że musi trzymać ołówek dokładnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do kartki. Jeśli będzie mniejszy – tłumaczył swoją łamaną szwedczyzną – buty będą co najmniej o numer za ciasne.

– Zawsze zaczyna się od pięty – mamrotał, robiąc obrys. Potem przeciągnął ołówek po wewnętrznej stronie stopy, wokół palców, a potem po zewnętrznej stronie z powrotem do pięty. Poprosił mnie, żebym mocno przycisnął palce do ziemi. Dokładnie tak powiedział, mimo że stałem na stole, na białej kartce. To, co było pod stopami, dla Giaconellego było zawsze ziemią, niczym innym.

– Dobre buty pomagają człowiekowi zapomnieć o stopach – powiedział. – Nikt nie idzie przez życie po stole i z papierem pod stopami. Stopy i ziemia tworzą jedność.

Ponieważ prawa i lewa stopa nigdy nie są identyczne, należało obrysować każdą z osobna. A gdy obrysy były wreszcie gotowe, Giaconelli zaznaczył najbardziej wystające punkty pierwszego oraz piątego palca u każdej stopy, a także pięty. Rysował powoli, jakby nie skupiał się wyłącznie na obrysie moich stóp, ale na jakimś wewnętrznym procesie, którego istnienie mogłem tylko podejrzewać. Podobnie pracowali starzy chirurdzy, których w swoim czasie podziwiałem. Lekarze ci stwarzali podczas operacji atmosferę nieodgadnionej dla innych tajemnicy.

Kiedy wreszcie pozwolono mi zejść ze stołu, cała operacja została powtórzona, ale tym razem mistrz kazał mi usiąść w wiklinowym fotelu. Podejrzewałem, że Giaconelli przywiózł ten mebel z Rzymu,

gdy podjął decyzję o dalszym wykonywaniu swojego fachu na dalekiej północy. Również podczas tej części mierzenia robił wszystko tak samo starannie, tym razem jednak nie mówił do siebie, ale nucił coś cicho. Zdawało mi się, że rozpoznaję melodię z opery, której słuchał, kiedy ja i Louise się zjawiliśmy.

Dużo później, gdy pomiary zostały zakończone i mogłem założyć skarpetki oraz moje stare, załośnie prezentujące się buty, wypiliśmy jeszcze po lampce wina. Giaconelli wyglądał na zmęczonego, jakby zdejmowanie miary z moich stóp wypompuwało z niego całą energię.

– Proponuję czarne buty z fioletowymi wstawkami – powiedział.
– Na czubkach wyszywany wzorek, a dziurki na sznurówki płaskie, bez okuć. Aby zachować ich dyskretny charakter, ale jednocześnie nadać im trochę indywidualizmu, użyję dwóch rodzajów skóry. Na wierzch wstawię kawałek skóry wygarbowany dwieście lat temu. Dzięki temu będą niezwykle przyjemne w dotyku i będą miały niepowtarzalny kolor.

Stary mistrz rozlał do kieliszków resztkę wina.

– Będą gotowe za rok – podjął. – Obecnie pracuję nad parą butów dla jednego z najznamienitszych kardynałów watykańskich, poza tym w kolejce czeka dyrygent Keskinen, wcześniej obiecałem też buty pewnej rosyjskiej śpiewaczce. Za twoje buty – spojrzał na mnie – zabiorę się za osiem miesięcy. Będą gotowe za rok.

Opróżniliśmy kieliszki. Giaconelli uścisnął nam dłonie na pożegnanie i wyszedł z kuchni. Kiedy byliśmy przy drzwiach wiodących na dwór, w głębi domu znów rozbrzmiała muzyka.

Właśnie poznałem starego mistrza szewskiego, mieszkającego na odludziu, głęboko w lesie, pomyślałem. Zdziwiający, ilu ludzi o wyjątkowych umiejętnościach chowa się z dala od wielkich miast.

– Niezwykły człowiek – odezwałem się do Louise, gdy szliśmy do samochodu.

– Artysta – odparła. – Jego butów nie da się porównać z niczym innym. Nie da się ich podrobić.

– Dlaczego osiedlił się akurat tutaj?

– Pewnego dnia doszedł do wniosku, że miasto przyprawia go o obłąd. Tłumy ludzi na ulicach, pośpiech i zniecierpliwienie uniemożliwiły mu pracę w spokoju. Mieszkał przy via Salandra. Postanowiłam sobie, że kiedyś tam pojedę, żeby zobaczyć, co Giaconelli porzucił.

Jechaliśmy wraz z zapadającym zmierzchem. Kiedy zbliżaliśmy się do przystanku autobusowego, Louise poprosiła mnie, żebym wjechał do zatoczki i się zatrzymał.

Przy samej drodze rósł gęsty las. Spojrzałem na córkę.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytałem.

Louise wyciągnęła do mnie rękę. Ująłem jej dłoń i chwilę tak siedzieliśmy, nic nie mówiąc. Minęła nas ciężarówka obładowana drewnem, wzbudzając tumany śniegu.

– Wiem, że przeszukałeś moją przyczepę, kiedy nas nie było – powiedziała. – Ale to nie szkodzi. Moich tajemnic nie da się znaleźć w szufladach i na półkach z książkami.

– Widziałem, że piszesz listy do polityków i czasem nawet dostajesz od nich odpowiedzi. Chociaż pewnie nie takie, jakich oczekujesz.

– Od polityków, których oskarżam o zbrodnie, zwykle dostaję zdjęcie z autografem. Inni odpowiadają wymijająco albo wcale.

– Co próbujesz przez to osiągnąć?

– Wystarczy, jeśli uda mi się doprowadzić do minimalnej zmiany. Pewnie będzie to tyle, że nie da się zauważyć różnicy, ale to zawsze coś.

Chciałem zadać jej jeszcze wiele pytań, ale powstrzymała mnie gestem, nim zdążyłem się odezwać.

– Co chcesz o mnie wiedzieć? – zapytała.

– Wiesz niezwykle życie. Mieszkasz w starej przyczepie, głęboko w lesie. Chociaż, jeśli się zastanowię, sam żyję w podobny sposób. Nie wiem, czy potrafię zapytać o wszystko, co mnie interesuje, ale jestem dobrym słuchaczem. Lekarz musi nim być.

Louise milczała długo, nim wreszcie się odezwała.

– Twoja córka siedziała w więzieniu. Przed jedenastu laty. Mam na koncie parę przestępstw, głównie oszustw.

Uchyliła drzwi, mimo że było zimno.

– Będę z tobą szczerą – podjęła. – Wygląda na to, że ty i mama cały czas się okłamywaliście. Ja nie chcę tak robić.

– Zналиśmy się jako młodzi ludzie – odparłem. – Żadne z nas nie wiedziało o drugim wystarczająco dużo, by nie popełniać błędów. Z prawdą czasem trudno jest żyć. Kłamstwa są wygodniejsze.

– Chcę, żebyś wiedział jak wyglądało moje życie. Zawsze czułam się jak odmieniec, jakby mamie ktoś podmienił dziecko w kołysce. Miałam wrażenie, że mieszkam z Harriet tymczasowo, w oczekiwaniu na moich prawdziwych rodziców. Zawsze ze sobą walczyłyśmy. Musisz wiedzieć, że ona nie jest łatwa. Uniknąłeś tego.

– Co się z tobą działo?

Louise wzruszyła ramionami.

– To, co z każdym zbuntowanym dzieciakiem. Wąchałam klej, próbowałam narkotyków, wagarowałam. Ale mimo to się nie stoczyłam. Udało mi się utrzymać na powierzchni. Dziś pamiętam te

czasy tak, jakbym się bawiła w ciuciubabkę. Chodziłam z opaską na oczach. A matka, zamiast mi pomóc, ciągle na mnie krzyczała. Pewnie jej się zdawało, że krzykiem odbuduje między nami miłość. Wyprowadziłam się od niej bardzo wcześnie. Popadłam w długi i wtedy zaczęły się te oszustwa. W końcu zatrzasnęły się za mną drzwi i utknęłam w pułapce. Wiesz, ile razy Harriet odwiedziła mnie w więzieniu?

– Ile?

– Jeden raz. Tuż przed moim zwolnieniem. Chciała się upewnić, że się do niej nie wprowadzę. Potem przez pięć lat prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Długo trwało, nim udało nam się nawiązać kontakt.

– Co było potem?

– Potem poznałam Jannego, chłopaka z tych okolic, ale pewnego dnia, kiedy się obudziłam, leżał koło mnie sztywny i zimny. Jego pogrzeb odbył się w kościele niedaleko stąd. Pojawili się jego krewni, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Nagle wstałam z ławki i powiedziałam, że chcę zaśpiewać piosenkę. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę. Może ze złości, że znów zostałam sama, albo z wściekłości na tych jego krewnych, którzy nie zjawili się wcześniej, kiedy ich potrzebowaliśmy. Pamiętałam jedynie słowa piosenki *Żeglarz kocha morskie fale*, na dodatek tylko pierwszą zwrotkę. Zaśpiewałam ją dwa razy z rzędu, a potem sobie pomyślałam, że była to najlepsza rzecz, jaką do tamtej pory zrobiłam w całym swoim życiu. Kiedy wyszłam z kościoła poceremonii, spojrzałam na las i nagle poczułam, że przynależę do tego miejsca, do tutejszej ciszy. Dlatego tu zostałam. Nie planowałam tego, wszystko jest dziełem przypadku. W czasie, gdy wszyscy stąd wyjeżdżają, ja zdecydowałam się odwrócić plecami do

wielkich miast. Spotkałam tu ludzi, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Nikt o nich nie opowiadał.

Louise przerwała i oznajmiła mi, że w aucie jest za zimno, by opowiadać dalej. Pomyślałem sobie, że to, co moja córka mi do tej pory powiedziała, mogłoby znaleźć się na okładce jakiejś książki. Streszczenie życia do dnia dzisiejszego. Miałem wrażenie, że wciąż nic o niej nie wiem. Ale przynajmniej zaczęła mówić.

Włączyłem silnik. Reflektory przecięły ciemność przed maską.

– Chciałam, żebyś o tym wiedział. Na razie tyle. Krok po kroku.

– Nie śpiesz się, niech to trwa tyle, ile musi trwać – powiedziałem. – Drugiego człowieka najlepiej poznaje się kawałek po kawałku. Dotyczy to tak samo ciebie, jak i mnie. Jeśli próbuje się to zrobić za szybko, można się zderzyć i pójść na dno.

– Jak na morzu?

– Błędy zwykle dostrzega się dopiero wtedy, kiedy jest już za późno. Odnosi się to nie tylko do nieoznaczonych morskich szlaków, ale i do ludzi.

Wyjechałem na drogę, zastanawiając się, dlaczego słowem nie wspomniałem o katastrofie, która złamała mi życie. Usprawiedliwiłem to zmęczeniem i oszołomieniem spowodowanym wydarzeniami ostatnich dni. Postanowiłem jednak, że jej o tym opowiem, ale jeszcze nie teraz. Miałem wrażenie, że utknąłem w chwili, gdy wynurzyłem się z mojego przerębla i zauważyłem, że na lodzie stoi staruszka z balkonikiem.

Mimo że znajdowałem się w sercu melancholijnych północnych lasów, zdawało mi się, że wciąż tkwię w tym przeręblu.

Pomyślałem, że kiedy wrócę do siebie, będę musiał długo kuć lód, by na nowo wybić otwór. O ile zatoka będzie wciąż zamrznięta.

Cienie tańczyły na śniegu w świetle reflektorów.

Wyłączyłem je i wysiedliśmy z auta w milczeniu. Niebo znów było rozgwieżdżone, noc chłodniejsza niż wczorajsza i zdawało się, że temperatura dalej spada. Z okien przyczepy padało słabe światło.

Gdy tylko weszliśmy do środka, od razu się zorientowaliśmy, że Harriet nie oddycha tak, jak powinna. Nie udało mi się jej obudzić, więc zmierzyłem jej tętno. Okazało się szybkie i nieregularne. Miałem w aucie aparat do mierzenia ciśnienia i poprosiłem Louise, by go przyniosła. Zarówno ciśnienie skurczowe, jak rozkurczowe Harriet miała zdecydowanie za wysokie.

Zanieśliśmy ją do samochodu. Louise spytała, co się stało, lecz mogłem powiedzieć jej tylko tyle, że musimy zawieźć Harriet do szpitala, żeby tam dokładniej ją zbadano. Mogła dostać wylewu, ale równie dobrze za nagłe załamanie zdrowia mógł być odpowiedzialny nowotwór. Nie wiedziałem.

Jechaliśmy przez ciemną noc w stronę Hudiksvall. Niebawem na horyzoncie wyrósł szpital. Oświetlony z wszystkich stron, wyglądał jak wielki statek. Przyjęły nas dwie miłe pielęgniarce, tymczasem Harriet odzyskała przytomność i wkrótce zaczął ją badać dyżurny lekarz. Ku wyraźnemu zdziwieniu Louise, nie powiedziałem, że sam jestem lekarzem, a przynajmniej że kiedyś nim byłem, dawno temu. Ograniczyłem się do poinformowania go, że Harriet ma raka i zostało jej już niewiele czasu. Dałem mu też kartkę, na której zapisałem nazwy lekarstw, jakie przyjmowała.

Czekaliśmy pod gabinetem, gdy lekarz dokładnie ją badał. Był w moim wieku. W końcu oznajmił, że zatrzymuje Harriet na noc, na obserwację. Nic nie wskazywało, by stało się z nią coś poważnego, poza ogólnym osłabieniem spowodowanym śmiertelną chorobą.

Harriet zdążyła znowu zasnąć, nim ja i Louise wyszliśmy w ciemną noc. Było już po drugiej, gwiazdy wciąż świeciły jasno. Louise nagle się zatrzymała.

– Czy ona teraz umrze? – spytała.

– Nie sądzę. Twarda z niej sztuka. Skoro zdołała dostać się na moją wyspę po lodzie, musi mieć jeszcze sporo siły. Myślę, że powie nam, gdy nadejdzie koniec.

– Kiedy się boję, robię się głodna. Innym robi się niedobrze, a ja muszę jeść.

Wsiadliśmy do wychłodzonego samochodu.

Pamiętałem, że na wjeździe do miasta był całonocny bar z hamburgerami. Zabrałem tam Louise. W lokalu siedziała grupka mężczyzn w średnim wieku, zapewne byli to właściciele zaparkowanych na zewnątrz zabytkowych, wypielęgnowanych aut z lat pięćdziesiątych. Wszyscy byli grubi, większość łysiejąca. Na dodatek ubrani byli tak, jakby lata pięćdziesiąte nigdy się nie skończyły. Tylko jeden z nich nie był pijany, pewnie przypadła mu w udziale rola kierowcy. Tuż pod oknem, przy którym siedzieli, stał wypucowany na wysoki połysk stary Chevrolet. Gdy ich mijaliśmy, poczułem zapach żelu do włosów.

Zdziwiłem się, usłyszawszy, że rozmawiają o Jussim Björlingu³. Również Louise zwróciła uwagę na ich głośną wymianę zdań. Dyskretnie wskazała palcem jednego z mężczyzn. Miał złote kolczyki, brzuch wypływający z dżinsów i resztki sosu do sałatki w kącikach ust.

– To Bror Olofsson – szepnęła. – Ta banda nazywa się Bröderna Brothers. Bror ma piękny głos. Kiedy był chłopcem, śpiewał solówki w kościele, ale potem, jako nastolatek, wolał się zająć samochodami i podrywaniem dziewczyn. Wielu twierdzi, że mógł zająć daleko, kto wie, może nawet na scenę operową.

– Dlaczego nie ma tu zwyczajnych ludzi? – zapytałem, spoglądając na kartę dań. – Czy wszyscy tutejsi to odmieńcy? Jeśli nie stary Włoch, który szyje buty, to łysiejący członek jakiejś podstarzałej bandy podrywaczy, rozprawiający o Jussim Björlingu.

– Zwyczajni ludzie nie istnieją – odparła Louise. – To politycy chcą, żebyśmy wierzyli w taki obraz świata. Zależy im na tym, żebyśmy myśleli, iż stanowimy część jednakowej masy i nie domagali się prawa do bycia takimi, jakimi jesteśmy naprawdę. Strasznie dużo się mówi o normie, której tak naprawdę nie ma. Jeśli uwierzymy, że jesteśmy zwyczajni, politycy zupełnie przestaną się z nami liczyć. Czasem myślę, że powinnam zacząć pisać listy do szwedzkich polityków. Do tej tajnej gwardii.

– Do czego? – zdziwiłem się.

– Tak nazywam bandę, która w rzeczywistości trzyma władzę. Tych, którzy odpowiadają na każdy list zdjęciem ze swoim autografem.

Louise zamówiła danie o dziwnej nazwie Strawa Królewska, ja natomiast zadowolilem się kubkiem kawy, małą paczką chipsów i hamburgerem. Moja córka rzeczywiście wyglądała na wygłodniałą. Miałem wrażenie, że próbuje wetknąć na raz do ust wszystko, co ma na tacy.

Nie był to przyjemny widok. Jej sposób jedzenia wprawiał mnie w zażenowanie.

Jak wygłodzone dziecko, pomyślałem, i przypomniała mi się podróż do Sudanu. Wybrałem się tam przed laty z grupą ortopedów, którzy mieli pomóc stworzyć placówki mogące leczyć pacjentów okaleczonych przez miny oraz nauczyć tamtejsze służby medyczne, jak budować protezy. Tam właśnie widziałem zdesperowane, wygłodzone dzieci, rzucające się jak zwierzęta na garstkę ryżu, warzywo czy ciastka przywiezione z odległego, niosącego pomoc kraju.

W całym barze oprócz nas i tej czwórki podstarzałych neandertalczyków siedziało kilku kierowców ciężarówek. Pochylali się nad tackami z jedzeniem, jakby przysypiali albo byli zatopieni w rozmyślaniach o własnej śmiertelności. W pewnej chwili w lokalu zjawiała się grupka dziewcząt, na oko czternasto-, może piętnastoletnich. Zamówiły jedzenie, rozsiadły się przy stoliku i od razu zaczęły szeptać, chichotać, a potem znów szeptać. Wciąż jeszcze pamiętałem z czasów wczesnej młodości to niezwykle uczucie towarzyszące zwierzaniu się i słuchaniu zwierzeń. Składało się przysięgę wiecznego milczenia na jakiś temat, ale za moment się ją łamało. Obiecywało się utrzymać coś w tajemnicy, a potem pędziło przekazać cenne informacje dalej. Dziewczyny były za młode, by siedzieć tu w środku nocy. Zdenerwowało mnie to. Czy nie powinny o tej porze spać? Louise zauważyła, że się im przyglądam i też na nie spojrzała. Pochłonęła swoją porcję, nim ja zdążyłem zdjąć pokrywkę z plastikowego kubka z kawą.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałam – powiedziała. – Nie są stąd.

– Czyżbyś znała wszystkich w mieście?

– Nie, ale i tych jestem pewna.

Upiłem łyk kwaśnej kawy. Pomyślałem, że przed porannym powrotem do szpitala powinniśmy wrócić do przyczepy i przespać

się parę godzin. Mimo to siedzieliśmy w barze do świtu. Dopiero wtedy poszła sobie banda podchmielonych grubasów oraz nastolatki. Nie zauważyłem jednak, kiedy zniknęli kierowcy ciężarówek. Po prostu w pewnej chwili już ich nie było. Również Louise się nie zorientowała, że zrobiło się pusto.

– Niektórzy ludzie są jak wędrowne ptaki – powiedziała. – Najważniejsze szlaki wiodące na południe lub północ przebywają nocą. Polecieli dalej, nim zdążyliśmy się zorientować.

Louise zamówiła herbatę. Ciemnoskórzy mężczyźni za ladą rozmawiali trudną do zrozumienia szwedzczyzną, która raz po raz przechodziła w jakiś nieznany mi język, melodyjny, ale mimo to wprawiający w przygnębienie. Louise pytała co jakiś czas, czy nie powinniśmy wracać do szpitala.

– Mają twój numer telefonu na wypadek, gdyby coś się stało – uspokajałem ją. – Równie dobrze możemy poczekać tutaj.

Mieliśmy przed sobą niekończącą się opowieść, kronikę obejmującą blisko czterdzieści lat. Przemknęło mi przez myśl, że być może ten śmierdzący przypalonym olejem bar z neonowymi świetlówkami jest dobrym miejscem na naszą rozmowę.

Louise podjęła opowieść o swoim życiu. Marzyła kiedyś o zostaniu alpinistką. Gdy spytałem, skąd taki pomysł, odparła, że ma lęk wysokości.

– Więc jak to sobie wyobrażałaś? – spytałem. – Że będziesz wisiała na linie nad przepaścią, mimo że boisz się wejść na drabinę?

– Sądziłam, że mając lęk wysokości, wydobędę z tej przygody znacznie więcej niż ci, którzy go nie mają. Spróbowałam tego kiedyś w Laponii. To nie była zbyt stroma góra, ale okazało się, że mam zbyt słabe ramiona. Porzuciłam tam moje marzenie, a w drodze powrotnej, mniej więcej na wysokości Sundsvall, przestałam

wreszcie płakać i postanowiłam, że zamiast górskiej wspinaczki, nauczę się zonglować.

– I to ci się udało?

– Wciąż jeszcze potrafię utrzymać trzy piłki w powietrzu. Albo trzy butelki. Jednak nigdy nie osiągnęłam tak wysokiego poziomu, o jakim marzyłam.

Louise zamilkła na moment, a ja czekałam na ciąg dalszy. Ktoś otworzył skrzypiące drzwi do baru i powiało chłodem.

– Nigdy nie sądziłam, że uda mi się odnaleźć to, czego szukam – ciągnęła. – W głównej mierze dlatego, że w głębi ducha nie miałam pojęcia, czego chcę. Choć właściwie wiedziałam, ale to akurat nie było możliwe.

– Żeby odnalazł się ojciec?

Louise potaknęła.

– Próbowałam odnaleźć cię za pomocą różnych gier. Na przykład szłam sobie ulicą i odliczałam: co jedenasty mężczyzna to mój ojciec. W noc świętojańską nigdy nie plotłam wianka w nadziei, że wyłowi go mój ukochany. Plotłam ich mnóstwo, marząc, że któryś z nich przyniesie mi ciebie. Ale ty się nie pojawiałeś. Pamiętam, że kiedyś byłam w kościele, w którym był ołtarz przedstawiający Jezusa na krzyżu w promieniu światła padającym z góry. Pod krzyżem klęczeli dwaj rzymscy żołnierze, przerażeni tym, że przybili go gwoździami do belek. Nagle wbiłam sobie do głowy, że mój ojciec to jeden z tych żołnierzy, że ma dokładnie taką twarz. Potem myślałam sobie, że kiedy po raz pierwszy ujrzałam mojego ojca, miał na głowie rzymski hełm.

– Czy Harriet nie miała żadnej fotografii?

– Pytałam ją o to. Co jakiś czas przeszukiwałam jej rzeczy, ale niczego nie znalazłam.

– Często robiliśmy sobie zdjęcia, a potem ona je porządkowała.

– Mówiła mi, że nie ma żadnej fotografii. Jeśli je spaliła, niech się tobie teraz tłumaczy.

Louise wstała i poszła po dolewkę herbaty. Przez otwarte drzwi do kuchni widać było mężczyznę śpiącego na krześle. Siedział oparty o ścianę, broda opadła mu na pierś.

Byłem ciekaw, czy mu się coś śni.

W kronice życia mojej córki przyszedł teraz czas na konie i rycerzy.

– Nigdy nie było nas stać na lekcje jazdy konnej dla mnie – opowiadała. – Nawet wtedy, gdy Harriet została kierowniczką sklepu z obuwem i zarabiała więcej pieniędzy. Do dziś czasem wspominam ze złością, jaka była skąpa. Mogłam jedynie stać po drugiej stronie ogrodzenia i z zazdrością przyglądać się dumnym wojowniczkom na koniach. Czułam się, jakby zmuszono mnie do bycia rycerzem i koniem w jednej osobie. Podzieliłam się więc na dwoje, jedna część była jednym, druga drugim. Kiedy czułam się świetnie i rano wstawało mi się lekko, wyobrażałam sobie, że jestem rycerzem na koniu, a moje życie jest nieskazitelne. W gorsze dni, gdy wcale nie chciało mi się wstawać, czułam, że jestem koniem, który stanął w rogu pastwiska i nie chce się ruszyć ani na krok, nieważne ile by go chłostano. Próbowałam wczuć się w tę rolę i sądzę, że to pomogło mi przetrwać trudy dzieciństwa. Może działało i później. Miałam pewność, że albo siedzę na koniu, albo że niosę siebie samą na grzbiecie i w każdym przypadku byłam przekonana, że nikt nikogo nie zrzuci.

Nagle zamilkła, jakby pożałowała swoich słów.

Była już piąta, a my siedzieliśmy w barze całkiem sami. Mężczyzna oparty o ścianę wciąż spał. Drugi powolnymi,

mechanicznymi ruchami napełniał cukierniczki.

Niespodziewanie Louise znowu się odezwała:

– Caravaggio – rzekła głośno. – Nie wiem, dlaczego w tej chwili pomyślałam właśnie o nim i tych jego obrazach kipiących pasją, z ostrymi, odcinającymi głowy nożami. Gdyby żył teraz, pewnie namalowałby bar, taki jak ten, a w nim nas.

Caravaggio? Nie przypomiąłem sobie żadnych jego obrazów, znałem tylko nazwisko. Po chwili w mojej zmęczonej głowie zamajaczyły ciemne kolory oraz gwałtowne, dramatyczne sceny.

– Nie znam się na sztuce – powiedziałem.

– Ja też nie. Ale kiedyś widziałam obraz, na którym mężczyzna trzymał czyjąś odciętą głowę. Gdy się dowiedziałam, że malarz dał tej odciętej głowie swoją twarz, uznałam, że muszę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Postanowiłam odwiedzić wszystkie miejsca, w których wiszą jego obrazy, nie zamierzałam zadowalać się reprodukcjami w albumach. I tak, zamiast pielgrzymować do kościołów i klasztorów, podążałam szlakiem Caravaggia. Gdy tylko udawało mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy, natychmiast leciałam do Madrytu czy innego miejsca, gdzie wiszą jego obrazy. Zatrzymywałam się w najtańszych hotelach, czasem nawet spałam na ławce w parku, ale poznałam wiele jego dzieł, a także ludzi, których malował, i uczyniłam z nich towarzyszy moich podróży. Wciąż jeszcze mam dużo do zobaczenia. Teraz możesz opłacać moje wycieczki.

– Nie jestem bogaty – odparłem.

– Sądziłam, że lekarze dużo zarabiają.

– Nie pracuję od wielu lat. Jestem na emeryturze.

– I nie masz żadnych oszczędności?

Czyżby mi nie wierzyła? Zrzuciłem winę za jej podejrzliwość na mdłą poranną porę i zatęchłe barowe powietrze. Sam miałem wrażenie, że neonowe lampy nie świecą na nas, ale obserwują każdy nasz ruch.

Louise kontynuowała opowieść o Caravaggu i po jakimś czasie udało mi się nawet poczuć trochę pasji, która ją porwała. Była jak muzeum, którego sale powoli zapełniały się jej osobistymi interpretacjami dzieł tego wielkiego malarza. Mówiła o nim, nie jakby żył przed czterystoma laty, ale teraz, w jednym z tych opuszczonych domów w głębi lasu.

Powoli zaczęli się zjawiać ludzie, ranne ptaszki. Stawali przy barze i zamawiali dania o najdziwniejszych nazwach: Wzorcowe Bramka, Średni Potwór, Mały Potwór. Jedno z dań nosiło nawet nazwę popularnego serialu. Przyszło mi na myśl, że o dziwo nawet w tanich knajpach, takich jak ta, można przekazywać niezwykle treści. Przez moment popatrzyłem na ten śmierdzący smażeniną lokal jak na galerię sztuki.

Moja córka wciąż rozprawiała o Caravaggu jakby był jej bliskim krewnym albo mężczyzną, którego kocha i z którymi chce dzielić życie.

Miał na imię Michelangelo. Jego ojciec Fermi zmarł, kiedy przyszły malarz miał sześć lat. Ledwie go pamiętał. Ojciec był jednym z towarzyszących mu w życiu cieni, niedokończonym portretem. Matka żyła dłużej, zmarła, gdy Caravaggio miał dziewiętnaście lat. Po niej pozostało jedynie milczenie i bezgłośna wściekłość.

Potem Louise zaczęła opowiadać o portrecie Caravaggia sporządzonym przez artystę nazwiskiem Leoni tylko za pomocą

czerwonej i czarnej kredy. Wyglądał jak żywcem wyjęty z listu gończego. Czerń i czerwień przypominały węgiel i krew.

– Spoglądał z niego badawczym wzrokiem – mówiła. – Pewnie zastanawiał się, czy my, patrzący na niego, istniejemy naprawdę, czy też tylko nas sobie wyobraża. Miał ciemne włosy, brodę, mięsisty nos, oczy oprawione wysokimi łukami brwi. Ktoś mógłby stwierdzić, że to przystojny mężczyzna. Są jednak tacy, którzy sądzą, że miał przestępczą naturę, nosił w sobie gwałtowną nienawiść. Mimo to potrafił wiernie portretować ludzi i ich subtelne ruchy.

Jak wyuczony na pamięć psalm, Louise przytoczyła słowa jakiegoś kardynała, chyba nazywał się Borromeo, chociaż nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem. Napisał on ponoć tak: „W swoim czasie znałem w Rzymie malarza, który prowadził się źle, miał paskudne nawyki, stale chodził w brudnych i podartych szatach. Malarz ten, znany z awanturniczej i brutalnej natury, nie robił też wiele pożytku ze swojego talentu. Swych pędzli używał wyłącznie do malowania tawern, pijaków, starych wróżbiarek i hazardzistów. Jego niepojęte szczęście polegało na tym, iż oddawał naturę tych nędznych obiektów niezwykle trafnie”.

Caravaggio bez wątpienia miał w sobie iskrę bożą, ale jednocześnie był groźnym człowiekiem. Miał gwałtowny temperament i nieustannie wdawał się w awantury. W bójkach używał pięści i noży, raz nawet zabił człowieka, pokłóciwszy się z nim o punkt w meczu tenisowym. Niebezpieczny był również dlatego, że przyznawał się w swoich malowidłach do strachu. Fakt, że nie starał się skryć tego lęku pośród cieni, czynił Caravaggia – czyni go również dziś – niebezpiecznym człowiekiem.

Wciąż rozprawiając o tym wielkim malarzu, Louise zaczęła mówić o śmierci. Jest ona widoczna we wszystkich jego obrazach, począwszy od robaka wychodzącego z jabłka w koszu pełnym owoców, skończywszy na spojrzeniu człowieka, któremu zaraz obetną głowę. Powiedziała, że Caravaggio nigdy nie odnalazł tego, czego szukał przez całe życie. Wciąż znajdował coś innego. Moja córka twierdziła, że widać to choćby po sposobie, w jaki malował konie – zawsze z pyskami pokrytymi pianą, taką samą pianą furii, jaką nosił w sobie. Malował wszystko, oprócz jednego. Nigdy nie malował morza.

Louise wytłumaczyła mi, że obrazy Caravaggia poruszyły ją przede wszystkim dlatego, że oferowały jej bliskość. W jego malowidłach zawsze w tle pozostaje dużo miejsca, które można zająć. Zwykła wyobrażała sobie, że jest jedną z namalowanych postaci i nie musi się obawiać, że ktoś ją stamtąd wygoni. Często szukała w tych obrazach pocieszenia, studiując namalowane z czułością detale, powstałe, gdy pędzle mistrza niczym opuszki palców gładziły wynurzające się z ciemności twarze.

Chwilę później moja córka sprawiła, że zapyziały bar zmienił się na moment we włoskie wybrzeże. Był 16 lipca 1609 roku. Panował trudny do zniesienia upał. Caravaggio wraz z całym swoim dobytkiem – paroma obrazami, pędzlami i farbami oraz tobołkiem ze znoszonymi, brudnymi ubraniami i butami – zszedł na brzeg z małej łódki, *felucci*. Louise nigdy nie udało się ustalić, jak wyglądała taka łódź. Został na plaży sam, powietrze było gorące, być może raz po raz muskała go morska bryza, lecz z pewnością komary nie dawały mu spokoju. Cięły niemiłosiernie, wstrzykując mu śmiertelną truciznę. Podczas dusznych, wilgotnych nocy, gdy wycieńczony malarz leżał skulony na piasku, pasożyty malarii

mnożyły się w jego wątrobie. Pierwszy atak gorączki zaatakował nagle, jak napastnik w ciemnej uliczce. Caravaggio nie był jeszcze świadom, że niedługo umrze, lecz niedokończone dzieła, które w sobie nosił, szybko tężały i kurczyły się w jego głowie, by już nigdy się stamtąd nie wydostać. „Życie jest jak stale umykający sen” – kiedyś tak podobno powiedział, choć Louise sama już nie była już pewna, czy to nie jej poetyckie sformułowanie.

Słuchałem jej z zadziwieniem, czując się, jakbym dopiero teraz ją zobaczył. Miałem córkę, która naprawdę wiedziała, co znaczy być człowiekiem.

Nie wątpiłem, że jednym z jej najbliższych przyjaciół jest zmarły czterysta lat temu malarz. Louise potrafiła tak samo dobrze komunikować się ze zmarłymi, jak i żywymi. Może nawet lepiej z tymi pierwszymi?

Mówiła bez przerwy, aż w końcu nagle zamilkła. Mężczyzna śpiący na krześle otworzył oczy. Podniósł się i ziewając, rozerwał worek zamrożonym frytek, po czym wsypał je do gorącego oleju.

Siedzieliśmy jeszcze długo w milczeniu. Louise w końcu wstała i poszła po dolewkę herbaty.

Gdy wróciła, opowiedziałem jej, jak odciąłem pacjentce zdrową rękę zamiast chorej. Nie przygotowywałem się na to, po prostu zacząłem mówić, jakbym czuł, że nie mam innego wyjścia i muszę opisać córce wydarzenie, które do tej pory zdawało mi się decydującym momentem mojego życia. W pierwszej chwili Louise zdawała się nie rozumieć, że opowiadam o sobie, ale po chwili wreszcie to do niej dotarło. Popeliłem ten fatalny błąd dwanaście lat temu. Dostałem ostrzeżenie, które nie zatrzymałoby mojej dalszej kariery, gdybym się z nim pogodził. Ja jednak czułem się

pokrzywdzony i próbowałem się bronić. Tłumaczyłem, że sytuacja w pracy była stresująca, rosła kolejka chorych zakwalifikowanych do operacji, a szpitalowi obcięto budżet. Pracowałem bez wytchnienia i pewnego dnia po prostu zmęczenie wzięło górę. Podczas zabiegu, który odbywał się tuż po dziewiątej rano, amputowałem młodej kobiecie zdrową prawą rękę. Odciąłem ją powyżej łokcia. Nie była to skomplikowana operacja, chociaż odjęcie kończyny zawsze wymaga szczególnej ostrożności. Jednak nic mi nie podpowiedziało, że popełniam katastrofalny błąd.

– Jak to jest w ogóle możliwe? – spytała Louise, kiedy zamilkłem.

– Tak po prostu – warknąłem. – Jeśli pożyczysz wystarczająco długo, zrozumiesz, że w życiu nic nie jest niemożliwe.

– Zamierzam się zestarzeć. Dlaczego odpowiadasz mi takim tonem? Jesteś zły?

Rozłożyłem rękę.

– Nie chciałem. To pewnie zmęczenie. Dochodzi wpół do siódmej, a my przesiedzieliśmy tu całą noc. Powinniśmy byli się trochę przespać.

– Pojedźmy do domu – zaproponowała, wstając. – Póki co, szpital się nie odzywa.

– Nie mogę spać na twoim wąskim łóżku.

– Mogę spać na podłodze.

– Ledwie zdążymy dojechać do domu, już będziemy musieli wracać do szpitala – protestowałem dalej.

Louise usiadła z powrotem. Widziałem, że jest równie zmęczona jak ja. Mężczyzna z baru znów zasnął na krześle, z brodą opadłą na pierś.

Neonowe świetlówki nie przestawały na nas łypać, niczym czające się gady.

Powitałem świt jak zbawienie.

O wpół do dziewiątej wróciliśmy do szpitala. Zaczął padać śnieg, z nieba leciały drobne, leciutkie płatki. We wstecznym lusterku ujrzałem swoją zmęczoną twarz. Nagle wstrząsnęła mną myśl o śmierci. O jej nieuchronności.

I ja zmierzam już w dół, pomyślałem. Wkroczyłem w epilog. Zostało mi jeszcze parę wejść na scenę i kilka zejść z niej, nic więcej.

Pogrążony w myślach, przegapiłem zjazd do szpitala. Louise spojrzała na mnie zdziwiona.

– Powinieneś być skręcić w prawo – powiedziała.

Nie odpowiedziałem. Zawróciłem w najbliższej przecznicy i chwilę później byliśmy już pod szpitalem. Przy wejściu na ostry dyżur stała pielęgniarka, która przyjęła nas nocą. Paliła papierosa i zdawała się nas nie poznawać. Gdyby czasy były inne, mogłaby być postacią na obrazie Caravaggia.

Weszliśmy do środka. Drzwi do sali, w której leżała Harriet, były otwarte na oścież. Pokój jednak był pusty. Korytarzem szła inna pielęgniarka, więc zapytaliśmy ją, co się stało. Kobieta spojrzała na nas nieufnie. Przemknęło mi przez myśl, że wyglądamy pewnie jak dwa blade robaki, które wypełzły nad ranem spod jakiegoś kamienia.

– Pani Hörnfeltdt już tu nie ma – oznajmiła oficjalnym tonem.

– Przenieśliście ją na inny oddział? – dopytywałem.

– Nigdzie jej nie przenieśliśmy. Poszła sobie. Ubrała się i zwyczajnie wyszła. Nic nie mogliśmy na to poradzić.

Pielęgniarka sprawiała wrażenie rozzłoszczonej, jakby Harriet wyrządziła jej osobistą krzywdę.

– Ktoś musiał ją widzieć – powiedziałem.

– Personel z nocnej zmiany zaglądał do niej w równych odstępach czasu. Kwadrans po siódmej już jej nie było.

Spojrzałem na Louise. Wywróciła oczami w dziwny sposób, pomyślałem więc, że chce mi dać jakiś znak.

– Czy coś zostawiła? – zwróciła się do pielęgniarki.

– Nie, nic.

– Więc pewnie pojechała do domu.

– Powinna była dać nam znać, że chce się wypisać.

– Taka już jest – Louise wzruszyła ramionami. – To moja matka.

Wyszliśmy ze szpitala tą samą drogą, przez ostry dyżur.

– Naprawdę dobrze ją znam – powtórzyła moja córka. – Domyślam się, dokąd poszła. Kiedy byłam mała, miałyśmy umowę, że jeśli któraś z nas kiedyś się zgubi, spotykamy się w najbliższej kawiarni od miejsca rozstania.

Obeszliśmy budynek i znów weszliśmy do środka, tym razem jednak głównym wejściem. W dużym hollu na parterze była stołówka.

Harriet siedziała przy stoliku i piła kawę. Zauważyła nas i pomachała wesoło. Wyglądało, że cieszy się na nasz widok.

– Wciąż nie wiadomo, dlaczego wczoraj poczułaś się gorzej – powiedziałem surowym tonem. – Lekarze muszą mieć czas na przeprowadzenie badań.

– Mam raka i niebawem umrę – odparła spokojnie Harriet. – Mam za mało czasu, by leżeć w szpitalu i wpadać w panikę

z powodu jakichś badań. Nie wiem, co mi się wczoraj stało, może po prostu za dużo wypiałam. Chcę wrócić do domu.

– Masz na myśli mój dom czy Sztokholm? – spytała Louise.

Harriet złapała przedramię córki i podniosła się z krzesła. Sięgnęła do poręczy balkonika, który zostawiła pod stojakiem na gazety. Chwyciła go swoimi kruchymi palcami. Patrząc na nią teraz, nie mogłem uwierzyć, że była w stanie wyciągnąć mnie z wody.

Gdy wróciliśmy do przyczepy Louise, wszyscy troje położyliśmy się na wąskim łóżku. Ja dostałem miejsce z brzegu i musiałem oprzeć nogę na ziemi, ale mimo to szybko zasnąłem.

We śnie odwiedził mnie Jansson na swoim hydrokopterze. Silnik ryczał tak głośno, jakby pruł za sobą lód. Schowałem się za skałą i czekałem, aż Jansson odjedzie. A kiedy znów spojrzałem na zatokę, na łodzi stała Harriet oparta o swój balkonik. Była naga. Tuż obok niej ział czernią wielki przeręb.

Przebudziłem się gwałtownie. Matka i córka spały, a ja wpadłem na pomysł, żeby zarzucić kurtkę i wyjść z przyczepy. Zostałem jednak i po chwili znowu usnąłem.

Obudziliśmy się wszyscy o tej samej porze. Zegar wskazywał pierwszą. Wyszedłem się wysikać. Śnieg już nie padał, a chmury rozwiały się nieco, ukazując skrawki błękitnego nieba.

Chwilę później piliśmy kawę. Harriet poprosiła mnie o zmierzenie jej ciśnienia, bo rozboleła ją głowa. Było tylko trochę podwyższone. Louise poprosiła mnie o to samo.

– Będzie to jedno z moich pierwszych wspomnień związanych z ojcem – powiedziała. – Zaraz po tym, w którym mój ojciec przynosi wodę w wiadrach.

Jej ciśnienie było bardzo niskie. Spytałem ją, czy miewa zawroty głowy.

- Tylko kiedy się upiję – odparła.
- Przy żadnej innej okazji?
- Nie, nigdy nawet nie zemdlałam.

Odłożyłem aparat.

Kiedy wypiliśmy kawę, zegar wskazywał kwadrans po drugiej. W przyczepie było ciepło, miałem wrażenie, że nawet trochę za gorąco. Wydawało mi się, że panuje w niej zaduch, od którego wszystkim pogarsza się nastrój. Nie byłem pewien, czy to było przyczyną, ale nagle zostałem napadnięty z dwóch stron. Zaczęło się od pytania Harriet, jak to jest nagle zyskać córkę, zwłaszcza teraz, gdy minęło już kilka dni.

– Jakie tu uczucie? – dopytałem. – Chyba nie potrafię odpowiedzieć.

- Twoja obojętność jest przerażająca – odparła Harriet.
- Nie masz pojęcia, jak to przeżywam – obruszyłem się.
- Dobrze cię znam.

– Spotykaliśmy się czterdzieści lat temu! Dziś nie jestem tym samym człowiekiem, którego wtedy znałaś.

– Jesteś tchórzem. Boisz się przyznać, że mam rację, tak samo, jak wtedy bałeś się powiedzieć, że nie chcesz już ze mną być. Uciekłeś tamtego dnia i tak samo próbujesz wymknąć się teraz. Czy nie możesz choć raz powiedzieć, co naprawdę czujesz? Nie ma w tobie ani trochę szczerości?

Nim zdążyłem cokolwiek odrzec, Louise dorzuciła, że mężczyzna, który zostawia kobietę w taki sposób, na wieść o dziecku zareaguje inaczej niż obojętnością, co być może powodowane będzie strachem, a w najlepszym razie bardzo ograniczonym zaciekawieniem.

– Nie rozpoznaję siebie w tym opisie – odparłem, kiedy wreszcie zamilkła. – Odpokutowałem już za to, co wtedy zrobiłem. Poza tym nie miałem pojęcia o istnieniu dziecka, bo nic mi nie powiedziałaś.

– Jak miałam ci powiedzieć, skoro zniknąłeś?

– Kiedy jechaliśmy nad to leśne jezioro, przyznałaś, że nigdy nawet nie spróbowałaś mnie znaleźć.

– Oskarżasz śmiertelnie chorego człowieka o kłamstwo?

– Nikogo o nic nie oskarżam.

– Powiedz prawdę! – krzyknęła nagle Louise. – Odpowiedz na jej pytanie!

– Jakie pytanie?

– To dotyczące twojej obojętności.

– Nie jestem obojętny. Cieszę się.

– Nie widać po tobie radości.

– Zapewne dlatego, że twoja przyczepa jest za mała, bym zatańczył na stole! – uniosłem się. – Jeśli na czymś takim ci zależy.

– Nie myśl sobie, że zrobiłam to dla ciebie! – wrzasnęła Harriet. – Robię to dla niej!

Krzyczeliśmy na siebie tak głośno, że zacząłem obawiać się, czy nie rozpadną się ściany przyczepy. W głębi ducha wiedziałem, że Louise i Harriet mają rację. Porzuciłem ją wtedy bez podania przyczyny, a teraz nie okazałem szczególnej radości z powodu poznania córki. Mimo to ich atak mnie zaskoczył i też dałem się ponieść. Nie wiem, jak długo się przekrzykiwaliśmy. Kilka razy zdawało mi się nawet, że Louise zaciśnie dłoń w pięść i mnie zdzieli. O tym, jak awantura odbiła się na ciśnieniu Harriet, nie odważyłem się nawet pomyśleć. W końcu wstałem, gwałtownie szarpnąłem za uchwyt mojej torby, zdarłem z wieszaka kurtkę i zgarnąłem z podłogi buty.

– Mam was w dupie! – wrzasnąłem i wyszedłem z przyczepy.

Louise nie wybiegła za mną. Harriet też mnie nie zawołała. Na zewnątrz otoczyła mnie cisza. Poszedłem w samych skarpetkach do auta i odjechałem. Dopiero, gdy znalazłem się na głównej drodze, zjechałem na pobocze, zdjąłem przemoczone skarpety i włożyłem buty na bose stopy.

Wciąż byłem wzburzony z powodu oskarżeń wykrzyczanych pod moim adresem. Jechałem i raz po raz analizowałem w głowie naszą kłótnię, zmieniając w wyobraźni swoje wypowiedzi, doprecyzowując je i zaostrzając. Słowa Harriet i Louise pozostawały jednak bez zmian.

Dotarłem do Sztokholmu w środku nocy, pokonawszy trasę o wiele za szybko. Przespałem się chwilę w samochodzie, ale wkrótce zbudził mnie chłód i ruszyłem dalej, w stronę Södertälje. Nie miałem siły dłużej jechać. Wynająłem pokój w motelu i od razu zasnąłem. Nazajutrz zadzwoniłem do Janssona i o pierwszej ruszyłem dalej na południe. Nagrałem mu wiadomość na automatycznej sekretarce. „Czy możesz odebrać mnie o wpół do szóstej?” – spytałem. Nie wiedziałem, jaki ma stosunek do jazdy po ciemku, więc mogłem mieć tylko nadzieję, że odsłucha nagranie i okaże się, że ma porządne reflektory w tym swoim hydrokopterze.

Gdy dotarłem do portu, Jansson już na mnie czekał. Zapewnił, że karmił zwierzęta. Podziękowałem mu i dałem do zrozumienia, że śpieszy mi się do domu.

Na miejscu Jansson nie przyjął żadnej zapłaty.

– Nie można kazać sobie płacić własnemu lekarzowi – powiedział.

– Nie jestem twoim lekarzem – mruknąłem. – Rozliczymy się, kiedy przyjedziesz następnym razem.

Zostałem na pomoście tak długo, aż hydrokopter zniknął za skałami i nie było już widać świateł. Nagle zorientowałem się, że pies i kot siedzą tuż obok mnie. Schyliłem się i pogłaskałem je. Suka wyglądała chudo. Zostawiłem torbę na pomoście, nie miałem siły teraz się nią zajmować.

Nawet na mojej wyspie wciąż byliśmy we troje, tak samo jak w przyczepie Louise. Tutaj jednak byłem spokojny, że nikt mnie nie zaatakuje. Z ulgą wszedłem do kuchni, nakarmiłem zwierzęta, a potem usiadłem przy stole i zamknąłem oczy.

Nocą źle spałem. Wstawałem co jakiś czas i spoglądałem przez okno na rozgwieżdżone, bezchmurne niebo. Była pełnia. Światło księżyca oblewało pobliskie skały i biały lód na zatoce. Założyłem buty, narzuciłem kozuch i wyszedłem. Suka nawet się nie zorientowała, kiedy wychodziłem, kotka tylko otworzyła oko, ale nie ruszyła się z kanapy. Na dworze było zimno. Zszedłszy na pomost zobaczyłem, że walizka się otworzyła i wypadły z niej skarpetki i koszule. Znów machnąłem na nią ręką.

To właśnie wtedy, kiedy stałem nocą na pomoście, dotarło do mnie, że muszę odbyć jeszcze jedną podróż. Przez dwanaście lat wmawiałem sobie, że to niepotrzebne, lecz po spotkaniu z Louise oraz po naszej długiej nocnej rozmowie ujrzałem wszystko w innym świetle. Nie musiałem jechać w tę podróż. Chciałem tego.

Wiedziałem, że gdzieś na świecie żyje kobieta, której amputowałem zdrową rękę. Wówczas miała dwadzieścia lat, teraz więc ma trzydzieści dwa. Pamiętałem jej nazwisko, Agnes Klarström. Stojąc w ciemnościach, przypominałem sobie wszystkie związane z nią szczegóły, jakbym właśnie przeczytał jej kartę. Pochodziła z któregoś z południowych przedmieść Sztokholmu,

Aspudden albo Bagarmossen. Zaczęło się od bólu w barku. Pacjentka startowała w zawodach pływackich, więc zarówno ona, jak i jej trener byli zdania, że to przemęczenie. Lecz gdy doszło do tego, że Agnes z bólu nie mogła już pływać, zgłosiła się do lekarza. Potem wszystko potoczyło się w szybkim tempie. Gdy tylko potwierdzono diagnozę – mięsak – amputacja okazała się jedynym wyjściem, mimo że dla pacjentki oznaczało to życiową katastrofę. Zamiast kariery zawodowej pływaczki, czekał ją los jednoręki kaledony.

Zgodnie z planem to nie ja miałem wykonywać zabieg. Agnes była pacjentką mojego kolegi, ale traf chciał, że jego żona miała wypadek samochodowy i jego operacje chaotycznie poprzydzielano innym. Tak Agnes Klarström trafiła na mój stół.

Operacja trwała niewiele ponad godzinę. Dokładnie pamiętałem, jak personel przygotował do zabiegu złą rękę. Moim obowiązkiem było sprawdzenie, czy zamierzam poddać amputacji właściwą kończynę, ja jednak ufałem personelowi.

Miesiąc później dowiedziałem się od zarządu szpitala, że przeciwko mnie wpłynął pozew.

Od tego zdarzenia minęło dwanaście lat. Zrzucałem życie Agnes Klarström oraz swoje. Co gorsza, później wykazano, że amputacja chorej kończyny jednak nie była konieczna.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby ją odnaleźć. Nie rozmawiałem z nią, pomijając krótką wymianę zdań niedługo po operacji, kiedy wciąż jeszcze była otumaniona.

Zostawiłem ją za sobą, jak każdą załatwioną sprawę. Aż do dnia wpłynięcia pozwu.

Była druga w nocy. Wróciłem do domu i usiadłem przy stole w kuchni. Odkąd wróciłem, nie zajrzałem do pokoju mrówek, być może z obawy, że wysypią się na mnie, gdy tylko otworzę drzwi.

Chwilę później zadzwoniłem na informację telefoniczną, ale w Sztokholmie nie było nikogo o tym nazwisku. Poprosiłem więc telefonistkę, która przedstawiła się jako Elin, by poszukała w całej Szwecji.

Po około minucie usłyszałem o Agnes Klarström mieszkającej niedaleko od Sztokholmu. To pewnie ona, pomyślałem. Zanotowałem jej numer telefonu oraz adres, miejscowość Sångledsbyn w gminie Flen.

Pies spał jak kamień. Kot poszedł spacerować w świetle księżyca. Wstałem od stołu i wszedłem do pokoju, w którym wciąż stało na swoim miejscu krosno tkackie mojej babki z do połowy utkanym chodnikiem. Za każdym razem, kiedy na nie spoglądałem, przychodziło mi na myśl, że nie ma wyraźniejszego obrazu śmierci niż ten. Śmierć przychodzi nagle i zwyczajnie nam coś przerywa: tkanie chodnika, którego już nigdy nikt nie dokończy, całe nasze życie. Na półce, pełnej kiedyś motków wełny i kawałków tkanin, przechowywałem ważne papiery, począwszy od rocznych podsumowań kiepskich wyników na studiach, których mój przepełniony dumą ojciec uczył się na pamięć, skończywszy na kserokopii protokołu z feralnej amputacji. Dokumentów nie było wiele, bo nauczyłem się pozbywać większości tych, które inni uważali za warte zachowania. Na samym wierzchu leżał mój testament, sporządzony za nieprzyzwoicie ciężkie pieniądze przez adwokata. Testament, który teraz będę musiał zmienić, bo okazało się, że mam córkę, pomyślałem. Ale nie dlatego wszedłem do pokoju z krosnami, w którym wciąż jeszcze unosił się zapach mojej babki. Sięgnąłem po protokół z operacji z 9 marca 1991 roku. Mimo że znałem ten tekst na pamięć, położyłem go przed sobą na stole i jeszcze raz dokładnie przestudiowałem.

Każde jego słowo było jak ostry kamień, raniący moje stopy po drodze w bezdenną otchłań. Od diagnozy: „Mięsak chrzęstnopochozny dalszego końca kości ramiennej lewej”, aż po sam koniec: „Bandażowanie”.

Bandażowanie. Później nie było już nic. Operacja dobiegła końca, a pacjentkę wywieziono z sali. Bez ręki, ale za to z wciąż toczącym ją nowotworem w kości ramiennej drugiej kończyny.

Zacząłem czytać raz jeszcze: „Badanie przedoperacyjne pacjentki: dwudziestoletnia, praworęczna kobieta. Przyjęta z powodu obrzęku lewego ramienia. Szczegółowe badania potwierdziły rozpoznanie. Amputacja w obrębie dalszej części ramienia daje dobry margines. Przebieg operacji: intubacja i narkoza, pozycja fotela plażowego, obłożenie pola operacyjnego. Profilaktyka antybiotykowa. Cięcie w bruździe naramiennie-piersiowej, od wyrostka kruczego w kierunku pachy, wzdłuż przedniego brzegu mięśnia naramiennego. Preparuję tkanki wzdłuż przebiegu żyły odpromieniowej, żyłę pozostawiam bocznie. Przecinam powięź przy bocznym brzegu głowy krótkiej mięśnia dwugłowego, odsłaniam mięsień podłopatkowy. Odpreparowuję mięsień podłopatkowy, oszczędzając nerw pachowy i sąsiadujące z nim naczynia. Żyłę zabezpieczam pojedynczą, a tętnice podwójną podwiązką. Wypreparowuję nerwy i przecinam je. Następnie oddzielam mięsień naramienny od kości ramiennej. Mięsień najszerszy grzbietu i obły większy odcinam przy dalszym przyczepie. Długą i krótką głowę bicepsa, a także mięsień kruczoramienny przecinam tuż poniżej poziomu amputacji. Przecinam piłą kość ramienną na wysokości szyjki chirurgicznej i wygładzam pilnikiem koniec. Kikut pokrywam mięśniem trójgłowym, który odciąłem poniżej poziomu amputacji kości. Doszywam do boku kości ramiennej odcięty mięsień

piersiowy większy. Zakładam dren i zszywam skórę bez napięcia. Bandażuję”.

Byłem przekonany, że Agnes Klarström także czytała ten tekst wiele razy, wcześniej poprosiwszy kogoś o wyjaśnienie, co to wszystko znaczy. Z pewnością jej uwadze nie umknął fakt, że pośród wielu fachowych terminów stoi całkiem zwyczajne określenie: „pozycja fotela plażowego”. Zapewne wyobraziła sobie, że operowano ją tak, jakby leżała na plaży, albo na tarasie, z obnażonym ramieniem oraz światłem padającym prosto na jej twarz. Światłem, które było ostatnim, co widziała, zanim odpłynęła w ciemność, otumaniona narkozą. A potem, podczas gdy leżała rozluźniona jak na leżaku, ja nieodwracalnie uszkodziłem jej ciało.

Czy to na pewno ta sama Agnes Klarström, rozmyślałem, wpatrując się w zanotowany na kartce adres. Mogła przecież wyjść za mąż, zmienić nazwisko. Zgodnie z tym, co podano mi w informacji telefonicznej, przed jej nazwiskiem nie było żadnego tytułu.

Była to przerażająca, ale zarazem decydująca dla mnie noc. Zyskałem pewność, że nie uniknę rozmowy z dawną pacjentką. Musiałem chociaż spróbować wytłumaczyć jej to, czego nie da się wytłumaczyć, a także powiedzieć jej, że po tym, co się stało, wykonałem niezliczone amputacje na samym sobie.

W końcu położyłem się na łóżku, ale długo czuwałem, nim wreszcie udało mi się usnąć. Gdy ponownie otworzyłem oczy, był już ranek. Tego dnia Jansson nie miał rozwozić poczty, mogłem więc w spokoju wyrębać przerębel.

Lód okazał się tak gruby, że musiałem wrócić po skuwacz do lodu. Pies siedział na pomoście i przyglądał się moim wysiłkom. Kot

zaszył się w szopie, próbując pewnie upolować tam jakąś mysz. Gdy wreszcie udało mi się odtworzyć przeręb, rozebrałem się i zanurzyłem w palącej wodzie. Pomyślałem o Harriet i Louise oraz o tym, czy tego dnia zdobędę się na odwagę, by zadzwonić do Agnes Klarström i dowiedzieć się, czy jest tą, której szukam.

Nie zadzwoniłem. Zamiast tego, w przypiływie nagłej wściekłości, wysprzątałem cały dom, ścierając nagromadzone warstwy kurzu. Potem z trudem uruchomiłem przestarzałą pralkę, by wyprać pościel, która wyglądała już tak, jakby sypiał w niej kloszard.

Zakończywszy porządki, wybrałem się na spacer po wyspie. Obszedłem ją dookoła, obserwując przez lornetkę biały lód i zastanawiając się, co powinienem ze sobą zrobić.

Najpierw babsko z balkonikiem w mojej zatoce, potem córka mieszkająca w przyczepie, analizowałem w myślach. Miałem sześćdziesiąt sześć lat i do niedawna żyłem w przekonaniu, że w moim życiu nic się już nie wydarzy. A potem nagle, jednego dnia, wszystko wywróciło się do góry nogami.

Po południu zasiadłem przy stole w kuchni i napisałem dwa listy. Jeden dla Harriet i Louise, drugi do Agnes Klarström. Wyobraziłem sobie zdziwienie Janssona, kiedy przekażę mu koperty do wysłania. Dla pewności zamierzałem zakleić je taśmą. Nie ufałem mu. Pewnie znalazłby jakiś sposób, by przeczytać moje listy.

Do Harriet i Louise napisałem, że przeszła mi złość. Że je rozumiem, ale mimo to nie mogę się z nimi spotkać. Musiałem wrócić na wyspę i zająć swoimi zwierzętami. Wyraziłem jednak zamiar zobaczenia się z nimi za jakiś czas. Chciałem być z nimi w kontakcie.

Skreślenie tych paru linijek zajęło mi mnóstwo czasu, a gdy wreszcie skończyłem, na podłodze w kuchni leżało mnóstwo kulek zmiętego papieru. Nie napisałem prawdy. Moja złość nie minęła, a zwierzęta poradziłyby sobie jeszcze jakiś czas pod opieką Janssona. Poza tym wcale nie byłem pewien, czy wkrótce znów chcę się spotkać z Harriet i Louise. Potrzebowałem czasu, by się nad tym zastanowić. Przede wszystkim nad tym, co powiem Agnes Klarström, jeśli uda mi się ją odnaleźć.

List do byłej pacjentki nie nastreczył mi tyle trudności. Doszedłem do wniosku, że nosiłem w sobie jego treść od wielu lat. Chciałem się z nią spotkać, nic więcej. Podałem jej mój adres i podpisałem się imieniem i nazwiskiem, które z pewnością zapamiętała. Pozostawało mi żywić nadzieję, że napisałem do właściwej osoby.

Nazajutrz, tuż po przybyciu Janssona, zerwał się silny wiatr. Zanotowałem w dzienniku, że nocą spadła temperatura oraz że podmuchy wiatru nadciągały z zachodu i południowego zachodu.

Jansson przybył punktualnie. Wręczyłem mu trzysta koron za przywiezienie mnie i stanowczo nie zgodziłem się przyjąć ich z powrotem, kiedy to zaproponował.

– Proszę cię, żebyś to dla mnie wysłał – powiedziałem, podając mu dwie szczelnie oklejone taśmą koperty.

Jansson nie ukrywał zdziwienia.

– Piszę listy, kiedy zachodzi taka potrzeba – dodałem.

– Przysłałeś mi ładną pocztówkę – odparł listonosz.

– Była na niej zaśnieżona zagroda. Co w tym ładnego?

Zorientowałem się, że mówię zniecierpliwionym tonem.

– Jak tam twój ząb? – spytałem łagodniej, próbując ukryć poirytowanie.

– Pobolewa mnie co jakiś czas. Najbardziej tu na górze, po prawej.

Rozdziawił usta.

– Nic tam nie widzę – mruknąłem. – Pogadaj z dentystą.

Jansson spróbował zamknąć usta, ale coś chrupnęło mu w zuchwie i został z na wpół otwartą gębą. Widziałem, że sprawiło mu to ból. Wybełkotał coś, czego nie zrozumiałem. Przytknąłem palce do jego stawów skroniowo-żuchwowych i zacząłem je delikatnie masować. Podążyłem w dół, aż Jansson mógł wreszcie zamknąć usta.

– To bolało – powiedział.

– Postaraj się przez parę dni nie ziewać zbyt szeroko ani nie rozdziawiać ust – poradziłem.

– Czy to objaw jakiejś poważnej choroby? – spytał zaniepokojony.

– Skądże. Możesz być spokojny.

Chwilę później odjechał z moimi listami. Kiedy wracałem do domu, lodowaty wiatr kęsał mnie w twarz.

Tego samego popołudnia otworzyłem drzwi do pokoju mrówek. Stale powiększające się mrowisko pochłonęło kolejny kawałek obrusu. Poza tym jednak łóżko, w którym spała Harriett, oraz reszta pokoju wyglądały tak jak poprzednio, kiedy tu zaglądałem.

Przez najbliższych parę dni nic się nie wydarzyło. Wybrałem się na spacer po lodzie, doszedłem do wejścia do zatoki i stanąłem w miejscu, gdzie zaczynało się otwarte morze. Po drodze w trzech różnych punktach zmierzyłem grubość lodu. Nie musiałem zaglądać

do dziennika, by mieć pewność, że w porównaniu ze wszystkimi latami, które spędziłem na wyspie, tej zimy lód jest najgrubszy.

Następnego dnia zjechałem brezent z mojej łodzi i próbowałem ocenić, czy kiedykolwiek uda mi się ją zwodować. Czy nie stoi już zbyt długo na lądzie? Czy wystarczy mi siła, żeby ją wyremontować? Przykryłem ją znów, nie odpowiadając sobie na te pytania.

Wieczorem zadzwonił telefon. Zdarzało się to bardzo rzadko, a kiedy podnosiłem słuchawkę, zwykle odzywał się jakiś sprzedawca oferujący mi wyższy abonament lub instalację połączenia szerokopasmowego. Kiedy im odpowiadałem, że mieszkam na odludnej wyspie i jestem emerytem, ich entuzjazm gasł. Poza tym nie miałem pojęcia, co to jest połączenie szerokopasmowe.

Lecz tym razem, gdy podniosłem słuchawkę, usłyszałem w niej obcy kobiecy głos.

– Mówi Agnes Klarström. Dostałam pański list.

Wstrzymałem oddech, nie odezwałem się ani słowem.

– Halo? Jest pan tam? – zawołała.

Wciąż milczałem. Próbowałem się zmusić do wyściubienia nosa z jaskini, do której się wycofałem, ale nie byłem w stanie. Odłożyłem słuchawkę.

A więc to ta Agnes Klarström, pomyślałem. Znalazłem ją. Mój list dotarł do właściwego adresata. Mieszkała w gminie Flen.

W jednej z kuchennych szuflad trzymałem starą mapę Szwecji. Była tu, kiedy się wprowadziłem, musiała więc należeć jeszcze do mojego dziadka. Zwykł mawiać, że kiedyś wybierze się do Falkenberg. Nie miałem pojęcia, dlaczego chciał odwiedzić akurat to miasto. Nigdy jednak nie udało mu się zobaczyć nawet Sztokholmu,

przez całe życie nie ruszył się też poza granice kraju. Marzenie o podróży do Falkenberg zabrał ze sobą do grobu.

Rozłożyłem mapę na stole i zlokalizowałem Flen. Plan nie był tak szczegółowy, by można na nim znaleźć wieś Sångledsbyn, doszedłem jednak do wniosku, że dotarcie tam zajmie mi najwyżej dwie godziny. Byłem już zdecydowany. Miałem zamiar złożyć Agnes Klarström niespodziewaną wizytę.

Dwa dni później poszedłem po lodzie do samochodu. Tym razem nie zamieściłem na drzwiach żadnej karteczki. Nie zostawiłem Janssonowi wiadomości. Niech się dziwi, ile chce, pomyślałem. Psu i kotu zostawiłem wystarczająco dużo jedzenia. Nade mną rozpościerało się błękitne niebo, dzień był bezwietrzny, termometr wskazywał dwa stopnie powyżej zera. Pojechałem na północ. Po jakimś czasie skręciłem z głównej drogi i dojechałem do Flen tuż po czternastej. Wstąpiłem do lokalnej księgarni i kupiłem dokładną mapę okolicy. Szybko znalazłem Sångledsbyn, miejscowość leżała tuż obok Harpsund, gdzie mieściła się letnia rezydencja premierów Szwecji. Kiedyś posiadłość stanowiła własność człowieka, który dorobił się majątku na handlu korkiem. Przed śmiercią przepisał ją państwu. Znajdowała się tam drewniana łódka, którą zgodnie z wieloletnią tradycją pływali po przynależącym do posiadłości jeziorze odwiedzający to miejsce politycy. Z czasem zwyczaj ten porzucono. Politycy młodszego pokolenia już go nie pielęgnowali.

Wiedziałem to wszystko, ponieważ mój ojciec kiedyś był tam kelnerem. Było to za czasów Erlandera⁴, gdy premier przyjmował zagranicznych gości. Ojciec w swoich opowieściach wciąż powracał to tamtych mężczyzn – zaznaczał dobitnie, że byli to sami mężczyźni, żadnych kobiet – omawiających przy stole ważne

wydarzenia na świecie. Działo się to w czasach zimnej wojny. Ojciec podkreślał, że starał się pracować jak najlepiej, poruszał się bezszelestnie. Do końca swoich dni pamiętał menu oraz gatunki win, jakie wówczas serwowano. Niestety wydarzyło się tam coś, co nieomal doprowadziło do międzynarodowego skandalu. Ojciec mówił o tym szeptem, jakby zdradzał powierzoną mu wielką tajemnicę, i wiele ryzykował, decydując się podzielić nią ze mną i matką. Pewnego dnia jeden z gości Erlandera bardzo się upił. Wstał i zaczął wygłaszać bełkotliwą, zupełnie niezrozumiałą mowę dziękczynną pod adresem całego świata, co wprowadziło zamęt wśród kelnerów. Obsłudze udało się zapanować nad sytuacją i w związku z nieplanowanym wystąpieniem opóźniono podanie deseru. Wieczorem pijany polityk zaległ na trawniku przed domem.

– Fagerholm spił się w wyjątkowo nieszczęśliwym momencie – tłumaczył mój ojciec poważnym tonem.

Ani ja, ani matka nie wiedzieliśmy, kim był ten Fagerholm. Dopiero wiele lat później, kiedy ojciec już nie żył, dowiedziałem się przypadkiem, że rzeczony Fagerholm był późniejszym trzykrotnym premierem Finlandii.

A teraz się okazało, że w pobliżu Harpsund mieszka kobieta, którą ja pozbawiłem zupełnie zdrowej ręki.

Wioska o nazwie Sångledsbyn okazała się garstką zabudowań rozproszonych nad podłużnym jeziorem. Okoliczne pola pokrywał śnieg. Zaparkowałem na wzgórzu i dokładnie przyglądałem się domom przez lornetkę. Tu i tam na podwórzach kręcili się ludzie, dreptali między budynkami gospodarczymi, domami i garażami. Żaden z obserwowanych nie był Agnes Klarström.

Zamarłem, gdy nagle obok mnie zjawił się jakiś pies. Podbiegł i obwąchał mi nogę. Po chwili spostrzegłem, że w moją stronę

zmierza mężczyzna w kaloszach i długim płaszczu. Cmoknąłem na psa i podniosłem rękę w geście powitania, drugą ręką szybko chowając lornetkę w kieszeni. Wymieniłem z nieznanym parę słów na temat okolicznych widoków oraz długiej i mroźnej zimy.

– Czy mieszka tu niejaka Agnes Klarström? – zapytałem po chwili.

Mężczyzna pokazał na najdalej położony dom.

– Mieszka tam – powiedział. – Ona i te jej przekłete bachory. Zanim się tu sprowadzili, nie musiałem trzymać psa. Teraz wszyscy je mają.

Pokiwał głową, wyraźnie poirytowany i odszedł, mrużąc pod nosem. Nie spodobało mi się to, co usłyszałem. Nie chciałem mieszać się w coś, co wprowadzi w moje życie jeszcze więcej zamętu. Zdecydowałem się jednak odjechać. Wróciłem do samochodu. Coś jednak mnie powstrzymało. Wjechałem do wioski i zatrzymałem się na odśnieżonej polnej drodze. Stamtąd mogłem dotrzeć od tyłu do ostatniego domostwa przez niewielki zagajnik.

Robiło się coraz później i wkrótce miał zapaść zmierzch. Przebrnąłem przez zasy i przystanąłem między drzewami, skąd miałem widok na dom. Strząsnąłem śnieg z dolnych gałęzi świerków, żeby lepiej widzieć. Gospodarstwo było dobrze utrzymane. Przed garażem stał samochód, spod jego maski ciągnął się kabel sięgający do kontaktu na ścianie budynku.

Nagle w obiektywie lornetki wyrosła jakaś postać. Była to młoda dziewczyna, patrzyła wprost na mnie. Niespodziewanie wyciągnęła przed siebie coś, co miała schowane za plecami. Był to błyszczący miecz. Nim do mnie dotarło, co się dzieje, nastolatka pędziła w moją stronę z bronią uniesioną nad głową.

Cisnąłem lornetkę w śnieg i zacząłem uciekać, zaraz jednak potknąłem się o wystający korzeń lub kamień i runąłem jak długi. Zanim zdążyłem się podźwignąć, dziewczyna z mieczem mnie dogoniła.

Obrzuciła mnie nienawistnym wzrokiem.

– Tacy jak ty są wszędzie – syknęła. – Chowają się w krzakach i gapią przez lornetkę.

Za nią nadbiegła kobieta. Stała za dziewczyną i lewą ręką odebrała jej broń. Zrozumiałem, że to Agnes Klarström. Nie byłem pewien, ale przez ułamek sekundy zdawało mi się, że rozpoznaję w niej młodą dziewczynę, która dwanaście lat temu leżała przede mną, uśpiona, zdana na łaskę moich wyszorowanych i ubranych w lateksowe rękawiczki dłoni.

Miała na sobie zapiętą pod szyją niebieską kurtkę. Pusty prawy rękaw był podwinięty i przypięty agrafką. Dziewczyna u jej boku wciąż taksowała mnie nienawistnym spojrzeniem.

Zamarzyłem, by przyjechał Jansson i zabrał mnie stąd swoim hydrokopterem. Po raz drugi w krótkim czasie poczułem, że załamał się pode mną lód, wpadłem do czarnej wody i bezskutecznie próbuję wydostać się na powierzchnię.

6

Podniosłem się z kolan, otrzepałem ubranie ze śniegu i się przedstawiłem. Dziewczyna próbowała mnie kopnąć, ale Agnes zbeształa ją i odprawiła.

– Niepotrzebny mi pies stróżujący – powiedziała. – Sima widzi i słyszy wszystko, co się dzieje wokół nas. Wyczuwa każdego, kto zbliży się do naszego domu. Ma sokoli wzrok. Właściwie jestem zdania, że powinna się urodzić w ciele jakiegoś drapieżnego ptaszyska.

– Bałem się, że mnie poćwiartuje – mruknąłem.

Agnes rzuciła mi wymowne spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Pomyślałem, że jej córka miała dobry powód, by mnie pokroić.

Zaprowadziła mnie do domu i usiedliśmy w pokoju urządzonej jak gabinet. Gdzieś w głębi budynku huczała muzyka rockowa, jednak Agnes zdawała się jej nie słyszeć. Zdjęła kurtkę tak sprawnym ruchem, jakby miała dwie zdrowe ręce.

Usiadłem na krześle dla interesantów. Biurko było puste, na blacie leżał ołówek. Nic więcej.

– Jak pan sądzi, jak zareagowałam, kiedy dostałam pański list? – zapytała mnie Agnes.

– Nie wiem – odparłem. – Pewnie się pani zdziwiła. Może poczuła złość?

– Ulżyło mi. Nareszcie! A potem zadałam sobie pytanie, dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie wczoraj albo przed dziesięcioma laty?

Odchyliła się na oparcie fotela. Miała długie brązowe włosy przytrzymane na czole prostą opaską i jasne, niebieskie oczy. Sprawiała wrażenie silnej i pewnej siebie.

Miecz samurajski odłożyła na półkę przy oknie. Zorientowała się, że na niego patrzę.

– Dostałam go kiedyś w prezencie od mężczyzny, który twierdził, że mnie kocha. Kiedy jego uczucie wygasło, z jakiegoś powodu zabrał ze sobą futerał, ale zostawił tę ostrą jak brzytwa broń. Być może sądził, że rozplątam sobie brzuch z rozpaczy, że mnie zostawił.

Agnes mówiła szybko, jakby dokądś się śpieszyła. Opowiedziałem jej o Harriet i Louise oraz o tym, jak uświadomienie sobie wszystkich moich błędów doprowadziło mnie do podjęcia decyzji, by ją odnaleźć.

– Miał pan nadzieję, że już nie żyję?

– Kiedyś tak – przyznałem. – Ale niedawno się to zmieniło.

Zadzwoił telefon. Agnes odebrała, słuchała przez chwilę, a potem odpowiedziała w kilku krótkich słowach. Aktualnie nie ma wolnego miejsca w jej domu dla osieroconych dziewczynek, ma już pod opieką trzy nastolatki.

Uświadomiłem sobie, że wkroczyłem w świat, o którym nie miałem zielonego pojęcia. Agnes Klarström mieszkała w wielkim domu z trzema dziewczętami, które w czasach mojej młodości uważano by za zdeprawowane. Dowiedziałem się, że Sima pochodzi z jednego z parszywych przedmieść Göteborga, nikt nie miał pewności, ile dokładnie ma lat. Dotarła do Szwecji samotnie, wciśnięta w szparę jakiegoś kontenera, który zjechał na ląd w Trelleborgu. Ktoś jej poradził, by po drodze z ojczystego Iranu pozbyła się wszystkich

dokumentów, a dotarłszy do Szwecji, zmieniła imię i zatarła wszelkie ślady swojej przeszłości. Wówczas nikt nie będzie mógł jej deportować, nawet gdyby szwedzkie władze próbowały zrobić to za wszelką cenę. Jedyne, co miała przy sobie, gdy ją złapano, była kartka papieru z trzema szwedzkimi słowami:

Uciekinierka. Prześladowana. Samotna.

Kiedy ciężarówka wioząca kontener zatrzymała się w pobliżu lotniska Sturup, kierowca wskazał jej budynek terminala i powiedział, że ma znaleźć posterunek policji. Sima miała wówczas jedenaście lub dwanaście lat. Teraz miała około siedemnastu, a dotychczasowe życie w Szwecji nauczyło ją, że najbezpieczniej jest poruszać się z ostrym narzędziem w dłoni.

Poza Simą w domu Agnes Klarström mieszkały dwie inne nastolatki. Jedna miała na imię Miranda, pochodziła z Czadu i pewnego dnia razem z całą rodziną trafiła do obozu dla uchodźców ONZ, a potem załapała się na wyjazd do Szwecji. Jej ojciec, prosty cieśla, bardzo religijny człowiek, szybko stracił chęć do życia w tym zimnym kraju i zamknął się w najmniejszym pomieszczeniu zajmowanego przez rodzinę trzypokojowego mieszkania. Wyrzucił z pokoiku wszystkie meble i sprzęty, zostawił jedynie kupkę piasku, który przywieźli w walizkach do nowej ojczyzny. Trzy razy dziennie żona stawiała mu pod drzwiami tacę z jedzeniem i piciem. Do łazienki chodził tylko nocą, kiedy wszyscy spali, a przynajmniej tak im się wydawało, bo czasem rano widzieli na kafelkach mokre ślady stóp.

Pewnego dnia Miranda doszła do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma i po prostu wyniosła się z domu. Nie miała planu, być może zamierzała nawet wrócić tą samą drogą, którą przybyła do

Szwecji. Nowa ojczyzna okazała się ślepy m zaułkiem, bez widoków na lepszą przyszłość. W niedługim czasie była łapana za drobne kradzieże przez policję tyle razy, że Miranda musiała rozpocząć niekończącą się wędrówkę między kolejnymi instytucjami opiekuńczymi. Okazało się, że teraz znów uciekła. Agnes szalała ze złości, ale nie zamierzała się poddawać, jeśli tylko policja zdoła sprowadzić dziewczynę do domu.

Na ścianie wisiała fotografia Mirandy. Dziewczyna miała na całej głowie ciasno zaplecione warkoczyki.

– Jeśli się pan przyjrzy, zobaczy pan, że na lewej skroni splot układa się w słowo „kurwa” – powiedziała Agnes Klarström.

Spojrzałem uważniej, rzeczywiście tak było.

W rodzinnym domu dziecka, będącym, jak podejrzewałem, nie tylko sposobem na życie Agnes, ale i źródłem jej utrzymania, mieszkała jeszcze jedna, najmłodsza dziewczyna. Miała czternaście lat, była chuda jak patyk i najbardziej z nich wszystkich przypominała zaszczute zwierzątko. O tej trzeciej Agnes nie wiedziała praktycznie nic. Przypominała postać z bajki opowiadającej o dziecku, które nagle zjawia się na ulicy i zapytane o imię, nazwisko oraz miejsce pochodzenia, nie umie odpowiedzieć zupełnie nic.

Pewnego wieczoru, gdy pracownik stacji kolejowej w Skövde właśnie miał zamknąć budynek, zobaczył, że na ławce w poczekalni siedzi jakaś dziewczynka. Powiedział jej, żeby sobie poszła, ale odniósł wrażenie, że dziecko go nie rozumie. Dziewczynka pokazała mu kartkę, na której było napisane „Pociąg do Karlsborga”. Mężczyzna zastanawiał się chwilę, czy aby nie oszalał, bo od piętnastu lat nie istniało połączenie kolejowe między Karlsborgiem a Skövde.

Parę dni później gazety w całym kraju opublikowały zdjęcie dziewczynki podpisane: „Dziecko znalezione na stacji kolejowej w Skövde”. Nikt się po nią nie zgłosił, mimo że jej zdjęcie pokazano również w telewizji. Nie miała imienia, a psycholodzy, którzy z nią rozmawiali, próbowali na wszelkie sposoby wydobyć z niej parę słów, by ustalić, skąd pochodzi. Mimo ich wysiłków, jedynym śladem wiążącym dziewczynkę z jakimkolwiek miejscem na świecie pozostawała karteczka z napisem: „Pociąg do Karlsborga”. Policja przetrząsnęła całą tamtejszą okolicę, ale wciąż nie znalazł się nikt, kto by miał pojęcie, kim jest dziewczynka i dlaczego czekała na pociąg, który nie jeździł od piętnastu lat. W końcu jedna z wieczornych gazet ogłosiła konkurs na imię dla nieznajomej i w ten oto sposób dziewczyna dostała imię Aida. Przyznano jej szwedzkie obywatelstwo oraz numer identyfikacyjny, a lekarze orzekli, że ma dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Ponieważ miała gęste czarne włosy i oliwkową cerę, uznano, że pochodzi ze Środkowego Wschodu.

Aida uparcie milczała. Nie odezwała się ani słowem przez dwa lata. Zmieniło się to dopiero wówczas, gdy wszyscy się już poddali i na arenę wkroczyła Agnes Klarström. Pewnego ranka, kiedy Aida mieszkała już u Agnes, dziewczynka zeszła na śniadanie i usiadła przy stole. Agnes mówiła do niej przez cały czas, próbując w ten sposób dotrzeć do dziewczyny. Jak zwykle zapytała ją, co chce zjeść.

– Jogurt – odparła Aida z idealnym szwedzkim akcentem.

W tamtej chwili zaczęła mówić. Psycholodzy, którzy kręcą się koło niej po dziś dzień, orzekli wreszcie, że nauczyła się mówić, słuchając wszystkich tych, którzy się do niej zwracali. Potwierdzeniem tej teorii mógł być fakt, że Aida znała sporo

terminów medycznych i psychologicznych, jakimi rzadko operują dzieci w jej wieku.

Zacząła mówić, lecz wciąż nie miała nic do powiedzenia na temat tego, kim jest i dlaczego czekała na pociąg do Karlsborga. Pytana o to, jak ma na imię, odpowiadała zgodnie z oczekiwaniem:

– Nazywam się Aida.

Po tym, jak przemówiła, jej zdjęcie znów obiegiło wszystkie gazety. Szeptano, że sprytna dziewczyna wszystkich oszukała i udawała amnezję, by odegnać od siebie wszelkie podejrzenia i przebiegle uzyskać szwedzkie obywatelstwo oraz pełnię idących za tym praw. Agnes Klarström wierzyła w całkiem inną teorię. Już podczas pierwszego spotkania Agnes zauważyła, że dziewczynka w szczególny sposób spjrzała na jej amputowaną rękę. Było tak, jakby dziecko wreszcie znalazło jakiś punkt zaczepienia. Jakby długo pływało w głębokiej wodzie, aż wreszcie dotknęło dna i mogło wreszcie stanąć na nogach. Najwyraźniej fakt, że Agnes brakuje jednej ręki, sprawiał, że dziewczyna czuła się przy niej bezpiecznie. Agnes podejrzewała, że dziecko mogło wcześniej widywać ludzi pozbawionych różnych części ciała. Być może wiedziało, że ci, którzy okaleczają innych, są wrogami, a ci, którym odcięto rękę, to jedyni, którym można zaufać.

Agnes była pewna, że Aidzie przyszło oglądać coś, czego nie powinien oglądać żaden człowiek na świecie, a już z pewnością nie dziecko. Stąd brało się jej milczenie.

Mimo że dziewczyna zaczęła mówić już jakiś czas temu, wciąż nie powiedziała ani słowa o swoim wcześniejszym życiu. Zapewne stopniowo pozbywała się resztek strasznych przeżyć i powoli zaczynała odkrywać świat, na którym warto jest żyć.

Tym właśnie Agnes Klarström zajmowała się w życiu. Prowadziła dom opieki nad trzema zagubionymi dziewczętami, utrzymując go z dotacji od lokalnego samorządu oraz datków różnych instytucji. Wielu ludzi apelowało do niej, by otworzyła drzwi większej liczbie skrzywdzonych dziewcząt, ale Agnes uparcie odmawiała, argumentując, że jeśli na to pozwoli, nie będzie mogła zapewnić poczucia bezpieczeństwa tym podopiecznym, których już ma pod swoją opieką. Dziewczeta często od niej uciekały, ale za każdym razem po jakimś czasie znów się zjawiały. Mieszkały u niej długo, a gdy naprawdę odchodziły, robiły to po to, by zacząć samodzielne życie. Agnes opiekowała się zawsze nie więcej niż trzema dziewczynkami.

– Mogłabym ich przyjąć tysiąc – powiedziała. – Tysiąc porzuconych, wściekłych na cały świat nastolatek, które nienawidzą samych siebie i każdego kolejnego miejsca, gdzie są niemile widziane. Wiele z nich nauczyło się, że ten, kto nie ma pieniędzy, nie jest nic wart. Większość się tnie albo napada z nożem na obcych ludzi, ale wewnątrz każda z nich krzyczy z bólu, którego nie potrafi zrozumieć.

– Jak to się stało, że zaczęła się pani nimi zajmować? – spytałem.

Agnes pokazała na kikut pozostały po ręce, którą jej amputowałem.

– Kiedyś byłem pływaczką – odparła. – Pewnie pan pamięta. To musiało być w szpitalnych papierach. Byłam kimś więcej niż obiecującą sportsmenką, mówiono mi, że mogę zająć naprawdę daleko. Wygrywać medale. Od samego początku, mówię to bez cienia goryczy, moja siła drzemała nie w nogach, ale właśnie w ramionach.

Przerwała, bo nagle w gabinecie pojawił się młody mężczyzna z włosami spiętymi w kucyk.

– Ile razy mam ci powtarzać, że się puka?! – krzyknęła Agnes. – Wyjdź i wejdź jeszcze raz!

Młodzieniec się wycofał, zamknął za sobą drzwi i zapukał. Potem znów otworzył.

– Prawie ci się udało – mruknęła Agnes. – Musisz poczekać, aż pozwolę ci wejść. Czego chcesz?

– Aida jest nie do wytrzymania – powiedział. – Grozi nam wszystkim. Najwięcej mi, ale i Simie mówi, że ją udusi.

– O co poszło? – dopytywała Agnes.

– Nie wiem. Może po prostu ma podły nastrój.

– Musi się nauczyć z tym żyć. Dajcie jej spokój.

– Chce z tobą porozmawiać.

– Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

– Upiera się, żebyś przyszła od razu.

– Zaraz przyjdę.

Młody mężczyzna wyszedł.

– Jeszcze nic nie umie – powiedziała z uśmiechem, wskazując na drzwi, za którymi zniknął chłopak. – Czasem sobie myślę, że ktoś powinien chodzić za nim krok w krok i go pilnować. Ale nie obraża się, kiedy na niego krzyczę. Zawsze mogę zrzucić winę na zły humor z powodu brakującej ręki. Dostałam tego chłopaka przez jakiś program dla wolontariuszy. Marzy mu się, żeby wystąpić w jednym z tych programów telewizyjnych, w których ludzie śpią ze sobą na oczach widzów. Mam jednak wrażenie, że nie radzi sobie nawet z tym zadaniem, jakie mu tu przydzieliłam, a ma po prostu być młodym chłopakiem wśród nastolatków. Nie wróżę Matsowi Karlssonowi kariery w mediach.

– Pani słowa brzmią cynicznie – powiedziałem.

– Skądże. Kocham moje dziewczyny. Kocham nawet Matsa Karlssona, ale jestem przekonana, że nie wyświadczę mu żadnej przysługi, namawiając go do realizacji tych jego dziwacznych marzeń, czy też wmawiając mu, że wykonuje tu dobrą robotę. Daję mu możliwość, by ujrzał samego siebie w prawdziwym świetle, dzięki czemu być może znajdzie swoją drogę w życiu. Może się myłę. Ale niewykluczone, że pewnego dnia zetnie ten swój kucyk i postanowi zrobić coś ze swoim życiem.

Agnes wstała, zaprowadziła mnie do salonu i wskazując mi miejsce na kanapie, zapewniła, że za chwilę wróci. Gdzieś na piętrze wciąż huczała głośna muzyka.

Wyjrzałem za okno. Kapało z dachu, a w gałęziach drzew szybko niczym cienie przemykały małe ptaszki.

Nagle się wzdrygnąłem. Sima bezszelestnie zakradła się do pokoju i stanęła za moimi plecami. Tym razem jednak nie miała przy sobie ostrego narzędzia. Usiadła na kanapie i podkuliła nogi pod siebie. Zauważyłem, że dziewczyna ani na moment nie przestaje być czujna.

– Dlaczego obserwowałeś mnie przez lornetkę? – spytała.

– Nie patrzyłem na ciebie.

– Nieprawda. Przyłapałam cię, pedofilu.

– Dlaczego mnie tak nazwałaś?

– Znam takich jak ty. Wiem, jacy jesteście.

– Przyjechałem zobaczyć się z Agnes.

– Po co?

– Łączy nas pewna sprawa z przeszłości.

– Jesteś na nią napalony?

Zachłysnąłem się powietrzem i poczerwieniałem.

– Myślę, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca – powiedziałem.

– Jaka rozmowa? Odpowiedz na moje pytanie! – krzyknęła dziewczyna.

– Nie ma na co odpowiadać.

Sima odwróciła się, jakby nagle doszła do wniosku, że nie ma ochoty mnie dalej męczyć. Czułem się urażony. Posądzenie mnie o to, że jestem pedofilem, nie mieściło mi się w głowie. Spojrzałem ukradkiem na nadąsaną dziewczynę, która nerwowo gryzła paznokcie. Jej włosy, czarne, lecz tu i tam połyskujące na czerwono, były skłębione, jakby uczesała je w furii. Zdało mi się, że pod tą surową powierzchnią dostrzegam małą dziewczynkę, odzianą w o wiele za dorosłe ubranie.

Chwilę później wróciła Agnes. Sima wstała szybko i natychmiast zniknęła. Wszedł pogromca, więc bestia uciekła, pomyślałem. Agnes usiadła na miejscu zajmowanym przed chwilą przez dziewczynę i w dokładnie taki sam sposób podkuliła nogi.

– Aida to mała dziewczynka, z której nagle zaczęło wylewać się całe zło, jakiego doświadczyła – powiedziała.

– Co się stało?

– Nic. Zupełnie nic. Po prostu przypomniała sobie, kim jest: wielkim, beznadziejnym niczym, jak sama o sobie mówi. Przegranym pośród innych przegranych. Gdyby w Szwecji ktoś założył Partię Przegranych, wielu z nas mogłoby służyć jej radą i doświadczeniem. Ja mam trzydzieści trzy lata. Ile ma pan?

– Dokładnie dwa razy tyle.

– Sześćdziesiąt sześć. To dużo. W porównaniu z tym trzydzieści trzy to niewiele, ale wystarczy, by się dowiedzieć, że w tym kraju nigdy nie było tak silnych napięć, jakie obserwujemy dziś. Mimo to

zdaje się, że nikt tego nie dostrzega, a już z pewnością nie ci, którzy powinni być wyczuleni na zmiany społeczne. Mam wrażenie, że w tym kraju wznosi się niewidzialny mur. Jest coraz wyższy, odgradza ludzi, coraz bardziej ich od siebie oddala. Z pozoru wygląda to zupełnie odwrotnie, ale wystarczy wsiąść w metro w Sztokholmie i pojechać na któreś z przedmieść. Odległość niby nie jest duża, ale przepaść między światami, tym, co się widzi w centrum, a tym, co jest tam, ogromna. Bzdurą jest jednak twierdzić, że to są różne światy. To dokładnie ten sam świat, tyle że za każdą kolejną stacją dalej od centrum rośnie następny niewidzialny mur. Na końcu sam decydujesz, czy widzisz prawdę, czy nie.

– Co pani zdaniem jest prawdą?

– To, co wydaje nam się marginesem, tak naprawdę stanowi samo centrum, które powoli opanowuje kraj. Powoli oś się odwraca i to, co do tej pory było w środku, zamienia się miejscem z tym, co leżało na peryferiach. Moje dziewczyny przebywają obecnie w martwym punkcie, z którego nie widzą tego, co jest za nimi ani nie mogą spojrzeć w przyszłość. Nikt ich nie chce, są niepotrzebne, wysortowane, zaszufładowane i odrzucone. Wcale mnie więc nie dziwi, że jedynym, co jest w ich życiu pewne, jest świadomość, że są nic niewarte. To jedyne stałe uczucie, jakie towarzyszy im każdego dnia po przebudzeniu. A więc nie chcą się budzić! Nie chcą wstawać! Ktoś wprasował im w dusze tę gorycz, kiedy miały po pięć, sześć lat.

– Naprawdę jest z nimi tak źle? – zapytałem.

– Jest o wiele gorzej.

– Sam mieszkam na odludnej wyspie. Nie ma tam wprawdzie przedmieść, są tylko skały i niezamieszkałe wysepki. Z pewnością

nie ma tam też nieszczęśliwych dziewcząt, nacierających zniecka z mieczem w dłoni.

– Świat czasem robi dzieciom tak wielką krzywdę, że w końcu nie mają do zaoferowania żadnej innej formy wyrazu poza przemocą. Kiedyś takimi zabawami parali się tylko chłopcy. Dziś mamy brutalne gangi zrzeszające dziewczyny, nieprzebierające w najokropniejszych środkach. Moim zdaniem to jest dowód na porażkę naszej cywilizacji. Dziewczęta doszły do wniosku, iż ich jedynym ratunkiem jest działanie jak banda najgorszych gangsterów.

– Sima nazwała mnie pedofilem.

– Mnie wyzywa od dziwek, kiedy jej to pasuje. Najistotniejsze jest jednak to, jak postrzega samą siebie. Nawet boję się o tym myśleć.

– Co mówi?

– Twierdzi, że nie żyje. Mimo że jej serce „wzdycha”. Pisuje przedziwne wiersze, które potem bez słowa kładzie na moim biurku albo wpycha mi do kieszeni. Boję się, że za dziesięć lat naprawdę będzie już martwa. Może odbierze sobie życie albo ktoś zrobi to za nią. Może przedawkuje narkotyki albo inne świństwo. Obawiam się, że to bardzo prawdopodobne zakończenie jej smutnego życia. Mimo to pozostaje nadzieja, że sobie poradzi. Ma w sobie siłę. Musi tylko pozbyć się poczucia bezwartościowości, które wciąż jeszcze ją prześladowuje. Oznacza to, że i mi musi się powieść. Muszę w jakiś sposób wpompować życiodajny tlen w jej czarną, martwą krew i wypędzić z niej mroczne uczucia.

Agnes wstała.

– Powinam zmusić policję, by bardziej się postarali odnaleźć Mirandę – oznajmiła. – Niech pan tymczasem pospaceruje sobie po okolicy. Potem wrócimy do rozmowy.

Wyszedłem, zgodnie z jej wolą. Po jakim czasie od domu odwróciłem się i spojrzałem na okno. Za firanką stała Sima, śledziła każdy mój ruch. Przez otwarte drzwi do stodoły widać było kociaki skaczące po belach siana. Dostrzegłem też stojące w boksach konie i krowy. Zapach zwierząt przypomniiał mi dzieciństwo na wyspie dziadków, gdy wciąż jeszcze trzymali trzodę. Wszedłem do środka i poklepałem konie po pyskach, pogładziłem krowy. Pomyślałem, że Agnes Klarström znalazła swoje miejsce na ziemi i ma swoje życie pod kontrolą. Zadałem sobie pytanie, co ja bym zrobił, gdyby jakiś chirurg pozbawił mnie zdrowej ręki. Czy stałbym się zgorzkniałym pijakiem i skończył swoje marne życie na ławce w parku? A może bym sobie poradził? Nie miałem pojęcia.

Nagle w stodole zjawił się Mats Karlsson, by rzucić zwierzętom siana. Poruszał się powoli, jakby zmuszono go do wykonywania znienawidzonej pracy.

– Agnes prosi pana z powrotem do środka – odezwał się nagle. – Zapomniałem powiedzieć.

Ruszyłem z powrotem do domu. Sima nie stała już w oknie. Wiał słaby wiatr i zaczął prószyć śnieg. Poczułem się zmęczony i przemarznięty. Agnes czekała na mnie w przedpokoju.

– Sima uciekła – oznajmiła.

– Widziałem ją chwilę temu – odparłem zdziwionym tonem.

– Owszem, przed momentem tu jeszcze była, ale teraz odjechała. Pańskim samochodem.

Obmacałem kieszenie, chcąc zlokalizować kluczyki do auta. Pamiętałem, że zamykałem samochód. Przemknęło mi przez myśl, że im człowiek starszy, tym więcej kluczy nosi w kieszeniach.

– Mam wrażenie, że mi pan nie wierzy – powiedziała Agnes. – Jestem jednak pewna, że widziałam odjeżdżający samochód.

Zniknęła też kurtka Simy. Ma specjalną kurtkę do ucieczek, zakłada ją tylko wtedy, kiedy postanawia zniknąć na jakiś czas. Być może jej się wydaje, że ten ciuch czyni ją niewidzialną. Miecz też zabrała. Cholerna gówniara!

– Ale ja przecież mam kluczyki w kieszeni! – zawołałem uradowany.

– Sima miała kiedyś chłopaka, Filippo. Ten sympatyczny młodzian nauczył ją otwierać zamknięty samochód i odpalać silnik bez użycia kluczyków. Filippo zwykł kraść samochody z parkingów przy basenach i budynkach, w których mieściły się nielegalne salony gier. Miał wtedy pewność, że właściciele aut odczekają chwilę, nim zgłoszą się na policję. Był zdania, że tylko amatorzy kradną samochody ze zwykłych parkingów. Poza tym miejsca, w których działał Filippo, znajdowały się stosunkowo blisko centrum miasta, zdecydowanie bliżej niż długoterminowe parkingi przy lotnisku Arlanda. Dzięki temu nie musiał dojeżdżać do pracy.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Od Simy. Ta dziewczyna mi ufa.

– Ale mimo to uciekła moim samochodem...

– To też można potraktować jako oznakę zaufania. Sima wierzy, że okazemy jej zrozumienie.

– Chcę odzyskać samochód! – krzyknąłem.

– Sima lubi zacierać silniki – odparła spokojnym tonem Agnes. – Sporo pan zaryzykował, przyjeżdżając tu, ale oczywiście nie miał pan o tym pojęcia.

– Zanim do was trafiłem, spotkałem mężczyznę z psem. Nazwał pani podopieczne „przeklętymi bachorami”.

– Ja też tak o nich myślę. Co to był za pies?

– Nie mam pojęcia. Brązowy i kudłaty.

– A więc spotkał pan Alexandra Bruuna. Ten żartowniś pracował kiedyś w banku i oszukiwał klientów. Podrabiał podpisy i sprzedawał ludziom fałszywe akcje, aż pewnego dnia wszystko się zawaliło. Nawet nie poszedł za to do więzienia, a teraz żyje sobie spokojnie za skradzione pieniądze, których policja nie była w stanie znaleźć. Nienawidzi mnie i moich dziewczynek.

Wróciliśmy do gabinetu, Agnes zadzwoniła na policję i zgłosiła ucieczkę Simy. Słuchałem tej rozmowy z narastającym wzburzeniem, bo brzmiała jak przyjacielska pogawędka z zaprzyjaźnionym funkcjonariuszem. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek przejął się faktem, że szalona nastolatka zamierzała zajeździć na śmierć mój i tak już rozlatujący się samochód.

Po chwili rozmowa Agnes dobiegła końca.

– I co teraz będzie? – spytałem.

– Nic – odparła spokojnym tonem.

– Coś przecież muszą zrobić.

– Nie mają wystarczającej liczby ludzi, żeby natychmiast wszcząć poszukiwania Simy i pańskiego auta. Wkrótce skończy się jej benzyna i będzie zmuszona przesiąść się na pociąg albo autobus. Albo ukradnie jakiś inny samochód. Kiedyś wróciła do domu na trójkołowcu. Niebawem się tu zjawi. Większość nastolatków ucieka bez planu, bez pojęcia, dokąd się udać. Nigdy pan nie uciekał?

Jedyne, co przyszło mi do głowy, to odpowiedź, że uciekam od dwunastu lat. Nie powiedziałem tego. Wcale się nie odezwałem.

O szóstej zjedliśmy późny obiad. Przy stole siedzieliśmy Agnes, Aida, Mats Karlsson oraz ja. Aida nakryła do stołu, również dla obu dziewcząt, które uciekły.

Spożyliśmy pozbawioną smaku zapiekankę z ryby. Pochłonałem swoją porcję zdecydowanie za szybko, poirytowany faktem, że

skradziono mi samochód. Aida zdawała się podniecona zniknięciem Simy i bezustannie paplała. Mats Karlsson słuchał jej i wtrącał zachęcające komentarze. Agnes jadła w milczeniu.

Po jedzeniu Aida i Mats Karlsson uprzątnęli talerze i zabrali się za zmywanie. Agnes i ja poszliśmy do stodoły.

Tam poprosiłem ją o wybaczenie. Opowiedziałem jej, najdokładniej jak potrafiłem, jaki błąd został popełniony tamtego sądniego dnia. Mówiłem wolno i wyraźnie, by nie pominąć ważnych szczegółów, choć tak naprawdę wszystko, co miałem do powiedzenia, dało się wyrazić w paru krótkich zdaniach. Stało się coś, co nie miało prawa się stać. Tak samo jak kapitan, na którym ciąży całkowita odpowiedzialność za samolot, zarówno przed startem, jak i podczas lotu, ja powinienem był dopilnować, by personel umył i przygotował do zabiegu właściwą rękę.

Kiedy jej to wszystko opowiadałem, siedzieliśmy na belach słomy. Agnes nie spuszczała ze mnie wzroku, a kiedy wreszcie umilkłem, zeskoczyła na ziemię i nakarmiła konie marchewką wyjętą z worka. Chwilę później wróciła i znów usiadła na swojej beli.

– Przeklełam pana – powiedziała. – Nie jest pan w stanie sobie wyobrazić, co utrata ręki oznacza dla zawodowego pływaka. Nieraz sobie wyobrażałam, że pewnego dnia pana odnajdę i obetnę panu rękę tęnym nożem. Potem zamierzałam owinąć pana drutem kolczastym i wrzucić do morza. Ale teraz, kiedy widzę pana i słucham tego, co pan mówi, tamte uczucia znikają. Nienawiść może napędzać człowieka tylko przez jakiś czas. Daje iluzoryczną siłę, choć tak naprawdę jest wyspecjalizowanym pasożytem. Dziś siłę do życia dają mi te dziewczyny.

Agnes ujęła moją dłoń.

– Dajmy już temu spokój – powiedziała. – Zaraz zrobi się sentymentalnie, a ja wolałabym tego uniknąć. Jednoręcy ludzie zbyt łatwo się wzruszają.

Wróciliśmy do domu. Zorientowałem się, że głośna muzyka dochodzi z pokoju Aidy. Gitarowe solówki świdrowały w uszach, a pod stopami czuło się rytmiczne dudnienie basów. Wibrowały ściany w całym budynku. Nagle przez hałas przebił się dzwonek telefonu. Agnes wyjęła komórkę z kieszeni, chwilę posłuchała, a potem odpowiedziała coś w paru słowach.

– To była Sima – oznajmiła mi, chowając komórkę w kieszeni. – Kazała pana pozdrowić.

– Pozdrowić? – zdziwiłem się. – Gdzie ona jest?

– Nie powiedziała. Chciała tylko, bym przekazała Aidzie, żeby do niej zadzwoniła.

– Nie słyszałem, żeby pani jej kazała wrócić i oddać samochód – odparłem urażony.

– Wysłuchałam jej. To ona do mnie mówiła.

Agnes ruszyła schodami na piętro. Po chwili usłyszałem jak krzyczy, próbując przebić się przez ścianę muzyki.

W końcu udało mi się odnaleźć Agnes Klarström, pomyślałem. I wcale na mnie nie nakrzyczała. Nie zasypała oskarżeniami. Nie podniosła głosu nawet wtedy, kiedy mówiła o tym, co kiedyś zamierzała ze mną zrobić.

Miałem mnóstwo spraw do przemyślenia. W przeciągu paru tygodni w moim życiu niespodziewanie zjawily się trzy kobiety. Najpierw Harriet, potem Louise, a teraz Agnes. Właściwie powinienem też doliczyć Simę, Mirandę i Aidę, pomyślałem.

Agnes wróciła po paru minutach. Usiedliśmy w salonie, żeby napić się kawy. Mats Karlsson gdzieś zniknął. Wciąż dudniła

muzyka.

Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi i Agnes poszła otworzyć. Wyjrzałem za nią i zobaczyłem, że na progu stoi dwóch policjantów oraz dziewczyna. Zrozumiałem, że to Miranda. Funkcjonariusze trzymali ją za ramiona, jakby była niebezpiecznym przestępcą.

Miała najpiękniejszą twarz, jaką widziałem w życiu. Wydawało mi się, że patrzę na Marię Magdalenę otoczoną przez rzymskich żołnierzy.

Dziewczyna nic nie mówiła, ale z rozmowy Agnes z policjantami wywnioskowałem, że jakiś miejscowy farmer przyłapał Mirandę na kradzieży cielaka. Agnes protestowała głośno, upierała się, że to niemożliwe, by jej podopieczna próbowała porwać zwierzę. Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie. Funkcjonariusze wyglądali na przemęczonych, nikt nikogo nie słuchał, a Miranda wciąż trwała bez ruchu.

W końcu policjanci sobie poszli, mimo że nie osiągnięto porozumienia. Agnes zadała Mirandzie parę pytań ostrym tonem, a prześliczna dziewczyna odpowiedziała jej tak cicho, że nie miałem szans nic usłyszeć. Potem pobiegła na górę i zaraz ucichła muzyka.

Agnes opadła na kanapę, uniosła dłoń i przyjrzała się swoim paznokciom.

– Marzy mi się czasem, że Miranda jest moim prawdziwym dzieckiem – powiedziała. – Jestem pewna, że ze wszystkich dziewcząt, które przewinęły się przez ten dom, ona poradzi sobie najlepiej. Musi tylko dostrzec swoje możliwości.

Wstała i zaprowadziła mnie do pokoju za kuchnią, oznajmiając, że tu mogę spać. Zostawiła mnie tam, tłumacząc, że ma mnóstwo pracy. Położyłem się na łóżku, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie mój samochód. Stał na poboczu z otwartą maską. Z jego trzewi

unosił się dym, za kierownicą siedziała Sima, a obok niej, na fotelu pasażera, połyskiwał ostry jak brzytwa miecz. Co by powiedzieli moi dziadkowie, gdyby wciąż jeszcze żyli, a ja opowiedziałbym im tę historię? Nie uwierzyliby mi, nie zrozumieliby. Co by powiedział mój ojciec kelner? Albo wiecznie płacząca matka? Zgasilem lampkę i długo leżałem w ciemności, otoczony szepczącymi cieniami. Powiedziały mi, że dwanaście lat spędzonych na odludnej wyspie sprawiło, że straciłem kontakt ze światem, na którym wciąż żyję.

Musiałem zasnąć, bo w pewnej chwili obudził mnie dotyk czegoś zimnego na szyi. Ktoś włączył lampkę przy łóżku. Otworzyłem oczy i ujrzałem Simę. Dziewczyna stała nade mną z ostrzem miecza wycelowanym w moje gardło. Nie wiedziałem, na jak długo wstrzymałem oddech. W końcu zabrała miecz.

– Spodobał mi się twój samochód – powiedziała. – Jest stary, wolno jeździ, ale i tak mi się spodobał.

Usiadłem na łóżku. Sima odłożyła broń na parapet.

– Stoi przed domem – dodała. – Nie uszkodziłam go.

– Nie lubię, kiedy ktoś zabiera moje auto bez pozwolenia – odparłem.

Dziewczyna usiadła na podłodze i oparła plecy o kaloryfer.

– Opowiedz mi o tej twojej wyspie – zażądała.

– Dlaczego miałbym to robić? Skąd wiesz, że mieszkam na wyspie?

– Wiem to, co wiem.

– Leży daleko na morzu, teraz otacza ją lód. Jesienią są tam silne sztormy, które wyrzucają łódki na ląd, jeśli się ich porządnie nie przywiąże.

– Naprawdę mieszkasz tam sam?

– Mam kota i psa.

– Nie boisz się takiego odludzia?

– Rzadko zdarza się, żeby skały i krzaki jałowca atakowały mnie mieczem. To ludzi należy się bać.

Dziewczyna siedziała chwilę w milczeniu, potem wstała i zabrała miecz.

– Może cię tam kiedyś odwiedzę – rzuciła.

– Nie sądzę.

Uśmiechnęła się.

– Ja też nie. Ale często się myślę – dodała.

Kiedy wyszła, spróbowałem znów zasnąć. Poddałem się o piątej nad ranem. Ubrałem się i napisałem na kartce, że wracam do domu. Wychodząc, wsunąłem wiadomość przez szparę pod drzwiami gabinetu Agnes.

Zostawiłem za sobą dom pogrążony we śnie.

W samochodzie śmierdziało spalenizną. Dolałem oleju i spróbowałem sobie przypomnieć, gdzie po drodze mijałem stację benzynową. Dotarłem do portu tuż przed świtem.

Stanąłem na nabrzeżu i wciągnąłem do płuc rzeński wiatr. Choć wodę skuwał lód, czuć było słony zapach otwartego morza. W porcie świeciło się kilka latarni, a stojące na oponach łodzie rybackie rzucały złowrogie cienie.

Postanowiłem zaczekać, aż zrobi się widniej, nim wejdę na lód. Nie miałem pojęcia, co zrobić ze swoim życiem po tym wszystkim, co niedawno się wydarzyło.

Stojąc na nabrzeżu, wystawiony na wiatr, zacząłem płakać. Zdawało mi się, że wszystkie moje wewnętrzne drzwi, które dotychczas były zamknięte, są teraz otwarte na oścież i trzaskają raz po raz, smagane zimnymi, coraz silniejszymi podmuchami.

Morze

1

Lód zaczął pękać dopiero na początku kwietnia. Odkąd mieszkam na tej wyspie, nigdy nie utrzymywał się tak długo. Mogłem dostać się pieszo nad ląd jeszcze pod koniec marca.

Jansson zjawiał się co trzeci dzień i informował mnie, jak gruba jest pokrywa lodowa w innych miejscach. Twierdził, że pamięta zimę z lat sześćdziesiątych, podczas której wielka kra dryfowała jeszcze dłużej i przy jeszcze dalej położonych wyspach.

To była długa zima.

Gdy wszedłem na wzgórze za domem i rozejrzałem się wokół, olśnił mnie pomalowany na białą horyzont. Często wieszałem sobie na szyi kolce lodowe dziadek, zabierałem stary kijek narciarski i ruszałem na długie spacery między wysepkami do miejsc, w których niegdyś mój dziadek, a jeszcze wcześniej pradziadek, łowili śledzie. Dziś nikt już nawet nie marzy o tak obfitych połowach. Okrążałem skalne, niczym nie porośnięte wysepki, wspominając, jak pływałem wokół nich łódką jako mały chłopiec. Między skałami można było znaleźć najróżniejsze, przyniesione przez morze przedmioty. Kiedyś znalazłem tam głowę lalki, a kiedy indziej wodoszczelną skrzynię pełną płyt gramofonowych. Dziadek pokazał je komuś i powiedziano mu, że to niemieckie szlagiery z czasów wojny, która skończyła się, kiedy byłem mały. Nie pamiętałem, co się później z nimi stało. Na jednej z wysepek znalazłem też stary dziennik pokładowy, który jakiś kapitan cisnął do morza w przyływie rozpaczy lub gniewu. Dziennik pochodził ze

statku towarowego transportującego drewno ze Szwecji do Irlandii, gdzie ludzie nie mieli z czego budować domów. Statek brał na pokład ładunek o ciężarze trzech tysięcy ton i nazywał się Flanagan. Nie wiedziałem, dlaczego dziennik pokładowy znalazł się w morzu. Dziadek znów musiał udać się na konsultacje, tym razem do emerytowanego asystenta na jakiejś uczelni, wynajmującego latem dom po zmarłym kapitanie Grundströmie. Człowiek ten przetłumaczył angielskie zwroty, ale w ostatnich zapiskach dziennika nie znalazł żadnego wyjaśnienia, dlaczego wyrzucono go do morza. Dokładnie zapamiętałem, kiedy zrobiono ostatni wpis – 9 maja 1947 roku. Zanotowano, że konieczne jest naoliwienie windy kotwicy. Potem nie było już nic. Dziennika nigdy nie dokończono, ponieważ trafił do morza. Statek był wówczas w drodze z portu Kubikenborg, załadowany drewnem mającym trafić do odległego Belfastu. Pogoda sprzyjała żegludze, morze było spokojne, o poranku odnotowano, że wieje południowoschodni wiatr z prędkością jednego metra na sekundę.

Tej długiej zimy wiele myślałem o tamtym niedokończonym dzienniku. Doszedłem do wniosku, że kiedy w moim życiu wydarzyła się katastrofa, ja sam wyrzuciłem mój dziennik, a potem pozwoliłem, by prąd niósł mnie od portu do portu, w których nie zostawiałem po sobie żadnego śladu. Nowy, założony przez mnie, nic nieznaczący dziennik zawierał głównie informacje o sezonowym pojawianiu się i znikaniu jemiołuszek oraz o chorobach kota i psa. Nic nie mówił o autorze. Uparcie w nim jednak pisałem, zupełnie jakbym chciał sobie w ten sposób przypomnieć, że wiedzę pozbawione wszelkiej treści życie. Pisałem o jemiołuszkach, by dać świadectwo pustce.

Tej kończącej się właśnie zimy ożyły we mnie wspomnienia. Nagle zacząłem śnić o swoich rodzicach. Zdarzało się coraz częściej, że budziłem się rano z przyklejonymi jeszcze do powiek obrazami, które dawno temu wyblakły. Widziałem ojca klęczącego na podłodze w ciasnym salonie i ustawiającego cynowe figurki żołnierzy w szyki odzwierciedlające to, co niegdyś wydarzyło się pod Waterloo lub pod Narwą. Matka siadała wtedy na krześle i przyglądała się mu z rozrzewnieniem. Po prostu siedziała, bez słowa, gdyż ojcowskie zabawy żołnierzykami zawsze odbywały się w ciszy.

Przemarsz cynowych armii zapewniał pokój w naszym domu. Nawet w snach odczuwałem strach przed kłótniami rodziców. Gdy matka uderzała w płacz, ojciec, chcąc skierować swój gniew w inną stronę, zaczynał złorzeczyć zatruwającemu mu życie właścicielowi restauracji. A ja śniłem dalej, dochodząc do wniosku, że moje nowe sny niosą mnie coraz dalej w przeszłość i niebawem zanoszą do samych korzeni. W głębi duszy przeczuwałem, że w rzeczywistości oznacza to, iż krążę z łopatą w dłoni, kopię tu i tam, żeby odnaleźć coś, co przed laty zgubiłem.

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że zima mimo wszystko minęła mi pod znakiem spraw odzyskanych. Harriet dała mi córkę, a Agnes przestała mnie nienawidzić.

Była to również zima pełna listów. Pisałem je, a potem otrzymywałem odpowiedzi. Po raz pierwszy od dwunastu lat regularne wizyty Janssona nabrały sensu. Jansson wciąż uważał mnie za osobistego lekarza i domagał się potwierdzeń dla swoich wyimaginowanych chorób. Teraz jednak przywoził mi pocztę i również ja, prawie za każdym razem, dawałem mu do wysłania jedną lub dwie koperty.

Następny list napisałem zaraz po powrocie od Agnes. Przeszedłem pieszo przez lód i dotarłem do domu wczesnym porankiem. Zwierzęta wyglądały na wygłodzone, chociaż zostawiłem im dużo jedzenia. Nakarmiwszy je porządnie, usiadłem przy stole i napisałem do Agnes:

„Przepraszam za moje nagłe zniknięcie. Być może poczułem się przytłoczony faktem, że w końcu, po latach, odważyłem się stanąć twarzą w twarz w osobą, której przysporzyłem tyle cierpienia. Chciałem wytłumaczyć Pani o wiele więcej, a Pani pewnie chciała o wiele więcej zapytać. Wróciłem na moją wyspę. Moją zatokę i pobliskie wysepki skuwa lód. Przy brzegu jest naprawdę gruby. Mam nadzieję, że moje nagłe zniknięcie nie oznacza zerwania naszych kontaktów”.

Wyrzuciłem z siebie te słowa na jednym wydechu i potem nic w nich nie zmieniłem. Nazajutrz podałem list Janssonowi, który chyba nawet się nie zorientował, że znów wyjeżdżałem. Rzecz jasna zdziwił się na widok listu, ale nic nie powiedział. Co jeszcze dziwniejsze, tego dnia nie poskarżył się na żaden ból.

Wieczorem zacząłem pisać list zaadresowany do Harriet i Louise, mimo że żadna nie odpowiedziała na poprzedni, który wysłałem. Za bardzo się rozpisałem. Poza tym doszedłem do wniosku, że błędem jest pisać do obu to samo, bo tak naprawdę nie wiem, co jedna myśli o drugiej. Podarłem list i zacząłem od nowa. Kotka spała na kanapie w kuchni, a suka wzdychała raz po raz, wyciągnięta na podłodze przy piecu. Spróbowałem ją zbadać, żeby ustalić, czy coś ją boli. Przeczuwałem, że nie dożyje następnej jesieni. Kotka pewnie też nie.

W liście do Harriet zapytałem, jak się czuje. Było to głupie pytanie, wiedziałem, że czuje się źle, ale i tak je zadałem, bo wydało mi się to naturalne. Potem napisałem o naszej podróży:

„Dojechaliśmy to tego leśnego jeziora. Topiłem się, a Ty wyciągnęłaś mnie z wody. Dopiero teraz, kiedy bezpiecznie dotarłem do domu, zdałem sobie sprawę, że otarłem się o śmierć. Wystarczyłaby minuta dłużej w tej lodowatej wodzie i byłoby po mnie. Fakt, że mnie stamtąd wyciągnęłaś, sprawił w jakiś niezwykły sposób, że uznałem, iż mi przebaczyłaś”.

Na myśl o chwilach spędzonych w wodzie przeszedł mnie dreszcz. Mimo to tamten wypadek nie powstrzymał mnie przed kąpielami w przeręblu. Z czasem jednak zauważyłem, że nie potrzebuję ich już tak często jak kiedyś. Po spotkaniu z Harriet i Louise nie czułem potrzeby zanurzania się w lodowatej wodzie, a kiedy już to robiłem, trwało to o wiele krócej niż wcześniej.

Tego samego wieczoru napisałem list do Louise. Wcześniej przeczytałem w starej encyklopedii hasło poświęcone Caravaggiu. Zacząłem list od cytatu: „Niezwykłe wyrazisty i zarazem ponury koloryt jego dzieł, a także odważny sposób odmalowywania natury, wzbudzają ogromne i uzasadnione zainteresowanie”. Gdy tylko skończyłem to przepisywać, podarłem list. Nie mogłem udawać, że to moje słowa. Nie chciałem, żeby Louise kiedyś odkryła, że ukradłem cytaty ze stuletniej książki, nawet jeśli trochę odświeżyłem skostniały język.

Zacząłem od nowa i po chwili miałem przed sobą lakoniczny tekst:

„Zatrzasnąłem za sobą drzwi Twojej przyczepy. Nie powinienem był tego robić, ale nie umiałem sobie poradzić z natłokiem uczuć. Proszę Cię o wybaczenie. Mam nadzieję, że żadne z nas nie wróci do dawnego życia, w którym nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu”.

Nie był to dobry list. Wiedziałem to od samego początku, ale całkowitą pewność zyskałem po około dwóch dniach. W środku

nocy zadzwonił telefon. Zerwałem się na równe nogi i długą chwilę błądziłem po omacku, potrącając przerażone zwierzęta, nim wreszcie udało mi się podnieść słuchawkę. Dzwoniła Louise. Była wściekła. Krzyknęła tak głośno, że zabolowało mnie ucho.

– Jestem na ciebie wkurzona! Żeby słać takie listy! Zatrzaszczesz za sobą drzwi, kiedy tylko robi się nieprzyjemnie!

Słyszałem, że Louise trochę bełkocze. Była trzecia nad ranem. Poprosiłem ją, żeby się uspokoiła, ale to jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. Postanowiłem więc poczekać, aż się wykrzyczy.

To moja córka, powtarzałem w myślach. Mówi mi to, co musi powiedzieć. Poza tym sam dobrze wiedziałem, że posłałem jej kiepski list.

Nie umiałem ocenić, jak długo na mnie krzyczała. Nagle, w połowie jakiegoś zdania po prostu się rozłączyła i w słuchawce zaległa kompletna cisza. Jeszcze chwilę dzwoniło mi w uszach. Wstałem od stołu i otworzyłem drzwi do pokoju mrówek. Włączyłem światło i stwierdziłem, że mrowisko znowu trochę urosło. A może mi się wydaje? Czy mrowiska powiększają się zimą, kiedy mrówki zapadają w sen? Nie miałem pojęcia, tak samo jak nie wiedziałem, co powiedzieć Louise. Rozumiałem, że jest na mnie wściekła. Lecz czy ona próbowała zrozumieć mnie? Czy w ogóle było coś do rozumienia? Czy można nazwać córką dorosłą kobietę, o której istnieniu się nie wiedziało? Kim dla niej byłem? Czy mogła nazwać mnie ojcem?

Nie udało mi się już zasnąć tej nocy. Ogarnął mnie irracjonalny lęk, przed którym nie umiałem się bronić. Siedziałem przy stole obok mrowiska, kurczowo ściskając w dłoniach niebieski obrus mojej babki. Czułem, że połyka mnie pustka. Byłem bezsilny. Louise zdołała dodrapać się do mojego wnętrza.

O świcie wyszedłem na dwór. Pomyślałem, że byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby Harriet nigdy nie zjawiała się w mojej zatoce. Mógłbym nadal wieść swoje spokojne życie bez córki, podobnie jak Louise, która nauczyła się żyć bez ojca.

Zszedłem na pomost, owinąłem się starym kozuchem dziadka i usiadłem na ławce. Zwierzęta dokądś sobie poszły. Sądząc po śladach, wybrały się na wycieczkę w głąb wyspy. Rzadko chodziły razem. Byłem ciekaw, czy i one czasem się okłamują, nie zdradzając sobie nawzajem swoich prawdziwych intencji.

Dźwignąłem się z ławki i wszedłem we mgłę. Pojawienie się Harriet było jak rozziewający ciszę krzyk. Porządek został zburzony. Harriet wywróciła moje życie do góry nogami. Wykrzyczała mi prosto do ucha prawdę, przed którą nie mogłem się bronić. Być może wkrótce Agnes też napadnie na mnie w przypiływie szału.

Wróciłem na pomost i znowu usiadłem na ławce. Przypomniałem sobie słowa babki, jej ostrzeżenie. Jeśli człowiek wejdzie albo wypłynie we mgłę, może zniknąć na zawsze i wszelki śluch o nim zaginie.

Moja wyspa przez dwanaście lat gościła tylko mnie. Teraz najechały na nią trzy kobiety.

Wiedziałem, że powinienem je zaprosić na lato. Jakiegoś przyjemnego, ciepłego wieczoru, mogłyby na mnie napaść, jedna po drugiej. A na sam koniec, kiedy już prawie nic by ze mnie nie zostało, Louise założyłaby te swoje rękawice bokserskie, żeby w ramach ostatecznego rozliczenia zrównać z ziemią moje nędzne resztki.

I choćby wszystkie trzy liczyły do tysiąca, ja już nie dźwignąłbym się na nogi.

Parę godzin później odnowiłem przerebel i zanurzyłem się w lodowatej wodzie. Tym razem zmusiłem się, by zostać w wodzie dłużej niż zwykle.

Hydrokopter Janssona zjawiał się jak zwykle punktualnie. Tego dnia nie miał dla mnie żadnych listów, ja też nie miałem nic do wysłania. Gdy chwilę później Jansson miał już odjeżdżać, przypomniałem sobie, że dawno nie skarżył się na ból zęba.

– Jak tam sprawa z zębem? – zapytałem

Jansson zrobił zdziwioną minę.

– Jakim zębem?

Machnąłem ręką i nie zapytałem o nic więcej. Hydrokopter zniknął we mgle.

Po drodze do domu zatrzymałem się przy mojej łodzi i ponownie zajrzałem pod brezent. Widok łuszczącej się farby ukłuł mnie w oczy. Jeszcze rok i będzie po łajbie.

Tego samego dnia napisałem kolejny list do Louise. Przeprosiłem ją za wszystko, co tylko mi wpadło do głowy, za to, o czym zapomniałem, i od razu też za to, co być może zrobię w przyszłości. Zakończyłem paroma zdaniem o mojej łodzi: „Mam starą łódź po dziadku. Jakiś czas temu wciągnąłem ją na brzeg i przykryłem brezentem. Wstyd mi, że do tej pory się nią nie zająłem. Zwyczajnie nie mogę się do tego zabrać. Przez ostatnie lata podobnie traktowałem siebie – leżałem na drewnianych kozłach pod brezentem. Dzieje się tak, odkąd zamieszkałem na mojej wyspie. Teraz już wiem, że nie wyremontuję tej łodzi, jeśli najpierw nie doprowadzę do porządku siebie”.

Parę dni później wręczyłem ten list Janssonowi, a po około tygodniu nadeszła odpowiedź. Po kilkudniowej odwilży znowu nastały chłodne dni. Zima nie chciała się poddać. Usiadłem przy

stole w kuchni i otworzyłem kopertę. Kota i psa wyrzuciłem na dwór, czasem nie mogłem z nimi wytrzymać w jednym pomieszczeniu.

Louise napisała: „Czasem mi się wydaje, że przeżyłam dotychczasowe życie z suchymi i popękanymi ustami. Ta myśl wpadła mi do głowy pewnego ranka, kiedy tuż po obudzeniu stwierdziłam, że jest gorzej niż zwykle. Nie będę Ci opowiadała, jak wyglądało moje życie, bo sporo już o tym wiesz z naszej ostatniej rozmowy. Szczegóły nie wniosą niczego dodatkowego. Teraz próbuję znaleźć sposób na życie ze świadomością, że jesteś. Wciąż dociera do mnie, że pewnego dnia po prostu wyszedłeś z lasu jak troll i okazałeś się moim ojcem. Mimo że wiem, że to Harriet powinna mi była o tobie opowiedzieć, nie jestem w stanie przestać się na ciebie złościć. Gdy tamtego dnia zniknąłeś, zatrzasnął za sobą drzwi mojej przyczepy, poczułam się tak, jakbyś przyłożył mi w szczękę. Najpierw pomyślałam, że to dobrze, że już cię nie ma, ale potem uczucie pustki zaatakowało mnie z siłą większą niż zwykle. Dzięki temu dostrzegam nadzieję, że znajdziemy właściwą drogę do siebie i uda nam się zostać przyjaciółmi”.

Podpisała się pięknie wykaligrafowaną literą L.

Nie jest to zbyt piękna historia, pomyślałem. Harriet, Louise oraz ja. Louise ma wszelkie prawo, by winić nas za całe zło tego świata.

Zima stopniowo dawała za wygraną, w miarę jak między moją wyspą a przyczepą Louise krążyły kolejne listy. Co jakiś dostawałem nawet korespondencję od Harriet, która wróciła już do Sztokholmu. Nie dowiedziałem się ani od niej, ani od Louise, kto ją odwiózł do domu. Harriet pisała, że czuje się bardzo zmęczona, ale energii dodaje jej myśl, że odwiedziła leśne jezioro i doprowadziła do

mojego spotkania z Louise. W każdym liście zapytywałem ją o stan zdrowia, ona jednak nigdy mi nie odpowiadała.

Listy od Harriet owiane były aurą spokoju, wyciszenia i poczucia rezygnacji, w przeciwieństwie do tych pisanych przez Louise. Między linijkami skreślonymi przez moją córkę, jak bomba zegarowa tykały kolejne ataki gniewu.

Niemal każdego ranka, tuż po przebudzeniu napadały mnie myśli, by wreszcie zrobić coś ze swoim życiem. Nie mogłem dłużej pozwalać na to, by moje dni mijały beczynnie.

Niczego jednak nie osiągnąłem, nie podjąłem żadnej decyzji. Raz po raz zaglądałem pod brezent i patrząc na łódź, rozmyślałem, że przyglądam się samemu sobie. To ze mnie złaźła farba, we mnie robiły się coraz większe szpary i to mnie stopniowo unicestwiała wilgoć. Być może i ode mnie czuć było butwiejącym drewnem.

Dni stawały się coraz dłuższe. Rozpoczął się powrót ptaków. Klucze ciągnęły głównie nocami. Za dnia przez lornetkę wyglądałem ptaków morskich przechadzających się po samej krawędzi lodu.

Dziewiętnastego marca zdechła moja suka. Kiedy wczesnym rankiem zszedłem do kuchni, chciałem ją wypuścić na dwór, jak każdego dnia. Zorientowałem się, że coś ją boli, bo z trudem dźwignęła się ze swojego koszyka, mimo to byłem przekonany, że dożyje lata. Po krótkiej kąpieli w przerębłu wróciłem do kuchni, wytarłem się i ubrałem, a potem znów wyszedłem, tym razem do szopy z narzędziami, by przynieść klucz do naprawy cieknącej rury w łazience. Zdziwiłem się, że suka do tej pory nie wróciła, ale nie zacząłem jej szukać. Dopiero przy kolacji do mnie dotarło, że coś się z nią stało. Nawet kotka wyglądała na zdziwioną, siedziała na schodach i wypatrywała swojej psiej towarzyszki. Wyszedłem przed

dom i zacząłem ją wołać. Nie przychodziła, narzuciłem więc kurtkę i wyszedłem na poszukiwania. Znalazłem ją po niespełna godzinie. Leżała po drugiej stronie wyspy, przy niezwykłych formacjach skalnych, wyglądających jak wystające z lodu filary. Zwinęła się w kłębek w niewielkiej niecce, gdzie nie docierał wiatr. Nie pamiętałem później, jak długo nad nią stałem. Miała otwarte oczy, migoczące jak lodowe kryształy, zupełnie jak mewa, którą znalazłem na początku zimy. Widok martwej suki skojarzył mi się z miejscem, w którym wycięto las. Śmierć wycina wszystko w pień, pomyślałem. Nie zostawia żadnej kryjówki dla życia.

Zaniósłem ją do domu. Była cięższa, niż się spodziewałem, choć wiedziałem, że martwe ciało zawsze zdaje się cięższe niż żywe. Położyłem ją pod jabłonią i po długim czasie udało mi się wykopać szpadlem dół odpowiedniej głębokości. Kotka cały czas siedziała na schodach i bacznie mi się przyglądała. Kiedy złożyłem ciało suki w grobie, było już sztywne. Zasypałem ją zmarzniętą ziemią.

Kiedy skończyłem, oparłem szpadel o ścianę domu. Przez chwilę zdawało mi się, że znowu nadeszła mgła, ale zaraz sobie uświadomiłem, że to oczy mi łzawią. Odczuwałem smutek z powodu śmierci psa.

Odnutowałem to zdarzenie w moim dzienniku. Policzyłem, że suka żyła dziewięć lat i trzy miesiące. Szczenię sprzedał mi pewien rybak, który na stare lata zajął się hodowlą psów o nieznanym rodowodzie.

Przez parę następnych dni rozmyślałem, czy kupić sobie nowego psa, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że moja przyszłość rysuje się zbyt niepewnie. Spodziewałem się, że wkrótce również kotka przeniesie się na tamten świat, a wtedy już nic nie będzie mnie trzymało na tej wyspie.

O śmierci starej suki napisałem zarówno do Harriet, jak i do Louise. Za jednym i drugim razem się popłakałem.

Otrzymałem dwie bardzo się od siebie różniące odpowiedzi. Louise pisała, że rozumie mój smutek, Harriet natomiast dziwiła się, jak można żałować starego i niedołężnego kundla, który wreszcie udał się na spoczynek.

Mijały kolejne tygodnie, a ja wciąż nie zabierałem się za remont łodzi. Krążyłem po okolicy, dreptałem tam i z powrotem, jakbym na coś czekał. Przyszło mi na myśl, że powinienem napisać list do samego siebie, opisując w nim plany na przyszłość.

Dni były coraz dłuższe. Śnieg topił się na skalnych wysepkach, ale morze wciąż skuwał lód.

W końcu jednak puścił i on. Pewnego ranka wyjrzałem za okno i ujrzałem szczelinę w lodzie sięgającą otwartego morza. Jansson przesiadł się na motorówkę. Zakomunikował, że hydrokopter poszedł w odstawkę, bo na następną zimę zamierza sobie kupić poduszkowiec. Nie byłem pewien, jak wygląda taki pojazd, więc mimo że wcale go o to nie prosiłem, Jansson udzielił mi szczegółowych informacji na ten temat. Potem poprosił mnie o zbadanie lewego ramienia. Z niepokojem w oczach wypytywał mnie, czy wyczuwam tam jakieś zgrubienie. Może to rak?

Nic tam nie było. Jansson pozostawał w dobrym zdrowiu, jak zawsze.

Tego samego dnia zdjąłem brezent ze starej łodzi i zacząłem zdrapywać łuszczącą się farbę. Za jednym razem udało mi się oczyścić rufę.

Zamierzałem kontynuować nazajutrz, coś jednak pokrzyżowało mój plan. Gdy rankiem szedłem do przerębla, ujrzałem małą motorówkę zacumowaną przy moim pomoście.

Przystanąłem i wstrzymałem oddech.
Drzwi do szopy były otwarte na oścież.
Ktoś przyjechał mnie odwiedzić.

2

W oknie szopy zamigotał refleks odbitego światła. Nie przyszłoby mi do głowy, że to promienie słońca padające na klingę miecza. Nie miałem jednak wątpliwości, że w drzwiach budynku stała Sima. Wynurzyła się z panującej w szopie ciemności, trzymając w dłoni ostrą klingę.

– Już myślałam, że nigdy się nie obudzisz – rzuciła na powitanie.

– Jak się tu dostałaś? Skąd wzięłaś motorówkę?

– Zabrałam ją.

– Zabrałaś?

– Z portu. Była przypięta łańcuchem, ale nie wynaleziono jeszcze kłódki, której bym nie otworzyła.

– Ukradłaś tę łódź?

Kotka zeszła na pomost i przyjrzała się Simie.

– Gdzie pies? – zapytała dziewczyna.

– Umarł.

– Jak to umarł?

– Po prostu. Umarł. Przyszła po niego śmierć. Tak to działa. Nie żyje. Jest nieżywy. Umarł. Mój pies umarł.

– Też miałam kiedyś psa. Też umarł.

– Psy umierają. Moja kotka też już niedługo pożyje. Jest stara.

– Zastrzelisz ją? Masz broń?

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. Chcę wiedzieć, co tu robisz i dlaczego ukradłaś motorówkę.

– Chciałam się z tobą spotkać.

– Po co?
– Nie polubiłam cię.
– I dlatego chciałaś mnie widzieć?
– Chcę się dowiedzieć, dlaczego cię nie polubiłam.
– Jesteś wariatką. Gdzie się nauczyłaś sterować motorówką?
– Mieszkałam kiedyś w ośrodku nad jeziorem Vättern. Mieli tam podobną łódkę.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?
– Zapytałam staruszka, który grabił liście pod kościołem. Nie było trudno cię znaleźć. Spytałam o lekarza, który zaszył się na odludnej wyspie. Powiedziałam, że jestem twoją córką.

Poddałem się. Ta dziewczyna miała przygotowaną odpowiedź na każde moje pytanie. Wiedziałem, że Hugo Persson, zatrudniony do porządkowania terenu należącego do lokalnej parafii, to straszna gaduła. Rzeczywiście mógł pokazać dziewczynie drogę, nie było trudno tu trafić. Najpierw prosto w stronę latarni, a potem cieśniną między wysokimi skałami, skąd było już widać moją wyspę, wystarczyło skręcić za znakiem nawigacyjnym i już się było w mojej zatoce.

Zauważyłem, że Sima jest zmęczona. Miała matowy wzrok i bladą twarz, a rozczochrane włosy upięła tanimi wsuwkami. Cała była ubrana na czarno, tylko na nogach miała tenisówki z czerwonymi sznurówkami.

– Chodźmy do domu – zaproponowałem. – Pewnie jesteś głodna. Nakarmię cię, a potem zadzwonię do straży przybrzeżnej i powiem, że ukradłaś motorówkę. Przyjadą po ciebie.

Dziewczyna nie odpowiedziała, nawet nie podniosła na mnie ostrego miecza. Kiedy byliśmy w kuchni, zapytałem, co chce zjeść.

– Owsiankę – odparła bez wahania.

– Nie sądziłem, że w dzisiejszych czasach jada się jeszcze owsiankę.

– Nie wiem, co się robi, a czego nie. Chcę owsiankę. Mogę ją zrobić sama.

Miałem płatki owsiane, a nawet słoik nieprzeterminowanego jeszcze musu jabłkowego. Sima ugotowała gęstą papkę, odsunęła na bok mus owocowy, za to do płatków dołała dużo mleka. Jadła powoli. Miecz leżał na stole. Zapytałem ją, czy napije się herbaty lub kawy. Pokręciła głową. Chciała tylko owsiankę. Próbowałem odgadnąć, po co tu przyjechała i czego ode mnie chce. Ostatnio, kiedy ją widziałem, próbowała pokroić mnie mieczem. Teraz siedziała przy stole w mojej kuchni i jadła owsiankę. Nie umiałem złożyć tego w logiczną całość.

Po skończonym posiłku opłukała talerz w zlewie i włożyła go do suszarki.

– Jestem zmęczona. Muszę się trochę przespać – oznajmiła.

– Tam jest wolne łóżko – wskazałem na drzwi do pokoju mrówek.

– Możesz tam spać. Muszę cię jednak ostrzec, że jest tam mrowisko. A ponieważ nadeszła wiosna, mrówki pewnie już nie śpią.

Widziałem, że mi uwierzyła. Wcześniej wątpiła, czy rzeczywiście umarł mój pies, ale w mrowisko w pokoju uwierzyła od razu. Pokazała palcem na kanapę w kuchni.

– Mogę spać tutaj.

Dałem jej poduszkę i koc. Dziewczyna położyła się, nie zdjawszy nawet wierzchniego ubrania ani butów. Nakryła głowę kocem i od razu zasnęła. Odczekałem jeszcze chwilę, a potem włożyłem kurtkę.

Razem z kotką zeszliśmy do zatoki. Motorówka była marki Ryd i miała zaburtowy silnik Mercury o mocy dwudziestu pięciu koni mechanicznych. Kadłub był mocno zarysowany kamieniami. Nie

ulegało wątpliwości, że dziewczyna umyślnie wpłynęła na brzeg. Sprawdziłem, czy na dnie motorówki są jakieś dziury, ale nic nie znalazłem.

Był dzień dostawy poczty. Wiedziałem, że Jansson zwróci uwagę na motorówkę, a ja już wcale nie byłem taki pewien, czy zawiadomię straż. Postanowiłem, że najpierw spróbuję przekonać Simeę, by z własnej woli wróciła do Agnes. Zrobiłem to również z myślą o sobie. Nie wypadało, by do emerytowanego lekarza przyływały kradzionymi łodziami nastoletnie uciekinierki z domów opieki.

Udało mi się zwodować motorówkę z pomocą bosaka i deski, która odegrała rolę dźwigni. Potem przyciągnąłem ją do pomostu i przywiązałem do rufy moją małą wiosłową łódkę. Motorówka miała stacyjkę, ale rzecz jasna nie miałem kluczyka. Sima odpaliła silnik kablami, więc zrobiłem to samo. Zastartował za czwartym razem. Śruba i ster były nieuszkodzone. Odpłynąłem kawałek od pomostu, rozejrzałem się wokół i po chwili utkwiałem wzrok w dwóch małych wysepkach, nazywanych Westchnieniami. Między nimi było coś na kształt naturalnego portu i nie było go widać z zewnątrz. Postanowiłem, że tam ukryję skradzioną łódź.

Ludzie mieli podzielone zdania na temat tego, dlaczego wysepki noszą takie nazwy. Jansson twierdził, że to na pamiątkę starego myśliwego imieniem Måsse, który polował na morskie ptaki. Ponoć wzdychał za każdym razem, kiedy udało mu się trafić edredona. A ponieważ tutaj polował najwięcej, gdy umarł, tak postanowiono uczcić jego pamięć.

Nie miałem pojęcia, czy to prawda. Na mojej morskiej mapie tej okolicy wysepki nie miały nazwy. Mimo to podobał mi się pomysł, by nagie, wystające z morza skały nazywać Westchnieniami. Na

ładzie często nam się zdaje, że drzewa szepczą, kwiaty mamrocą, a krzaczki jagód nucą nieznane piosenki. Moja babka zwykła powtarzać, że kłująca róża rosnąca za jabłonią gra piękne melodie na niewidzialnym instrumencie. Dlaczego więc skały miałyby sobie nie wzdychać?

Powrót do pomostu zajął mi niemal godzinę. Pożegnałem się już z myślą o kąpeli w przeręblu. Wróciłem do domu. Sima wciąż spała, nakryta kocem. Nie zmieniła nawet pozycji, odkąd położyła się na kanapie. Usłyszałem warkot silnika motorówki Janssona. Zszedłem na pomost, żeby na niego poczekać. Wiał słaby wiatr z północnego wschodu, było nie więcej niż pięć stopni powyżej zera i wiosna zdawała się jeszcze odległa. W płytkiej wodzie pod pomostem zobaczyłem rybę. Przemknęła szybko i znikła między kamieniami.

Tego dnia Jansson postanowił dręczyć mnie pytaniami o włosy i skórę na głowie. Upierał się, że łysieje. Poleciałem mu, żeby udał się do fryzjera, na co on wyjął z kieszeni wyrwany z jakiegoś czasopisma artykuł i kazał mi czytać. Całą stronę zajmowała reklama cudownego środka, który obiecywał cuda już po zaaplikowaniu jednej kropli. Przeczytałem, że w składzie preparatu jest między innymi lawenda. Pomyślałem o matce, a po chwili poradziłem Janssonowi, żeby nie wierzył we wszystko, co wypisują w reklamach.

– Chcę, żebyś udzielił mi rady – powiedział.

– Właśnie to zrobiłem – odparłem. – Idź do fryzjera. On z pewnością wie o wiele więcej o wypadaniu włosów niż ja.

– Uczyli cię czegoś o łysieniu na studiach medycznych?

– Muszę przyznać, że bardzo niewiele.

Jansson zdarł z głowy czapkę i chcąc zaprezentować mi rzekomą łysinę, skłonił się przede mną, jakby był moim poddanym. Nie dostrzegłem tam niczego poza czupryną tak samo gęstą jak zwykle.

– Nie sądzisz, że trochę się przerzedziły? – wymamrotał.

– To normalne, kiedy człowiek się starzeje.

– Ta reklama mówi co innego.

– A więc zamów sobie ten preparat i codziennie wcieraj go w głowę.

Jansson zmiął kartkę z reklamą.

– Czasem się zastanawiam, czy naprawdę jesteś lekarzem – warknął.

– Wciąż jeszcze jestem w stanie odróżnić ludzi, którym naprawdę coś dolega, od listonoszy hipochondryków.

Jansson już miał rzucić jakieś przekleństwo, gdy nagle jego wzrok ześlizgnął się z mojej twarzy i utkwiał w jakimś punkcie z tyłu. Odwróciłem się. Przy wejściu na pomost stała Sima, z kotką na rękach i mieczem przypiętym do pasa. Nic nie powiedziała, tylko przyjaźnie się uśmiechnęła. Jansson rozdziawił gębę. Pomyślałem z rezygnacją, że za parę dni cała okolica będzie wiedzieć, że odwiedziła mnie młoda dama o ciemnych oczach, nieujarzmionej czuprynie i z mieczem samurajskim u pasa.

– Chyba rzeczywiście zamówię ten środek – odezwał się przymilnym tonem. – Nie będę ci dłużej przeszkadzał. Dziś nie przywiozłem żadnej poczty.

Włączył silnik i odbił od pomostu. Odprowadziłem Janssona wzrokiem. Gdy odwróciłem głowę, Sima szła już z powrotem do domu. Kotka stała na brzegu.

Kiedy wszedłem do kuchni, dziewczyna siedziała przy stole i paliła papierosa.

– Gdzie moja łódka? – spytała.
– Zaczumowałem ją w niewidocznym miejscu.
– Kim jest ten człowiek, z którym rozmawiałeś na pomoście?
– Nazywa się Jansson i rozwozi pocztę po okolicy. Źle się stało, że cię widział.

– Dlaczego?

– Bo jest plotkarzem. Wszystkim o tym opowie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie mieszkasz tu. Dla mnie to nie bez znaczenia.

Zgniotła niedopałek w starej filizance mojej babki. Nie spodobało mi się to.

– Śniło mi się, że wysypałeś na mnie mrowisko. Próbowałam się bronić mieczem, ale złamałam ostrze. Wtedy się obudziłam się. Dlaczego masz w domu mrowisko?

– Uważam, że pasuje do wystroju. Pochłonęło już połowę obrusu. Za parę lat obejmie cały stół.

Nagle dostrzegłem coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Sima była niespokojna. Jej ruchy były nerwowe, a gdy spojrzałem na nią ukradkiem, w napięciu pocierała opuszki palców u dłoni.

Przypomniałem sobie, że podobne gesty zaobserwowałem kiedyś u pacjentki, której musiałem amputować nogę z powodu powikłań wywołanych cukrzycą. Okazało się, że kobieta obsesyjnie bała się zarazków, poza tym zdiagnozowano u niej ciężką depresję.

Kotka wskoczyła na stół. Przez pierwszych parę lat wspólnego mieszkania zawsze przeganiałem ją z blatów, ale z czasem zwyciężyła. Odsunąłem miecz, żeby nie zraniła się w łapy. Gdy dotknąłem rękojeści, Sima zadrżała. Kotka zwinęła się w kłębek na ceracie i zaczęła mruścić. Dziewczyna przyglądała się jej w milczeniu.

– Powiedz mi – zwróciłem się do niej. – Dlaczego tu jesteś i dokąd się wybierasz? Zastanowimy się wspólnie, jak rozwiązać ten niepotrzebny problem.

– Gdzie jest motorówka? – usłyszałem w odpowiedzi.

– Zacumowałem ją w zatoczce między dwiema małymi wyspami o nazwie Westchnienia.

– Jak można tak nazwać wyspy?

– Niedaleko stąd jedna wystająca z morza skała nazywa się Miedziana Końcówka, a jeszcze gdzie indziej grupie podwodnych skał ktoś nadał nazwę Nadęte Skały. Wyspy mogą mieć najróżniejsze nazwy i nigdy do końca nie wiadomo, skąd się wzięły.

– Ukryłeś motorówkę?

– Tak.

– Dziękuję.

– Nie wiem, czy jest za co dziękować. Ale jeśli zaraz nie zaczniesz mówić, wykręcę numer do straży przybrzeżnej. Przyjadą po ciebie za trzydzieści minut.

– Jeśli sięgniesz po słuchawkę, odrąbię ci dłoń.

Wstrzymałem oddech, zaraz jednak powiedziałem coś, co zdawało mi się prawdą:

– Nie weźmiesz już tego miecza do ręki, bo wiesz, że dotknąłem rękojeści. Boisz się bakterii pochodzących od innych ludzi. Przeraza cię myśl, że twoje ciało zaatakują nieznana choroba.

– Nie wiem, o czym gadasz – parsknęła Sima.

Zrozumiałem, że mam rację. Ciałem dziewczyny wstrząsnął ledwie widoczny dreszcz. Udało mi się sprawić, że na twardej powierzchni pojawiła się rysa. Sima przystąpiła do błyskawicznego kontrataku. Chwyła moją kotkę za kark i cisnęła nią w stronę drewna złożonego przy piecu. Potem zaczęła krzyczeć, ale nie

zrozumiałem ani słowa, bo przeszła na nieznanym mi język. Patrzyłem na nią i pomyślałem, że to nie moja córka, więc i nie mój problem.

Nagle zamilkła.

– Nie sięgniesz po swój miecz? – zapytałem. – Nie poćwiartujesz mnie?

– Dlaczego jesteś taki wredny? – krzyknęła.

– Nie wolno traktować kota w taki sposób.

– Jestem uczulona na sierść. Mam alergię.

– To nie znaczy, że możesz zabić zwierzaka.

Kotka siedziała przy drzwiach i taksowała nas podejrzliwym spojrzeniem. Wstałem i wypuściłem ją na dwór. Sam też wyszedłem, stwierdziwszy, że Simie przyda się chwila spokoju. Przez gęstą pokrywę chmur przebił się promień słońca. Było bezwietrznie. Nastął najcieplejszy dzień wczesnej wiosny. Kotka zniknęła za rogiem domu, a ja dyskretnie zajrzałem do kuchni przez okno. Sima stała przy zlewie i myła ręce. Potem dokładnie osuszyła je ścierką, starannie wytarła rękojeść miecza i odłożyła go na stół.

Nie rozumiałem tej dziewczyny. Nawet nie byłem w stanie sobie wyobrazić, co sobie myśli. Co się czaiło w jej wnętrzu? Nie miałem pojęcia.

Wszedłem do środka. Sima siedziała przy stole i czekała. Nic nie powiedziałem na temat miecza. Dziewczyna spojrzała na mnie i powiedziała:

– Chara. Tak chciałabym mieć na imię.

– Dlaczego?

– Bo ładnie to brzmi. Poza tym to nazwa teleskopu, który stoi na Mount Wilson pod Los Angeles. Pojadę tam, zanim umrę. Przez ten teleskop widać wszystkie gwiazdy i wszystko to, czego nawet nie

można sobie wyobrazić. Jest mocniejszy niż wszystkie inne teleskopy.

Ostatnie słowa Sima wypowiedziała szeptem, jakby wpadła w zachwyty albo zdradzała mi jakąś tajemnicę.

– Jest tak mocny, że patrząc przez niego, można zobaczyć człowieka stojącego na Księżycu – dodała. – Chciałabym być tym człowiekiem.

Bardziej się domyślałem, niż rozumiałem o co niej chodzi. Była małą zaszczutą dziewczynką, uciekającą przed wszystkimi i wszystkim, a zwłaszcza przed sobą samą. Być może też chodziło jej o to, że tu, na Ziemi czuje się niewidzialna, ale przez ten teleskop można by ją dostrzec.

Poczułem, że wreszcie mi się udało zrozumieć małą fragment całości, jaką tworzyła Sima. Spróbowałem podtrzymać rozmowę, mówiąc o gwiazdach, które można podziwiać z mojej wyspy w bezchmurne jesienne noce. Ona jednak od razu się wycofała, nie chciała rozmawiać, jakby pożałowała tego, co powiedziała.

Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Potem znowu zapytałem, co ją do mnie sprowadza.

– Ropa – odparła niespodziewanie. – Zamierzam pojechać do Rosji i zbić tam majątek. Tam jest mnóstwo ropy. Potem wrócę tu i zostanę piromanką.

– Co zamierzasz spalić?

– Wszystkie domy, w których kazano mi mieszkać wbrew mojej woli.

– Czy zalicza się do nich także mój dom?

– Twój będzie jedynym, który ocaleje. Twój oraz dom Agnes. Całą resztę spalę.

Znów przemknęło mi przez myśl, że siedząca naprzeciwko dziewczyna jest kompletną wariatką. Nie dość, że biega z ostrym jak brzytwa mieczem, to roztacza szaloną wizję swojej przyszłości.

Sima najwyraźniej domyśliła się, o czym myślę.

– Nie wierzysz mi? – zapytała.

– Szczerze mówiąc, nie.

– No to się odpierdol.

– Nie mów tak w moim domu. Straż przybrzeżna będzie tu szybciej, niż myślisz.

Jednym ruchem zmiotłem ze stołu filiżankę babki, której Sima użyła jako popielniczki. Po podłodze rozsypały się odłamki porcelany. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Mój wybuch nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– Nie chcę, żebyś się na mnie wściekał – powiedziała spokojnym tonem. – Chcę tu tylko przenocować. Jutro już mnie nie będzie.

– Po co tu w ogóle przyjechałaś?

Jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Sam mnie zaprosiłeś.

– Nie przypominam sobie – odparłem.

– Powiedziałeś, że nie sądzisz, że kiedykolwiek się zjawię. Chciałam ci udowodnić, że się mylisz. Poza tym jestem w drodze do Rosji.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Nie możesz powiedzieć mi prawdy?

– Nie chciałbyś jej usłyszeć.

– Dlaczego nie?

– Jak myślisz, dlaczego zabrałam ze sobą miecz? Muszę mieć coś do obrony. Wcześniej nie miałam. Kiedy miałam jedenaście lat.

Wiedziałem, że teraz dziewczyna mówi prawdę. Swoją wrażliwość przekuwała bezpośrednio na agresję.

– Teraz ci wierzę. Ale wciąż chcę wiedzieć, po co tu przyjechałaś. Nie wmawiaj mi, że jesteś w drodze do Rosji.

– Wiem, że tam mi się uda.

– Tak? A co będziesz tam robić? Zacznesz robić odwierty gołymi rękami? Nawet cię tam nie wpuszczą. Dlaczego nie wrócisz do Agnes?

– Muszę wyjechać. Zostawiłam jej wiadomość, że ruszyłam na północ.

– Ale żeby dotrzeć do mnie, pojechałaś na południe.

– Nie chcę, żeby Agnes mnie znalazła. Czasem zachowuje się jak pies. Wyczuwa węchem, dokąd ktoś pojechał. Chcę się tu chwilę zatrzymać. Wkrótce się zmyję.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę na to pozwolić.

– Nie pożałujesz, jeśli pozwolisz mi zostać.

– W jakim sensie?

– A jak myślisz?

Nagle do mnie dotarło, co ta dziewczyna mi proponuje.

– Za kogo ty mnie masz?! – uniosłem się. – Udam, że nic nie słyszałem. Nie powiedziałaś tego.

Tak się zdenerwowałem, że musiałem wyjść się przewietrzyć. Pomyślałem o plotce, jaką Jansson z pewnością już puścił w obieg po wyspach. Wkrótce ludzie zaczną gadać, że stary Fredrik sprowadza sobie tu nielegalnie arabskie dziewczynki.

Wszedłem na pomost. Słowa Simy nie tylko mnie zszokowały, ale i zasmuciły. Zaczęło do mnie docierać, jaki ciężar musi dźwigać to dziecko.

Po paru chwilach Sima zeszła na pomost.

– Usiądź – zaproponowałem. – Możesz tu zostać parę dni.

Wyczuwałem jej niepokój. Dostrzegłem, że przyszła tu na drżących nogach. Nie mogłem jej wyrzucić. Poza tym potrzebowałem czasu, by się namyślić. W moje życie wtargnęła czwarta kobieta, najwyraźniej oczekując ode mnie czegoś, czego jeszcze nie rozumiałem.

Na kolację zjedliśmy ostatni kawałek zająca, jaki znalazłem w zamrażalniku. Sima dłubała w jedzeniu i niewiele mówiła. Miałem wrażenie, że robi się coraz bardziej niespokojna. Nie chciała spać w pokoju z mrówkami, więc przygotowałem jej pościelnię w kuchni. Nie było jeszcze dziewiątej, kiedy dziewczyna oznajmiła, że chce iść spać.

Zdecydowałem, że kotka spędzi tę noc na dworze. Wypuściłem ją, poszedłem do mojej sypialni i położyłem się z książką. Z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy, ale widziałem, iż wciąż świeci się tam światło. Sima jeszcze się nie położyła. Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem kotkę siedzącą w plamie światła padającego z okna w kuchni.

Wkrótce i ona mnie opuści, pomyślałem. Zdawało mi się, że już teraz zaczęła się stawać przezroczyta.

Zacząłem przeglądać książkę dziadka wydaną w 1911 roku. Był to atlas rzadkich mew siewek. Musiałem zasnąć przy zaświeczonej lampce, bo gdy znów otworzyłem oczy, było przed jedenastą. Spałem najwyżej pół godziny. Wstałem i wyjrzałem przez okno. W kuchni było ciemno, a kot gdzieś sobie poszedł. Już miałem wrócić do łóżka, gdy usłyszałem jakiś dźwięk. Dochodził z kuchni, ale nie umiałem go zidentyfikować. Podeszedłem na palcach do drzwi i cichutko je uchyliłem. Teraz usłyszałem wyraźnie. Sima płakała. Zamarłem, nie wiedząc, co robić. Czy powinienem zejść na dół? Czy

lepiej zostawić ją w spokoju? Po chwili łkanie ucichło. Ostrożnie zamknąłem drzwi i wróciłem do łóżka. Wiedziałem, gdzie stąpać, żeby podłoga nie skrzypiała.

Książka o rzadkich gatunkach mew ześlizgnęła mi się na podłogę. Nie podniosłem jej, leżałem w ciemności, zastanawiając się, co począć. Jedynym sensownym rozwiązaniem zdawało się powiadomienie straży przybrzeżnej. Z drugiej strony, dlaczego miałbym robić to, co najbardziej sensowne i właściwe? Wreszcie postanowiłem, że zadzwonię do Agnes. Niech ona zdecyduje, co dalej. W końcu to ona była z Simą najbliżej i najlepiej rozumiała całą tę smutną historię.

Obudziłem się jak zwykle tuż po szóstej. Termometr za oknem sypialni wskazywał cztery stopnie powyżej zera. Była mgła.

Ubrałem się i zszedłem na dół. Stąpałem ostrożnie, przekonany, że dziewczyna jeszcze śpi. Zamierzałem zabrać dzbanek do gotowania kawy do szopy przy pomoście, miałem tam przenośną elektryczną kuchenkę. Stała tam jeszcze od czasów dziadka. Podgrzewał na niej mieszankę smoły z żywicą, której potem używał do uszczelniania łodzi.

Drzwi do kuchni były uchylone. Pchnąłem je delikatnie, wiedziałem, że głośno skrzypią. Sima leżała na pościeli, w samej bieliźnie. Świeciła się mała lampka stojąca na szafce przy kanapie. Ciało dziewczyny i prześcieradło były czerwone od krwi.

Poczułem się jakby ktoś nagle oślepił mnie reflektorem. Nie wierzyłem w to, co ujrzałem. Wiedziałem, że to prawda, ale coś w głębi mnie nie chciało przyjąć do wiadomości, że coś takiego mogło się zdarzyć. Dopadłem do Simy i zacząłem nią potrząsać, chcąc obudzić w niej życie, jednocześnie szukałem ran na jej ciele.

Zorientowałem się, że nie użyła swojego miecza, ale jednego ze starych, należących do dziadka noży do sprawiania ryb. Z jakiegoś powodu wprawiło mnie to w jeszcze większe zdenerwowanie. Przemknęło mi przez myśl, że ta dziewczynaw okrutny sposób wciągnęła starego rybaka w swoje potworne życie. Ryknąłem na nią, żeby się ocknęła, ale jej ciało zwisało bezwładnie w moich rękach, a oczy wciąż były zamknięte. Najgłębsze rany miała w okolicach łona, na brzuchu i na nadgarstkach. Ku mojemu rosnącemu zdziwieniu odkryłem też rany na karku. Nie pojmowałem, jak to zrobiła. Po chwili oceniłem, że najgorszą ranę ma na prawej ręce. Dzień wcześniej zauważyłem, że jest leworęczna. Z głębokiej rany płynęła krew. Sima straciła jej już wiele, więc szybko sporządziłem opatrunek uciskowy z kilku kuchennych ręczników. Potem zmierzyłem jej tętno. Było bardzo słabe. Co chwila próbowałem ją cucić, nie wiedziałem jednak, czy dodatkowo nie zażyła jakichś środków nasennych albo narkotyków. W kuchni panował dziwny zapach, którego nie rozpoznawałem. Powąchałem stojącą na stole popielniczkę, zrobioną z kolejnej filizanki po babce. Domyśliłem się, że dziewczyna paliła haszysz albo marihuanę. Przekląłem pod nosem, przypomniawszy sobie, że wszystkie moje instrumenty medyczne są w szopie nad wodą. Pobiegłem tam, po drodze potykając się o siedzącego na schodach kota, złapałem aparat do mierzenia ciśnienia i pędem wróciłem do kuchni. Sima miała bardzo niskie ciśnienie. Jej stan był bardzo zły.

Wystukałem numer do straży przybrzeżnej. Odebrał Hans Lundman. Bawiliśmy się razem latem, kiedy byliśmy mali. Jego ojciec i mój dziadek byli przyjaciółmi.

– Mówi Fredrik Welin – powiedziałem. – Mam tu dziewczynę, która musi jak najszybciej trafić do szpitala.

Hans był mądrym człowiekiem. Wiedział, że ludzie nie dzwonią do straży nad ranem, jeśli nie muszą zgłosić czegoś naprawdę ważnego.

– Co się stało? – zapytał.

Mogłem tylko powiedzieć prawdę.

– Próbowała popełnić samobójstwo. Pocięła się i straciła dużo krwi. Ma słabe tętno i niskie ciśnienie. Trzeba ją natychmiast ratować.

– Jest mgła – odparł Hans Lundman. – Będziemy u ciebie za pół godziny.

– Wezwiesz pogotowie?

– Zaraz będzie w drodze.

Po trzydziestu dwóch minutach usłyszałem warkot mocnych silników motorówki straży przybrzeżnej. Były to najdłuższe trzydzieści dwie minuty w moim życiu. Czas płynął wolniej niż wtedy, kiedy napadnięto mnie w Rzymie i przez chwilę byłem pewien, że pożegnam się z życiem. Nie mogłem nic zrobić. Nie mogłem Simie zaoferować niczego poza opatrunkami uciskowymi. Kiedy do mnie dotarło, że moje wrzaski na nic się nie zdadzą, zacząłem szeptać do niej słowa pocieszenia. Przycisnąłem usta do jej ucha i powtarzałem, że musi żyć, że nie ma prawa umierać, że to niesprawiedliwe, nie w mojej kuchni, nie teraz, kiedy nadeszła wiosna, nie tego dnia, który właśnie się zaczął. Nie miałem pojęcia, czy mnie słyszy, mimo to nie przestawałem. Opowiadałem jej bajki zapamiętane w dzieciństwie, a potem tłumaczyłem jak pięknie pachną kwitnące wiosną bzy. Mówiłem jej, co zjemy na obiad, a potem opowiadałem o tym, jak dziwne, zwinne ptaki brodzą w wodach mojej zatoki i jak szybko potrafią złowić sobie coś do jedzenia. Mówiłem to wszystko ze strachu o jej życie, ale także

i swoje, ze strachu, że może za chwilę umrzeć. Na okrągło zadawałem sobie pytanie, czy uda mi się ją utrzymać przy życiu. Gdy wreszcie usłyszałem szybkie kroki Hansa Lundmana i jego kolegi, zawołałem głośno, żeby się pośpieszyli. Mieli ze sobą nosze. Natychmiast przerzucili na nie Simę i od razu ruszyli w drogę. Zbiegłem za nimi w skarpetkach, niosąc w ręce kalosze. Nawet nie zamknąłem za sobą drzwi.

Płynęliśmy w gęstej mgłę. Hans Lundman stanął przy sterze i zapytał mnie, co się wydarzyło.

– Nie mam pojęcia. Jest z nią coraz gorzej.

Hans prowadził szybko, wiodąc nas prosto w białe mleko. Jego kolega, którego nigdy wcześniej nie spotkałem, siedział przy noszach i niespokojnie spoglądał na przypiętą pasami Simę. Wyglądał dziwnie, myślałem, że zaraz zemdleje.

Karetka czekała w porcie. Wszystko tonęło we mgłę.

– Mam nadzieję, że z tego wyjdzie – powiedział Lundman na pożegnanie.

Miał niepewną minę. Pomyślałem, że przez długie lata w straży nauczył się rozpoznawać, kiedy człowiek jest bliski śmierci.

Dotarcie do szpitala karetką zabrało kolejne czterdzieści trzy minuty. Ratowniczką, która zajęła miejsce przy noszach, miała na imię Sonia i wyglądała na czterdzieści lat. Podłączyła Simie kroplówkę, a potem sprawdzała ją pewnymi, spokojnymi ruchami. Cały czas była w kontakcie ze szpitalem, informując dyżurnego o stanie zdrowia dziewczyny. Zadawała mi pytania, na które nie byłem w stanie odpowiedzieć.

– Wzięła coś? Jakies tabletki?

– Nie wiem, wydaje mi się, że wypaliła jakieś zioło, może marihuanę.

– Czy to pańska córka?
– Nie. Złożyła mi niezapowiedzianą wizytę.
– Czy skontaktował się pan z jej rodziną?
– Nie znam ich. Ona mieszka w czymś na kształt rodzinnego domu dziecka. Spotkałem ją tylko raz. Nie wiem, dlaczego do mnie przyjechała.

– Niech pan zadzwoni do domu, w którym mieszka.

Sonia podała mi słuchawkę zawieszoną na ścianie karetki. Zadzwoiłem do biura numerów, a potem do Agnes Klarström. Gdy włączyła się sekretarka, streściłem, co się stało, podałem nazwę szpitala, do którego jechaliśmy, a także podany mi przez Sonię numer telefonu.

– Niech pan zadzwoni jeszcze raz – powiedziała, kiedy się rozłączyłem. – Ludzie się budzą, kiedy telefon uparcie dzwoni.

– Agnes może być w stodole.

– Nie ma telefonu komórkowego?

Nagle poczułem, że nie mam siły ponownie dzwonić.

– Nie ma – odparłem. – Żyje bez komórki. Jest inna niż wszyscy.

Udało mi się skontaktować z Agnes dopiero, kiedy Simę przyjęło już na ostry dyżur, a ja usiadłem w poczekalni, włożywszy na nogi moje stare kalosze. Usłyszałem w słuchawce jej zdenerwowany głos.

– Co z nią? – wysapała.

– Jest w ciężkim stanie.

– Niech pan mi powie prawdę.

– Jest bliska śmierci. Wszystko zależy od tego, ile straciła krwi.

Czy brała tabletki nasenne?

– Nie sędzę.

– Musimy mieć pewność.

– Z Simą nigdy nic nie wiadomo. Nie wydaje mi się, żeby brała coś na sen.

– A narkotyki?

– Paliła haszysz, ale nie w moim domu. Nie pozwalałam jej.

– Czy mogła wziąć coś innego?

– Nie wiem!

Obok mnie zjawiła się pielęgniarka, więc podałem jej słuchawkę telefonu.

– Rozmawiam z opiekunką dziewczyny – powiedziałem. – Niech pani z nią pomówi. Powiedziałem jej, że jest w ciężkim stanie.

Oddaliłem się. Minąłem starszego mężczyznę leżącego na noszach, rozebranego do pasa i postępującego w oczekiwaniu na przyjęcie na ostry dyżur. Obok dwóch pielęgniarzy starało się uciszyć rozhisteryzowaną matkę z niemowlęciem na rękach. Szedłem dalej korytarzem, aż znalazłem się na podjeździe dla karettek. Stał tam pusty ambulans. Pomyślałem o tym, co powiedziała mi Sima, o teleskopie mogącym dostrzec człowieka na powierzchni Księżyca. Spróbuj przeżyć, szepnąłem pod nosem. Chara, biedna mała Chara. Może kiedyś się okaże, że to właśnie ty jesteś tym człowiekiem, którego nie dostrzegano na Ziemi, ale wzięłaś na wszystkich odwet i pomachałaś im z Księżyca.

Czułem się, jakbym wypowiadał słowa modlitwy albo jakiegoś zaklęcia. Walcząca o życie Sima potrzebowała każdego możliwego wsparcia. Nie wierzyłem w Boga. Wiedziałem jednak, że w chwili najwyższej potrzeby dobrze jest mieć do kogo zwrócić swoje modlitwy.

Stanąłem więc i modliłem się do teleskopu stojącego na górze o nazwie Mount Wilson. Przyrzekłem sobie, że jeśli Sima przeżyje, sfinansuję jej podróż w to miejsce. Dowiem się też, kim był ów

Wilson, którego nazwiskiem ochrzczono górę. Nic nie stoi na przeszkodzie, by Bóg miał nazwisko, pomyślałem. Dlaczego stwórca nie miałby nazywać się Wilson?

Wiedziałem, że jeśli Sima umrze, będzie to moja wina. Powinienem był zejść do niej, gdy usłyszałem, że płacze. Być może wówczas by się nie pocięła. Wyrzucałem sobie, że jako lekarz powinienem był to przewidzieć. Przede wszystkim powinienem był się domyślić, jak potwornie samotna musi czuć się ta młoda dziewczyna, która nie rusza się nigdzie bez ostrego narzędzia.

Nagle zatęskniłem za ojcem, po raz pierwszy, odkąd umarł. Cierpiałem po jego śmierci, bo mimo że nie rozmawialiśmy ze sobą wiele, istniało między nami milczące porozumienie. Odkąd się dowiedział, że postanowiłem zostać lekarzem, nigdy nie ukrywał swojego zdziwienia i poczucia ogromnej dumy. A później, w ostatnich tygodniach swojego życia, kiedy do łóżka przykuł go rak, często mówił o białym lekarskim kitlu. Choroba zaczęła się od czarnej kropki na pięcie, a potem szybko pojawiły się przerzuty, które ojciec wyobrażał sobie jako mech porastający kamień. Wówczas jego wypowiedzi na temat mocy, jaką jakoby posiadał mój biały fartuch, wprawiały mnie w konsternację. Dopiero później zrozumiałem, że była to dla niego forma rekompensaty za własne życiowe porażki. On też nosił w pracy biały fartuch, nim jednak pomiatano. Fakt, że ja zostałem lekarzem, osobą, której nikt nie znieważa, miał mu to wynagrodzić.

Teraz za nim zatęskniłem. Za ojcem, a także za naszą magiczną wyprawą do lasu, do czarnego jeziora. Zamarzyłem, żeby cofnął się czas. Zapragnąłem znów mieć przed sobą całe życie i wiele nierozstrzygniętych spraw. Pomyślałem również o matce, zapachu lawendy i łzach. Nigdy jej nie rozumiałem. Czy i ona nie rozstawała

się ze swoim niewidzialnym mieczem? Być może teraz stoi na drugim brzegu rzeki życia i macha do Simy.

Spróbowałem porozmawiać w myślach z Harriet i Louise. Obie jednak uparcie milczały, jakby były zdania, że z tą sytuacją muszę uporać się sam.

Wszedłem z powrotem do budynku i znalazłem małą opustoszałą poczekalnię. Po paru chwilach ktoś do mnie zajrzał i powiedział, że Sima wciąż jest w ciężkim stanie i zostanie przeniesiona na intensywną terapię. Podążyłem we wskazaną stronę i wkrótce znalazłem się w windzie z Simą i dwoma pielęgniarzami. Pielęgniarze byli czarni. Jeden się do mnie uśmiechał. Odwzajemniłem uśmiech i nagle poczułem potrzebę, by opowiedzieć temu człowiekowi o teleskopie na Mount Wilson. Sima leżała nieprzytomna. Miała podłączoną kroplówkę oraz rurkę z tlenem wprowadzoną przez dziurkę do nosa. Pochyliłem się nad nią i wyszeptałem:

– Chara, kiedy wyzdrowiejesz, pojedziesz na Mount Wilson i zobaczysz przez teleskop, że na Księżycu stoi ktoś bardzo podobny do ciebie.

Kiedy wyszliśmy z windy, podszedł do mnie lekarz i powiedział, że prawdopodobnie będą musieli operować. Dziwiło go, że Sima dotąd nie odzyskała przytomności. Zadał mi parę pytań, ale odpowiedziałem, że nie wiem, czy dziewczyna przechodziła jakieś poważne choroby i czy wcześniej próbowała się zabić. Osoba, która zna odpowiedzi, była w drodze do szpitala.

Agnes dotarła tuż po dziesiątej. Gdy tylko ją zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać, jak może prowadzić samochód jedną ręką. Czyżby miała jakiś specjalne auto? Odeгнаłem to pytanie, w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Pokazałem jej zasłonkę, za

którą leżała Sima. Agnes zaczęła cicho szlochać, więc ją wyprowadziłem. Nie chciałem, by dziewczyna usłyszała płaczącą opiekunkę.

– Dalej nic nie wiadomo – powiedziałem. – Ale sytuacja staje się o wiele lepsza już przez sam fakt, że pani przyjechała. Niech pani spróbuje z nią porozmawiać. Powinna wiedzieć, że pani tu jest.

– Czy ona mnie usłyszy?

– Nie wiadomo. Ale mam taką nadzieję.

Agnes poszła pomówić z lekarzem. Słyszałem, jak odpowiada na jego pytania: żadnych przewlekłych chorób, żadnych leków, żadnych wcześniejszych prób samobójczych, a przynajmniej o niczym takim jej nie wiadomo. Lekarz, mężczyzna w moim wieku, wytłumaczył jej, że stan Simy nie uległ poprawie, chociaż zdaje się bardziej stabilny niż w chwili przyjęcia na oddział. Najważniejsze, że się nie pogarsza.

Na twarzy Agnes odmalowała się ulga. Wróciła do mnie i razem poszliśmy do automatu z napojami. Po znużonych poszukiwaniach udało nam się uzbierać wystarczającą liczbę drobniaków, by starczyło na dwie ohydne kawy. Przyglądałem się Agnes kątem oka i nie mogłem się nadziwić, że jest w stanie jedną ręką zrobić wszystko to, do czego ja potrzebowałem obu.

Potem opowiedziałem jej, co się stało. Kiedy skończyłem, Agnes powoli pokręciła głową.

– Całkiem możliwe, że naprawdę wybierała się do tej Rosji – powiedziała. – Sima zawsze porywa się z motyką na słońce. Nie zadowala się spacerami po ścieżkach przeznaczonych dla zwykłych ludzi.

– Ale dlaczego do mnie przyjechała?

– Mieszka pan na wyspie, a z drugiego brzegu morza do Rosji jest bliżej.

– Więc skoro już dotarła na tę wyspę, dlaczego nagle postanowiła się zabić? Nic z tego nie rozumiem.

– Sima doświadczyła w życiu okropności, jakie my z trudem możemy sobie wyobrazić. Patrząc na kogoś, nie da się odgadnąć, jak bardzo jest w środku zraniony.

– Trochę mi opowiedziała.

– A więc może pan sobie co nieco wyobrazić.

O piętnastej podeszła do nas pielęgniarka i przekazała najnowsze wieści. Stan Simy był stabilny, ale nie zaobserwowano też żadnej poprawy. Poradziła nam, żebyśmy poszli do domu. Jeśli cokolwiek się zmieni, Agnes zostanie powiadomiona telefonicznie. Ponieważ nie mieliśmy dokąd pójść, zostaliśmy w szpitalu do końca dnia oraz całą noc. Agnes skuliła się na kanapie w poczekalni i zapadała w nieregularne drzemki. Ja natomiast spędziłem większość czasu na krześle, wertując wybrudzone tysiącem palców czasopisma. Z ich kartek spoglądali na mnie zadowoleni, kolorowo ubrani ludzie, z których większość opowiadała o tym, jak wiele znaczy dla świata. Parę razy poszliśmy coś zjeść, ale po chwili wracaliśmy.

Tuż po piątej rano podbiegła do nas pielęgniarka i powiedziała, że stan Simy uległ nagłej zmianie. Doszło do wewnętrznego krwotoku i lekarze musieli natychmiast zabrać dziewczynę na stół operacyjny, by ją ustabilizować.

Za wcześnie się ucieszyliśmy, pomyślałem. Wyglądało na to, że Sima znów nam się wymyka z rąk.

Dwadzieścia po szóstej przyszedł do nas lekarz. Był bardzo zmęczony, usiadł na krześle i zapatrzył się na swoje dłonie. Potem

powiedział, że nie udało się zatamować krwotoku. Sima umarła. Nie obudziła się ani na chwilę. Jeśli potrzebujemy rozmowy, poleca nam udać się do działającego w szpitalu punktu pomocy kryzysowej.

Poszliśmy razem zobaczyć Simę. Odłączono od niej wszystkie rurki, maszyna podtrzymująca życie milczała. Spostrzegłem, że na twarzy dziewczyny pojawił się już dobrze mi znany woskowy połysk, charakterystyczny dla kogoś, kto chwilę temu zmarł. Nie umiałbym określić, na ilu zmarłych patrzyłem. Widziałem jak umierają pacjenci, nie raz trzymałem w rękach mózg. Mimo to na widok Simy wybuchnąłem płaczem. Agnes stała w milczeniu, sparaliżowana bólem. Ujęła moją dłoń, poczułem silny uścisk i zamarzyłem, by już nigdy mnie nie puściła.

Chciałem z nią zostać, ale poprosiła mnie, żebym wrócił do domu. Sama chciała zająć się pogrzebem, podziękowała mi za wszystko, co zrobiłem, ale wołała zostać sama. Odprowadziła mnie do taksówki.

Był piękny, choć chłodny poranek. W rowie przy podjeździe na ostry dyżur zakwitł już podbiał.

Przeminęła jak wiosenny kwiat, pomyślałem. Przez krótką chwilę Sima błyszczała jak rubin, lecz teraz zdawało się, że nigdy nie istniała. W śmierci od zawsze przerażała mnie jej milcząca obojętność.

– Miecz – przypomniałem sobie. – Został u mnie. I torba z jej rzeczami. Co mam z nimi zrobić?

– Odezwę się – odparła Agnes. – Nie wiem, kiedy. Ale wiem, gdzie pana szukać.

Patrzyłem jak oddala się szpitalnym korytarzem. Smutny, jednoręki anioł, który właśnie stracił jedną ze swych trudnych do okiełznania i niemożliwych do zrozumienia podopiecznych.

Wsiadłem do taksówki i powiedziałem kierowcy, dokąd ma mnie zawieźć. Jego nieufne spojrzenie uświadomiło mi, jak wyglądam: brudny, nieogolony, z podkrążonymi oczami i w kaloszach o obciętych cholewkach.

– W przypadku tak dalekich kursów bierzemy zaliczki – odezwał się po chwili wahania. – Ze względu na złe doświadczenia.

Pomacałem kieszeń kurtki i dotarło do mnie, że nie mam portfela. Pochyliłem się w stronę kierowcy.

– Właśnie umarła moja córka – powiedziałem. – Chcę jechać do domu. Zapłacę panu. Proszę jechać ostrożnie.

Zaraz po tym wybuchnąłem płaczem. Mężczyzna więcej się nie odezwał. Gdy dotarliśmy do portu, była dziesiąta. Powiewał delikatny wietrzyk, tak lekki, że nie marszczył nawet lustra wody w porcie. Poprosiłem taksówkarza, by zatrzymał się przy pomalowanym na czerwono budynku straży przybrzeżnej. Hans Lundman zobaczył auto przez okno i wyszedł mi na spotkanie. Po mojej minie zorientował się, co się stało.

– Umarła – powiedziałem. – Krwotok wewnętrzny. Przyszedł nagle, kiedy już prawie mieliśmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Muszę od ciebie pożyczyć tysiąc koron, żeby zapłacić taksówkarzowi.

– Mam tyle na karcie – odparł i poszedł do taksówkarza.

Hans Lundman skończył zmianę parę godzin temu. Wiedziałem, że został tu, żeby na mnie zaczekać. Mieszkał na jednej z wysepek położonych na południe od mojej.

– Odwiozę cię – zaproponował.

– Nie mam pieniędzy – powiedziałem. – Mogę je wybrać dopiero za pośrednictwem Janssona.

– Kto by się teraz przejmował pieniędzmi.

Otwarte morze zawsze działało na mnie kojąco. Hans Lundman miał przebudowany stary kuter rybacki, który płynął bardzo powoli. W czasie pracy Hans wszędzie musiał się śpieszyć, dlatego nigdy tego nie robił po skończonej zmianie.

Kiedy przybiliśmy do mojego pomostu, słońce stało już wysoko na horyzoncie i zrobiło się ciepło. Nadeszła wiosna, ale w tej chwili było mi to całkiem obojętne. Wszystko wokół zaczynało przypominać zielony ogród, ja jednak czułem się tak, jakbym stał za jego ogrodzeniem.

– W zatoczce między Westchnieniami znajdziesz łódź – powiedziałem Hansowi. – Zacumowałem ją tam, jest kradziona.

Hans pokiwał głową. Zrozumiał.

– Znajdziemy ją jutro, porzuconą przez złodzieja – odparł. – Dawno nie było tam patrolu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

– Nie powinna była umierać – szepnąłem.

– Nie – powiedział Hans. – Nie powinna.

Patrzyłem, jak odbija od pomostu i wycofuje się z mojej zatoki. Zanim zniknął, pomachał mi jeszcze z oddali.

Usiadłem na ławce. Minęła długa chwila, nim ruszyłem do domu, w stronę otwartych na oścież drzwi.

Dęby wypuściły liście wyjątkowo późno.

Zanotowałem w dzienniku, że duży dąb rosnący między szopą przy pomoście a rudera, która kiedyś służyła moim dziadkom za kurnik, zazielenił się dopiero dwudziestego piątego maja. Natomiast duży dębowy zagajnik rosnący po północnej stronie mojej wyspy, ten nad zatoczką, którą z niepojętej przyczyny nazywano Sprzeczką, wypuścił liście zaledwie parę dni wcześniej.

Ludzie tutaj mówili, że to sama korona zarządziła sadzenie dębów na okolicznych wyspach, kiedy na początku dziewiętnastego wieku wzrosło zapotrzebowanie na okręty wojenne produkowane w Karlskronie. Pewnego razu, kiedy byłem chłopcem, w dębowy zagajnik strzelił piorun. Zapamiętałem, jak dziadek piłował resztki nadpalonych pni. Powiedział mi wtedy, że te drzewa wypuściły pierwsze korzenie w 1802 roku, w czasach Napoleona. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, kim był Napoleon, ale zrozumiałem, że musiało to być wiele lat temu. Potem, już nawet w dorosłym życiu, za każdym razem, gdy rozmyślałem o upływie czasu, stawały mi przed oczami słoje tamtych dębowych pni. Liście tych drzew szumiały na wietrze jeszcze za życia Beethovena. A gdy na świat przyszedł mój ojciec, ich pnie były już potężne.

Jak zwykle tutaj na wyspach, lato nadchodziło nieregularnymi skokami. W każdy cieplejszy dzień zastanawiałem się, czy przyszło już na dobre. Robiłem to jednak tylko wtedy, kiedy zasiadałem przy stole i zmuszałem się, by zrobić kolejny wpis do dziennika.

W minionych latach samotność dokuczała mi mniej, kiedy robiło się ciepło. Tym razem było inaczej. Czułem się sam jak palec, przesiadując w domu z mrowiskiem, ostrym jak brzytwa mieczem i do połowy wypełnioną rzeczami torbą podróżną Simy.

Często telefonowałem do Agnes. Opowiedziała mi o pogrzebie, który odbył się w kościele w Mogata. Oprócz Agnes i jej dwóch podopiecznych, Mirandy i Aidy, przyszedł tylko jeden starszy mężczyzna, który podał się za dalekiego krewnego Simy. Przyjechał taksówką i wyglądał na tak słabego, że Agnes poważnie się bała, żeby nie padł tam trupem. Nie udało jej się ustalić, w jaki sposób był spokrewniony ze zmarłą dziewczyną. Podejrzewała, że mógł pomylić Simę z kimś innym. Pokazała mu nawet jej zdjęcie, ale jego mina nie wyrażała pewności, że ją rozpoznaje.

Ostatecznie Agnes podsumowała, że i tak nie miało to większego znaczenia, jej zdaniem kościół powinien być pękać w szwach. Ludzie powinni tłumnie żegnać młodą dziewczynę, której nie dane było znaleźć swojej drogi w życiu, czerpać z jego uroków i poznawać świat leżący jej u stóp.

Trumnę udekorowano bukietem czerwonych róż, a kobieta, która weszła na chór z małym, co chwila kwilącym dzieckiem, zaśpiewała kilka psalmów. Agnes powiedziała parę słów, a jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii poprosiła pastora, żeby nie mówił zbyt wiele o wszytkowiedzącym, miłosiernym Bogu.

Kiedy się dowiedziałem, że grób ma być oznaczony jedynie tabliczką z numerem, zaoferowałem, że zapłacę za kamienny nagrobek. Któregoś dnia Jansson przywiózł mi list od Agnes ze szkicem nagrobka. Widniało na nim imię Simy, daty urodzenia i śmierci, a powyżej róża.

Zadzwońiłem do niej jeszcze tego samego dnia, żeby zapytać, czy nie należałoby wyrzeźbić miecza samurajskiego. Agnes zrozumiała, o co mi chodzi i powiedziała, że przyszło jej do głowy to samo.

– Nie obeszłoby się bez awantury – dodała po chwili. – A ja nie mam siły walczyć o prawo umieszczenia miecza na nagrobku mojej podopiecznej.

– Co zrobimy z jej rzeczami? – spytałem. – Z mieczem i torbą?

– Co w niej jest?

– Trochę bielizny, ze dwie pary spodni i sweter. Poza tym zniszczona mapa Zatoki Fińskiej.

– Przyjadę je zabrać. Chcę zobaczyć pana dom. Przede wszystkim pokój, w którym spała Sima. Miejsce, gdzie płakała i się pocięła.

– Mówiłem już, że powinienem był do niej zejść. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Nie oskarżam pana. Po prostu chcę zobaczyć miejsce, w którym Sima zaczęła umierać. Widziałam już to, gdzie nastął jej koniec, razem je widzieliśmy.

Agnes zapowiedziała się z wizytą w ostatnim tygodniu maja, ale coś jej wypadło i potem jeszcze dwukrotnie zmieniała termin. Najpierw z powodu ucieczki Mirandy, potem sama się rozchorowała. W dniu, kiedy zazieleniły się dęby, nadal mnie jeszcze nie odwiedziła. Miecz Simy oraz torbę z jej rzeczami wstawiłem do pokoju mrówek. Pewnej nocy przyśniło mi się, że mrówki obudowały je mrowiskiem i gdy tylko się obudziłem, zbiegłem na dół i otworzyłem drzwi. Mrówki spokojnie chodziły sobie po obrusie, mimo to rano przenieśliem rzeczy Simy do szopy.

Parę dni później Jansson opowiedział mi, jakby mimochodem, że straż przybrzeżna znalazła nieopodal skradzioną motorówkę. Najwyraźniej Hans Lundman dotrzymał tajemnicy.

– Pewnego dnia po prostu cię dopadają – powiedział Jansson ponurym tonem.

– Kto taki? – zapytałem.

– Bandyci. Mogą nadejść skądkolwiek. Jak człowiek ma się przed nimi bronić? Wsiąść w łódkę i wypłynąć na pełne morze?

– Niby czego mieliby tu szukać? Przecież tu nie ma nic do zrabowania.

– Jak tylko o tym pomyślę, podnosi mi się ciśnienie.

Bez słowa poszedłem do szopy po aparat, Jansson położył się na ławce i po chwili mieliśmy wynik pomiaru.

– Ciśnienie masz bez zarzutu – powiedziałem. – Sto czterdzieści na osiemdziesiąt.

– Obawiam się, że się mylisz – mruknął.

– Więc zwróć się do innego lekarza.

Wróciłem do szopy i czekałem tam chwilę w ciemności, aż usłyszałem, że Jansson odbija od mojego pomostu.

Parę dni przed tym, jak zazieleniły się dęby, wreszcie zabrałem się za remont łodzi. Kiedy z wielkim wysiłkiem zdołałem zdjąć z niej brezent, znalazłem przy nadstępcie martwą wiewiórkę. Zdziwiłem się, bo nigdy wcześniej nie widziałem wiewiórki na mojej wyspie, nie słyszałem nawet, by ktoś kiedykolwiek wspominał, że tu występują.

Łódź była w dużo gorszym stanie, niż przypuszczałem. Po dwóch dniach katalogowania uszkodzeń i spisywania idących za nimi koniecznych napraw, byłem bliski zarzucenia remontu, zanim jeszcze zdążyłem go zacząć. Mimo to następnego dnia zacząłem metodycznie zdrapywać farbę z kadłuba. Zadzwoiłem też po radę do Hansa Lundmana. Obiecał, że zajrzy do mnie któregoś dnia.

Praca szła mi powoli. Nie nawykłem do systematycznych zajęć poza codzienną kąpielą w przeręblu i robieniu zapisków w dzienniku.

Tego samego dnia, którego zacząłem skrobać łódź, odszukałem notatnik z pierwszego roku na wyspie. Otworzyłem go na dzisiejszej dacie i ze zdziwieniem odkryłem wpis mówiący o tym, że poprzedniego wieczoru przesadziłem z alkoholem. „Wczoraj wieczorem się upiłem”. Nie zapisałem nic więcej. Pamiętałem tamten wieczór jak przez mgłę, nie wiedziałem już jednak, dlaczego to zrobiłem. Dzień wcześniej zanotowałem, że naprawiłem rynnę, a kolejnego dnia po moim pijaństwie zarzuciłem sieci w zatoce i udało mi się złapać siedem fląder i trzy okonie.

Odłożyłem dziennik. Zaczęło już zmierzchać. Jabłonie były w pełni kwitnienia. Przez moment zdawało mi się, że widzę babcię siedzącą na ławce pod drzewem, niewyraźną postać zlewającą się z tłem, ciemną korą pnia, skałami i krzakiem dzikiej róży.

Nazajutrz Jansson przywiózł mi dwa listy, jeden od Louise, drugi od Harriet. Parę dni wcześniej wreszcie się przemogłem i opowiedziałem im o odwiedzinach Simy i jej tragicznej śmierci. Najpierw przeczytałem list od Harriet, który jak zwykle składał się z ledwie kilku linijek. Zaczęła od poinformowania mnie, że właściwie jest zbyt zmęczona, by pisać. Zmarszczyłem czoło. Jej pismo było niewyraźne, choć wcześniej pisała starannie. Litery wyglądały koślawo, na dodatek sens zdań nie do końca trzymał się kupy. Harriet pisała, że czuje się lepiej, choć jest coraz bardziej chora. Nie skomentowała informacji o śmierci Simy.

Złożyłem kartkę na pół i odsunąłem ją od siebie. Kotka wskoczyła na stół, a mi na jej widok przyszło na myśl, że zazdroszczę zwierzętom, bo nie muszą się przejmować wiadomościami przychodzącymi w zaklejonych kopertach. Może Harriet była

otumaniona środkami przeciwbólowymi, kiedy pisała ten list? Nie dawało mi to spokoju, więc po chwili przyniosłem do stołu telefon i wybrałem jej numer. Jeśli Harriet właśnie weszła w ostatnią fazę życia, chciałem o tym wiedzieć. Długo wsłuchiwałem się w jednostajne sygnały. Harriet nie odbierała, więc wystukałem numer jej komórki. Tu też nic nie osiągnąłem, ale przynajmniej nagrałem wiadomość z prośbą, by do mnie oddzwoniła.

Potem otworzyłem list od Louise. Pisała o niezwyklej jaskini Lascaux w południowo-zachodniej Francji, przypadkiem odkrytej przez kilku chłopców w 1940 roku. W jaskini tej znajdują się malowidła sprzed siedemnastu tysięcy lat. Niektóre rysunki zwierząt są wysokie na cztery metry. „Te pradawne dzieła sztuki są zagrożone, ponieważ jacyś szaleńcy instalują w skalnych korytarzach klimatyzatory”, pisała z oburzeniem Louise. „Amerykańscy turyści, którym pozwala się tam wchodzić, nie są w stanie zrezygnować z luksusu oddychania sztucznie schłodzonym powietrzem i z tej przyczyny na ścianach jaskini zaczęła tworzyć się trudna do zwalczania pleśń. Jeśli nic z tym nie zrobimy, jeżeli społeczność tego świata nie poczuje się odpowiedzialna, przyszłe pokolenia będą mogły podziwiać jedynie kopie autentycznych dzieł w tym najstarszym muzeum świata.”

Poniżej napisała też, że ona z pewnością zamierza coś w tej sprawie uczynić. Podejrzewałem, że już zaczęła pisać listy do wszystkich ważnych polityków w Europie i poczułem dumę. Mam córkę, która potrafi stawiać opór, pomyślałem.

List od Louise powstawał przez dłuższy czas. Poznałem to po niejednolitym stylu, ale też po kilku rodzajach długopisów, których używała w trakcie pisania. Między akapity pełne powagi i wzburzenia wplatała zapiski dotyczące codziennych spraw.

Napisała, że zwichnęła sobie kostkę, niosąc wodę oraz że Giaconelli się rozchorował. Lekarz podejrzewał zapalenie płuc, ale stary mistrz zaczął już powoli wracać do zdrowia. Wyraziła też ubolewanie z powodu śmierci Simy.

Zakończyła list słowami: „Niedługo przyjadę. Chcę zobaczyć wyspę, na której ukrywałeś się przez długie lata. Parę razy mi się śniło, że mam ojca tak przerażająco pięknego jak Caravaggio. Nie można powiedzieć, żebyś tak wyglądał, ale teraz przynajmniej nie możesz się już przede mną schować. Chcę Cię bliżej poznać, chcę być świadoma moich korzeni, chcę, byś mi wytłumaczył wszystko, czego do tej pory jeszcze nie pojęłam”.

Nie wspomniała ani słowem o Harriet. Nie rozumiałem tego. Czyżby wcale nie martwiła się o umierającą matkę?

Ponownie spróbowałem się dodzwonić na oba numery Harriet, ale wciąż nie odbierała. Zadzwoiłem na komórkę Louise, ale kiedy i ona nie odpowiedziała, wyszedłem i wspiąłem się na górę za domem. Był piękny dzień wczesnego lata. Nie zrobiło się jeszcze naprawdę ciepło, ale okoliczne wyspy już się zazieleniły. W oddali dostrzegłem pierwszą w tym roku żaglówkę płynącą do nieznanego mi portu. Nagle poczułem chęć, by wydostać się z wyspy. Zbyt wiele lat zmarnowałem na kursowanie tam i z powrotem między domem a pomostem.

Zwyczajnie zapragnąłem stąd wyjechać. W dniu, w którym Harriet wraz ze swoim balkonikiem stanęła na lodzie w mojej zatoce, nieświadomie złamała zakłęcie trzymające mnie na tej wyspie jak w klatce. W jednej chwili dotarło do mnie, że zmarnowałem dwanaście lat życia. Czas, który w ten sposób minął, był jak woda uciekająca z dziurawego dzbanka. Stało się to za moim

przyzwoleniem, mimo iż wiedziałem, że nie da się zrobić kroku wstecz, cofnąć czasu, zacząć wszystkiego od nowa.

Obszedłem wyspę dookoła. W powietrzu unosił się silny zapach morza i wilgotnej ziemi. Nad wodą przechadzały się ostrygojady, metodycznie dłubiące czerwonymi dziobami w piasku. Czułem się jakbym spacerował wzdłuż więziennej kraty, niecierpliwie, ze świadomością, że już za parę dni będę mógł przekroczyć bramę i wrócę na wolność. Czy naprawdę to zrobię? Dokąd miałbym się udać? Jakie tam na wolności czeka mnie życie?

Usiadłem na moment pod dębem w zatoczce zwanej Sprzeczką, ale po chwili nagle sobie uzmysłowiłem, że mi się śpieszy. Nie mogłem tracić więcej czasu, nieważne co się wydarzy.

Wieczorem wsiadłem do łódki i powiosłowałem w stronę cypla Starr. Tam było równe i gładkie dno. Zarzuciłem sieć na flądry, chociaż nie miałem złudzeń, że uda mi się cokolwiek złapać. Najwyżej jednego zbłąkanego okonia, który sprawiłby radość mojej starej kotce. Spodziewałem się, że nałowię raczej mnóstwo oślizgłych wodorostów, bo ostatnimi czasy w Bałtyku rosło ich coraz więcej. Przemknęło mi nawet przez myśl, że wielka woda, której przyglądam się kolejnego z rzędu lata, powoli zamienia się w bagno.

Później tego samego wieczoru zrobiłem coś, czego nigdy później nie umiałem sobie wyjaśnić. Wziąłem z szopy szpadel i zacząłem odkopywać grób psa. Szybko napotkałem na rozkładające się truchło i wykopałem jeszcze trochę ziemi, żeby odsłonić je z każdej strony. Rozkład był zaawansowany. Robaki zdążyły już wyjeść tkanekę na pysku zwierzęcia oraz dobrały się do wnętrza. W odbycie martwej suki miarowo poruszał się kłęb białych larw. Odłożyłem szpadel i poszedłem po kotkę, która spała na kanapie w kuchni.

Wróciłem i postawiłem ją na zwłokach psa. Błyskawicznie wyskoczyła z grobu, jakby stanęła na rozżarzonych węglach, i pobiegła w stronę domu. Tam przystanęła i obejrzała się za siebie, gotowa do dalszej ucieczki. Podniosłem kilka białych larw zastanawiając się, czy dałbym radę je połknąć, czy wcześniej zdążyłbym zwymiotować. Po chwili wrzuciłem je z powrotem do dołu i szybko zasypałem grób.

Nie miałem pojęcia, po co to zrobiłem. Czyżbym w ten sposób chciał przygotować się na własną śmierć? Może wreszcie zdobyłem się na odwagę spojrzeć w twarz czemuś, co noszę w sobie od lat?

Długo szorowałem ręce pod kranem w kuchennym zlewie. Robiło mi się niedobrze na wspomnienie tego, co zrobiłem.

Około jedenastej zadzwoniłem do Harriet i Louise. Żadna z nich nie odebrała.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, popłynąłem zwinąć sieci. Znalazłem w niej dwie chude flądry oraz martwego okonia. Zgodnie z moimi obawami, całą sieć oblepiały oślizgłe wodorosty. Minęła godzina, nim udało mi się ją z grubsza oczyścić i rozwiesić na ścianie szopy. Cieszyłem się w duchu, że mój dziadek nie zobaczył już jak zarasta i zanieczyszcza się jego ukochane morze. Potem zabrałem się za skrobanie łodzi. Pracowałem rozebrany do pasa, co jakiś czas przemawiając pojednawczo do kotki, wciąż jeszcze patrzącej na mnie nieufnie po wieczornym incydencie z martwym psem. Nawet nie spojrzała na złowione przeze mnie flądry, zabrała jednak okonia i powoli przeżuwała go w bezpiecznym miejscu na szczycie skały.

O dziesiątej przed południem wróciłem do domu, żeby znowu zadzwonić. Wciąż nikt nie odbierał. Dzisiaj nie wypadła też dzień

dostawy poczty, więc nie pozostawało zupełnie nic, co mógłbym zrobić.

Na obiad ugotowałem sobie jajka na twardo i zjadłem je, przeglądając starą broszurę reklamującą farby do kadłubów drewnianych łodzi. Gazetka reklamowa miała osiem lat.

Po jedzeniu położyłem się na kanapie w kuchni, żeby trochę odpocząć. Drapanie łodzi bardzo mnie zmęczyło i niemal od razu zapadłem w sen.

Przebudziłem się gwałtownie tuż przed pierwszą. Przez otwarte na oścież okno dochodził warkot starego silnika żarowego. Brzmiało to jak dźwięk wydawany przez motorówkę Janssona, ale to nie był dzień dostarczania poczty. Podniosłem się z kanapy, wsunąłem stopy w obcięte kalosze i zszedłem na pomost. Dźwięk był coraz bliżej, teraz nie miałem już wątpliwości, że to motorówka listonosza. Jej silnik warczał w charakterystyczny sposób, bo rura wydechowa czasem znajdowała się pod wodą, a czasem utrzymywała na powierzchni. W końcu go dostrzegłem, ale zdziwiło mnie, że płynie o połowę wolniej niż zwykle.

Po chwili zrozumiałem. Jansson coś holował. Ciągnął za sobą stary prom do przewozu krów. W dzieciństwie nieraz widziałem jak okoliczni chłopcy przewozili bydło na pastwiska na pobliskich wysepkach. Jednak od tamtych czasów minęło wiele lat. Nie widziałem takiego promu, odkąd tu zamieszkałem.

Na holowanej platformie znajdowała się przyczepa Louise. Moja córka stała w otwartych drzwiach, dokładnie tak jak wtedy, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Z przodu przed przyczepą był ktoś jeszcze. Zaraz rozpoznałem Harriet, opierającą się o swój balkonik.

Gdybym tylko mógł, rzuciłbym się w tamtej chwili do morza i odpłynął. Było już jednak za późno. Nie mogłem zniknąć i udawać,

że mnie nie ma. Jansson zwolnił i zaczął odwijać cumę. Ustawił motorówkę tak, że prom przybił do brzegu w najpłytszym miejscu mojej zatoki. Stałem w miejscu jak sparaliżowany. Chwilę później listonosz był już przy pomoście.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś przyda mi się ten stary prom – rzucił wesoło. – Ostatnio, kiedy był w ruchu, przewoziłem dwa konie na Rönskär, ale to było ze dwadzieścia pięć lat temu. Co najmniej.

– Mogłeś zadzwonić – mruknąłem. – Ostrzec mnie jakoś.

Jansson wyglądał na szczerze zdziwionego.

– Myślałem, że się ich spodziewasz. Tak powiedziała ta młodsza, Louise. Musimy ściągnąć przyczepę twoim traktorem. Mamy szczęście, że jest przypływ, inaczej trzeba by ciągnąć ją po mule.

Nikt nie raczył mnie uprzedzić o przyjeździe, ale przynajmniej miałem wytłumaczenie, dlaczego żadna z nich nie odbierała telefonu. Louise pomogła Harriet zejść na ląd razem z balkonikiem. Od razu zauważyłem, że Harriet schudła i wygląda na dużo słabszą niż tamtego dnia, kiedy w przypływie złości zostawiłem je w przyczepie.

Zszedłem do nich na brzeg. Louise podtrzymywała Harriet za ramię.

– Ależ tu pięknie – powiedziała. – Wolę las, ale tu też jest ładnie.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak was serdecznie powitać – odparłem.

Harriet podniosła głowę. Miała spoconą twarz.

– Przewrócę się bez oparcia – powiedziała. – Chętnie położę się w tym pokoju z mrówkami.

Razem z Louise pomogliśmy Harriet dojść do domu. Wchodząc do środka, zawołałem do Janssona, żeby spróbował uruchomić mój

stary traktor. Harriet położyła się na łóżku w pokoju z mrowiskiem. Oddychała ciężko, wyglądało na to, że odczuwa ból. Louise podała jej tabletkę i poszła po wodę. Harriet połknęła lekarstwo z wielkim trudem, potem spojrzała na mnie i wyciągnęła rękę w moją stronę.

– Już długo nie pożyję – powiedziała. – Weź mnie za rękę.

Chwyciłem jej ciepłą dłoń.

– Chcę tu poleżeć, posłuchać szumu morza i mieć was dwoje w pobliżu. Nie potrzeba mi niczego więcej. Stare babsko obiecuje nie sprawiać kłopotów. Przyrzekam, że nie będę nawet krzyczała, kiedy ból stanie się silniejszy. Wezmę kolejną tabletkę albo Louise da mi zastrzyk.

Zamknęła oczy. Louise i ja staliśmy długą chwilę i przyglądaliśmy się Harriet w milczeniu. W końcu zasnęła. Louise obeszła stół dookoła, uważnie przyglądając się mrowisku.

– Ile jest w nim mrówek? – spytała szeptem.

– Pewnie z milion, może nawet więcej – odparłem.

– Od jak dawna je masz?

– Teraz mija jedenaście lat.

Wyszliśmy z pokoju.

– Mogłaś zadzwonić – powiedziałem, kiedy zamknąłem drzwi.

Louise stanęła przede mną i obiema rękami mocno chwyciła mnie za ramiona.

– Nie zgodziłbyś się na nasz przyjazd – powiedziała. – Nie chciałam tego. Po prostu przyjechałyśmy. Jesteś to winien i matce, i mnie. Przede wszystkim matce. Skoro tak bardzo chce słuchać szumu morza zamiast klaksonów aut, kiedy umiera, dostanie to, czego chce. A ty się ciesz, że nie zamierzam cię dręczyć do końca życia oskarżeniami.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z domu.

Tymczasem Jansson uruchomił traktor. Od dawna podejrzewałem, że ma rękę do sprawiających trudności maszyn.

Zamocowaliśmy linę wokół przyczepy i udało nam się ściągnąć ją z promu na brzeg. Jansson siedział za kierownicą traktora.

– Gdzie chcesz ją postawić? – zawołał do mnie.

– Tutaj! – krzyknęła w odpowiedzi Louise, pokazując pasek trawy nad malutkim kawałkiem piaszczystej plaży za szopą.

– Chcę mieć prywatną plażę – oznajmiła z uśmiechem. – Zawsze o tym marzyłam.

Chwilę później Jansson z zadziwiającą wprawą ustawił przyczepę we wskazanym miejscu. Ustabilizowaliśmy ją starymi skrzynkami na ryby i kawałkami drzewa wyrzuconego przez morze.

– Pięknie tu będziecie mieli – zawołał Jansson z zachwytem. – To jedyna wyspa, na której stoi przyczepa.

– No to teraz zapraszamy na kawę! – krzyknęła do niego Louise.

Jansson spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale się nie odezwał.

Odkąd mieszkam na tej wyspie, ani razu nie zaprosiłem go do domu. Kiedy wszedł do środka, z zaciekawieniem rozejrzał się po kuchni.

– Wygląda tu dokładnie tak, jak zapamiętałem – powiedział. – Prawie nic tu nie zmieniłeś. Chyba nawet masz ten sam obrus, którego używali dziadkowie.

Louise nastawiła kawę i spytała, czy mam coś słodkiego. Nie miałem, więc poszła do swojej przyczepy po drożdżówki.

– Fajna babka – szepnął Jansson. – Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Nie wytrzasnąłem. To ona mnie znalazła.

– Dałeś jakieś ogłoszenie? Sam się zastanawiam, czy tak nie zrobić.

Jansson nie był najbystrzejszym z ludzi, więc nie mogłem go posądzać o brak domyślności, ale nie mieściło mi się w głowie, że mógł wziąć Louise za kobietę, którą w jakiś sposób poderwałem, z tą jej przyczepą i umierającą staruszką na dokładkę.

– To moja córka – wyjaśniłem. – Nie mówiłem ci, że mam córkę? Jestem pewien, że o niej wspominałem. Siedzieliśmy na ławce na pomoście, a ty się skarżyłeś, że boli cię ucho. To było jesienią. Wtedy ci powiedziałem, że mam dorosłą córkę. Nie pamiętasz?

Jansson rzecz jasna nie miał prawa wiedzieć, o czym mówię, ale nie odważył się zaprotestować. Nie mógł sobie pozwolić na kłótnię z kimś, kogo uważał za osobistego, gotowego na każde wezwanie lekarza.

Po chwili zjawiała się Louise z wiklinowym koszykiem na pieczywo. Jansson i moja córka najwyraźniej dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Zamierzałem wyjaśnić Louise, że może sobie władać w swojej przyczepie, ale na mojej wyspie to ja ustalam reguły. Jedna z nich mówiła, że nie zaprasza się Janssona na kawę do mojej kuchni.

Po niedługim czasie Jansson odpłynął z zatoki, wlokąc za sobą stary prom dla krów. Nie zapytałem Louise, ile mu zapłaciła. Ponieważ Harriet jeszcze spała, poszliśmy na spacer dookoła wyspy. Pokazałem jej, gdzie pochowałem psa. Potem przeszliśmy na drugą stronę skał w południowej części wyspy i kontynuowaliśmy spacer wzdłuż brzegu.

Przez moment poczułem się tak, jakbym jednak spędził trochę czasu z Louise, kiedy była małą dziewczynką. Pytała mnie o wszystko. O rośliny, o wodorosty, o pobliskie wyspy oraz o ryby żyjące tak głęboko, że nikt ich nie widział. Byłem w stanie odpowiedzieć na co najwyżej połowę jej pytań, ale nie przejmowała

się tym, najwyraźniej najbardziej jej zależało na tym, żebym jej słuchał.

Na północnym czubku mojej wyspy piętrzyło się kilka skał uformowanych niczym trony. Usiedliśmy na nich.

– Czyj to był pomysł? – spytałem.

– Wydaje mi się, że obie wymyśliłyśmy to jednocześnie – odparła Louise. – Uznałyśmy, że najwyższy czas cię odwiedzić i zebrać rodzinę w jednym miejscu, nim będzie za późno.

– Co na to twoi znajomi z lasu?

– Wiedzą, że kiedyś do nich wrócę.

– Musiałaś zabierać całą przyczepę?

– To moja ślimacza skorupa. Nigdy jej nie porzucam.

Opowiedziała mi o Harriet, o tym, jak wróciła do Sztokholmu po naszym ostatnim spotkaniu. Odwiózł ją jeden z bokserów, mężczyzna imieniem Sure, utrzymujący się z kopania studni.

Potem Harriet niemal od razu się pogorszyło, Louise pojechała więc, żeby się nią zająć, bo nie chciała oddawać jej do hospicjum. Wywalczyła u lekarza Harriet prawo do samodzielnego decydowania o ilości środków przeciwbólowych, które jej podawała. Jedynym, co można było zrobić dla umierającej, było ulżenie jej w bólu. Lekarze już dawno zarzucili próby walki z chorobą. Rozpoczęło się odliczanie. Louise pozostawała w stałym kontakcie z lekarzem matki.

Skończyła opowiadać i wbiła wzrok w rozpościerające się przed nami morze.

– Został jej niecały miesiąc – dodała po chwili. – Już teraz daję jej bardzo duże dawki leków przeciwbólowych. Umrze tutaj, przygotuj się na to. Jesteś lekarzem, a przynajmniej do niedawna nim byłeś. Masz większe doświadczenie ze śmiercią niż ja. Zdaję sobie sprawę,

że każdy umiera w samotności, ale będziemy przy niej do końca i pomożemy jej tyle, ile zdołamy.

– Czy bardzo ją boli?

– Czasem nie może wytrzymać i zaczyna krzyczeć.

Ruszyliśmy dalej wzdłuż brzegu. Gdy dotarliśmy do cypla wychodzącego na otwarte morze, znowu się zatrzymaliśmy. Dziadek postawił tu kiedyś ławkę zrobioną ze szkieletu starej młockarni i paru grubych dębowych desek. Nie zdarzało się to często, ale za każdym razem, kiedy on i babka się kłócili, przychodził tu i siedział na tej ławce do czasu aż babka po niego nie przysłała i nie przyprowadziła go do domu na kolację. Do tego czasu mijał im cały gniew. Kiedy miałem siedem lat, wyciąłem w jednej z desek moje imię. Dziadkowi się to z pewnością nie spodobało, ale nic nie powiedział.

Na martwej fali kołysały się stadka edredonów, uhli i nurogęsi.

– W tym miejscu jest głęboki wąwóz w dnie – powiedziałem. – Normalnie woda przy brzegu ma od piętnastu do dwudziestu metrów głębokości, ale tutaj nagle otwiera się szczelina głęboka na pięćdziesiąt sześć metrów. Kiedy byłem chłopcem, przypląwałem tu łódką i spuszczałem głębokościomierz, marząc o tym, żeby rów okazał się nie mieć dna. Przyjeżdżały tu ekipy geologów i wszyscy się zastanawiali, skąd tu taka szczelina. O ile dobrze pamiętam, nie znaleźli żadnej odpowiedzi. Cieszy mnie to. Wolę świat, w którym nie wszystkie zagadki są rozwiązane.

– A ja wolę świat, w którym ludzie stawiają opór złu – powiedziała Louise.

– Masz na myśli tę francuską jaskinię?

– Między innymi.

– Napisałaś listy w tej sprawie?

- Ostatnio do Tony’ego Blaira i prezydenta Chiraca – przytaknęła.
- Odpowiedzieli ci?
- Skądże. Ale mam coś w zanadrzu.
- Co takiego?

Louise pokręciła głową. Nie zamierzała odpowiadać na to pytanie.

Ruszyliśmy dalej i wkrótce dotarliśmy do szopy przy pomoście. Promienie zachodzącego słońca padały na ścianę zawietrzną budynku.

– Spełniłeś już jedną obietnicę daną Harriet – odezwała się znowu Louise. – Ma jeszcze jedno życzenie.

– Nie pojedę jeszcze raz do tego jeziora – odparłem.

– Chodzi o coś innego. Chciałaby, żebyśmy zorganizowali przyjęcie.

– Co to znaczy?

Louise skrzywiła się, poirytowana.

– Co można mieć na myśli, mówiąc o przyjęciu? Chodzi o miłą kolację w sympatycznym gronie.

– Nie mam w zwyczaju wydawania przyjęć na mojej wyspie. Ani latem, ani o innej porze roku.

– Więc najwyższy czas, żebyś jakieś zorganizował. Harriet życzy sobie usiąść na dworze w ciepły leni wieczór, porozmawiać z ludźmi i zjeść coś dobrego, napić się, a potem wrócić do łóżka i jak najszybciej umrzeć.

– Dobrze. Da się zrobić. Na przyjęciu będziemy ja, ty i ona. Wyniesiemy stół z kuchni i postawimy go na trawie, tam, koło krzaków porzeczek.

– Harriet życzy sobie gości – upierała się Louise. – Chce poznać nowych ludzi.

– Jakich ludzi?

– To ty tutaj mieszkasz! Zaproś swoich przyjaciół. Nie musi ich być wielu.

Louise odwróciła się i poszła w stronę domu. Nie zaczekała na moją odpowiedź. Zrozumiałem, że muszę zorganizować to przyjęcie. Zaproszę Janssona, Hansa Lundmana i jego żonę Romanę, która pracuje w dziale mięsnym w dużym supermarkecie w miasteczku.

Jeśli Harriet chce odbyć ostatnie czuwanie na mojej wyspie, niech spełni się jej życzenie, pomyślałem. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić.

Deszcz padał niemal nieustannie aż do nocy świętojańskiej. Każdego dnia ja i Louise przeprowadzaliśmy rutynowe czynności związane z pielęgnacją czującej się coraz gorzej Harriet. Z początku Louise sypiała w swojej przyczepie, ale po tym, jak dwie noce z rzędu Harriet krzyczała z bólu, przeniosła się do kuchni. zaproponowałem, że wezmę na siebie odpowiedzialność za podawanie chorej tabletek przeciwbólowych i zastrzyków, jednak Louise wolała robić to sama. Wiezorami rozkładała na podłodze materac, który rano opieraliśmy o ścianę w przedpokoju. Powiedziała mi, że kotka sypia u niej w nogach.

Przez większość czasu Harriet leżała pogrążona w półśnie, w który zapadała po zażyciu kolejnych porcji leków. Prawie nigdy nie chciała jeść, lecz Louise z angielską cierpliwością wmuszała w nią odpowiednią ilość jedzenia. Traktowała matkę z wzruszającą czułością, której wcześniej u niej nie zaobserwowałem. Sam zawsze stałem z boku, świadomy, że nigdy nie zaznam podobnej bliskości.

Wiezorami siadaliśmy w kuchni albo w przyczepie Louise i rozmawialiśmy do późnych godzin. Louise zajmowała się gotowaniem, ja natomiast dzwoniłem co jakiś czas do sklepu i zamawiałem produkty zgodnie z jej życzeniem. Potem przywoził je Jansson. Tydzień przed nocą świętojańską zorientowałem się, że Harriet zostało już bardzo mało czasu. Za każdym razem, kiedy się budziła, pytała nas o pogodę. Wiedziałem, że chodzi jej o przyjęcie.

Gdy znów zjawił się Jansson, a było to w kolejny deszczowy dzień, zaprosiłem go na przyjęcie w najbliższy piątek.

– Nie rozumiem, obchodzisz urodziny? – zapytał.

– Każdego roku przed Bożym Narodzeniem marudzisz, że nie instaluję światełek, a każdego lata narzekasz, że w noc świętojańską nie chcę wychylić z tobą kieliszka na pomoście. Teraz zapraszam cię na przyjęcie. Czy można tu czegoś nie rozumieć? W piątek o dziewiętnastej, jeśli dopisze pogoda.

– Czuję w kciukach, że się wypogodzi.

Jansson zawsze powtarzał, że potrafi sterować różdżką i znajdować żyły wodne. Poza tym twierdził, że czuje zmiany pogody w kciukach.

Nie powiedziałem nic na temat jego palców. Tego samego dnia zadzwoniłem do Hansa Lundmana i zaprosiłem go z żoną na piątkowe przyjęcie.

– Mam wtedy dyżur – powiedział. – Ale chyba mogę się zamienić z Edvinem. Obchodzisz urodziny?

– Każdego roku – mruknąłem. – U mnie o dziewiętnastej, jeśli dopisze pogoda.

Potem wraz z Louise przystąpiliśmy do planowania przyjęcia. Wyciągnąłem z szopy nieużywane od lat meble ogrodowe moich dziadków. Pomalowałem je i naprawiłem stół, bo jego jedna noga zdążyła już zbutwieć.

W czwartek zaczęło lać jak z cebra i na dodatek zerwał się silny północnowschodni wiatr. Temperatura spadła do dwunastu stopni. Weszliśmy z Louise na górę za domem, skąd było widać żaglówki zagnane do zatoki po drugiej stronie wyspy Korsholmen, u mojego najbliższego sąsiada.

– Czy jutro też będzie taka pogoda? – zapytała z niepokojem Louise.

– Jeśli wierzyć kciukom Janssona, będzie ładnie – odparłem.

Nazajutrz wiatr znacznie złagodniał i przestało padać, chmury gdzieś się rozpięchły i zrobiło się znacznie cieplej. Harriet miała za sobą dwie ciężkie noce, podczas których środki przeciwbólowe zdawały się wcale na nią nie działać. Jednak w piątek rano ogarnął ją wielki spokój. Wszystko wskazywało na to, że przyjęcie się odbędzie, więc wzięliśmy się do roboty. Louise doskonale wiedziała, czego życzy sobie Harriet.

– Chodzi o to, żeby był skromny przepych – oznajmiła. – To trudne zadanie, połączyć prostotę ze zbytkiem, ale czasem trzeba robić to, co niemożliwe.

Było to niezwykle przyjęcie, które każdy z obecnych na pewno zapamiętał na zawsze, choć z pewnością każdy zachował z niego trochę inne wspomnienia. Hans Lundman zadzwonił do mnie rano i zapytał, czy mogą przyprowadzić wnuczkę, która przebywała akurat u nich z wizytą, więc nie mogli jej zostawić samej w domu. Miała na imię Andrea i skończyła szesnaście lat. Wiedziałem, że jest upośledzona, a jej choroba objawia się między innymi tym, że dziewczynka wykazywała bezgraniczne zaufanie względem obcych ludzi. Miała problemy ze zrozumieniem wielu podstawowych rzeczy i w odróżnieniu od wielu ludzi o podobnym stopniu upośledzenia, prawie się nie uczyła. Jednak najdziwniejszy u Andrei był sposób, w jaki traktowała zupełnie nieznajomych. Zwykle brała ich za rękę albo wdrapywała się komuś na kolana.

Oczywiście wyraziłem zgodę. Nakryliśmy stół dla siedmiu osób. Harriet, która od wielu dni prawie nie wstawała z łóżka, już od

siedemnastej siedziała w fotelu przed domem. Louise ubrała ją w jasną letnią sukienkę, uczesała i upięła jej siwe włosy w ładny kok. Zauważyłem, że trochę ją nawet umalowała i nagle wychudła twarz Harriet odzyskała nieco z dawnej stanowczości, którą dobrze pamiętałem. Usiadłem obok niej z kieliszkiem wina w dłoni. Harriet odebrała mi go i duszkiem opróżniła do połowy.

– Dolej mi – zażądała. – Żeby nie zasnąć przy stole, zażyłam mniejszą dawkę środków przeciwbólowych. Boli mnie i z czasem będzie coraz gorzej. Chcę wina zamiast tabletek. Wina!

Poszedłem do kuchni, gdzie na stole stały odkorkowane butelki. Louise zajmowała się jakąś pieczenią, która zaraz miała wylądować z piekarniku.

– Harriet chce wina – powiedziałem niepewnym tonem.

– Więc jej go daj. To jej przyjęcie. To dla niej ostatnia okazja, żeby się upić i trochę zabawić. Jeśli spije się do nieprzytomności, tym lepiej dla niej.

Zabrałem jedną butelkę i wróciłem do ogrodu. Stół był ładnie nakryty. Louise udekorowała go kwiatami i zielonymi gałązkami. Półmiski z zimnymi daniami już czekały, nakryte spranymi ściereczkami mojej babki.

Wznieśliśmy toast, a potem Harriet ujęła moją dłoń.

– Jesteś zły, że postanowiłam umrzeć w twoim domu? – zapytała.

– Dlaczego miałbym się o to złościć?

– Nie chciałeś ze mną dzielić życia, więc być może nie życzysz sobie towarzyszyć mi, kiedy umieram.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś jeszcze przeżyła nas wszystkich.

– Wiesz, że niedługo umrę. Czuję już, jak mnie coś w środku ciągnie. Ziemia mnie wzywa. Czasem, nocą, kiedy budzi mnie ból, chwilę zanim zacznę krzyczeć, udaje mi się zadać sobie pytanie, czy

boję się tego, co mnie czeka. Jasne, że tak, chociaż odczuwam lęk, zarazem go nie czując. To jest raczej niepokój, obawa przed otwarciem drzwi, za którymi nie wiadomo co się kryje. Potem dopada mnie ból i to jego naprawdę się boję. Niczego więcej.

Dołączyła do nas Louise, też z lampką wina w dłoni.

– Rodzina – powiedziała. – Jeszcze nie zdecydowałam, czy chcę się nazywać Welin, czy Hörnfeldt. Może Louise Hörnfeldt-Welin? Z zawodu autorka listów.

Miała przy sobie aparat fotograficzny. Zrobiła zdjęcie mi i Harriet z kieliszkami wina. Potem ustawiła samowyzwalacz, podbiegła do nas i zrobiła zdjęcie nam wszystkim.

– To staroświecki aparat – powiedziała. – Muszę oddać film do wywołania. W końcu udało mi się zrobić zdjęcie, o jakim zawsze marzyłam.

Wypiliśmy za ten piękny letni wieczór. Myślałem o tym, że Harriet pewnie jest zmuszona nosić pieluchę pod tą ładną sukienką i że ta piękna młoda kobieta to naprawdę moja córka.

Chwilę później Louise pobiegła do przyczepy, żeby się przebrać. Kotka wskoczyła na stół, ale od razu ją stamtąd przegoniłem. Poszła sobie, urażona. Siedzieliśmy z Harriet w milczeniu, wsłuchując się w szum morza.

– Ty i ja – odezwała się cicho. – Ty i ja. A potem nagle koniec.

Gdy wybiła siódma, było już całkiem bezwietrznie, a temperatura osiągnęła siedemnaście stopni.

Jansson i Lundmanowie przybyli jednocześnie. Łodzie wpłynęły do zatoki jedna za drugą, jak w małym uroczystym konwoju. Obie miały zatknięte na rufie flagi. Promieniejąca radością Louise powitała gości na pomoście. Miała na sobie wyzywająco krótką

sukienkę, w pełni odsłaniającą zgrabne nogi. Od razu rozpoznałem czerwone buty na wysokim obcasie, te same, które miała na sobie, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Jansson wbił się w stary, trochę przyciasny garnitur. Ubranie Romany połyskiwało na czarno i czerwono, Hans natomiast wystroił się na biało i włożył marynarską czapkę. Andrea miała na sobie niebieską sukienkę i żółtą wstążkę we włosach. Zaccumowaliśmy łodzie i po chwili tłoczenia się na pomoście oraz krótkiej wymianie zdań na temat tego, że wreszcie nadeszło lato, poszliśmy w końcu do stołu. Jansson miał lekko zamglony wzrok i stąpał niepewnie. Nikt się tym jednak nie przejmował, zwłaszcza Harriet, która zdołała się nawet podnieść i przywitała się z każdym na stojąco.

Wcześniej zdecydowaliśmy, że powiemy gościom prawdę. Louise jest moją i Harriet córką. Kiedyś, dawno temu, prawie wzięliśmy ślub z Harriet. Teraz jest ciężko chora, ale nie na tyle, by nie być w stanie usiąść na dworze i zjeść kolację w miłym towarzystwie.

Później, kiedy było już po wszystkim, pomyślałem sobie, że na samym początku nasze przyjęcie przypominało próbę małej orkiestry. Poszczególni muzycy stroili instrumenty i się rozgrywali. Rozmawialiśmy o błahych sprawach, żeby znaleźć wspólny ton. Jedliśmy, wznosiliśmy toasty, półmiski z jedzeniem wędrowały między kuchnią a stołem, a nasz śmiech odbijał się echem od skał. Harriet sprawiała wrażenie zupełnie zdrowej. Rozmawiała z Hansem o flarach, z Romaną o cenach żywności, a potem poprosiła Janssona, żeby opowiedział jej o najdziwniejszych przesyłkach, jakie dostarczył przez długie lata pracy jako listonosz. To było święto Harriet, ona więc wiodła prym, sterowała rozmową i stroiła wszystkie dźwięki w jeden ton. Andrea się nie odzywała. Przysunęła się blisko Louise i siedziała niemal do niej przytulona. Louise nie

protestowała. Wszyscy się upiliśmy, pierwszy Jansson, który jednak na ani jeden moment nie stracił nad sobą kontroli. Pomagał Louise nosić talerze i nic nie wypadło mu z rąk. A gdy zapadł zmrok, to on zapalił wszystkie świece i kadzidełka, które Louise kupiła, by trzymać z dala komary. Andrea uważnie śledziła wzrokiem uczestników biesiady. Przyglądała się Harriet, która raz po raz wyciągała do dziewczynki rękę i chwytła ją za koniuszki palców. Widok ich zetkniętych dłoni wprawiał mnie w smutek. Jedna z nich miała lada chwila umrzeć, a druga nigdy nie zaznać pełni życia. W pewnej chwili Harriet pochwyciła mój wzrok i uniosła lampkę wina w niemym toaście. Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy.

Potem wygłosiłem mowę. Prawdę mówiąc, nie przygotowywałem się do tego, nawet w chwili, gdy podnosiłem się z krzesła nie było dla mnie całkiem jasne, co zamierzam powiedzieć. Mówiłem o prostocie i przepychu. O spełnieniu, które być może wcale nie jest możliwe, lecz mimo wszystko można je odczuwać w towarzystwie przyjaciół pięknego letniego wieczoru. Powiedziałem, że szwedzkie lato bywa kapryśne i nigdy nie trwa długo, ale potrafi być zachwycające, tak jak tego dnia.

– Jesteście moimi przyjaciółmi – podsumowałem. – Przyjaciółmi oraz rodziną. Do tej pory byłem samolubnym władcą tej wyspy i nigdy was na nią nie wpuszczałem. Dziękuję wam za cierpliwość i drzę na samą myśl o tym, co sobie wcześniej o mnie myśleliście. Mam nadzieję, że to nie jest ostatni raz, kiedy się w ten sposób spotykamy.

Wznieśliśmy toast. Lekki podmuch wiatru zaszeleścił dębowymi listkami i przywiał między nas zapach świec i dymu z kadzidełek przeciw komarom.

Następny wstał Jansson, zadzwoniwszy uprzednio łyżeczką o kieliszek. Zachwiał się, ale utrzymał w pionie. Nic nie powiedział, po prostu zaintonował pieśń. Jednym z najczystszych barytonów, jakie kiedykolwiek słyszałem, odśpiewał *Ave Maria* tak wzruszająco, że przeszył mnie dreszcz. Podejrzywałem, że wszyscy przy stole czują to samo. Hans i Romana wyglądali na podobnie zaskoczonych jak ja. Nikt z nas nie wiedział, że Jansson ma tak piękny głos. Oczy zasły mi łzami. Oniemiały patrzyłem na Janssona, skarżące się na wyimaginowane dolegliwości listonosza w przyciasnym garniturze, śpiewającego tak pięknie, jakby sam Bóg zstąpił z nieba i dołączył do nas w ten ciepły wieczór. Tylko Jansson wiedział, dlaczego trzyma w tajemnicy swój wielki talent.

Śpiewał tak przejmująco, że ucichły wszystkie ptaki. Andrea słuchała go z otwartą buzią. Był to niezwykle, niemal magiczny moment. Kiedy Jansson skończył śpiewać, usiadł, a my wszyscy milczeliśmy. W końcu ciszę przełamał Lundman, mówiąc cicho:

– Ożeż kurwa.

Potem zasypaliśmy Janssona pytaniami. Gdzie nauczył się tak śpiewać? Dlaczego wcześniej tego nie robił? On jednak nie odpowiadał. Nie chciał też zaśpiewać nic więcej.

– Wygłosiłem moją mowę – odparł tylko. – Zaśpiewałem. Chciałbym, żeby ten wieczór trwał wiecznie.

Jedliśmy i piliśmy dalej. Harriet odłożyła na bok batutę i od tej chwili rozmowa luźno przeskakiwała z tematu na temat. Wszyscy byliśmy trochę pijani. Louise i Andrea zaczęły przechadzać się wokół szopy i przyczepy, a Hans uparł się, żeby Romana z nim zatańczyła. Zaczęli podrygiwać i podskakiwać, Jansson twierdził, że przypomina to polkę, ale gdy wciąż tańcząc, nagle wyłonili się zza szopy, ja uznałem, że raczej przypomina to hambo⁵.

Harriet chłoneła każdą chwilę tego wieczoru. Patrzyłem na nią i czasem miałem wrażenie, że wcale nie odczuwa bólu i udało jej się zapomnieć, że jej czas wkrótce się skończy. Hojnie dolewałem wina wszystkim poza Andream. Jansson chwiejnym krokiem oddalił się w krzaki, żeby się wysikać, Hans i Romana siłowali się na ręce, a z mojego stojącego na oknie radia wydobywały się piękne jak marzenie dźwięki fortepianu. Nie byłem pewien, ale zdawało mi się, że to jakiś utwór Schumanna. Usiadłem obok Harriet.

– Myślę sobie, że koniec końców dobrze się stało – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Nie dalibyśmy rady razem żyć. W pewnej chwili miałabym już dosyć twojego podsłuchiwania i grzebania w moich rzeczach. Czułam się z tym tak, jakbym miała cię tuż pod skórą, i świadomość, że jesteś stale obecny, sprawiała, że swędziało mnie całe ciało. Kochałam cię, więc to ignorowałam, ale jestem pewna, że z czasem stałoby się to nie do wytrzymania. Zrozumiałam to, kiedy już cię nie było.

Uniosła kieliszek i spojrzała mi w oczy.

– Nigdy nie byłeś prawdziwie dobrym człowiekiem – podjęła. – Zawsze odsuwałeś od siebie odpowiedzialność, która powinna na tobie spoczywać. Nigdy nie będziesz dobry, ale masz szansę stać się trochę lepszy niż jesteś. Nie strać Louise. Opiekuj się nią, a ona zaopiekuje się tobą.

– Powinnaś była mi powiedzieć. Przez te wszystkie lata żyłem bez świadomości, że mam córkę.

– Oczywiście, że powinnam była ci powiedzieć. Masz rację, mówiąc, że bez trudu bym cię znalazła, gdybym się postarała. Ale byłam na ciebie wściekła. To była moja zemsta. Zachowałam nasze dziecko tylko dla siebie. I teraz to się na mnie mści.

– Jak to?

– Żałuję, że to zrobiłam.

Nagle, zataczając się, nadciągnął skądś Jansson i ciężko zwałił się na krzesło po drugiej stronie Harriet, nie bacząc na to, że byliśmy w trakcie rozmowy.

– Uważam, że jest z pani wyjątkowa kobieta – wybełkotał. – Wyjątkowa kobieta, która bez wahania weszła na pokład mojego hydrokoptera, żeby wyruszyć na lód.

– To było niezwykle przeżycie – odparła uprzejmie Harriet. – Ale nie zdecydowałabym się na to drugi raz.

Wstałem i poszedłem spacerem na górę za domem. Kiedy stałem na szczycie, zza budynku dobiegały urywki rozmowy i śmiechy. Znowu zdało mi się, że widzę babkę siedzącą na ławce pod jabłonią. Przed oczami stanął mi też dziadek, wspinający się ścieżką wiodącą z szopy do domu.

Pomyślałem, że takiego wieczoru jak ten umarli mogliby świętować z żywymi. Przy stole biesiadowali ci, którzy pożyją jeszcze długie lata, oraz Harriet, stojąca na granicy tamtego świata, na brzegu rzeki, w oczekiwaniu na łódź, która przewiezie ją na drugą stronę.

Miała już za sobą jedną przeprawę – przejazd promem Janssona – teraz miała przed sobą ostatnią podróż.

Zszedłem na pomost. Drzwi do przyczepy Louise były otwarte. Obszedłem ją dookoła i dyskretnie zajrzałem przez okno. Andrea przymierzała ubrania mojej córki. Balansowała na niebotycznie wysokich obcasach, w przedziwnej sukience wyszywanej błyszczącymi cekinami.

Wróciłem nad wodę, usiadłem na ławce i nagle przypomniałem sobie dzień zimowego przesilenia. Siedziałem wtedy w kuchni

i myślałem, że nic w moim życiu już się nie zmieni. Dzisiaj dnia mijają pół roku od tamtej chwili, a w moim świecie nic nie wyglądało tak, jak wtedy. Ta najkrótsza w roku noc rozpoczynała okres, w którym ciemność znów zaczynała stopniowo brać górę, a na mojej zazwyczaj bardzo cichej wyspie rozlegały się śmiechy. Usłyszałem skrzekliwy chichot Romany, a zaraz po nim głośne wołanie Harriet, której udało się na parę chwil wznieść ponad ból i śmierć. Głośno domagała się wina.

Więcej wina! Brzmiało to jak okrzyk bojowy. Harriet mobilizowała wszystkie swoje siły, żeby stoczyć ostatnią bitwę. Poszedłem do kuchni i odkorkowałem pozostałe butelki. Kiedy znów wyszedłem, Jansson i Romana półświadomie wykonywali chybotliwy taniec. Hans siedział obok Harriet, trzymał ją za rękę, a może to ona ścisnęła jego dłoń, słuchała w skupieniu, a on wytrwale tłumaczył jej, jak race i flary pomagają statkom w nawigacji nawet przy bardzo dużych prędkościach. Po chwili z cienia wyłoniły się Andrea i Louise. Nikt oprócz Harriet nie zwrócił uwagi na piękne zjawisko, w jakie moja córka przeistoczyła dziewczynę. Andrea miała na nogach jasnoniebieskie sandały na wysokim obcasie. Louise spostrzegła, że się im przyglądam.

– Giacomelli zrobił je dla mnie – szepnęła mi do ucha. – Teraz podaruję je tej dziewczynce, która ma w sobie ogromne pokłady miłości, ale nikt nie ma odwagi jej przyjąć. Anioł powinien mieć buty w jasnoniebieskim kolorze, na dodatek uszyte przez mistrza.

Najkrótsza w roku noc przeszła powoli w mglisty półsen. Nie pamiętałem już, co się później wydarzyło i co powiedziano. Utknął mi w pamięci tylko jeden obraz. Kiedy szedłem do domu się wysikać, na schodach siedzieli Jansson i Romana, a on wypłakiwał się jej w podolek. Hans tańczył wtedy walca z Andrea, Harriet

i Louise szeptały sobie coś do ucha, a słońce powoli wynurzało się z morza.

O czwartej nad ranem nasza zataczająca się zgraja zeszła ścieżką na pomost. Harriet mozolnie pchała swój balkonik, Hans cierpliwie kroczył tuż obok. Kiedy wszyscy się pożegnaliśmy, odwiązaliśmy cumy, a potem patrzyliśmy za odpływającymi łodziami. Tuż przed wejściem na pokład Andrea podbiegła do mnie w tych jasnoniebieskich sandałach i przytuliła, zarzuciwszy mi na szyję chude, pogryzione przez komary ramiona.

Jeszcze długo po odpłynięciu naszych gości czułem ten uścisk niczym ciepłą kołdrę otulającą moje ciało.

– Zaprowadzę Harriet do domu – powiedziała Louise. – Przyda jej się porządna kąpiel. Wolałabym, żebyśmy zostały chwilę same, więc jeśli chcesz się położyć, idź do przyczepy.

– Pozbieram ze stołu – odparłem.

– Zrobimy to rano.

Nie protestowałem. Patrzyłem za nimi, aż zniknęły w drzwiach. Harriet wyglądała na bardzo zmęczoną, ledwie stała na nogach, mimo że opierała się o córkę i o balkonik.

To moja rodzina, pomyślałem. Rodzina, którą odzyskałem dopiero teraz, kiedy jest już za późno.

Usiadłem na ławce i musiałem usnąć, bo ocknąłem się, gdy Louise potrząsnęła mnie za ramię.

– Harriet już śpi. My też powinniśmy się położyć – powiedziała.

Słońce świeciło wysoko nad horyzontem. Bolała mnie głowa i bardzo chciało mi się pić.

– Myślisz, że jest zadowolona? – spytałem.

– Mam nadzieję.

– Powiedziała coś?

– Była półprzytomna, kiedy ją kładłam.

Poszliśmy do domu. Kotka, która przez większość nocy trzymała się z dala od towarzystwa, spała zwinięta w kłębek na kuchennej kanapie. Louise ujęła moją dłoń.

– Zastanawiam się, kim jesteś – powiedziała. – Może kiedyś się tego dowiem. Przyjęcie było udane. Polubiłam twoich przyjaciół.

Rozłożyła materac na podłodze, a ja poszedłem do mojej sypialni i rzuciłam się na łóżko, nie zdjęwszy nawet butów.

We śnie słyszałem krzyk mew. Ptaki były coraz bliżej i w końcu zatrzepotały skrzydłami tuż przed moją twarzą.

Przebudziłem się i dotarło do mnie, że krzyk dobiega z dołu. Harriet znowu krzyczała z bólu.

Przyjęcie dobiegło końca.

Tydzień później zniknęła kotka. Mimo że razem z Louise przeszukaliśmy każdy centymetr kwadratowy wyspy, nie udało nam się jej znaleźć. W tych dniach często myślałem o mojej zmarłej suce. Ona od razu znalazłaby kotkę. Już jej jednak nie było i powoli zacząłem dochodzić do wniosku, że straciłem też drugiego zwierzaka. Mieszkam na wyspie pełnej martwych zwierząt, pomyślałem. Do tego w towarzystwie umierającej staruszki, dożywającej końca swoich naznaczonych bólem dni w pokoju z rosnącym mrowiskiem, metodycznie zagarniającym całą otaczającą je przestrzeń.

Kotka nie wróciła. Lato nadeszło z falą przytłaczających upałów, które zamknęły moją wyspę w potrzasku. Popłynąłem na ląd i kupiłem wiatrak do pokoju Harriet, choć i tak na noc otwieraliśmy wszystkie okna na oścież. Za cienkimi siatkami, które zainstalowałem w oknach jeszcze mój dziadek, tańczyły roje komarów. Na jednej z ram widniała nawet wyryta przez niego data – 1936. Mimo że czerwiec zaczął się deszczowo i chłodno, zaczynałem wierzyć, że utrzymujące się już długo upały zapowiadają najcieplejsze lato, jakie przeżyłem na wyspie.

Wieczorami Louise kąpała się w morzu. Doszło do tego, że któreś z nas zawsze musiało być w pobliżu Harriet, bo jej bóle powracały w coraz krótszych odstępach czasu. Co trzeci dzień Louise dzwoniła do lekarza, żeby zdać mu raport z tego, w jakim stanie jest Harriet, będąca oficjalnie pod jego opieką. W drugim tygodniu lipca lekarz

zażądał, by chora została zbadana. W czasie tej rozmowy, akurat zmieniałem żarówkę w przedpokoju. Zdziwiłem się, słysząc zapewnienia, że wizyta nie jest konieczna, jej ojciec jest przecież lekarzem.

Regularnie co parę dni płynąłem na łód do apteki, żeby kupić Harriet kolejne porcje środków przeciwbólowych. Pewnego dnia, zanim wyjechałem, Louise poprosiła mnie, żebym kupił jej plik pocztówek. Nie dbała o to, co na nich będzie. Kupiłem kartki i znaczki. Kiedy wróciłem, Harriet spała, a Louise od razu zabrała się za pisanie krótkich wiadomości do swoich mieszkających w lesie przyjaciół. Zauważyłem, że moja córka co jakiś czas wraca do pisania jakiegoś listu. Wyglądało na to, że będzie bardzo długi, ale nie chciała powiedzieć, kto jest jego adresatem. Nigdy nie zostawiała kartki na stole, zawsze zabierała ją ze sobą do przyczepy.

Nim wysłała kartki, ostrzegłem ją, że Jansson z pewnością przeczyta każdą z nich.

– Po co miałyby to robić? – zdziwiła się.

– Jest ciekawski.

– Jestem pewna, że okaże szacunek mojej korespondencji – odparła.

Więcej już o tym nie mówiliśmy, a Louise za każdym razem, gdy Jansson przybijał do mojego pomostu, dawała mu do wysłania kolejne pocztówki. Wpychał je do torby, nawet na nie nie patrząc.

Co dziwniejsze, przestał się też skarżyć na swoje rozliczne dolegliwości. Można było odnieść wrażenie, że tego lata, gdy Harriet umierała w moim domu, Jansson nagle ozdrowiał.

Ponieważ Louise przez większość czasu zajmowała się matką, na mnie spadł obowiązek przygotowywania posiłków. I mimo że właściwie wszystko kręciło się wokół chorej, w praktyce to Louise

dowodziła domem niczym kapitan na statku. Nie miałem nic przeciwko temu.

Gorące dni były dla Harriet najbardziej uciążliwe. Kupiłem drugi wiatrak, ale nie pomógł on wiele. Prawie każdego dnia dzwoniłem do Hansa Lundmana i wypytywałem go o wieści na temat pogody od meteorologów straży przybrzeżnej.

– To naprawdę nienaturalnie długa fala upałów – tłumaczył mi. – Pogoda nie jest taka, jak powinna. Wyż zawsze skądś nadchodzi, a potem idzie sobie dalej, nawet jeśli robi to tak powoli, że prawie tego nie zauważamy. Ten zachowuje się dziwnie, właściwie stoi w miejscu. Ci, którzy to pamiętają, mówią, że podobna fala upałów przeszła przez Szwecję pamiętnego gorącego lata w 1955 roku.

Pamiętałem to lato. Miałem wtedy osiemnaście lat i większość dnia spędzałem na małej żaglówce dziadka. Był to dla mnie czas niepokoju, pełen nastoletnich podniet. Wylegiwałem się nago na kamienistych plażach i marzyłem o kobietach. Wszystkie ładne nauczycielki z dziecięcych lat zjawiały się w mojej wyobraźni jako namiętne kochanki.

Od tamtych dni minęło prawie pięćdziesiąt lat.

– Przecież musicie mieć jakąś prognozę – powiedziałem. – Kiedy ten upał zelżeje?

– Na razie powietrze stoi w miejscu – odparł Hans. – Coraz częściej wzywają nas do gaszenia pożarów, bo grunt jest tak nagrany, że sam się zapala. Trawy płoną nawet na tych wyspach, na których nigdy wcześniej się to nie zdarzało.

Trwaliśmy więc dalej w upale. Co jakiś czas nad horyzontem zbierały się ciemne chmury, a potem znad lądu nadciągała gwałtowna burza. Zdarzało się wtedy, że wybijało nam bezpieczniki, ale spaliśmy spokojnie, bo na szczęście dziadek w swoim czasie

poświęcił wiele dni na skonstruowanie porządnej instalacji odgromowej, która chroniła dom i szopę na narzędzia.

Pewnego wieczoru, gdy po piekielnie upalnym dniu zbliżała się pierwsza potężna burza, Louise zwierzyła mi się, że boi się grzmotów. Nie mieliśmy już prawie nic mocniejszego do picia, bo wszystko zeszło podczas przyjęcia, udało mi się znaleźć jedynie do połowy opróżnioną butelkę koniaku. Louise nalała sobie pełną szklankę.

– Nie wygłupiam się – powiedziała. – Naprawdę boję się burzy.

Potem sięgnęła po szklankę z alkoholem i usiadła na podłodze pod stołem. Gdy zaczęło błyskać i grzmieć, słyszałem jej stłumione okrzyki. Po przejściu burzy wyszła spod stołu z pustą szklanką i twarzą bladą jak papier.

– Nie wiem, dlaczego tak jest – wysapała. – Nic nie przeraża mnie tak jak błyskawice i grzmoty. Mam wrażenie, że uderzają wprost we mnie.

– Czy Caravaggio namalował kiedyś burzę? – zapytałem.

– Myślę, że bał się jej tak samo jak ja. Często malował to, czego się bał, ale nigdy burzy, o ile dobrze się orientuję.

Spragniona wilgoci ziemia szybko wchłonęła deszcz. My też go chłonęliśmy. Zanim zajrzałem do Harriet, wyjrzałem najpierw na dwór, żeby sprawdzić, czy nie widać gdzieś tęczy. Gdy wszedłem do pokoju mrówek, Harriet leżała w półsiadzie, oparta wysoko na poduszkach, próbując w ten sposób uśmierzyć ból promieniujący od strony pleców. Usiadłem na krześle przy łóżku i chwyciłem jej wiotką, chłodną dłoń.

– Pada jeszcze? – zapytała.

– Już nie. Ale ze skał spływają do morza wartkie strumyki.

– Widać tęczę?

– Dziś nie.

Leżała chwilę w milczeniu.

– Od dawna nie widziałam kotki – odezwała się wreszcie.

– Szukaliśmy, ale nigdzie jej nie ma – wyjaśniłem. – Przepadła.

– Poszła umrzeć. Koty tak robią, kiedy czują, że nadszedł ich czas. W niektórych plemionach ludzie robią tak samo. A my wczepiamy się pazurami w tych, którzy przy nas trwają i nie mogą się doczekać, aż wreszcie umrzemy.

– Nie czekam na to – odparłem.

– Oczywiście, że czekasz. Ten, kto siedzi przy umierającym, przy kimś, kto zapadł na nieuleczalną, śmiertelną chorobę, może tylko czekać. A od czekania człowiek robi się zniecierpliwiony.

Harriet przemawiała urwanymi zdaniami, jakby wchodziła po stromych schodach i miała zadyszkę. Potem wyciągnęła chwiejną dłoń, próbując sięgnąć po szklankę z wodą. Podałem ją i podparłem jej głowę, kiedy piła.

– Dziękuję, że mnie wtedy przyjąłeś – szepnęła. – Mogłam zamarznąć na tym lodzie. Mogłeś udawać, że mnie nie zauważyłeś.

– Fakt, że kiedyś cię porzuciłem nie oznacza, że zrobiłbym to jeszcze raz.

Harriet niemal niezauważalnie pokręciła głową.

– Kłamałeś, odkąd cię poznałam, i do tej pory się nie nauczyłeś, jak to robić. Większość tego, co się mówi, musi być prawdą, inaczej nie da się zapanować nad kłamstwem. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że mógłbyś mnie znowu zostawić. Porzuciłeś kogoś poza mną?

Zastanowiłem się, zanim się odezwałem. Chciałem, żeby moja odpowiedź była w stu procentach prawdziwa.

– Tak. Jedną osobę – powiedziałem w końcu.

– Jak miała na imię?

– To nie była kobieta. Mam na myśli siebie samego.

Harriet powoli pokręciła głową.

– Nie wałkujmy tego więcej – powiedziała. – Nasze życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. Ja lada chwila umrę, ty pożyjesz jeszcze chwilę, ale wkrótce też stąd odejdziesz. Nie zostanie po nas żaden ślad. Nasze dawno przeminione uczucie zajaśniało jak błyskawica w ciemności.

Harriet złapała mnie za nadgarstek. Wyczułem jej słaby puls.

– Chcę ci powiedzieć coś, co zapewne przeczuwałeś. Nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny tak bardzo, jak kochałam ciebie. Odnalazłam cię, próbując odzyskać utraconą miłość. Chciałam też oddać ci córkę, którą zabrałam. Przede wszystkim jednak chciałam umrzeć blisko człowieka, którego kochałam przez całe życie. Nigdy też nie nienawidziłam nikogo tak mocno, jak ciebie. Nienawiść jednak sprawia ból, a jego akurat mi nie brakuje. Miłość jest jak orzeźwiający wiatr, sprawia, że zalewa nas fala spokoju, daje też poczucie bezpieczeństwa, dzięki któremu spotkanie ze śmiercią nie wydaje się już tak straszne. Nie odpowiadaj na to, co ci właśnie powiedziałam. Po prostu mi uwierz. A teraz poproś Louise, żeby do mnie przyszła. Czuję, że się zmoczyłam.

Louise siedziała na schodkach przed domem. Zawołałem ją.

– Pięknie tu – powiedziała. – Prawie tak pięknie jak w lesie.

– Boję się gęstego lasu – odparłem. – W lesie zawsze się boję, że się zgubię i nie trafię z powrotem na ścieżkę.

– Boisz się samego siebie, niczego innego. To samo dotyczy mnie. I Harriet. Nawet tej małej cudownej Andrei. Albo Caravaggia. Najbardziej boimy się siebie samych oraz naszych cech, które widzimy w innych.

Podniosła się i poszła do Harriet zmienić jej pieluchę. Usiadłem na ławce pod jabłonią, tuż obok grobu psa. Słyszałem dochodzący z oddali głuchy warkot silnika dużego statku. Czyżby tego roku marynarka tak wcześnie rozpoczęła swoje jesienne manewry?

Zacząłem analizować słowa Harriet. Powiedziała, że nigdy nie kochała nikogo tak bardzo jak mnie. Byłem poruszony, nie spodziewałem się tego. Dopiero teraz do mnie dotarło, co oznaczała dla niej moja zdrada. Co oznaczała dla nas obojga.

Porzuciłem ją ze strachu, że sam zostanę porzucony. Obawa przed zbudowaniem więzi z drugą osobą, przed uczuciami, których nie będę w stanie kontrolować, sprawiła, że zawsze chowałem głowę w piasek. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak jest, miałem jednak pewność, że nie jestem w tym osamotniony. Wszędzie wokół było mnóstwo mężczyzn o podobnych obawach.

Spróbowałem dostrzec siebie samego w moim ojcu. On bał się czego innego. Nie obawiał się okazywania uczuć mojej matce, z którą z pewnością ciężko mu było żyć.

Muszę się w tym połapać, pomyślałem. Zanim umrę, chcę zrozumieć, po co przyszedłem na świat. Mam jeszcze trochę czasu. Muszę go wykorzystać.

Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Kiedy wszedłem do kuchni, drzwi do pokoju Harriet były uchylone. Nie zajrzałem tam jednak, poszedłem na górę do mojej sypialni, położyłem się, ale lampkę przy łóżku zostawiłem zapaloną. Utkwiłem wzrok w mapach morskich powieszonych na ścianie przez dziadka. Znalazł je na plaży, wyrzucone przez morze. Przemokły i trudno było odczytać napisy, ale wyraźnie było widać, że przedstawiają Scapa Flow w południowej części Orkadów, gdzie brytyjska marynarka wojenna miała swoją bazę podczas I i II wojny światowej. Jako chłopiec

niezliczoną ilość razy śledziłem wzrokiem wąskie przesmyki w okolicach cieśniny Pentland Firth, wyobrażając sobie, że stoję na pokładzie brytyjskiego okrętu i wypatruję z drżeniem, czy u wejścia do portu nie wynurza się z wody peryskop niemieckiego U-Boota.

Zasnąłem przy świetle lampki. O drugiej w nocy zbudziły mnie krzyki Harriet. Zatkąłem uszy i czekałem, aż zaczną działać podane jej przez Louise środki przeciwbólowe.

Trwaliśmy w moim domu otoczeni ciszą, którą w każdej chwili mogło roztrzaskać przerażające, powodowane bólem wycie umierającej. Coraz częściej łapałem się na tym, że życzę jej rychłej śmierci. Chciałem jej dobra. Pragnąłem oszczędzić jej tego cierpienia, ale marzyłem też o spokoju dla siebie i Louise.

Fala upałów trwała do 24 lipca. Tego dnia zanotowałem w moim dzienniku, że zerwał się słaby północnowschodni wiatr i temperatura zaczęła powoli spadać. Upał zastąpiły krótkotrwałe fale zmiennej pogody, zupełnie jakby przedtem czekały na swoją kolej i teraz im się śpieszyło. Nocą z 26 na 27 lipca z północy nadciągnął nad wyspy sztorm. Wiatr zerwał kilka dachówek z obramowania komina i rozbił je z trzaskiem o skały. Udało mi się wdrapać na dach i załatać dziury starymi dachówkami, które zostały z rozbiórki stodoły.

Harriet czuła się coraz gorzej. W te wietrzne i chłodne dni przez całą dobę budziła się ledwie na parę chwil. Zajmowaliśmy się nią na zmianę, a jedynym, co Louise wciąż robiła przy Harriet sama, było mycie jej i zmienianie jej pieluch.

Dziękowałem jej za to w duchu. Nie chciałem tego doświadczyć, nie z Harriet.

Lato zbliżało się ku końcowi. Noce stawały się coraz dłuższe, a słońce nie grzało już tak, jak parę tygodni temu. Louise i ja byliśmy przygotowani na to, że Harriet może odejść w każdej chwili. Oddychała z wysiłkiem i coraz rzadziej budziła się ze snu. Przez te krótkie chwile oboje siedzieliśmy przy jej łóżku, Louise nalegała, by widziała nas razem. Harriet nie mówiła wiele. Czasem pytała nas o godzinę albo kiedy dostanie coś do zjedzenia. Było oczywiste, że jest coraz bardziej zdezorientowana. Czasem, tuż po przebudzeniu zdawało jej się, że leży w lesie, w przyczepie Louise lub w swoim mieszkaniu w Sztokholmie. W jej świadomości nie było żadnej wyspy ani pokoju z mrówkami. Wyglądało na to, że nie jest świadoma również tego, że umiera. Przez moment po przebudzeniu zachowywała się jakby nigdy nic, jakby jej przebudzenie było najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Piła trochę wody, czasem zjadała parę łyżek zupy, a potem znów zasypiała. Skórę na twarzy miała tak napiętą na kościach czaszki, że chwilami zdawało mi się, że się rozerwie i przebije się przez nią biała kość. Śmierć jest brzydka, myślałem. Z pięknej Harriet nie pozostało już prawie nic. Stała się wystającym spod kołdry szkieletem o woskowym połysku. Niczym więcej.

Któregoś wieczoru na początku sierpnia usiedliśmy z Louise na ławce pod jabłonią. Zarzuciliśmy na siebie jesienne kurtki, Louise założyła nawet jedną z moich starych czapek.

– Co zrobimy, kiedy umrze? – zapytałem. – Na pewno już o tym myślałaś. Czy Harriet ma jakieś życzenie w związku z pogrzebem?

– Chce zostać skremowana. Parę miesięcy temu przysłała mi broszurkę zakładu pogrzebowego. Nie wiem, czy ją jeszcze mam, może wyrzuciłam. Zaznaczyła krzyżykiem najtańszą trumnę i urnę w promocji.

– Przynależy do jakiegoś cmentarza?

Louise zmarszczyła czoło.

– Co to znaczy?

– Pytam o to, czy ma grobowiec rodzinny, w którym przewidziano dla niej miejsce. Gdzie leżą jej rodzice? Dawniej to była normalna praktyka.

– Krewni Harriet są rozproszeni po całym kraju. Nigdy nie wspominała o grobie rodziców, nie przypominam sobie też, żebyśmy kiedykolwiek odwiedzały jakiś cmentarz. Nie wyraziła też żadnego życzenia, poza jednym, że chce mieć pamiątkowy kamień. Jestem przekonana, że chciałyby, byśmy rozsypali jej prochy na wietrze. Nie widzę powodu, żeby tego nie zrobić.

– Trzeba mieć na to pozwolenie – powiedziałem. – Jansson wspomniał o tym, opowiadając mi o starych rybakach, którzy chcieli, żeby ich prochy wysypano do morza tu w okolicy.

Zamilkłem, a potem długo siedzieliśmy w ciszy, rozmyślając o tym, co się stanie z Harriet. Ja zadbałem o miejsce na cmentarzu dla siebie, nie widziałem przeszkód, by Harriet spoczęła obok mnie.

Niespodziewanie Louise położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie będziemy się przejmować pozwoleniami – oznajmiła. – Niech Harriet będzie jednym z licznych w tym kraju ludzi, którzy po prostu zniknęli.

– Każdy ma przecież swój numer identyfikacyjny. Nie można tak po prostu zniknąć. Tak długo, jak ten numer jest w rejestrze, oficjalnie ten ktoś ciągle żyje.

– Można to obejść – odparła Louise. – Harriet umrze tu, w twoim domu, a potem spalimy ją, tak jak się pali zmarłych w Indiach. Na koniec rozsypiemy jej prochy na wietrze. Wypowiem najem jej mieszkania w Sztokholmie i wezmę stamtąd wszystkie jej rzeczy.

Nie podam nowego adresu. Zawiadomię jej lekarza, że umarła, nie będzie się nią więcej przejmował. Z czasem ktoś pewnie się nią zainteresuje, bo przestanie pobierać emeryturę, powiem wtedy, że nie miałam kontaktu z matką od paru miesięcy. Stąd wyjechała po krótkiej wizycie.

– Czyżby?

– Kto wpadnie na to, żeby wypytywać Janssona albo Hansa Lundmana co się z nią stało?

– Właśnie, co się z nią stało? Kto ją odwiózł na ląd?

– Ty. Tydzień temu. Nie wiemy, dokąd pojechała.

Zaczynało do mnie docierać, że Louise mówi całkiem poważnie. Mieliśmy pozwolić Harriet umrzeć na wyspie, a potem urządzić jej pochówek. Miałem wątpliwości, czy to się uda, ale tego wieczoru więcej już o tym nie rozmawialiśmy. Nie mogłem zasnąć. Długo rozmyślałem i w końcu doszedłem do wniosku, że plan mojej córki rzeczywiście może się powieść.

Dwa dni później, kiedy ja i Louise jedliśmy kolację, ona nagle odłożyła widelec na stół.

– Ogień – powiedziała. – Wiem już, jak wytłumaczymy wielkie ognisko, żeby nikt się nie dziwił.

Wysłuchałem jej propozycji. W pierwszej chwili wydała mi się niepoważna, ale wkrótce dałem się przekonać, uznałem nawet, że to piękna myśl.

Księżyc zaszedł za chmury i wyspę spowił gęsty mrok. Do portów płynęły ostatnie letnie żaglówki. Z południowej strony archipelagu raz po raz dochodziły odgłosy okrętów marynarki wojennej przeprowadzającej jesienne manewry. Zdarzało się nawet, że docierał do nas huk wystrzelonego gdzieś daleko pocisku.

Harriet przesyiała teraz prawie całą dobę. Dyżurowaliśmy przy niej na zmiany. Przypomniało mi to czasy studenckie, wtedy zarabiałem w ten sposób dodatkowe pieniądze. Wciąż pamiętałem pierwszy raz, gdy przyszło mi czuwać przy umierającym pacjencie. Odchodził spokojnie i w ciszy. Dziwiłem się wtedy, że wielki skok z życia w otchłań śmierci może być zupełnie niezauważalny. Nie wiadomo kiedy, w niemożliwej do określenia jednostce czasu, żywy człowiek po prostu przenosi się do świata umarłych.

Dokładnie zapamiętałem jedną swoją myśl z tamtych dni: ten człowiek, który leży tu przede mną martwy, nigdy nie istniał. Śmierć wymazuje wszystko, co kiedykolwiek istniało. Nie pozostawia żadnych śladów poza jednym, dotyczącym sfery życia, która okazała się dla mnie najtrudniejsza. Śmierć nie wymazuje miłości, nie unicestwia uczuć. Kiedyś uciekłem od Harriet, bo próbowała się do mnie zbliżyć. Teraz odchodzi i wkrótce już jej nie będzie.

W ostatnich dniach życia Harriet Louise stawała się coraz smutniejsza. Ja natomiast odczuwałem rosnącą obawę przed tym, że niebawem podzielę jej los. Bałem się upadku, ponizenia, miałem nadzieję, że moja śmierć będzie lekka i nie zmusi mnie, bym długo leżał w oczekiwaniu na przybicie do przeciwnego brzegu.

Harriet umarła o świcie, tuż po szóstej rano 22 sierpnia. Miała za sobą niespokojną noc, leki przeciwbólowe zdawały się już nie uśmierzać jej bólu. Właśnie gotowałem kawę, kiedy Louise weszła do kuchni, stanęła obok mnie i odczekała, aż policzę do siedemnastu.

– Mama umarła – szepnęła.

Weszliśmy do pokoju mrówek. Podeszedłem do Harriet, sprawdziłem jej puls i przyłożyłem stetoskop do jej piersi, żeby się

upewnić, że serce przestało bić. Rzeczywiście nie żyła. Usiedliśmy przy niej na łóżku. Louise płakała cichutko, ledwie słyszalnie. Mnie ogarnęło jedynie egoistyczne uczucie ulgi, że to nie ja leżę martwy.

Siedzieliśmy z dziesięć minut w zupełnej ciszy. Potem jeszcze raz przystawiłem stetoskop do piersi Harriet. W końcu przykryłem jej twarz wyszywanym ręcznikiem mojej babki.

Wróciliśmy do kuchni i wypiliśmy kawę. O siódmej zadzwoniłem do straży przybrzeżnej. Odebrał Hans Lundman.

– Jeszcze raz dziękuję ci za przyjęcie – powiedział. – Powiniennem być zadzwonić wcześniej.

– Nic się nie stało, ja też dziękuję.

– Co słyszeć u twojej córki?

– Wszystko dobrze.

– A u Harriet?

– Nie wiem, wyjechała.

– Andrea chodzi bez przerwy w tych niebieskich butach, chociaż ledwie może w nich ustać. Przekaż Louise.

– Przekażę. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zamierzam dziś spalić stare drewniane graty z szopy. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś zawiadomił was, że na mojej wyspie się pali.

– Słusznie, biorąc pod uwagę suszę, jaką mamy tego lata.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że płonie mój dom.

– Dobrze, że zadzwoniłeś.

Wyszedłem przed dom. Było bezwietrznie, a na niebie wisiała gruba warstwa chmur. Poszedłem do szopy po plandekę, w którą postanowiliśmy zawinąć ciało Harriet. Zamoczyłem ją w smole i rozłożyłem na ziemi przed domem. Tymczasem Louise ubrała Harriet w tę ładną sukienkę, którą miała na sobie na przyjęciu,

uczesła ją i umalowała usta. Kiedy do niej przyszedłem, wciąż cichutko płakała. Objąłem ją mocno.

– Będzie mi jej brakowało – powiedziała. – Przez długie lata byłem ciągle na nią zła, a teraz czuję, że w mojej duszy została po niej wielka czarna dziura. Smutki będą się przez nią wlewały do mojego wnętrza tak długo, jak żyję.

Ostatni raz przyłożyłem stetoskop do piersi Harriet. Zauważyłem, że jej skóra zabarwiła się już na ten żółtawoskory charakterystyczny dla zmarłych kolor.

Zaczekaliśmy jeszcze godzinę. Potem wynieśliśmy ją, ułożyliśmy na plandece i zawinęliśmy. Ułożyliśmy ją w mojej starej łodzi, która miała przewieźć Harriet do świata umarłych. Przyniosłem zapasowy kanister z benzyną i polałem ciało.

– Musimy się odsunąć – powiedziałem. – Benzyna gwałtownie się zapali. Jeśli będziemy za blisko, mogą nas dosięgnąć płomienie.

Zrobiliśmy parę kroków w tył. Spojrzałem na Louise. Już nie płakała. Skinęła głową. Podpaliłem zamoczony w smole gałganek ze szmat i wrzuciłem go do łodzi.

Ogień zapłonął z hukiem. Nasmołowana plandeka zaczęła się marszczyć i trzeszczeć. Louise wzięła mnie za rękę. Pomyślałem, że moja stara łódź wreszcie się na coś przydała. Mogłem przynajmniej wysłać w niej Harriet do innego świata, w który żadne z nas nie wierzyło, ale w tej chwili żywiliśmy ogromną nadzieję, że jednak istnieje.

Stos wciąż płonął, a ja przyniosłem z szopy starą piłę do metalu i zabrałem się za piłowanie balkonika Harriet. Chwilę później doszedłem do wniosku, że nie jestem w stanie go pociąć. Włożyłem go więc do łódki, razem z dwoma sporymi kamieniami i dwoma starymi łańcuchami o wielkich ogniach. Powiosłowałem do

północnego cypla, zamocowałem obciążniki do chodzika i zatopiłem go w morzu. W tej okolicy nikt nigdy nie kotwiczył ani nie łowił ryb, więc nie było ryzyka, że ktoś go kiedyś wyłowi.

Słup dymu wzbijał się wysoko. Popłynąłem z powrotem, rozmyślając o tym, że wkrótce powinien zjawić się Jansson. Kiedy przybiłem do brzegu, Louise siedziała w kucki i przyglądała się płonącej łodzi.

– Żałuję, że nie umiem grać na żadnym instrumencie – powiedziała z namysłem. – Wiesz, czego mama najbardziej lubiła słuchać?

– Pamiętam, że lubiła jazz tradycyjny – odparłem. – Chodziliśmy na koncerty na starówkę, kiedy byliśmy parą.

– Mylisz się. Najbardziej lubiła *Sail Along Silvery Moon*. To sentymentalny kawałek z lat pięćdziesiątych. Mogła go słuchać bez końca. Zagrałabym jej go teraz, gdybym umiała. Jako pożegnalny psalm.

– Nawet nie wiem, jak brzmi ta melodia.

Louise zanuciła niepewnym głosem. Miałem wrażenie, że kiedyś ją słyszałem, ale z pewnością nie w wykonaniu zespołu jazzowego.

– Pogadam z Janssonem – powiedziałem. – Harriet wyjechała wczoraj. Odwiozłem ją na ląd moją łódką. W porcie czekał na nią jakiś krewny, przyjechał po nią samochodem. Miał ją zawieźć do szpitala w Sztokholmie.

– Powiedz, że kazała go pozdrowić – dodała Louise. – Wtedy nie będzie się dziwił, że wyjechała.

Jansson jak zwykle przybył punktualnie. Miał na pokładzie geodetę, któremu zlecono jakieś pomiary na wysepce Bredholmen. Skinąłem mu na powitanie. Jansson zszedł z pokładu na pomost i z zaciekawieniem przyjrzał się wielkiemu ognisku.

– Dzwoniłem do Lundmana – powiedział. – Myślałem, że pali się twój dom.

– Podpaliłem tę starą łódź – odparłem. – W końcu doszedłem do wniosku, że nie uda mi się jej wyremontować, a nie chciałem patrzeć jak niszczeje przez kolejną zimę.

– Dobrze zrobiłeś. Stare łodzie długo umierają, a to żałosny widok, więc lepiej je porąbać albo spalić.

– Harriet wyjechała – napomknąłem. – Wczoraj odwiozłem ją na ląd. Kazała cię pozdrowić.

– To miłe z jej strony. Pozdrów ją ode mnie przy następnej okazji. Bardzo ją polubiłem, to prawdziwa dama. Mam nadzieję, że jej się polepszyło.

– Chciała pojechać do szpitala. Nie sędzę, żeby czuła się lepiej. Ale prosiła, żebym cię pozdrowił.

Jansson nie miał dla mnie poczty, więc po chwili pojechali wraz z geodetą. Zaczęło trochę kroić, ale po chwili przestało. Wróciłem do Louise. Rufa łodzi zapadła się do środka i nie można już było rozróżnić, co jest zwęglonym drewnem, a co zawartością plandeki. Ze stosu nie dochodził swąd palonego mięsa. Louise usiadła na dużym kamieniu, a ja nagle pomyślałem o Simie. Zadałem sobie pytanie, czy moja wyspa przyciąga śmierć. Sima przybyła tu, by się pociąć, Harriet też wybrała to miejsce na śmierć. Umarł mój pies, po kotce nie było śladu.

Nagle ogarnęło mnie przykre uczucie. Czy moje życie posiada jakąkolwiek treść, którą mogę nazwać naprawdę swoją? Nie jestem złym człowiekiem, mam łagodną naturę, nie popełniam przestępstw. Mimo to zawiodłem Harriet i wielu innych ludzi. Po śmierci ojca moja matka spędziła dziewiętnaście lat w domu starców, a ja odwiedziłem ją tylko raz. Minęło już tyle czasu, że nawet mnie nie

poznała. Wzięła mnie za swojego brata, który zmarł piętnaście lat wcześniej. Nie tłumaczyłem jej, kim jestem, po prostu siedziałem przy niej i kiwałem głową. Tak, jestem twoim bratem, potwierdziłem, a potem poszedłem. Nigdy do niej nie wróciłem, nie zjawiłem się nawet na pogrzebie. Zleciłem pochówek firmie pogrzebowej i uregulowałem rachunek. Razem z nim przysłano mi informację, że na pogrzebie byli obecni pastor, organista i reprezentant firmy.

Nie zjawiłem się tam, bo nikt nie był w stanie mnie zmusić, żebym to zrobił. Wiedziałem w głębi ducha, że zawsze żywiłem odrazę do matki. W pewnym sensie czułem też odrazę do Harriet. Być może czuję odrazę do wszystkich, pomyślałem. Przede wszystkim do samego siebie.

Nie umiałem nawet ocenić, czy byłem dobrym chirurgiem. Przede wszystkim widziałem w sobie przerażone stworzenie, które obserwując przez całe dzieciństwo swojego ojca, przekonało się, jak ponure życie może wieść człowiek.

Dzień mijał równie wolno jak płynące po niebie chmury. Gdy ogień zaczął przygasać, dorzuciłem drewna, dla pewności zamoczywszy je wcześniej w benzynie. Skremowanie człowieka, by kości zamieniły się w popiół, wymagało czasu, zwłaszcza, gdy nie robiło się tego w piecu, w temperaturze tysiąca stopni.

Stos płonął aż do zmierzchu. Raz po raz dorzuciałem kolejne szczapy i zagrabiałem popiół. Louise przyniosła z kuchni tacę z jedzeniem. Wypiliśmy resztę koniaku, która została nam po przyjęciu, i oboje szybko poczuliśmy się pijani. Potem na przemian śmialiśmy się i płakaliśmy z powodu śmierci Harriet, czując też ulgę, że skończyły się jej cierpienia. Poczułem, że teraz, kiedy Harriet już nie ma, Louise jest mi jeszcze bliższa. W obecności Harriet nie

przestawałem myśleć o tym, że kiedyś ją porzuciłem. Siedzieliśmy na trawie, oparci o siebie plecami, i wpatrywaliśmy się w znikającą w ciemności smugę dymu z ogniska.

– Już na zawsze zostanę na tej wyspie – oznajmiła nagle Louise.

Dopiero nad ranem pozwoliłem ognisku zgasnąć.

Louise spała na trawie, zwinięta w kłębek. Otuliłem ją moją kurtką. Obudziła się, kiedy polewałem żar wodą z wiaderka. Nie było już śladu Harriet i łodzi. Louise wbiła wzrok w popiół, który zagrabiłem na kupkę.

– Nic – powiedziała. – Przed chwilą była żywym człowiekiem, a teraz nie ma po niej już nic.

– Pomyślałem, że zabierzemy popiół do łodzi, wypłyniemy i rozsypujemy go na morzu.

– Nie – zaprotestowała Louise. – Musi po niej pozostać chociaż popiół.

– Nie mam nawet urny.

– Wystarczy puszka lub słoik, cokolwiek. Nie chcę rozsypywać jej prochów. Zakopujemy je obok twojego psa.

Wstała i pobiegła do szopy. Zrobiło mi się nieprzyjemnie na myśl, że miejsce pod jabłonią zmienia się w cmentarz. Z szopy dobiegał hałas, trzaski i szuranie. Chwilę później Louise przyniosła metalową puszkę, w której mój dziadek trzymał kiedyś smar do silnika. Wyczyściłem ją i służyła mi jako pojemnik na gwoździe. Teraz była pusta. Louise zdmuchnęła z niej kurz, postawiła ją obok kupki popiołu i zaczęła przesypywać go rękami do pojemnika. Zabrałem z szopy szpadel i wykopałem dołek obok grobu psa. Włożyliśmy puszkę do dołka, po czym zasypałem ją ziemią. Louise zniknęła gdzieś na moment i niebawem wróciła, niosąc sporej wielkości

kamień. Osad wyrzeźbił na nim znak krzyża. Położyliśmy kamień na prochach Harriet.

Mieliśmy za sobą ciężki dzień i wyczerpującą noc. Oboje byliśmy zmęczeni. Po obiedzie, który zjedliśmy w milczeniu, Louise poszła spać do przyczepy, a ja długo przeszukiwałem szafki w łazience, nim znalazłem tabletkę na sen. Połknąłem ją i od razu zasnąłem. Obudziłem się dopiero po dziewięciu godzinach. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio zdarzyło mi się tak długo spać.

Gdy zszedłem na dół, Louise siedziała przy kuchennym stole. Drzwi do pokoju mrówek były otwarte. Sprzątnęła wszystkie ślady po śmiertelnej walce, jaką Harriet w nim stoczyła.

– Wyjeżdżam – oznajmiła. – Dzisiaj, od razu. Morze jest spokojne. Możesz mnie zabrać na ląd?

Zaskoczony, usiadłem przy stole. Nie spodziewałem się, że będzie chciała natychmiast wyjechać.

– Dokąd zamierzasz się udać? – spytałem.

– Mam sporo spraw do załatwienia.

– Mieszkanie Harriet może zaczekać parę dni.

– Nie o nim mówię. Pamiętasz, jak opisałam ci w liście jaskinię, w której pleśń zżera stare malowidła?

– Jestem pewien, że zaatakowałaś już z tego powodu paru polityków.

Louise pokręciła głową.

– Listy nie działają. Muszę zrobić coś innego.

– Co takiego?

– Nie wiem. Jeszcze. Potem pojedę zobaczyć następne obrazy Caravaggia. Mam pieniądze. Harriet zostawiła mi prawie dwieście tysięcy koron. Co jakiś czas wspierała mnie finansowo, poza tym

zawsze byłam oszczędna. Zastanawiałeś się pewnie, skąd mam pieniądze, kiedy przetrząsałeś moją przyczepę. Po prostu oszczędzałam. Nie zajmowałam się w życiu jedynie pisaniem listów, czasem miałam pracę jak inni ludzie, ale nigdy nie szastałam pieniędzmi.

– Jak długo cię nie będzie? Jeśli nie zamierzasz tu wrócić, chcę, żebyś zabrała przyczepę. Nic tu po niej.

– Dlaczego jesteś na mnie zły?

– Smutno mi, że wyjeżdżasz i pewnie nigdy już do mnie nie wrócisz.

Louise gwałtownie wstała.

– Nie jestem taka jak ty – warknęła. – Ja zawsze wracam. Poza tym mówię ci uczciwie, że chcę wyjechać. Jeśli nie życzysz sobie tu mojej przyczepy, spal ją. Teraz idę się spakować. Za godzinę będę gotowa. Odwieszisz mnie czy nie?

Było zupełnie bezwietrznie, powierzchnia morza lśniła jak lustro. Płynęliśmy starą motorówką dziadka, która wprawdzie zakaszłała złowrogo tuż po tym, jak odbiliśmy od pomostu, ale po chwili silnik pracował dalej. Louise siedziała na dziobie i uśmiechała się do mnie. Żałowałam wybuchu złości.

W porcie czekała na nią taksówka. Louise miała ze sobą tylko niewielki plecak.

– Zadzwoń – rzuciła, wysiadając z łódki. – I przyślę ci kartkę.

– Jak mogę cię złapać?

– Masz mój numer. Nie obiecuję, że zawsze będę miała włączoną komórkę, ale obiecuję przysyłać pocztówki, również do Andrei.

– Napisz też jedną do Janssona. Umrze z radości.

Kucnęła na brzegu, żeby się do mnie przybliżyć.

– Zadbaj o moją przyczepe – poprosiła. – Wysprzątaj ją i wypoleruj moje czerwone buty.

Pogładziła mnie po twarzy, wstała i wsiadła do taksówki, która zaraz po tym zniknęła za pagórką. Zaczekałem na motorówkę, zabrałem rezerwową kanister i udałem się na stację, żeby go zatankować. W porcie nie było prawie nikogo. Stojące tu latem żaglówki już zniknęły.

Kiedy wróciłem na wyspę, obszedłem ją dookoła w nadziei, że jednak znajdzie się moja kotka. Nigdzie jej nie było. Zostałem sam, bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem.

Minęło parę tygodni. Wyglądało na to, że moje życie wróciło na swój dawny tor. Jansson przywoził mi co jakiś czas listy od Agnes, Louise się nie odzywała. Parę razy do niej dzwoniłem, ale nie odbierała telefonu. Nagrywałem jej krótkie wiadomości, które musiały brzmieć jak wyrywkowe zapiski z dziennika: wzmianki o pogodzie, wietrze oraz o tym, że kotka wciąż nie wróciła. Podejrzewałem, że porwał ją lis, który potem popłynął na inną wyspę.

Dręczył mnie coraz większy niepokój i czułem, że długo tego nie wytrzymam. Pragnąłem opuścić wyspę, nie wiedziałem jednak, dokąd się udać.

Wrzesień zakończył się sztormem, który nadciągnął z północnego wschodu. Wciąż nie miałem wieści od Louise. Zamilkła też Agnes. Przez większość czasu siedziałem przy stole w kuchni i gapiłem się w okno. Zdawało się, że krajobraz za szybą tężeje. Miałem wrażenie, że cały dom powoli pochłania nieustająco rosnące mrowisko.

Nadeszła jesień. Czekałem.

Przesilenie zimowe

1

Nocą z 2 na 3 października przyszedł mróz.

Zajrzawszy do starych notatników, upewniłem się, że w ciągu dwunastu lat mojego życia na wyspie temperatura nigdy nie była tak niska o tej porze roku. Wciąż czekałem na jakiś sygnał od Louise. Nie dostałem żadnej pocztówki.

Wieczorem zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos kobiety, która zapytała mnie, czy nazywam się Fredrik Welin. Wydało mi się, że ją rozpoznaję. Przedstawiła się jako Anna Ledin, ale nic mi to nie mówiło.

– Jestem policjantką – wyjaśniła mi. – Spotkaliśmy się już kiedyś.

Od razu stanęła mi przed oczami martwa kobieta leżąca na podłodze w kuchni. Anna Ledin była młodą funkcjonariuszką z blond włosami spiętymi w koński ogon wystający spod policyjnej czapki.

– Dzwonię w sprawie psa – powiedziała. – Spanielki Sary Larsson, którą wtedy zabraliśmy. Miała być uśpiona, więc ją przygarnęłam. To ładny pies, ale poznałam kogoś, kto jest uczulony na sierść. Nie chcę jej usypiać, więc pomyślałam o panu. Czy nie zechciałby pan jej przygarnąć? Musi pan lubić psy, bo wtedy zatrzymał się pan i wziął ją do auta.

Nie wahalem się ani przez moment.

– Moja stara suka niedawno umarła. Chętnie wezmę tego spaniela. Jak to zorganizujemy?

– Mogę ją przywieźć. Dowiedziałam się, że Sara Larsson mówiła na nią Rubin. To dość niezwykle imię dla psa, ale nie dałam jej nowego. Ma pięć lat.

– Kiedy pani przyjedzie?

– Pod koniec przyszłego tygodnia.

Nie odważyłem się przewieźć psa moją łódką, była na to za mała. Umówiłem się na transport z Janssonem. Wypytywał mnie, co to za pies, ale odpowiedziałem wymijająco, że dostałem go w spadku. Potem nie pytał już o nic więcej.

Anna Ledin przyjechała 12 października o trzeciej. Wyglądała zupełnie inaczej, kiedy nie miała na sobie munduru.

– Mieszkam na wyspie – powiedziałem jej. – Rubin zostanie jej królową.

Dziewczyna przekazała mi smycz, a suka usiadła przy mojej nodze.

– Wracam od razu, bo inaczej się rozplącę – powiedziała policjantka. – Mogę do pana zadzwonić?

– Jasne, że tak.

Wsiadła do samochodu i odjechała. Rubin nie szarpała smyczy i nie próbowała za nią biec. Nie zawahała się też przed wskoczeniem na pokład łodzi Janssona.

Wpłynęliśmy między wyspy, sunąc gładko po ciemnej wodzie. Od strony Zatoki Fińskiej wiał zimny wiatr.

Gdy dotarliśmy na miejsce i Jansson odpłynął, spuściłem sukę ze smyczy. Od razu pobiegła między skały i wróciła dopiero po półgodzinie. Poczułem, że samotność doskwiera mi nieco mniej.

Nadeszła jesień.

Nie mogłem przestać rozmyślać o tym, co ze mną będzie. I dlaczego Louise się nie odzywa.

Nie podobało mi się imię nowego psa.

Wyglądało na to, że suce również ono nie odpowiada, bo rzadko przybiegała, kiedy ją wołałem.

Nigdy nie słyszałem, żeby pies miał na imię Rubin. Zastanawiałem się, dlaczego Sara Larsson tak ją nazwała. Pewnego dnia, kiedy zadzwoniła Anna Ledin, spytałem ją, czy wie skąd wzięło się to przedziwne imię. Jej odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Ludzie w okolicy, w której mieszkała Sara Larsson, mówili, że w młodości pracowała jako sprzątaczką na statku transportowym, który często zawijał do portu w Antwerpii. Sara Larsson porzuciła pracę na pokładzie i zatrudniła się w szlifierni diamentów. Pewnie lubiła widok kamieni szlachetnych i dlatego dała psu takie imię.

– Diament brzmiałoby o wiele lepiej.

Nagle w słuchawce rozległ się hałas. Usłyszałem krzyki i coś zadudniło.

– Muszę kończyć – rzuciła policjantka.

– Gdzie pani jest?

– Próbujemy zatrzymać jakiegoś szaleńca, który zabarykadował się na złomowisku.

Anna Ledin się rozłączyła.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak w tej chwili wygląda. Drobna, krucha dziewczyna z blond kucykiem i gotową do strzału bronią. Pewnie w takiej sytuacji lepiej było trzymać się od niej z daleka.

Zmieniłem psu imię na Carra. Nie kryłem przed sobą oczywistego faktu, że zainspirowała je moja córka oraz jej uwielbienie dla Caravaggia, ale gdyby ktoś mnie spytał o imię, udałbym, że nie umiem powiedzieć, skąd się wzięło.

Przyzwyczajanie się do nowego imienia zajęło psu parę tygodni intensywnego treningu. W końcu suka zaczęła na nie reagować, choć wciąż się ociągała.

Pogoda przez cały październik była zmienna. Jeden tydzień był ciepły jak późnym latem, kiedy indziej wiał zimny północno-wschodni wiatr. Czasem, gdy spoglądałem na morze, widziałem zbierające się stada ptaków, które po nerwowych przygotowaniach wyruszały w drogę na południe.

Widok odlatujących kluczy zawsze wprawiał mnie w melancholię, mimo iż wiedziałem, że ich powrót na wiosnę sprawi mi radość. Jesień powoli zamykała swoją księgę, robiąc miejsce zimie.

Każdego ranka po przebudzeniu upewniałem się, czy nie dopadły mnie już starcze dolegliwości, bóle w stawach czy kłucia. Raz po raz stwierdzałem z niepokojem, że strumień moczu mam o wiele słabszy niż kiedyś. Poniżająca zdawała mi się myśl, że można umrzeć z powodu niewydolności układu wydalniczego. Trudno mi było sobie wyobrazić, że dawni greccy filozofowie lub rzymscy cesarze mogli umrzeć na raka prostaty. Mimo to byłem pewien, że niejednemu się to przytrafiło.

Rozmyślałem o swoim życiu i co jakiś czas sporządzałem nic nieznaczące notatki w dzienniku. Przestałem zapisywać kierunki wiatru i temperaturę, zamiast tego kreśliłem na kartkach zmyślone

bzdury. 27 października zanotowałem, że moją wyspę zaatakował tajfun i temperatura skoczyła do 37 stopni powyżej zera.

Długo przesiadywałem w miejscach sprzyjających rozmyślaniom. Wyspa była tak dobrze ukształtowana, że przy każdej pogodzie można było znaleźć zaciszny kąt między skałami. Skoro więc nawet najsilniejszy wiatr nie mógł stanowić wymówki, codziennie wychodziłem z domu, siadałem w osłoniętym miejscu i zastanawiałem się, dlaczego moje życie potoczyło się tak, jak się potoczyło. Łatwo było wskazać podstawowe przyczyny. Wprawdzie udało mi się wyrwać z nędznego świata, w którym dorastałem, być może już sama świadomość, że mogę skończyć jak ojciec, dała mi wystarczająco dużo siły, by wykonać ten skok. Wiedziałem zarazem, że miałem szczęście dorastać w czasach, kiedy takie skoki były możliwe. Nawet syn poniżanego na co dzień kelnera mógł dostać się na studium medyczne i zostać lekarzem. Nie umiałem jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego stałem się człowiekiem, który nieustannie przed czymś ucieka, szuka kryjówek zamiast bliskości z innymi ludźmi. Dlaczego nie chciałem mieć dzieci? Dlaczego zawsze żyłem niczym lis, w jamie z kilkoma drogami ucieczki?

Tamta przeklęta, nieudana amputacja nie musiała mi zniszczyć kariery. Nie byłem ani pierwszym, ani ostatnim chirurgiem, któremu się coś takiego przytrafiło. Problem tkwił w tym, że nie odważyłem się stawić czoła konsekwencjom.

Tej jesieni zdarzały mi się momenty paniki. Spędzałem długie wieczory przed nadającym same bzdury telewizorem, a potem bezsenne noce, podczas których przewracałem się w łóżku, przeklinając moje żałosne życie.

W końcu przyszedł list od Louise. Był jak koło ratunkowe rzucone tonącemu. Pisała, że opróżnienie mieszkania Harriet zajęło jej wiele dni. Dołączyła parę starych fotografii znalezionych głęboko w szufladach matki. Louise nie знаła tych zdjęć. Z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami wpatrywałem się w fotografię, na której ja i Harriet stoimy obok siebie, prawie czterdzieści lat temu. Ją rozpoznałem od razu, ale widok samego siebie mną wstrząsnął. Na jednym ze zdjęć, zrobionym gdzieś w Sztokholmie w 1966 roku, miałem brodę. Był to jedyny raz w życiu, kiedy ją zapuściłem, i teraz już tego nie pamiętałem. Nie miałem pojęcia, kto zrobił to zdjęcie. Zadziwił mnie również widok tego, co było w tle. Jakiś mężczyzna stał tam i pił wódkę prosto z butelki.

Po chwili przypominałem sobie, kim był, ale nigdzie na tym zdjęciu nie widziałem Harriet. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie wtedy byliśmy i kto mnie sfotografował.

Przeglądałem kolejne fotografie budzące wspomnienia, jakie dawno temu zamknąłem w ciemnym pokoju, od którego wyrzuciłem klucz.

Dalej w liście Louise pisała, jak wiele nowych rzeczy dowiedziała się o swoim dzieciństwie przez tych parę dni, gdy sprzątała mieszkanie matki.

„Najważniejsze, czego się dowiedziałam, to fakt, że właściwie nigdy dobrze nie znałam mojej mamy”, pisała. „Znalazłam mnóstwo listów i kilka nieregularnie prowadzonych pamiętników zawierających niezbyt wyczerpujące informacje o tym, co myślała i przeżywała. W dzieciństwie docierała do mnie tylko część jej ówczesnych przeżyć. Na przykład nigdy nie wspominała, że jej marzeniem było zostać lotnikiem. Powtórzyła za to kilkakrotnie, że przed każdym wejściem do samolotu paraliżuje ją strach. Marzyła

też o różnym ogrodzie na Gotlandii, zaczęła pisać książkę, ale nigdy jej nie ukończyła. Najbardziej dotknięta poczułam się tym, że Harriet często nie mówiła mi prawdy. Teraz, kiedy wspominam dzieciństwo, co chwilę stają mi przed oczami sceny, w których Harriet zwyczajnie kłamie. Kiedyś powiedziała mi, że musi odwiedzić chorą przyjaciółkę. Płakałam i prosiłam ją, żeby ze mną została, ale tłumaczyła mi, że przyjaciółka jest ciężko chora i musi do niej jechać. Teraz wiem, że pojechała do Francji z mężczyzną, którego miała nadzieję poślubić. Wkrótce po tym zniknął z jej życia. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, wiedz jednak, że doszłam do wniosku, iż przed śmiercią powinno się po sobie porządnie posprzątać. Dziwię się, że Harriet, świadoma zbliżającego się końca, nie spaliła tych listów i pamiętników. Musiała przecież wiedzieć, że je znajdę. Przychodzi mi to głowy tylko jedno wyjaśnienie: chciała mi w ten sposób uzmysłwić, że nie była do końca tą osobą, za którą ją uważałam. Czyżby naprawdę chciała, żebym poznała prawdę przez odkrycie jej kłamstw? Wciąż nie umiem zdecydować, czy mam ją wspominać jako wspaniałą osobę, czy jako złego człowieka. Mieszkanie Harriet jest puste. Wrzucę klucze do skrzynki na listy i wyruszam w drogę. Odwiedzę jaskinię z malowidłami i zabiorę ze sobą Caravaggia”.

Zadziwiło mnie ostatnie zdanie tego listu. Co Louise miała na myśli, pisząc, że zabierze Caravaggia do jaskiń z malowidłami, które zamierzała ochronić? Czyżby między wierszami kryła się treść, której nie potrafiłem odczytać?

Nie podała adresu, na który mógłbym odesłać odpowiedź. Mimo to jeszcze tego samego wieczoru usiadłem przy stole w kuchni i zacząłem pisać. Skomentowałem fotografie, wspominając o własnej zawodnej pamięci, opisałem też spacery pośród skał, jakie

odbywałem z Carrą w ostatnich dniach. Próbowałem wytłumaczyć Louise, z jakim trudem brnę przez każdy kolejny dzień. Czułem się tak, jakbym znalazł się w gęstej dżungli pełnej kolczastych krzewów uniemożliwiających jakikolwiek ruch.

Najdobitniej, jak umiałem, zaznaczyłem, że bardzo za nią tęsknię. Powtórzyłem to zdanie kilka razy. W końcu zakleiłem kopertę, nalepiłem znaczek i napisałem nazwisko Louise. Odłożyłem list, żeby spokojnie czekał na dzień, w którym córka przyśle mi jakiś adres.

Właśnie wszedłem do łóżka, kiedy nagle zadzwonił telefon. Przestraszyłem się, serce zaczęło mi bić jak szalone. O tej porze z pewnością nikt nie miał dla mnie dobrych wieści. Zszedłem do kuchni i podniosłem słuchawkę. Carra leżała na podłodze i bacznie mi się przyglądała.

– Mówi Agnes. – Usłyszałem. – Mam nadzieję, że pana nie obudziłam.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – I tak za dużo śpię.

– Wybieram się do pana.

– Już pani tu jest? W porcie?

– Nie. Chciałabym przyjechać jutro, jeśli to panu pasuje.

– Jasne, że tak.

– Może mnie pan odebrać?

Nim odpowiedziałem, wsłuchałem się w szum wiatru i chlupot fal. Morze atakowało północny cypel z wielką siłą.

– Za mocno wieje na moją małą motorówkę – powiedziałem. – Ale zadbam o to, żeby ktoś po panią przyjechał. O której pani będzie?

– Koło południa.

– Ktoś będzie na panią czekał w porcie.

Agnes rozłączyła się, bez zbędnych komentarzy. Wyczułem, że była zdenerwowana. Zdawało mi się też, że bardzo jej się do mnie śpieszy.

O piątej nad ranem zabrałem się za porządki. Stwierdziłem, że wszędzie jest pełno kurzu i zmieniłem nawet worek w moim przedpotopowym odkurzaczu. Doprowadzenie domu do jako takiego wyglądu zajęło mi trzy godziny. Potem, gdy już się wykąpałem i napaliłem w piecu, usiadłem przy stole w kuchni z zamiarem zadzwonienia do Janssona. Zamiast tego wybrałem jednak numer straży przybrzeżnej. Nie zastałem Hansa Lundmana w bazie, powiedziano mi, że robi coś przy jednej z łodzi, ale oddzwonił do mnie po kwadransie. Spytałem, czy może odebrać mojego gościa z portu.

– Wiem, że nie wolno ci przewozić pasażerów – powiedziałem. – Wiem, że to zabronione.

– Nie zaszkodzi, jeśli wybiorę się na patrol w twoją okolicę – odparł Hans. – Jak nazywa się pasażer?

– Pasażerka – wyjaśniłem. – Nie pomylisz jej z nikim. Ma tylko jedną rękę.

Hans Lundman i ja byliśmy do siebie podobni. W przeciwieństwie do Janssona, żaden z nas nie był ciekawski i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Z drugiej strony nie sądziłem, by Hans przeszukiwał szuflady swoich współpracowników.

Umówiwszy się z Lundmanem, zabrałem Carrę na spacer dookoła wyspy. Był pierwszy listopada, morze z dnia na dzień stawało się coraz bardziej szare, a drzewa zrzucały ostatnie liście. Oczekiwałem Agnes ze zniecierpliwieniem. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że myśl o niej mnie podnieca. Oczyma wyobraźni widziałem ją stojącą nago w mojej kuchni, z kikutem w miejscu prawego

ramienia. Zszedłem na pomost, usiadłem na ławce i zacząłem układać w myślach scenariusz tego niemożliwego romansu. Nie miałem pojęcia, czego Agnes ode mnie chce. Było jednak wątpliwe, że wybrała się tu, żeby wyznać mi miłość.

Zabrałem z szopy miecz oraz torbę Simy i zaniósłem je do kuchni. Wprawdzie Agnes nie mówiła, czy zostanie u mnie na noc, ale na wszelki wypadek pościeliłem jej łóżko w pokoju mrówek.

Parę dni wcześniej postanowiłem, że wywożę mrowisko na taczkach i oddam mrówkom miejsce po dawnych grządkach mojej babki, nieużywane od lat i całkiem zarośnięte chwastami. Jednak jak dotąd nie udało mi się tego zrobić.

Koło jedenastej ogoliłem się i przebrałem w czyste ubranie. Zaraz je jednak zdjąłem i z powrotem włożyłem to stare. Denerwowałem się przed wizytą Agnes jak nastolatek. Ostatecznie zdecydowałem, że wystąpię w moim codziennym stroju: ciemnych spodniach, obciętych kaloszach i grubym swetrze z postrzępionymi mankietami.

Sprawdziłem, jak miewa się kurczak, którego wyjąłem z zamrażarki z samego rana.

Potem nerwowo krążyłem po domu, jeszcze raz odkurzając wysprzątane miejsca, a kiedy wreszcie wybiła dwunasta, zarzuciłem kurtkę i zszedłem na pomost, żeby poczekać na przybycie gości.

Tego dnia nie było dostawy poczty, byłem więc spokojny, że Jansson nie będzie mnie niepokoił. Carra usiadła na samym brzegu pomostu i zaczęła węszyć, jakby wyczuwała, że ktoś się zbliża.

Wkrótce nadpłynął duży krążownik straży przybrzeżnej. Usłyszałem jego wielkie silniki, zanim pojawił się na horyzoncie. Gdy tylko zobaczyłem, że statek wpływa do mojej zatoki, zerwałem się z ławki. Hans przybił do pomostu samym dziobem, bo było tu dla niego za płytko. Agnes zeszła z mostku kapitańskiego

z plecakiem zarzuconym na ramię. Za nią wyszedł ubrany w mundur Lundman i oparł się rękami o reling.

– Dziękuję za pomoc – zawołałem.

– I tak miałem po drodze. Płyniemy na Gotlandię. Odebraliśmy zgłoszenie, że u jej wybrzeży płacze się jakaś bezpańska żaglówka.

Przyglądaliśmy się, jak wielki statek wycofuje się z mojej zatoki. Włosy Agnes łopotały na wietrze. Z trudem opanowałem nagłą chęć, by ją pocałować.

– Pięknie tu – powiedziała. – Wielokrotnie próbowałam sobie wyobrazić pańską wyspę, ale teraz widzę, że za każdym razem się myliłam.

– Jak ją sobie pani wyobrażała?

– Myślałam, że będzie tu bardziej zielono, a są same skały i morze.

Carra podbiegła, żeby się przywitać, na co Agnes zrobiła zdziwioną minę.

– Pisał pan, że zdechł panu pies.

– Sprawilem sobie nowego – wyjaśniłem. – Dostałem ją od pewnej młodej policjantki. Długo by opowiadać. Ma na imię Carra.

Ruszyliśmy w stronę domu. Zaproponowałem Agnes, że poniosę jej plecak, ona jednak pokręciła głową. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała po wejściu do kuchni, była torba Simy oraz jej miecz. Bez słowa usiadła na krześle.

– Czy to się stało tutaj? – zapytała. – Niech mi pan opowie. Najlepiej od razu.

Streściłem jej wydarzenia tamtego tragicznego dnia, ze wszystkimi potwornymi szczegółami, które na zawsze wryły się w moją pamięć. Kiedy skończyłem, oczy Agnes szklily się od łez. Poczulem się jak po wygłoszeniu mowy podczas ceremonii

pogrzebowej, nie jak po zdaniu klinicznie rzeczowej relacji z samobójstwa, które dopełniło się w szpitalnym łóżku. Agnes nie miała pytań. W milczeniu przejrzała rzeczy należące do zmarłej Simy.

– Dlaczego ona to zrobiła? – odezwała się po dłuższej chwili. – Coś musiało się zdarzyć po jej przyjeździe tutaj. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że będzie próbowała się zabić.

– Może znalazła tu spokój, jakiego potrzebowała. Poczucie bezpieczeństwa, które ją zaskoczyło, na jakie nie była przygotowana.

– Poczucie bezpieczeństwa? Przecież się zabiła!

– Być może to do tego stopnia skomplikowane, że trzeba poczuć się bezpiecznie, by odważyć się na taki krok. Może wpadła na to w pani domu? Ona naprawdę zamierzała się zabić. Sposób, w jaki się pocięła świadczył o tym, że nie było to wołanie o pomoc, ale prawdziwa chęć pożegnania się z życiem. Zrobiła to, żeby zagłuszyć krzyk, który w sobie nosiła.

Zapytałem Agnes, jak długo zamierza się u mnie zatrzymać. Chciała zostać do jutra, więc pokazałem jej łóżko w pokoju mrówek. Na widok mrowiska parsknęła śmiechem. Jasne, że mogła tam spać, nie bała się takich współlokatorów.

Oznajmiłem jej, że na kolację będzie pieczony kurczak. Potem Agnes zamknęła się w łazience, a kiedy z niej wyszła, miała włosy upięte w kok i świeże ubranie na sobie.

Poprosiła, żebym pokazał jej wyspę. Carra poszła z nami. Opowiedziałem Agnes, jak poznałem mojego nowego psa, jak biegła za moim samochodem, a potem zaprowadziła mnie do ciała swojej pani.

Zorientowałem się, że moje gadanie nuży Agnes, widocznie chciała napawać się przyrodą w milczeniu. Był chłodny jesienny dzień. Krzaczki wrzosów kulily się przed podmuchami zimnego wiatru. Niebo miało barwę ołowiu, a w powietrzu unosił się zapach wyrzuconego przez morze, gnijącego na brzegu morszczyну. Raz po raz ze skał podrywały się morskie ptaki i unosiły na prądach wstępujących, które tworzyły się przy nadmorskich klifach. Dotarliśmy do północnego cypla, skąd najlepiej było widać ledwie wystające z wody kamienne płyty zwane Śledziami. Za nimi otwierało się morze. Stałem nieco z boku Agnes i dyskretnie się jej przyglądałem. Zdawała się być oczarowana widokiem. Po chwili odwróciła się w moją stronę i zawołała, przekrzykując wiatr i szum fal:

– Jednego nigdy panu nie wybaczę. Nie mogę bić braw. To podstawowe prawo każdego człowieka, móc się czymś zachwycić i wyrazić swoje uznanie, uderzając dłonią o dłoń.

Nie znalazłem na to sensownej odpowiedzi, ale Agnes chyba to rozumiała. Podeszła do mnie i stanęła plecami do wiatru.

– Robiłam to od dziecka – oznajmiła.

– Co takiego?

– Biłam brawo przyrodzie, kiedy pokazywała mi coś pięknego. Dlaczego oklaski mają być przypisane jedynie do sal koncertowych? Dlaczego miałyby nie należeć się takiemu miejscu jak to? To chyba najpiękniejszy widok, jaki do tej pory dane mi było podziwiać. Zazdroszczę panu, że pan tu żyje.

– Mogę bić brawo za panią – zaproponowałem.

Agnes pokiwała głową, a potem wysłała mnie na najwyższą i najdalej wysuniętą w morze skałę. Potem zaczęła wołać „Brawo!”, a ja klaskałem. To było dziwne przeżycie.

Chwilę później ruszyliśmy dalej i wkrótce doszliśmy do przyczepy Louise.

– Nie widzę samochodu – powiedziała Agnes. – Ani auta, ani drogi, za to stoi przyczepa, a w niej para ładnych czerwonych butów na wysokim obcasie.

Drzwi do przyczepy były otwarte na oścież. Zablokowałem je kawałkiem drewna, żeby nie trzaskały. Buty Louise stały w progu. Usiedliśmy na ławce na pomoście, gdzie akurat zrobiło się całkiem zacisznie. Zacząłem opowiadać o córce i śmierci Harriet, pominąłem jednak wątek mojej zdrady. Wkrótce zorientowałem się, że Agnes mnie wcale nie słucha. Odplynęła myślami, a ja zrozumiałem, że przyjechała tu w konkretnym celu. Nie chodziło jej tylko o to, by zobaczyć moją kuchnię i zabrać torbę oraz miecz Simy.

– Zimno mi – powiedziała. – Ciekawi mnie, czy jednorecy ludzie marzną bardziej od innych. Krew krąży u mnie inaczej.

Wróciliśmy do domu i usiedliśmy przy stole w kuchni. Zaczęło zmierzchać, więc zapaliłem świecę i postawiłem ją między nami na blacie.

– Odbierają mi dom – oznajmiła Agnes niespodziewanie. – Wynajmowałam go, nigdy nie było mnie stać, by go kupić. A teraz właściciel mnie stamtąd wyrzuca. Bez domu nie mogę prowadzić mojej działalności. Mogę sobie znaleźć pracę w jakiejś instytucji, ale nie chcę tego.

– Kto jest właścicielem domu? – zapytałem.

– Dwie bogate siostry, które mieszkają w Lozannie. Dorobiły się wielkiego majątku na jakichś pseudozdrowotnych produktach. Podobno sądy co chwilę zakazują ich reklam, bo te preparaty składają się z bezwartościowego proszku wymieszanego z garścią witamin. One jednak za każdym razem wracają na rynek pod nową

nazwą i w nowych opakowaniach. Dom wcześniej należał do ich brata, ten jednak zmarł, nie pozostawiając żadnych spadkobierców. Siostry zdecydowały się mnie wyrzucić, bo sąsiedzi skarżą się na dziewczęta. Jeśli stracę dom, stracę też podopieczne. Żyjemy w społeczeństwie, które dąży do tego, żeby wszelkich odmieńców izolować głęboko w lesie albo na wyspach, takich jak ta. Musiałam stamtąd wyjechać, żeby pomyśleć w spokoju. Pożałować w ciszy, może nawet pomarzyć, że mam pieniądze na dom. Niestety tak nie jest.

– Pomógłbym pani, gdybym miał pieniądze.

– Nie przyjechałam tu po to.

Agnes wstała od stołu.

– Wychodzę – oznajmiła. – Jeszcze raz obejdę wyspę, zanim zrobi się ciemno.

– Niech pani weźmie psa. Pójdzie z panią, jeśli ją pani zawoła. Jest dobrą towarzyszką podczas spacerów, prawie w ogóle nie szczeka. Ja tymczasem przygotuję kolację.

Kiedy wyszły, stałem chwilę w progu i przyglądałem się im, dopóki nie zniknęły za skałą. Carra parę razy się zatrzymała i obejrzała na mnie, żeby sprawdzić, czy jej nie wołam. Potem zacząłem przyrządzać kurczaka, wyobrażając sobie, jak całuję się z Agnes.

Uświadomiłem sobie, że minęło wiele lat, odkąd przestałem marzyć. Podobny los spotkał moje fantazje erotyczne.

Po powrocie ze spaceru Agnes sprawiała wrażenie mniej przygnębionej.

– Muszę się panu do czegoś przyznać. – Usiadła przy stole w kurtce. – Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przymierzyć butów pańskiej córki. Idealnie na mnie pasują.

– Niestety nie mogę ich pani sprezentować, choćbym bardzo tego chciał.

– Moje dziewczyny nie wybaczyłyby mi, gdybym pokazała im się na wysokich obcasach – zaśmiała się. – Przestraszyłyby się, że zmieniałam się w kogoś innego.

Agnes przeniosła się na kanapę, skąd zaczęła obserwować każdy mój ruch podczas przygotowywania kolacji. Zadałem jej parę pytań o to, co się z nią teraz stanie, ale wkrótce zamilkłem, bo odpowiadała mi półsłówkami. Potem nie odzywaliśmy się aż do końca posiłku.

Na dworze zapadł już gęsty mrok.

Nastawiłem kawę i napaliłem w starym piecu, którego używałem do ogrzewania domu jedynie w mroźne zimowe dni. Poczułem, że trochę upiłem się winem, które piliśmy do kolacji. Agnes również wyglądała na podchmieloną. Gdy nalewałem kawy do kubków, Agnes nagle przerwała milczenie. Zaczęła opowiadać mi o swoim życiu i najcięższych latach.

– Szukałam pocieszenia – mówiła. – Najpierw uciekałam w alkohol, ale mój żołądek tego nie wytrzymał i ciągle wymiotowałam. Przerzuciłam się więc na haszysz, ale od niego robiłam się senna, też miałam mdłości i na dodatek wzmagaly się po nim wszystkie moje lęki. Potem szukałam sobie kochanków, którym nie przeszkadzało moje kalectwo, zaczęłam też uprawiać sporty i brać udział w zawodach dla niepełnosprawnych. Miałam całkiem niezłe osiągnięcia jako biegaczka średniodystansowa. Próbowałam pisać wiersze, które potem wysyłałam do różnych czasopism, zaczęłam nawet czytać podręczniki medyczne o amputacjach. Próbowałam pracy jako prowadząca w programach telewizyjnych, nawet w niektórych zagranicznych. Nic mi jednak nie pomagało.

Każdego ranka po przebudzeniu moje myśli niezmiennie biegly w strone tego, co mi sie przytrafilo. Chcialam przyzwyczaić sie do protezy, ale ta próba równiez sie nie powiodla. W koncu, pewnego dnia, dokładnie trzy lata po operacji, stanęłam nago przed lustrem i powiedziałam sobie prosto w twarz, że mam tylko jedną rękę. Pozostał mi tylko Bóg. Zaczęłam szukać pocieszenia w modlitwie, czytałam Biblię, potem Koran, próbowałam przyłączyć się do zielonoświątkowców, a nawet do tego potwornego Livets Ord⁶. Potem zadawałam się z różnymi sektami, rozważałam nawet wstąpienie do klasztoru. Pojechałam do Hiszpanii i odbyłam pielgrzymkę do Santiago de Compostella. Zrobiłam tak, jak mi poradzono, czyli włożyłam do plecaka kamień symbolizujący najbardziej trapiący mnie problem. Miałam go wyrzucić po drodze, kiedy znajdę na niego radę. Przez całą drogę wlokłam czterokilową wapienną skałę, ale pozbyłam się jej dopiero po dotarciu na miejsce. Po drodze nie traciłam nadziei, że Bóg w końcu mi się objawi i zamieni ze mną parę słów. On jednak milczał, zagłuszany przez kogoś innego.

– Przez kogo? – zdziwiłem się.

– Przez diabła. On ciągle wrzeszczał. Podczas tej podróży dowiedziałam się, że Bóg mówi szeptem, a diabeł krzyczy na cały głos. Nie było dla mnie miejsca między nimi. Gdy zatrzaśkiwałam za sobą drzwi kolejnego kościoła, wciąż czułam tę samą pustkę. Religia nie dała mi pocieszenia. Wiedziałam, że muszę je znaleźć w sobie, dlatego w końcu zdecydowałam, że będę pomagać tym, których spotkało w życiu coś straszniejszego niż mnie. Tak zaczęłam zajmować się niechcianymi dziewczętami.

Skończyliśmy wino, a ja poczułem się już całkiem pijany. Trudno mi było skoncentrować się na słowach Agnes, myślałem tylko o tym,

żeby ją posiąść, żeby się z nią kochać. Kiedy zaczęła opowiadać o reakcjach, jakie wywoływał u mężczyzn jej kikut, rozchichotaliśmy się jak dzieci.

– Czasem opowiadałam im, że rękę odgryzł mi rekin u wybrzeży Australii, kiedy indziej, że omal nie pożarł mnie lew na sawannie w Botswanie. Bardzo uważałam na szczegóły w tych opowieściach, bo zauważyłam, że ludzie mi wtedy wierzą. Tym, którzy nie przypadli mi do gustu, serwowałam naprawdę paskudne, pełne krwi wersje wydarzeń. Kiedyś nawet powiedziałam komuś, że jakiś szalenciec odciął mi rękę piłą łańcuchową, a komuś jeszcze innemu, że ręka utknęła mi w wielkiej maszynie, która odcinała ją centymetr po centymetrze. Raz udało mi się sprawić, że wielki jak dąb facet zemdłał, usłyszawszy moją opowieść. Nie odważyłam się opowiedzieć chyba tylko jednej wersji, o kanibalach, którzy odcięli mi rękę, by pożreć ją na moich oczach.

Wyszliśmy przed dom, żeby popatrzeć na gwiazdy. Stałam tak blisko Agnes, że prawie jej dotykałam. Nie zorientowała się.

– Zawsze gra muzyka, której nikt nie słyszy – powiedziała.

– Cisza śpiewa – odparłam. – Słyszać ją, jeśli się wyteży słuch.

– Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o muzykę, której nie jesteśmy w stanie uchwycić naszymi uszami. Kiedyś, w dalekiej przyszłości, kiedy ewolucja udoskonali nasz słuch i zostaną wynalezione nowe instrumenty, być może ją usłyszymy, a nawet będziemy ją w stanie grać.

– To ładna myśl.

– Chyba wiem, jak ona brzmi. To ludzkie głosy, ale takie, które brzmią najczyściej jak się da. To śpiew ludzi, którzy się niczego nie boją.

Wróciliśmy do kuchni. Byłem tak pijany, że zachwiałem się w progu. Mimo to zamierzałem nalać nam po lampce koniaku. Agnes jednak zaślониła dłonią kieliszek i wstała.

– Muszę się położyć – oznajmiła. – To był niezwykle wieczór. Nie czuję się już tak przygnębiona jak na początku.

– Chcę, żebyś tu ze mną została – wyszeptałem, bezwiednie zwracając się do niej na ty. – Chcę, żebyś spała ze mną na górze.

Podniosłem się z krzesła i złapałem ją za ramiona. Nie wyrywała się, kiedy ją do siebie przyciągnąłem, ale kiedy spróbowałem ją pocałować, stawiała opór. Poprosiła, żebym przestał, lecz ja nie mogłem się pohamować. Szarpaliśmy się przez chwilę, Agnes zaczęła krzyczeć, a ja, próbując oprzeć ją o stół, przewróciłem nas na podłogę. Wtedy udało jej się wyswobodzić dłoń i podrapała mnie na twarzy. Zaraz po tym kopnęła mnie w żołądek tak mocno, że straciłem oddech. Nie mogłem wydusić z siebie słowa, tymczasem Agnes złapała nóż do obrony. Opamiętałem się, podniosłem się z trudem i usiadłem na krześle.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wysapała.

– Wybacz mi. Nie chciałem. Samotność sprawia, że tracę rozum.

– Nie wierzę ci. Może i jesteś samotny, nic o tobie nie wiem. Ale to nie dlatego się na mnie rzuciłeś.

– Zapomnijmy o tym, proszę. Wybacz mi. Nie powinienem był tyle pić.

Odłożyła nóż i stanęła przede mną. Dostrzegłem w jej oczach wściekłość i rozczarowanie. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc zacząłem płakać. Zdziwiłem się na myśl, że nie robię tego, by wywinąć się od odpowiedzialności. Naprawdę czułem wstyd.

Agnes usiadła w rogu kanapy, odwróciła głowę, żeby na mnie nie patrzeć i wyglądała przez okno, w ciemność. Osuszyłem oczy

i wysmarkałem się w papierowy ręcznik.

– Wiem, że to niewybaczalne. Żałuję tego, co zrobiłem, chciałbym cofnąć czas.

– Nie wiem, co sobie wyobrażałeś. Gdybym tylko mogła, natychmiast bym stąd odjechała, ale jest środek nocy, a my jesteśmy na wyspie. Muszę zostać do rana.

Wstała i wyszła z kuchni. Usłyszałem jak ustawia oparcie krzesła pod klamką. Wyszedłem z domu i spróbowałem zajrzeć przez okno do jej pokoju, ale Agnes zgasiła lampę. Pewnie się domyśliła, że będą ją podglądał, pomyślałem.

Z ciemności wyłoniła się Carra, ale odegnałem ją kopniakiem. Nie miałem siły się nią teraz zajmować.

Przeleżałem bezsennie całą noc. O szóstej rano zszedłem na dół i przystawiłem ucho do drzwi do pokoju Agnes. Nic nie usłyszałem, więc usiadłem przy stole, żeby poczekać. Za kwadrans siódma otworzyła drzwi. W ręce trzymała plecak.

– Jak się stąd wydostanę? – spytała.

– Teraz jest flauta. Poczekaj, aż się rozjaśni, odwiozę cię.

Agnes zaczęła wciągać kozaki.

– Chcę skomentować to, co zaszło wieczorem – powiedziałem.

– Nie ma tu nic do komentowania – gwałtownie machnęła ręką. – Nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Chcę się stąd jak najszybciej wydostać. Idę na pomost. Tam zaczekam na świt.

– Czy możesz przynajmniej wysłuchać tego, co mam do powiedzenia?

Agnes nie odpowiedziała. Zarzuciła sobie plecak na ramię, w jedyną dłoń złapała torbę Simy oraz jej miecz i wyszła, znikając w ciemności.

Wiedziałem, że za chwilę zrobi się jasno. Miałem też świadomość, że Agnes mnie nie wysłucha, nawet jeśli pognam za nią na pomost. Usiadłem więc przy stole i napisałem list:

„Ty i Twoje podopieczne możecie zamieszkać tutaj. Pozwól właścicielom odzyskać dom, a sąsiadom spokój. Mam pozwolenie na budowę drugiego budynku na fundamentach wyburzonej stodoły. Poza tym dałoby się ocieplić szopę i urządzić w niej pokój. W moim domu są same puste pokoje. Mam już jedną przyczepę, znajdzie się też miejsce na drugą. Znajdzie się tu dla Was miejsce”.

Kiedy zbliżałem się do pomostu, Agnes na mój widok wstała i wsiadła do motorówki. Bez słowa wręczyłem jej list. Zawahała się chwilę, ale przyjęła go i wsunęła do plecaka.

Powierzchnia wody była gładka jak lustro. Warkot silnika brutalnie przerwał ciszę i wystraszył stadko kaczek, które poderwało się i z furkotem zniknęło gdzieś za skałami. Agnes usiadła na dziobie i odwróciła ode mnie twarz.

Gdy dopłynęliśmy do portu, przybiłem w miejscu, gdzie było najniższe nabrzeże i wyłączyłem silnik.

– Jeździ stąd autobus. – Pokazałem na pobliski budynek. – Rozkład jest tam, na ścianie.

Agnes wyszła na keję. Nie odezwała się ani słowem.

Popłynąłem z powrotem, a kiedy dotarłem do domu, od razu położyłem się spać. Po południu odszukałem stare puzzle z obrazem Rembrandta i rozsypałem układankę na stole. Zacząłem dopasowywać do siebie elementy, wiedząc, że nigdy nie uda mi się ułożyć ich w całość.

Następnego dnia po wyjeździe Agnes rozpętał się sztorm. Wiał silny wiatr z północnego wschodu. Nad ranem obudziła mnie trzaskająca

na wietrze okiennica. W porywach wiatr osiągał prędkość orkanu. Ubrałem się i zszedłem na pomost, żeby sprawdzić, czy motorówka i mała łódka wiosłowa są dobrze zacumowane. Woda sięgała wysoko, a fale raz po raz obmywały deski pomostu i chłostały ścianę drewnianej szopy. Przy północno-wschodnim wietrze woda mogła wlewać się do budynku drzwiami. Przywiązałem łódki zapasową cumą, wsłuchując się, jak wiatr wyje w szczelinach między deskami szopy. Kiedy byłem dzieckiem, ten dźwięk czasem wprawiał mnie w przerażenie. Zdawało mi się, że z chłostanego wodą budynku dochodzą ludzkie odgłosy, jakby ktoś tam śmiał się albo z kimś się bił. Teraz silny wiatr dawał mi ukojenie. Kiedy stałem na pomoście w taką pogodę, czułem się nieosiągalny dla nikogo.

Sztorm trwał dwie doby. Jednego z tych dni zjawił się Jansson. Zdziwiłem się, bo przyплыł spóźniony. Kiedy przybił do pomostu, poskarżył się, że między wyspami Röholmen a Höga Skärnäset miał awarię silnika.

– Nigdy wcześniej nie miałem takich problemów – utyskiwał. – Z drugiej strony, silnik ma prawo wariować przy takiej pogodzie. Musiałem rzucić dryfkotwę, ale i tak znosiło mnie na skały. Rozbiłbym się, gdyby mi się nie udało w końcu odpalić.

Nigdy wcześniej nie widziałem go tak zdenerwowanego. Ku własnemu zdziwieniu zaproponowałem, by usiadł na ławce i zmierzyłem mu ciśnienie. Było nieco podwyższone, ale biorąc pod uwagę okoliczności, nie należało się tym niepokoić.

Chwilę później Jansson wszedł z powrotem na pokład swojej łodzi, która kołysała się i ocierała o pomost.

– Nie mam dla ciebie poczty – powiedział. – Ale Hans Lundman poprosił mnie, żebym dał ci tę gazetę.

– Po co? – spytałem zdziwiony.

– Nie powiedział. To wczorajsze wydanie.

Jansson podał mi lokalną wieczorówkę.

– Naprawdę nic nie powiedział? – sięgnąłem po nią.

– Chciał tylko, żebym ci to dał. Wiesz, że Hans nie mówi więcej niż trzeba.

Pomogłem mu odbić od pomostu, pchając dziób łodzi. Wiało tak silnie, że prawie zniosło go na płyciznę, ale w ostatniej chwili silnik zaskoczył i Jansson bezpiecznie opuścił moją zatokę.

Odwróciłem się i już miałem zamiar ruszyć z powrotem do domu, kiedy kątem oka dostrzegłem, że na wodzie w pobliżu przyczepy unosi się coś białego. Podeszedłem bliżej. To był martwy łabędź. Jego biała szyja wiła się na falach jak wąż. Poszedłem do szopy, odłożyłem gazetę i wsunąłem na dłonie grube robocze rękawice. Wyłowilem ptaka, którego korpus owinięty był nylonową linką. Musiał się w nią zaplątać, a potem umarł z głodu. Położyłem go na skałach, gdzie wkrótce z pewnością rozprawią się z nim inne ptaki. Po chwili przybiegła Carra i dokładnie go obwąchała.

– Nie jest dla ciebie – powiedziałem jej. – Jest dla innych.

Wróciłem do domu, ale układanie puzzli wkrótce mnie znudziło. Przyniosłem więc z szopy starą sieć na flądry i zacząłem ją naprawiać, sam nie do końca wiedząc, po co to robię. Mój cierpliwy dziadek nauczył mnie, jak to robić. Zdziwiłem się, że ta umiejętność tak dobrze weszła mi w palce. W skupieniu przeglądałem oczko za oczkiem, aż zapadł zmierzch. W myślach odbywałem rozmowę z Agnieszka, tłumacząc się jej ze swojego zachowania. W mojej wyobraźni potrafiliśmy się znów dogadać.

Wieczorem zjadłem resztę wczorajszego kurczaka, a potem położyłem się na kanapie w kuchni i słuchałem, jak wyje wiatr. Chwilę później, gdy właśnie miałem włączyć radio, przypomniałem

sobie o porzuconej gazecie. Włączyłem latarkę i poszedłem po nią do szopy.

Wiedziałem, że Hans Lundman nie robi nic bez powodu. Usiadłem przy stole w kuchni i zacząłem starannie studiować każdą stronę wieczorówki. Miałem pewność, że gdzieś napisano coś, co zdaniem Hansa powinienem przeczytać.

Znalazłem to na czwartej stronie, wśród krótkich wiadomości ze świata. Nad tekstem zamieszczono zdjęcie z jakiegoś europejskiego szczytu, na który zjechali się prezydenci i premierzy. Oficjele zostali ustawieni do fotografii w odpowiednim porządku, ale tuż przed nimi znalazła się nagle naga kobieta, trzymająca nad głową niewielki baner. Zdjęcie podpisano tekstem „Wstydlive intermezzo”. Okazało się, że kobieta, wcześniej ubrana w czarny płaszcz, dzięki fałszywej legitymacji dostała się na konferencję prasową. Potem, w trakcie robienia zdjęć, zrzuciła okrycie i wyjęła spod niego baner. Natychmiast wyprowadzili ją ochroniarze, ale zdjęcie i tak obiegiło świat. Kiedy przyjrzałem się tej kobiecie dokładniej, poczułem ucisk w żołądku. Zerwałem się z krzesła, żeby przynieść z szuflady lupę, a potem znów dokładnie zbadałem zdjęcie w gazecie. Zdenerwowałem się jeszcze bardziej, bo moje obawy zostały potwierdzone. Miałem przed sobą zdjęcie Louise. Bez wątplenia była to twarz mojej córki, choć sfotografowano ją z półprofilu. Stała tam, triumfując, z banerem nad głową. Napis na nim informował o jaskini, w której pleśń zżera zabytkowe malowidła.

Hans Lundman to spostrzegawczy człowiek, pomyślałem. Rozpoznał ją, mimo że jej twarz na zdjęciu nie była zbyt wyraźna. Podczas przyjęcia dla Harriet Louise opowiadała mu o tej jaskini. Wspomniała wtedy, że chciałaby ochronić te malowidła za wszelką cenę.

Sięgnąłem po ścierkę, osuszyłem pot na piersi i otarłem kark. Dłonie drżały mi z podekscytowania.

Potem wyszedłem przed dom, przywołałem Carrę i usiadłem na ławce mojej babki. Uśmiechnąłem się, wiedząc, że Louise jest gdzieś tam, daleko, w ciemności, i też się do mnie uśmiecha. Doprawdy mam córkę, z której mogę być dumny, stwierdziłem w myślach.

3

Pewnego dnia w połowie listopada nadszedł wreszcie list, na który czekałem. Wtedy cały archipeląg wiedział już, że mam córkę, która wywołała skandal na europejskim szczycie przywódców. Wciąż byłem wdzięczny Hansowi, że okazał się spostrzegawczy i rozpoznał na zdjęciu Louise, dzięki czemu dowiedziałem się o całym zajściu jako pierwszy. Widocznie Lundman tak dobrze wyszkolił oko, wypatrując dryfujących obiektów na morzu, że sprawdzało się ono również podczas przeglądania codziennej prasy.

Miałem swoje podejrzenia, że Jansson pomógł wieści o mojej córce szybko się rozprzestrzenić i obrosnąć w szczegóły. Hans Lundman wszystko mi opowiedział. Ludzie gadali, że Louise urządziła politykom prawdziwy striptiz, a zanim ją wyprowadzono, zdążyła jeszcze powyginać się w wyuzdanych pozach. Potem ponoć zachowywała się agresywnie i ugryzła jednego z ochroniarzy tak mocno, że jego krew trysnęła na buty Tony'ego Blaira. Teraz grozi jej długa odsiadka.

Jednego dnia dostałem nawet anonim, w którym ktoś podpisany „Uczciwy chrześcijanin”, wyraził osąd, że moja córka jest jednym z „niepotrzebnych ludzi”. Poczulem niesmak, gdy wyobraziłem sobie, że do mojej wyspy przybija grupa „uczciwych chrześcijan”, by pojmać mnie oraz moją córkę.

Louise była teraz w Amsterdamie. Napisała, że mieszka w małym hoteliku koło dworca, w pobliżu dzielnicy czerwonych latarni. Odpoczywała i każdego dnia szła na wystawę, na której

porównywano dzieła Rembrandta i Caravaggia. Miała dużo pieniędzy, bo po incydencie z politykami ludzie dawali jej prezenty, a dziennikarze płacili za wywiady. Nie wspomniała o konsekwencjach, podejrzewałem więc, że udało jej się uniknąć kary. Zakończyła list obietnicą, że przyjedzie na początku grudnia.

Na kopercie widniał jej adres, odpisałem więc natychmiast i wręczyłem list Janssonowi, wraz z poprzednim, tym, którego nie miałem dokąd posłać. Dostrzegłem błysk zainteresowania w jego oczach, kiedy przeczytał nazwisko Louise, powstrzymał się jednak od komentarza.

List od córki dał mi odwagę do napisania drugiego listu do Agnes. Nie odezwała się do mnie, odkąd wyjechała, a mnie wciąż palił wstyd. Po raz pierwszy w życiu nie byłem w stanie wymyślić żadnej wymówki i usprawiedliwić swojego zachowania. Nie potrafiłem też wymazać z pamięci tamtego wieczoru.

Jeszcze raz poprosiłem ją o wybaczenie. Napisałem tylko to. Cały list składał się z dziewiętnastu starannie dobranych słów. Nawet nie próbowałem się jej tłumaczyć.

Agnes zadzwoniła do mnie dwa dni później. Przysnąłem na kanapie przed telewizorem i sięgając po słuchawkę, byłem przekonany, że dzwoni Louise.

– Dostałam twój list – Agnes przemawiała chłodnym tonem. – Najpierw zamierzałam go wyrzucić bez czytania, ale potem otworzyłam. Czy to szczerze słowa?

– W stu procentach – zapewniłem.

– Wiesz, o czym mówię. Chcę wiedzieć, czy naprawdę proponujesz dom mi i moim dziewczynom.

– Oczywiście. Możecie przyjechać w każdej chwili.

– Boję się w to uwierzyć.

– Zrób to bez wahania.

Słyszałem przyspieszony oddech Agnes.

– Przyjeżdżajcie – powtórzyłem.

– Nie teraz. Jeszcze za wcześnie. Muszę to przemyśleć.

Odłożyła słuchawkę, a ja poczułem się podekscytowany, tak samo jak wtedy, kiedy dostałem długo wyczekiwany list od Louise. Wyszedłem przed dom, spojrzałem na gwiazdy i pomyślałem, że wkrótce minie rok od dnia, w którym Harriet zjawiała się na lodzie w zatoce i kiedy moje życie zaczęło się zmieniać.

Pod koniec listopada znowu rozpętał się sztorm. Tym razem wiało prosto ze wschodu, a kulminacja huraganu przypadła na drugi dzień jego trwania. Zszedłem na pomost i spostrzegłem, że przyczepa kołysze się niebezpiecznie. Zabezpieczyłem ją wyrzuconymi przez morze pniakami, żelastwem, które znalazłem w szopie oraz kamieniami. Wcześniej zdołałem podciągnąć do niej prąd i ustawiłem w środku stary grzejnik, żeby trzymać ciepło na przyjazd Louise.

Gdy sztorm się skończył, obszedłem całą wyspę. Wschodnie wiatry często wyrzucały na brzeg duże kawałki drewna, tym razem jednak nie znalazłem ani jednego pniaka. Na kamienistej plaży leżał jedynie mostek ze starego kutra. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że o moją wyspę rozbiła się łódź, ale kiedy podszedłem bliżej, okazało się, że to tylko jej fragment. Po krótkim namyśle wróciłem do domu i zadzwoniłem do Hansa Lundmana. Ostatecznie mogło się okazać, że to szczątki kutra, którego poszukuje straż. Godzinę później byli na miejscu. Wspólnymi siłami wciągnęliśmy mostek głębiej na ląd i zabezpieczyliśmy go linami. Hans szybko stwierdził,

że to szczątki starego wraku, a poza tym w ostatnich dniach nikt nie zgłaszał zaginięcia łodzi rybackiej.

– Pewnie stał gdzieś na brzegu – zaczął wyjaśniać. – Wiatr go porwał i wyrzucił do morza. Jest przegniły i chyba nigdy nie zamontowano go na łodzi. Na oko ma trzydzieści, czterdzieści lat.

– Co mam z nim zrobić? – spytałem.

– Gdybyś miał wnuki, mógłbyś im urządzić w nim domek. Poza tym nadaje się tylko do spalenia.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę i wspomniałem o powrocie Louise.

– Wciąż nie mogę się nadziwić, jak rozpoznałeś ją w tej gazecie – powiedziałem. – Zdjęcie było niewyraźne, a mimo to domyśliłeś się, że to ona.

– Trudno wytłumaczyć, dlaczego czasem dostrzega się to, czego nie widzą inni. Andrea za nią tęskni, każdego dnia wkłada te niebieskie buty i pyta o Louise. Dlatego często o niej myślę.

– Pokazałeś Andrei zdjęcie w gazecie?

Hans spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Jasne, że tak – odpowiedział.

– Ten obrazek raczej nie nadaje się dla dzieci. Przecież ona była naga.

– No i co z tego? Dzieci nie lubią, kiedy ukrywa się przed nimi prawdę. Kłamstwa przeszkadzają im tak samo jak dorosłym.

Chwilę później Hans odpłynął z mojej zatoki. Zabrałem z szopy siekierę i porąbałem mostek na kawałki. Poszło łatwo, bo drewno było do połowy zbutwiałe.

Właśnie skończyłem i zamierzałem rozprostować plecy, kiedy nagle zakłuło mnie w sercu. Umiałem rozpoznać atak choroby wieńcowej, bo jako lekarz setki razy ją diagnozowałem. Wiedziałem,

co oznacza ten ból. Usiadłem na kamieniu i zrobiłem kilka głębokich wdechów. Rozpiąłem kurtkę i czekałem. Po około dziesięciu minutach atak minął. Odczekałem drugie tyle, a potem bardzo powoli poszedłem do domu. Była jedenasta przed południem. Zadzwoiłem do Janssona, miałem szczęście, bo tego dnia nie rozwoził poczty. Nie powiedziałem mu nic o ataku, poprosiłem go tylko, żeby jak najszybciej po mnie przyjechał.

– Tak nagle się zdecydowałeś na wyjazd? – Jansson nie ukrywał zdziwienia.

– O co ci chodzi?

– Zwykle planujesz podróż z tygodniowym wyprzedzeniem.

– Przyjedziesz po mnie czy nie?

– Będę za pół godziny.

Kiedy dopłynęliśmy do portu, powiedziałem mu, że prawdopodobnie będę wracał tego samego dnia, ale nie umiem podać godziny. Jansson o mało nie pękł z ciekawości, nie udzieliłem mu jednak żadnego wyjaśnienia.

W przychodni powiedziałem lekarzowi, co się stało. Po chwili czekania zostałem poddany rutynowym badaniom, zrobiono mi EKG, a potem znów rozmawiałem z lekarzem. Podejrzywałem, że był jednym z tych, którzy pracują w tym miejscu z doskoku i dyżurują w różnych ośrodkach zdrowia w całej okolicy, bo żadnego nie stać na to, żeby zatrudnić kogoś na stałe. Udzielił mi porady, przepisał lek, którego się spodziewałem, i skierował na dokładniejsze badania do szpitala.

Kiedy było już po wszystkim, zadzwoniłem z recepcji do Janssona i poprosiłem go, żeby znów po mnie przyjechał. W sklepie obok przychodni kupiłem dwie butelki koniaku i wróciłem do portu.

Dopiero dużo później, gdy dotarłem już do domu, dopadł mnie silny strach. Dzisiaj po raz pierwszy zaatakowała mnie śmierć. Chciała sprawdzić, czy będę stawiał opór. Wypiłem lampkę koniaku, a potem wyszedłem przed dom, stanąłem na skałach i krzyknąłem ze wszystkich sił. Wywrzeszczałem z płuc cały strach, który przekułem we wściekłość.

Carra trzymała się nieco z boku, bacznie mnie obserwując.

Nie chciałem dłużej być sam. Nie chciałem trwać jak jedna z tych skał i bezgłośnie obserwować, jak mijają kolejne dni.

3 grudnia pojechałem do szpitala na badania. Okazało się, że mojemu sercu nic nie dolega. Powiedziano mi, że jeśli będę zażywał leki, dużo się ruszał i stosował lekkostrawną dietę, przeżyję jeszcze wiele lat. Lekarz, który mi to oznajmił, był w moim wieku. Powiedziałem mu prawdę o sobie; że kiedyś też byłem lekarzem, ale potem zdecydowałem się na życie z dala od świata. Był uprzejmy, ale nie wykazał zainteresowania. Na koniec powiedział mi, że cierpię na łagodną chorobę wieńcową.

Siódmego grudnia przyjechała Louise. Zrobiło się znacznie chłodniej, jesień wyraźnie ustępowała miejsca zimie. Nocami deszcz zamarzał na skałach. Louise zadzwoniła z Kopenhagi, poprosiła, by Jansson odebrał ją z portu, ale rozmowa została przerwana, nim zdążyłem zadać jej parę pytań. Włączyłem kaloryfer w przyczepie, wyczyściłem czerwone buty, pozamiatałem i zmieniłem pościel.

Ból w klatce nie wrócił.

Potem usiadłem przy stole w kuchni i napisałem do Agnes. Zapytałem ją, czy już się zdecydowała. Dwa dni później dostałem w odpowiedzi pocztówkę z reprodukcją obrazu van Gogha. Agnes napisała dwa słowa: „Jeszcze nie”.

Byłem ciekaw, czy Jansson je przeczytał.

Razem z kartką przywiózł Louise, która zeszła na pomost z plecakiem zarzuconym na ramię, tym samym, z którym wyjechała. Spodziewałem się, że przypłynie z wielkimi kuframi pełnymi pamiątek i materiałów z ekspedycji, tymczasem jej bagaż zdawał się nawet lżejszy niż przed wyjazdem.

Widziałem, że Jansson wcale nie ma ochoty odjeżdżać, ale podałem mu kopertę z sumą, jaką zwykle brał za przewóz osób i podziękowałem mu na pożegnanie.

Louise przywitała się z psem. Wyglądało na to, że od razu się polubiły. Potem zaprowadziłem ją do przyczepy, w której było przyjemnie ciepło. Louise postawiła plecak na podłodze i poszliśmy do domu. Zanim weszliśmy do środka, przystanęła na chwilę obok nagrobka pod jabłonią.

Na obiad przygotowałem dorsza. Louise jadła tak, jakby głodowała od wielu dni. Przyjrzawszy się jej stwierdziłem, że jest bledsza i trochę chudsza niż w dniu, kiedy wyjeżdżała. Zwierzyła mi się, że pomysł wtargnięcia na ważne polityczne spotkanie zrodził się w jej głowie jeszcze wtedy, kiedy była na wyspie, tuż po śmierci Harriet.

– Siedziałam na ławce na pomoście i wszystko sobie przemyślałam – opowiadała. – Doszłam do wniosku, że pisanie listów nie przynosi żadnych rezultatów. Zrozumiałam, że nigdy nie miały one znaczenia dla nikogo poza mną. Musiałam zmienić taktykę.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nie znam cię aż tak dobrze. Bałam się, że będziesz próbował mnie powstrzymać.

– Po co miałbym to robić?

– Harriet zawsze próbowała mnie zmusić, bym żyła tak, jak ona chciała. Dlaczego ty miałbyś być inny?

Zadałem jej więcej pytań o podróż, ale Louise tylko pokręciła głową. Była zbyt zmęczona, najpierw chciała odpocząć.

O północy odprowadziłem ją do przyczepy. Termometr za oknem w kuchni wskazywał jeden stopień powyżej zera. Louise drżała z zimna i wzięła mnie pod ramię, żeby się ogrzać. Nigdy wcześniej tego nie robiła.

– Tęsknię za lasem – powiedziała. – I za przyjaciółmi. Ale moja przyczepa stoi teraz tutaj. To miłe z twojej strony, że zainstalowałeś ogrzewanie. Będę spała kamiennym snem i przyśnią mi się wszystkie obrazy, które zobaczyłam podczas ostatniej wyprawy.

– Wyczyściłem też twoje czerwone buty.

Louise pocałowała mnie w policzek, nim zniknęła za drzwiami przyczepy.

Przez pierwszych parę dni po powrocie moja córka mało ze mną przebywała. Przychodziła, kiedy wołałem ją na posiłki, ale niewiele mówiła i złościła się, kiedy zaczynałem zadawać pytania. Jednego wieczoru podszedłem do przyczepy i dyskretnie zajrzałem do środka przez okno. Louise siedziała przy stoliku i zapisywała coś w notesie. Nagle spojrzała w moją stronę. Skuliłem się i wycofałem. Wstrzymałem oddech. Nie otworzyła drzwi. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważyła.

W oczekiwaniu na to, aż moja córka wreszcie zacznie ze mną przebywać, chodziłem na długie spacery z Carrą. Morze miało szaroniebieski kolor, a ptaków prawie nie widywałem. Archipelag zaskorupiał się już na zimę.

Pewnego wieczoru usiadłem przy stole w kuchni i spisałem nowy testament. Wszystko miało rzecz jasna przypaść Louise, choć

martwiła mnie obietnica złożona Agnes. Postąpiłem jednak tak, jak zwykle, czyli odsunąłem od siebie niepokój, dochodząc do wniosku, że wszystko się jakoś ułoży.

Rankiem, ósmego dnia od powrotu, kiedy zszedłem na dół o siódmej, Louise czekała na mnie przy stole.

– Już wypoczęłam – oznajmiła. – Teraz mogę znów spotykać się z ludźmi.

– Agnes – powiedziałem. – Próbuję ją tu zaprosić. Może uda mi się ściągnąć ją na wyspę razem z jej podopiecznymi.

Louise spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jakby nie zrozumiała moich słów. Nie byłem świadom niebezpieczeństwa, więc opowiedziałem jej o wizycie mojej byłej pacjentki. Oczywiście przemilczałem przykry incydent.

– Zaproponowałem jej, żeby zamieszkała tu z dziewczętami, jeśli stracą dom – dodałem na zakończenie.

– Zamierzasz oddać jej wyspę?

– Jestem tu tylko ja i pies. Dlaczego ten dom nie miałby się w końcu na coś przydać?

Louise gwałtownym ruchem strąciła ze stołu kubek z kawą, który roztrzaskał się o ścianę w drobny mak, razem z podstawką.

– Chcesz oddać komuś mój spadek? Pozbawiasz mnie go, choć wcześniej niczego od ciebie nie dostałam?

Jąkałem się, odpowiadając.

– Niczego jej nie daję. Pozwolę jej tu pomieszkać.

Louise długo mi się przyglądała. Czuję się tak, jakbym stanął oko w oko z wężem. Potem nagle wstała, przewracając krzesło. Zerwała kurtkę z wieszaka i wyszła. Nie zamknęła za sobą drzwi. Miałem nadzieję, że wróci.

Zamykając drzwi, zrozumiałem, ile w jej życiu znaczyła chwila, w której po raz pierwszy stanąłem przed jej przyczepą. Dopiero wtedy poczuła, że gdzieś przynależy. Dla mnie i mojej wyspy zostawiła nawet przyjaciół i swój ukochany las. A teraz była przekonana, że zamierzam jej to odebrać.

Wcześniej odganiałem myśli o tym, co się stanie z wyspą, kiedy mnie już nie będzie. Kiedyś przyszło mi na myśl, że podaruję wyspę jakiejś fundacji, ale szybko doszedłem do wniosku, że prędzej czy później skończyłoby się to tym, że na moim pomoście odpoczywaliby upojeni władzą politycy. Teraz wszystko wyglądało inaczej, moją spadkobierczynią była Louise i jeśli padłbym trupem tej nocy, ona stałaby się właścicielką wyspy. To, co z nią zrobi, będzie zależało wyłącznie od niej.

Nie pokazała mi się na oczy przez cały dzień. Wieczorem poszedłem do przyczepy i zajrzałem przez okno. Louise leżała na łóżku z otwartymi oczami. Zawahałem się chwilę, nim zapukałem.

- Odejdź! – Jej głos był ostry i pełen napięcia.
- Musimy o tym porozmawiać.
- Wyjeżdżam.
- Nikt ci nie odbierze tej wyspy. Nie bój się o to.
- Idź sobie!
- Otwieraj! – Nie wytrzymałem.

Poruszyłem klamką. Było otwarte, ale ledwie chwyciłem klamkę, Louise pchnęła drzwi od środka i one rąbnęły mnie w twarz. Nim upadłem w tył i uderzyłem głową o kamień, poczułem w ustach smak krwi. Nie zdążyłem się nawet podnieść, a Louise już pochylała się nade mną i biła mnie dalej, okładając kawałkiem paska.

- Przestań – wychrypiałem. – Krwawię.
- Niewystarczająco – warknęła.

Udało mi się złapać końcówkę paska i wyrwać go z ręki Louise. Nie poddała się, zaczęła tłuc mnie pięścią po twarzy. W końcu zdołałem się wyswobodzić. Moja córka wstała i patrzyła na mnie, dysząc ciężko.

– Chodźmy do domu – rzuciłem. – Musimy pogadać.

– Wyglądasz okropnie. Nie chciałam cię pobić tak mocno.

Kiedy wszedłem do przedpokoju, spojrzałem w lustro i omal nie zemdlałem na widok swojego odbicia. Cała twarz była we krwi. Zauważyłem, że mam pękniętą nie tylko wargę, ale i prawą brew. Ale mnie urządziła. Koniec końców nauczyła się nieźle boksować, choć tym razem najgrubszą robotę zrobiły za nią drzwi do przyczepy.

Otarłem twarz zwilżonym ręcznikiem, a potem zawinąłem kostki lodu w kuchenną ścierkę. Przykładałem kompres na przemian do oka i ust. Minęła długa chwila, nim usłyszałem kroki Louise. Przestraszyła się na mój widok.

– Jest bardzo źle? – zapytała.

– Przeżyję – mruknąłem. – Ale po wyspach rozejdzie się nowa plotka. Moja córka nie tylko rozbiera się przed politykami, ale po powrocie do domu wpada w szał i bije swojego ojca staruszka. Skoro boksujesz, musisz wiedzieć, jak wygląda obita twarz.

– Nie chciałam cię zabić.

– Oczywiście, że chciałaś. Myślę, że próbowałaś mnie zabić, zanim zdołam napisać testament i cię wydziedziczyć.

– Zdenerwowałam się.

– Nie musisz się tłumaczyć. Ale nie masz racji. Chciałem tylko pomóc Agnes i jej podopiecznym. Ani ona, ani tym bardziej ja nie wiemy, ile to potrwa, ale to wszystko, co jej obiecałem. Nic więcej. Niczego nikomu nie dałem.

– Myślałam, że znów mnie porzucisz.

– Nigdy cię nie porzuciłem. Zostawiłem Harriet. Nie wiedziałem o twoim istnieniu. Gdybym wiedział, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Wyrzuciłem do zlewu na wpół roztopiony lód i zawiąłem w ścierkę nowe kostki. Oko miałem już całkiem opuchnięte.

Między mną i Louise znów zapanował pokój. Usiedliśmy przy stole. Bolała mnie cała twarz. Wyciągnąłem rękę i położyłem dłoń na ramieniu Louise.

– Niczego ci nie odbieram – powiedziałem. – To twoja wyspa. Jeśli sobie nie życzysz, żeby Agnes i dziewczynki zamieszkały tu na czas poszukiwania nowego domu, wystarczy powiedzieć.

– Naprawdę mi przykro, że cię tak urządziłam. Ale wcześniej tego dnia ja wyglądałam tak samo, tyle że w środku.

– Chodźmy już się położyć. Wyśpijmy się. Jutro rano wstanę z pięknymi sińcami.

Wstałem i poszedłem do mojej sypialni. Nim się położyłem, usłyszałem jak Louise zatrzaskuje za sobą drzwi.

Pomyślałem, że tego dnia tuż obok nas przeszedł potężny sztorm. Był naprawdę blisko, ale nie udało mu się nas pochłonąć. Czułem, że coś się wydarzy i czekałem na to z podekscytowaniem. Nie miało to być nic wielkiego, ale jednak coś nowego, nieznanego.

Pierwsza połowa grudnia była chłodna, dni zdawały się ciężkie jak ołów. Dwunastego zanotowałem w dzienniku, że przez chwilę padał śnieg. Na niebie wisały nieruchome chmury.

Moja obita, pokryta sińcami twarz bolała i goiła się bardzo powoli. Jansson gapił się na mnie z otwartą gębą, kiedy dzień po bijatyce przyjąłem go na pomoście. Louise zeszła na pomost, żeby

się z nim przywitać. Uśmiechała się. Ja też spróbowałem, ale wyszedł mi tylko bolesny grymas. Jansson nie wytrzymał i spytał, co się stało.

– Deszcz meteorytów – odparłem z poważną miną. – Kamienie leciały z nieba.

Louise wciąż się uśmiechała, więc Jansson o nic już nie zapytał.

Napisałem kolejny list do Agnes, tym razem zaprosiłem ją na wyspę, żeby poznała się z moją córką. Odpowiedziała mi po paru dniach, tak samo, zresztą jak poprzednio: że jest jeszcze za wcześnie. Agnes wciąż nie zdecydowała, czy przyjmie moją propozycję, mimo iż wiedziała, że niebawem będzie musiała coś postanowić. Wyczytałem między wierszami, że nadal jest urażona i rozczarowana moim zachowaniem.

Prawdę mówiąc, poczułem ulgę, że Agnes uparcie odmawiała. Cały czas się trochę obawiałem, że Louise znów wpadnie w szal.

Każdego dnia szedłem na długi spacer z psem i wsłuchiwałem się w rytm mojego serca. Regularnie mierzyłem sobie ciśnienie i sprawdzałem puls, co drugi dzień w stanie spoczynku, co drugi po niewielkim wysiłku. Moje serce biło miarowo. Zacząłem o nim myśleć jako o wiernym towarzyszu, któremu do tej pory nie poświęcałem zbyt wiele uwagi. Regularnie obchodziłem całą wyspę, wspinałem się na śliskie skały i obserwowałem odległy horyzont. Wiedziałem, że za nim będę tęsknił najbardziej. Płytkie przy brzegu morze powoli zamieniało się w bagno i coraz częściej jedyne, co miało do zaoferowania, to niezbyt przyjemne zapachy. Myślałem o nim jak o nieuczesanym starcu o kwaśnym, przepitym oddechu. Horyzont jednak był czysty, podobnie jak skały.

W czasie codziennych wędrówek, które odbywałem w obciętych kaloszach, wyobrażałem sobie czasem, że niosę serce na dłoni.

Mimo że wyniki badań były w porządku, raz po raz dopadał mnie atak paniki. Zaraz umrę, myślałem wtedy. Zaraz przestanie bić moje serce. Wszystko się kończy, a mnie śmierć dopadnie, kiedy będę zupełnie nieprzygotowany.

Przyszło mi na myśl, że powinienem porozmawiać z Louise o tym lęku. Nic jednak nie powiedziałem.

Zbliżało się zimowe przesilenie. Pewnego dnia Louise postawiła stołek na środku kuchni, usiadła na nim i zażyczyła sobie, żebym przyniósł lusterko. Potem kuchennymi nożyczkami obcięła swoje długie włosy. Nową fryzurę zafarbowała na rudo i po paru godzinach z zadowoleniem przyglądała się rezultatom swojej pracy. Jej twarz nabrała wyrazistości, jak świeżo wyplewiona rabatka.

Nazajutrz miała przyjść moja kolej. Próbowałem się bronić, ale moja córka była uparta. W końcu potulnie usiadłem na krześle, a ona zaczęła mnie strzyc. Jej palce z lekkością manewrowały starymi niezgrabnymi nożyczkami. Oznajmiła mi, że łysieję na czubku głowy i że poza tym dobrze bym wyglądał z wąsami.

– Uwielbiam mieć cię tu przy sobie – wyznałem jej. – Dzięki tobie wszystko stało się bardziej wyraziste. Wcześniej, kiedy przeglądałem się w lustrze, nigdy nie byłem pewien, co widzę. Teraz wiem, że to ja, a nie twarz kogoś, kto przypadkowo tędy przechodzi.

Louise nie odpowiedziała, poczułem jednak, że na moją dłoń skapnęła łza. Moja córka płakała, ja też zacząłem. Nie przestawała mnie strzyc, więc oboje bezgłośnie roniliśmy łzy. Ona na stojąco, z nożyczkami w dłoni, ja na krześle, z szyją owiniętą ręcznikiem. Potem nic na ten temat nie powiedzieliśmy. Być może oboje byliśmy zawstydzeni, a może po prostu nie było nic do powiedzenia.

Zrozumiałem, że moja córka odziedziczyła po mnie cechę nieodzywania się bez potrzeby. Oboje byliśmy małomówni. Ludzie żyjący na wyspach rzadko są hałaśliwi i nie wypowiadają zbyt wielu słów. Horyzont jest na to zawsze zbyt daleki.

Pewnego dnia Louise zawiązała psu czerwoną wstążkę na szyi. Carra nie wyglądała na zachwyconą, ale nie próbowała jej zerwać.

W wieczór poprzedzający najkrótszy dzień w roku usiadłem przy stole w kuchni i przejrzałem swój dziennik. Potem zrobiłem notatkę: „Morze jest spokojne, nie wieje wiatr, jeden stopień poniżej zera. Carra ma czerwoną wstążkę na szyi. Louise i ja bardzo się do siebie zbliżyliśmy”.

Pomyślałem o Harriet. Czułem, że jest tuż obok mnie, stoi za moimi plecami i czyta to, co właśnie napisałem.

Zdecydowaliśmy z Louise, że uczcimy fakt, iż od teraz dni będą stawały się dłuższe. Moja córka miała zrobić kolację, więc ja połknąłem lekarstwa i położyłem się na kanapie w kuchni, żeby odpocząć.

Minęło pół roku od dnia, gdy siedzieliśmy pod jabłoniami, w ciemnościach letniej nocy. Jednak dzisiejszego wieczoru Harriet nie miała nam towarzyszyć. Nagle poczułem, że tęsknię za nią w sposób, jakiego wcześniej nie odczuwałem. Mimo że już jej nie było, zdawała mi się bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. Dlaczego miałbym przestać za nią tęsknić, tylko dlatego, że już jej nie ma?

Długo leżałem na kanapie, a potem z wysiłkiem zmusiłem się, żeby wstać, ogolić się i włożyć czyste ubranie. Wybrałem garnitur, którego prawie nie używałem i nawet, choć z wielkim trudem, niewprawnymi rękami, zawiązałem pod szyją krawat. Przestraszyłem się na widok twarzy w lustrze. Byłem stary. Skrzywiłem się i poszedłem do kuchni. Zapadł już zmierzch i nastąpiła najdłuższa noc w roku. Termometr za oknem wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Zabrałem koc i wyszedłem usiąść na ławce pod jabłoniami. Powietrze było przejrzyste, rześkie i mocno pachniało solą. Z oddali dobiegło mnie nawoływanie ptaków, urywane, coraz mniej wyraźne, a potem zapadła cisza.

Musiałem zapaść w drzemkę, bo gdy się ocknąłem, było już całkiem ciemno. Drżałem z zimna. Była szósta, więc spałem prawie

dwie godziny. Kiedy wszedłem do domu Louise stała przy kuchence. Uśmiechnęła się do mnie.

– Spałeś jak stara babcia na ławce w parku – powiedziała. – Żal mi było cię budzić.

– Jestem starą babcią – odparłem. – To było ulubione miejsce mojej babki. Zawsze jej było zimno, poza chwilami, gdy śniła o szumiących na wietrze brzozech. Może już się w nią zmieniłem.

W kuchni panowało przyjemne ciepło. Kuchenka i piekarnik były włączone, a szyby pokryły się mgiełką.

Wkrótce w całym pomieszczeniu unosiły się przeróżne zapachy. Louise zamieszała łyżką w garnku z parującą potrawką.

Nie mogłem odeprzeć wrażenia, że jedzenie przyrządzone przez moją córkę smakuje jak drewno ogrzane słońcem. Było lekko kwaśne i słodkie zarazem, nawet trochę gorzkie, przede wszystkim jednak miało pociągający egzotyczny smak.

– W kuchni mieszam wszystkie strony świata – wyjaśniła Louise. – W ten sposób można odwiedzać kraje i ludzi, do których nie miało się jeszcze okazji pojechać. Próbuję też przywoływać zapachy odległych wspomnień. Dym przypomina mi o naszych przodkach, którzy gotowali nad ogniem, żyli w skalnych jaskiniach, których ściany pokrywali wizerunkami zakrwawionych zwierząt. Ognisko musiało wtedy pachnieć tak samo jak dziś. Nie wiemy tylko, co oni sobie myśleli.

– Chcesz przez to powiedzieć, że są rzeczy zmienne, ale i takie, które wciąż pozostają takie same – odezwałem się. – Na ławce pod jabłonią zawsze będzie drzemała jakaś babcia.

Louise mamrotała pod nosem, mieszając w następnym rondlu.

– Samotnie podróżujesz po świecie – mówiłem dalej. – A na północy, w twoim lesie otaczają cię sami mężczyźni.

– To prawda, sporo tam porządnych facetów – odparła. – Ale trudno jest znaleźć tego właściwego.

Zorientowawszy się, że chcę coś dodać, uniosła dłoń na znak, żebym nic nie mówił.

– Nie teraz. Później też nie. Nigdy. Jeśli będę miała ci coś do powiedzenia na ten temat, dowiesz się o tym. Jasne, że w moim życiu są obecni mężczyźni. Ale są moi, nie twoi. Jestem zdania, że nie należy się dzielić wszystkim. Jeśli chce się wiedzieć za dużo, można zniszczyć przyjaźń.

Podąłem Louise parę materiałowych łapek do garnków, których mnóstwo było w mojej kuchni. Pamiętałem je jeszcze z dzieciństwa. Louise zdjęła z palnika duży rondel i uniosła pokrywkę. Zapachniało cytryną i pieprzem.

– Od tego będzie nas paliło w gardle – powiedziała. – Żadna potrawa nie jest porządnie przygotowana, jeśli nie wywołuje u jedzącego potów. Danie bez tajemnic napętnia żołądek rozczarowaniem.

Patrzyłem, jak wkłada drewnianą łyżkę do garnka i miesza wszystkie składniki.

– Kobiety wiecznie coś mieszają – dodała. – Mężczyźni uderzają, tną i szarpiają, a kobiety mieszają, mieszają, mieszają.

Wybrałem się na krótki spacer przed posiłkiem. Kiedy wszedłem na pomost, poczułem w sercu znajome pieczenie. Zabolało mnie tak, że ledwie ustałem na nogach. Usiadłem na ławce i zawołałem Louise, a kiedy do mnie dobiegła, byłem na granicy omdlenia. Kucnęła przede mną.

– Co się dzieje? – spytała.

– Serce. Mam skurcz.

– Umierasz?

Ryknąłem z bólu.

– Nie umieram! Na szafce obok łóżka mam fiolkę z tabletkami.

Louise pobiegła do domu. Po chwili wróciła z pigułką i szklanką wody. Chwyciłem ją za rękę i tak doczekałem, aż minie ból. Kiedy było po wszystkim, byłem cały mokry i trząsałem się z zimna.

– Już w porządku? – spytała Louise.

– Tak – wysapałem. – To niegroźne, ale bardzo boli.

– Będzie najlepiej, jeśli się teraz położysz.

– Nie ma mowy.

Powoli ruszyliśmy w stronę domu.

– Przynieś parę poduszek z kanapy w kuchni – poprosiłem. – Posiedzimy chwilę na schodach.

Louise spełniła moją prośbę i usiedliśmy blisko siebie. Moja córka oparła głowę na moim ramieniu.

– Nie chcę, żebyś umierał – powiedziała. – Nie poradzę sobie z utratą obojga rodziców w tak krótkim czasie.

– Jeszcze się nie wybieram na tamten świat.

– Pomyśl o Agnes i jej dziewczynkach.

– Nie wiem, czy coś z tego będzie.

– Przyjadą tu, zobaczysz.

Chwyciłem dłoń Louise. Moje serce biło już spokojnie, ale czułem, że wewnątrz wciąż czai się ból. Otrzymałem drugie ostrzeżenie. Zapewniono mnie, że przeżyję jeszcze wiele lat, ale gdzieś tam czekał mój koniec.

Planowaliśmy uroczystą kolację, ale podniosła atmosfera gdzieś się rozwiała. Zjedliśmy, ale nie siedzieliśmy długo przy stole. Potem poszedłem na górę do sypialni, zabierając ze sobą telefon. Obok łóżka było podłączenie do drugiej linii telefonicznej, której nigdy nie używałem. Dziadek zamontował je tam, kiedy on i babka stali się

chorowici. Chciał mieć pewność, że będzie mógł wezwać pomoc nawet wtedy, gdy schody okażą się zbyt trudne do pokonania. Nie mogłem zdecydować, czy wystukać numer, o którym od dłuższej chwili myślałem. Zdecydowałem się, kiedy była już pierwsza w nocy, ale nie przejąłem się tym. Wybrałem numer. Odebrała natychmiast.

– Przepraszam, że budzę cię o tej porze – powiedziałem.

– Nie spałam.

– Chcę wiedzieć, czy podjęłaś decyzję.

– Rozmawiałam z dziewczętami. Głośno protestują, kiedy tylko wspomnę o wyspie. Nie wyobrażają sobie życia bez dostępu do drogi i samochodu. Przeraza je to.

– Muszą wybrać między kawałkiem asfaltu a tobą.

– Jestem przekonana, że okażę się dla nich ważniejsza.

– Czy to znaczy, że przyjdziecie?

– Nie odpowiem ci teraz, w środku nocy.

– Ale mogę się tego spodziewać?

– Być może. Ale teraz zakończmy już tę rozmowę. Jest późno.

Usłyszałem kliknięcie, Agnes się rozłączyła. Wyciągnąłem się na łóżku. Nie potwierdziła tego, ale zacząłem wierzyć, że Agnes i jej podopieczne zamieszkają na mojej wyspie.

Długo leżałem bezsennie. Dokładnie rok temu położyłem się na tym samym łóżku i rozmyślałem o tym, że w moim życiu nic się już nigdy nie zmieni. Teraz miałem córkę i chorobę wieńcową. Moje życie gwałtownie skreśliło i obrało całkiem nowy kurs.

Kiedy się obudziłem i o siódmej zszedłem na dół, Louise była już na nogach.

– Muszę na jakiś czas wrócić do mojego lasu – oznajmiła. – Mogę cię zostawić? Obiecujesz, że nie umrzesz?

– A kiedy zamierzasz wrócić? – spytałem. – Jeśli wkrótce, postaram się nie przenieść na tamten świat.

– Zostanę tam do wiosny, choć nie zamierzam całego czasu spędzić w lesie. Pojadę dalej.

– Dokąd?

– Kiedy po incydencie z politykami wypuściła mnie policja, poznałam pewnego mężczyznę. Chciał ze mną porozmawiać o tej jaskini i pleśniejących w niej malowidłach, ale ostatecznie rozmawialiśmy też o czymś innym.

Chciałem zapytać, kto to taki, ale Louise znów mnie uprzedziła i przytknęła palec do ust.

– Nie teraz – szepnęła.

Nazajutrz przyплыł Jansson i zabrał moją córkę do portu.

–Zauważyłem, że ostatnio ciągle chce mi się pić, mimo że piję dużo wody! – zawołał, odbijając już od pomostu. – Co to może oznaczać?

– Pogadamy o tym przy następnej okazji! – krzyknąłem.

Wróciłem do domu po lornetkę, a potem długo odprowadzałem ich wzrokiem, aż zniknęli za grupą wysepek o nazwie Höga Siskäret.

Na wyspie zostaliśmy tylko ja i pies. Moja przyjaciółka Carra.

– Teraz będzie tu zupełnie cicho, jak kiedyś – odezwałem się do niej. – Przynajmniej przez jakiś czas. Potem rozpocznie się budowa i remont. Dziewczyny będą puszczały muzykę na cały regulator, będą krzyczały i przeklinały, czasem nawet będą wrzeszczeć, że nienawidzą tej wyspy. Mimo to przyjadą tu i będziemy musieli z nimi żyć. Zobaczysz, niebawem naszą wyspą zawładną dzikie konie.

Carra wciąż nosiła czerwoną wstążkę na szyi. Zdjąłem ją jej i pozwoliłem, by porwał ją wiatr.

Późnym wieczorem siedziałem przed telewizorem. Wyłączyłem dźwięk i wsłuchiwałem się w swoje serce.

W ręce trzymałem mój dziennik, w którym chwilę temu zanotowałem, że minął najkrótszy dzień w roku.

Potem wstałem, odłożyłem go i sięgnąłem po nowy, jeszcze niezapisany.

Postanowiłem, że nazajutrz zanotuję coś zupełnie nowego. Może będzie to list do Harriet, którego nie mogłem już wysłać.

Tej zimy mojej zatoki nie skuwał lód.

Pojawił się blisko brzegu i wokół wysepek, ale przesmyki nie zamarły i przez cały czas było połączenie z otwartym morzem. Pod koniec lutego nadeszły mroźniejsze dni wraz z lodowatym wiatrem z północy, ale mimo to Jansson nie musiał uruchamiać hydrokoptera i mógł rozwozić pocztę bez chroniących jego słuch nauszników.

Pewnego dnia, gdy zimno wyparł cieplejszy front, wydarzyło się coś, co miałem zapamiętać na zawsze. Właśnie rozbiłem cienką warstwę lodu przy brzegu i zanurzyłem się w zimnej wodzie, kiedy spostrzegłem, że Carra leży na pomoście i ogryza coś, co wyglądało jak ptasia kość. Wiedziałem, że niektóre kości mogą wbić się psu w gardło, więc podszedłem do niej i odebrałem jej zdobycz. Odrzuciłem kość daleko, a potem kazałem psu wrócić ze mną do domu.

Dopiero później, kiedy włożyłem już ubranie i się ogrzałem, przypomniałem sobie tę kostkę. Nie wiedziałem dlaczego, ale wciągnąłem kalosze, zarzuciłem kurtkę i poszedłem ją odszukać. Zajęło mi to chwilę, ale gdy się w końcu udało, od razu stwierdziłem, że nie jest to kość ze szkieletu ptaka. Usiadłem z nią na ławce i zacząłem ją uważnie studiować. Mogły to być szczątki wydry albo zająca.

Po chwili dotarło do mnie, co trzymam w ręce. Nie mogło to być nic innego. Miałem przed sobą kość mojej starej kotki. Położyłem ją na deskach pomostu, zastanawiając się, gdzie znalazła ją Carra.

Poczułem smutek na myśl, że kotka nie żyje, ale jednocześnie ulżyło mi, bo dowiedziałem się, co się z nią stało.

Zawołałem psa i poszliśmy na obchód wyspy. Carra nigdzie nie zwietrzyła pozostałych kości, nie znalazła już więcej śladów. Wydobyła skądś tylko tę jedną kostkę, zupełnie jakby kotka postanowiła przysłać mi w ten sposób wiadomość, bym nie zastanawiał się już nad jej losem i przestał jej szukać. Umarła. Odeszła już dawno temu.

Napisałem o kości w dzienniku. Skreśliłem tylko parę słów: „Pies, kość, smutek”.

Zakopałem kostkę pod jabłonią, obok grobów Harriet i mojego psa.

Zaraz miał przyplłynąć Jansson, więc zszedłem na pomost. Zjawił się jak zwykle o czasie. Przybył do pomostu i od razu oznajmił, że wciąż czuje się zmęczony i chce mu się pić, a nocą zaczęły go łapać skurcze w łydkach.

– To może być cukrzyca – powiedziałem. – Daje takie objawy. Nie mogę cię tu zbadać, powinieneś się zgłosić do ośrodka zdrowia.

– Mogę na to umrzeć? – spytał niepewnym tonem.

– Niekoniecznie. Cukrzycę się leczy.

Poczułem satysfakcję, że dotychczas zdrowy jak ryba Jansson w końcu, jak my wszyscy, doczekał się rysy na nieskazitelnej dotąd karoserii.

Powtórzyłem mu moją radę, a potem pochyliłem się, by odebrać od niego paczkę, którą mi podał.

– Przecież niczego nie zamawiałem – skomentowałem to ze zdziwieniem.

– Skąd mam wiedzieć, co to jest? Na paczce jest twój adres, nie musisz nic płacić.

Przejąłem pakunek. Rzeczywiście widniało na nim moje nazwisko. Ktoś pięknie wykaligrafował mój adres, nie podał jednak swojego.

Jansson wycofał łódź. Przyglądałem mu się, rozmyślając, że nawet jeśli właśnie dopadła go cukrzyca, przeżyje z nią jeszcze wiele lat. Z pewnością miał przeżyć mnie, któremu serce udzieliło już pierwszych ostrzeżeń.

Położyłem paczkę na stole w kuchni i ją rozpakowałem. Była w niej para czarnych butów z fioletowymi wstawkami. Giacomelli załączył bilecik z wiadomością, że „Posyła mi te oto buty z radością oraz wyrazami szacunku dla moich stóp”.

Natychmiast zmieniłem skarpetki na czyste, włożyłem buty i przeszedłem się w nich po kuchni. Pasowały jak ulał, dokładnie jak obiecał stary mistrz. Carra obserwowała mnie z progu do przedpokoju. Wszedłem do pokoju mrówek i zaprezentowałem się im w nowych butach.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułem taką radość.

Przez resztę zimy każdego dnia przechadzałem się po kuchni w butach od Giacomellego. Nigdy nie wyszedłem w nich na dwór i za każdym razem odkładałem je z powrotem do pudełka.

Wiosna nadeszła z początkiem kwietnia. Przy brzegu w mojej zatoce wciąż utrzymywał się lód, wiedziałem jednak, że niedługo zniknie.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, postanowiłem wynieść z domu mrowisko.

Czułem, że nadeszła właściwa pora. Nie było na co czekać.

Wjechałem do domu taczkami i kawałek po kawałku przenosiłem mrowisko łopatą.

W pewnej chwili szufla uderzyła o coś twardego. Wyjąłem przedmiot, a kiedy oczyściłem go z igliwia i mrówek, zorientowałem się, że to jedna z pustych butelek Harriet. Otworzyłem ją i wyjąłem papierowy rulonik. Była to fotografia, moja i Harriet, zrobiona w czasach, kiedy byliśmy parą.

Staliśmy nad wodą, być może była to zatoka Riddarfjärden w Sztokholmie. Wiatr szarpał włosami Harriet, a ja uśmiechałem się do obiektywu. Przypomniałem sobie, że tamtego dnia poprosiliśmy jakiegoś przechodnia, żeby zrobił nam zdjęcie.

Odwrociłem fotografię. Na jej odwrocie Harriet narysowała mapkę. Była na niej moja wyspa, a pod spodem napis: „Dotarliśmy tutaj”.

Długo siedziałem przy stole i wpatrywałem się w zdjęcie.

Potem wróciłem do wynoszenia mrowiska. Wieczorem było po wszystkim. Mrówki dostały nowe miejsce, gdzie czekała je nowa przyszłość. Zniknęły z pokoju.

Poszedłem na obchód wyspy. Po niebie płynął klucz dzikich ptaków.

To Harriet napisała te słowa, pomyślałem: „Dotarliśmy tutaj”.

Donikąd więcej. Tutaj.

-
- ¹ Oscaria – szwedzka firma produkująca obuwie, założona w 1907 roku przez Ernsta Åqvista. W 1968 roku Oscarię kupił koncern Bata.
 - ² *Snus* – popularna w Szwecji używka sporządzana na bazie tytoniu. Umieszcza się ją za górną lub dolną wargą, skąd nikotyna przenika do krwi (przyp. tłum.).
 - ³ Jussi Björling – (ur. 1911, zm. 1960) szwedzki tenor i światowej sławy śpiewak operowy (przyp. tłum.).
 - ⁴ Tage Erlander – premier Szwecji w latach 1946–1969 (przyp. tłum.).
 - ⁵ Hambo – szwedzki taniec ludowy, tańczony w parach (przyp. tłum.).
 - ⁶ Livets Ord, szw. „Słowo Życia” – największy neozielonoświątkowy kościół w Szwecji, założony w 1983 roku w Uppsali.

Przekład: Ewa Wojciechowska

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Zuzanna Kowalska

Korekta: Agata Krzemkowska, Ilona Bugalska

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: fotog / Tetra Images /
Corbis / FotoChannels

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-176-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow